

ZOFIA MOSSAKOWSKA

## Portrety na porcelanie

Tym, czym wy jesteście, my byliśmy,  
Tym, czym my jesteśmy, wy będziecie  
Napis na bramie cmentarza Pere - Lachaise

- Znamy się bardzo długo. Dwa, może trzy lata - odpowiedziała dziewczyna.

- To dwa czy trzy? - spytał człowiek w mundurze. - Proszę mówić dokładnie.

- Dokładnie dwa lata i siedem miesięcy.

- Przypomniała sobie pani?

- Tak. Poznaliśmy się krótko potem, jak wzięłam do siebie psa.

- Tego psa?

- Nie! Mojego psa. Przyszłam z nim na spacer.

Patrząc na psa, Karina nie mogła pozbyć się myśli, że wygląda jak składanka wszystkich możliwych brzydota świata. Niezgrabny, długi, na krótkich nóżkach, z długą szarawą sierścią, która mimo starań nigdy nie wyglądała na wyczesaną, niesymetrycznie opadłymi uszami i wyblakłymi oczami. Stuprocentowy kundel. Gdyby sądzić po zewnętrznej nędznej powłoce, powinien być wredny. A jednak zabrała go ze schroniska, gdzie przeżył ponad dwa lata tylko dlatego, że trafił na takie, w którym nie usypiano zwierząt. Karina zdecydowała się na niego, ponieważ był żywym dowodem na to, że nigdy nie należy tracić nadziei. Miał tyle energii... W swoim języku krzyczał do każdego przychodzącego człowieka z pasją i oczekiwaniem, których nie zmieniły te dwa, dla psa nieznośnie długie, lata. Wśród ładniejszych od niego, bardziej pokornych i często rasowych towarzyszy odróżniał się tym, że nie pozwalał się ominąć. Rzucał się na ściany klatki z plecionego drutu i wołał, a Karina, usłyszawszy go i zobaczywszy, jak wspina się na swych niezgrabnych, króciutkich kończynach pomyślała, że gdyby miał dłonie, chwyciłby przechodniów za ręce.

Teraz prowadziła go na spacer i chociaż była jego oficjalną właścicielką już od ponad tygodnia, ciągle bała się spuścić go ze smyczy. Nie była pewna, czy jej nie ucieknie,

nie znała go i dopiero uczyła się rozumieć. Pies wykazywał niezależny charakter i mimo wdzięczności za zabranie ze schroniska, wcale nie był wylewny. Umiarkowanie machał ogonem, nie rzucał się na jedzenie, leżał w kącie i nie od razu reagował na wołania. Wyglądało na to, że i on czujnie bada reakcje swej nowej pani, ustalając własną pozycję. Teoretycznie surowo nastawiona do zwierząt Karina była rozczarowana. Mimo wszystko wolałaby, by kładł jej głowę na kolana, prosząc o pieszczoty, i wbrew zasadom higieny pozwoliłaby zapewne, by ułożył się w nogach jej łóżka. Dlatego przecież zabrała go ze schroniska - miała nadzieję, że w swoim nowym mieszkaniu poczuje dzięki niemu czyjąś bliską obecność.

Dotąd nie nadała mu imienia, nazywając go po prostu Psem. Tak też zawołała za nim, gdy pociągnął ją w stronę cmentarnej bramy, oddzielającej ruchliwą ulicę od ukrytego za wysokim murem świata umarłych. Pies lepiej od niej wyczuł to jedyne w okolicy miejsce wolne od warczących pojazdów, obfite w zieleń drzew i spokój zwirowanych alejek. Karina chętnie przeszłaby przez szeroką bramę, jednak ogarnęły ją wątpliwości dotyczące psa. Nie wiedziała, czy miejsce wiecznego spoczynku ludzi dostępne jest dla zwierząt. Mimo że dawniej często bywała na cmentarzu, jej pamięć nie zapisała informacji na ten temat.

Zdecydowała się podejść do niewielkiej wartowni przy bramie. Siedział w niej ubrany w ciemny uniform mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, znakomicie widoczny przez cztery szyby szklanej budki, w której prócz niego, dwóch półek z segregatorami oraz stołu z telefonem i z kawą nic już nie mogło się zmieścić. Na widok Kariny wartownik podniósł oczy znad gazety i natychmiast otworzył małe, okrągłe okienko.

- Przepraszam pana - powiedziała - nie wiem, czy można tu wchodzić z psami.

- Można, jeśli są trzymane na smyczy - odpowiedział.

Jego głos był oficjalny i bez wyrazu. Karina podziękowała i chciała odejść, przemilczawszy, że nie zamierza spuszczać ze smyczy psa, którego ciągle mało zna, jednak wartownik pośpieszył z dalszymi wyjaśnieniami:

- Jeśli pies nabrudzi, musi pani posprzątać. Za pozostawienie psich odchodów grozi kara pieniężna.

Karina kiwnęła głową na znak, że rozumie, i zaczęła się oddalać.

- Wszystkie zasady obowiązujące na cmentarzu zebrane są na tej dużej tablicy - zawołał jeszcze za nią, wskazując gablotę umieszczoną na murze obok bramy.

Cmentarz był piękny. Nie tylko wysoki mur bronił go przed hałasem ulicy - także równy szpaler starych drzew wyciszał warkot przejeżdżających samochodów i skutecznie walczył z falami spalin. Dumne platany rosnące tuż za murem nosiły ślady tej zwycięskiej walki w postaci liści bardziej pożółkłych niż te, które rosły w głębi cmentarza.

Karina mimowolnie zwolniła kroku i choć pies, który ją tu zaciągnął, nie poddawał się wcale nastrojowi spokoju, szła jak zaczarowana śladem smugi światła, łamiącego się w miękką tęczę odcieni wśród gałęzi drzew. Pies zapamiętałe węszył z nosem tuż przy ziemi, a ona śledziła wszystko, co zielone, odnajdując miejsca, w których kolor ten mnożył się w całe palety barw, od mlecznej bieli po niebieskawy odcień antracytu. Kwiaty, nagrobne płyty z marmuru lub granitu oraz zwykłe polne kamienie, luźno ułożone wśród nagrobków, jedynie podkreślały dominację zieleni, nadawały ostatni szlif kompozycji drzew i krzewów, zbyt pięknej, by poprzestała na roli tła.

Utraciwszy poczucie czasu, Karina zagłębiała się coraz dalej w ten magiczny świat i w jej głowie zakręciło się od myśli, że cmentarz może być miejscem wcale nie smutnym, lecz pełnym uroku, zdolnym wywołać w sercu uczucie, które, choć z lękiem, nazwałaby radością. Jeszcze zaskoczona odkryciem oceniła myśl jako nową w kontekście dawnych przeżyć i informacji, według których cmentarz jawił się jej wyłącznie jako finał i początek tragedii.

Minęło sporo czasu, nim zdecydowała się na powrót. Nie wiedząc dokładnie, w jakim miejscu cmentarza się znajduje, odszukała główną aleję. Wtedy dostrzegła idących z przeciwka dwóch chłopaków w wieku około osiemnastu lat i uświadomiła sobie, że są pierwszymi żywymi ludźmi, których - jeśli nie liczyć strażnika - spotyka za cmentarnymi murami. Zdziwiła się, gdy zatrzymali się na jej widok, ale nie czuła strachu w słoneczny dzień w miejscu przejrzystym i spokojnym. Stan ten zmienił się gwałtownie, kiedy młodzieńcy zastąpili jej drogę.

- Pani wie, że nie wolno tu chodzić z psami? - zapytał jeden z nich.

- Nie - odpowiedziała sucho. - Możemy panią spisać.

- Nie - powtórzyła.

- Co znaczy „nie”? Mamy tu dyżur i pilnujemy porządku - oświadczył chłopak, podchodząc do niej.

- Tu wolno wchodzić z psami - powiedziała, siląc się na spokój i odstępując kilka kroków do tyłu - a porządku pilnuje strażnik przy bramie.

- Właśnie, przy bramie - wycedził drugi z wyrostków. - Natomiast na samym cmentarzu porządku pilnujemy my. Sprawdzamy, czy ktoś nie kradnie kwiatów, nie niszczy nagrobków albo czy jakieś psy nie zanieczyszczają alejek. A ten kundel właśnie zanieczyścił alejkę. Proszę o dokumenty! Musimy panią spisać.

Karina rozejrzała się, ale nie dostrzegła nikogo. Strach coraz szybciej pulsował jej w skroniach. W oczach chłopaka, który stał nieco dalej, odkryła coś bardzo złego. Mierzył ją wzrokiem od czoła do stóp, rozglądając się przy tym ukradkiem, jakby sprawdzał, czy nikt nie nadchodzi. Jego spojrzenie było zimne, a na ustach czaił się złowróżbny uśmiech. Karina poczuła, że właściwie powinna zacząć krzyczeć, jednak była pewna, że żaden głośniejszy dźwięk nie przejdzie jej przez gardło.

- Mój pies niczego nie zrobił. Patrzyłam na niego cały czas - powiedziała, lecz zamiast zamierzonej arogancji w jej głosie zabrzmiała histeria. - Zresztą i tak już stąd wychodzę.

Udając stanowczość, zrobiła dwa kroki na drżących nogach, lecz tamci znów zastąpili jej drogę.

- Nie tak szybko - powiedział chłopak z lodowatym, sadystycznym uśmiechem.

Pies, który już od dłuższego czasu nie ciągnął za smycz i kręcił się tuż przy jej nogach, nagle zaczął zachowywać się jeszcze dziwniej. Głośno skowycząc, położył się na plecach między nią a chłopakami i przebierał łapami w powietrzu, jakby o coś prosił. Uciszył się w jednej chwili, kiedy na alei niespodziewanie pojawił się strażnik cmentarza.

Zbliżył się szybkimi krokami, w jednej, lekko uniesionej w górę dłoni ścisnął telefon komórkowy z przezornie wysuniętą anteną, w drugiej trzymał mały pojemnik gazu obezwładniającego. Nie spuszczając badawczego wzroku z chłopaków, zapytał Karinę, czy wszystko jest w porządku, i nazwał ją przy tym „panienką”. Kiedy potwierdziła, upewnił się raz jeszcze, dodając, że gotów jest wezwać policję, jeśli cokolwiek zakłóca spokój jego cmentarza. Karina uspokoiła go raz jeszcze, poparta przez jednego z wyrostków, który nagle stał się układny i nawet chciał pogłaskać psa.

Pragnęła już jedynie znaleźć się daleko od cmentarza i jego oszukańczego spokoju. Wdzięczni za dyskrecję młodzieńcy zaczęli żegnać się pospiesznie, na co wartownik dodał mimochodem, że wszystkich przychodzących pamięta dokładnie i nie zdarzyło się jeszcze, by miał z kimkolwiek kłopoty. Razem ruszyli w milczeniu ku bramie, za psem, ciągnącym Karinę, której nie odstępował wartownik. Chłopcy jednak systematycznie przyspieszali i wkrótce wyprzedzili ich o kilkadziesiąt kroków.

- Może napije się pani czegoś? - spytał wartownik, kiedy dotarli do cmentarnej bramy i szklanej budki. - Wody albo kawy? Dobrze to pani zrobi po tych... emocjach.

- Jakich emocjach? - zapytała sucho, lecz nie zaczępnie, nie chcąc prowokować dalszej rozmowy.

Jeszcze drżały jej kolana. Stała przy nim w milczeniu, aż wyrostki zniknęły za bramą. Odczekała jeszcze parę minut i pożegnała się. Wartownik spoglądał za nią, gdy oddalała się w kierunku przeciwnym do tego, w którym udali się tamci.

Wróciła po trzech dniach. Starannie maskując skrepowanie, dźwigała siatkę w wolnej ręce, w drugiej jak poprzednio ścisnęła smycz, szarpaną przez swego kudłatego i niewyszczotkowanego psa. Strażnik zobaczył ją z daleka przez szybę budki i wyszedł na spotkanie. Nie wiedział nawet, czy dziewczyna zamierza z nim rozmawiać. Jednak skierowała się wprost do niego i kiedy podniosła oczy - różnica wzrostu między nimi wynosiła przynajmniej dwadzieścia centymetrów - mimo ostrego makijażu i dorosłej fryzury wydała mu się pełnym dzieckiem.

- Ja wtedy... wie pan, wcale panu nie podziękowałam za to, że pomógł mi pan z tymi gówniarzami - powiedziała nieskładnie.

- Pomógł? - zapytał. - Przecież mówiła pani, że wszystko jest w porządku.

- Bo było - odpowiedziała szybko - ale i tak...

Plątała się w słowach, co wzbudzało w niej rosnącą irytację. Rola dziękującej dziewczynki niezbyt jej chyba odpowiadała, bo nawet niepewny uśmiech na jej ustach nie mógł się zdecydować na jakąś trwałą formę. Zadarła w końcu podbródek i rzuciła szybko:

- Przestraszyłam się jak głupia, sama nie wiem dlaczego. Było tak pusto, a tyle słyszy się o napadach.

- I miała pani rację - potwierdził spokojnie - ponieważ napady się zdarzają. Na cmentarzach bywa sporo samotnych, zamożnych wdów, które z zasady są bezbronne.

- Właśnie! Wcale nie miałam ochoty stracić portmonetki.

Uśmiechnęła się do niego szerokim, wystudiowanym uśmiechem, jednak ruch, którym wyszarpała z reklamówki zgrzewkę półlitrowych puszek piwa, znów okazał się dość niezdarły. Gwałtownie wyciągnęła prezent w jego kierunku.

- To takie małe podziękowanie. Za oszczędzoną portmonetkę. Machinalnie zrobił dwa kroki w tył.

- Nie mogę tego przyjąć. Mówiłem już, pilnowanie porządku na cmentarzu to mój obowiązek.

Znowu straciła pewność siebie i znowu próbowała to ukryć.

- Proszę. To drobiazg - powiedziała i na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. - Nie miałam pomysłu, co mogłabym przynieść lepszego... Sama wiem, że piwo to nic oryginalnego.

Wziął od niej puszkę, ponieważ zrobiło mu się jej żal.

- Nie mogę pić na służbie - powiedział - ale panią mogę poczęstować.

- Nie mogę pić wcale - odpowiedziała z ulgą - bo właściwie to nie jestem pełnoletnia.

Na chwilę wrócił do budki, aby wstawić piwo do środka. Ona tymczasem bawiła się z psem.



- Jak ma na imię pani pies? - zapytał, ze względu na mundur przezornie trzymając się z daleka od zwierzęcia.

Zrobiła śmieszoną minę, by pokryć nią zakłopotanie.

- Beks - odpowiedziała.

- Sympatycznie - pochwalił, nie rozumiejąc jej niepewności. Zastanowiła się kilka sekund, nim wyjaśniła:

- On jeszcze wcale nie reaguje na to imię, już prędzej na Pies. Dopiero niedawno go tak nazwałam, wtedy, no wie pan, tutaj...

- Tak?

- Bo wcale mnie nie bronił... jak pan - dokończyła szybko.

- Tylko skowyczał i piszczał, tchórz jeden.

Uśmiechał się, więc i ona odpowiedziała uśmiechem pełnym ulgi. „Karina” - odpowiedziała od razu, kiedy zapytał o jej imię. I dodała, że nie musi do niej mówić „pani”. Kiedy i on się jej przedstawił, zdziwiła się - Knut? - otwierając swe niebieskie, jeszcze bardzo dziecinne oczy.

- Nie myślałam, że spotkam kogoś o takim imieniu! Skandynawskie, prawda?

- Fryzyjskie - odpowiedział.

\*

Mężczyzna w mundurze nie spuszczał oka z Kariny. Mijała druga godzina ich rozmowy. Dodawszy do tego czas czekania na twardym krześle w korytarzu, były to prawie trzy godziny słonecznego letniego popołudnia, które gdyby tylko mogła, znowu spędziłaby, spacerując z Beksem po cmentarzu. W towarzystwie Knuta.

Od tamtego pierwszego, niefortunnego razu nigdy już nie chodziła po cmentarzu sama. Właściwie wcale nie chciała tam wracać, choć spokój tamtego miejsca głęboko zapadł jej w pamięć. Wspomnienie zieleni i prawie doskonałej ciszy okazało się silniejsze od przeżytego strachu. Gdy wróciła, Knut sam zaproponował jej towarzystwo, na które nie od razu

ośmieliła się zgodzić. Jednak on z wielką radością opuszczał swą szklaną budkę, by spożytkować w ten sposób przysługującą mu przerwę w godzinach pracy, i przechadzki z psem wkrótce nabrały rangi rytuału dla nich obojga.

- I co robiliście podczas takich spacerów? - zapytał mężczyzna w mundurze, jak Karina zdradzający objawy zmęczenia.

- Rozmawialiśmy - odpowiedziała.

- O czym?

- O ludziach z cmentarza.

- O ludziach? - Tak, to znaczy... On opowiadał mi o nich. Mężczyzna zniecierpliwił się.

- O jakich ludziach? Spotykanych, znajomych? Proszę mówić precyzyjnie!

- On opowiadał mi o zmarłych, którzy leżą na cmentarzu. Całe historie... Potrafił doskonale opowiadać i wiedział wszystko. To znaczy, tak mi się wydaje, że wiedział.

Grób numer 459

JON

- Na dziś wymyśliłem dla państwa temat dość nietypowy. Myślę, że nawet trochę nim państwa zdziwię. Dotyczy tematyki „Blisko domu”, ale będzie nim... kompost. Chciałbym porozmawiać z państwem o kompoście w ogrodzie. Trochę się przygotowałem, a poza tym mam nadzieję, że ci z państwa, którzy są już doświadczonymi ogrodnikami, pomogą mi w udzielaniu rad tym, którzy dopiero debiutują. Zapraszam do wymiany doświadczeń.

Ogród jest wspaniałą rzeczą, o czym wszyscy wiemy. Jednak dlaczego kompost, zapytacie państwo. Odpowiadam: kompost jest spokojnym, ekologicznym, domowym cmentarzykiem ogrodu. Zapewnia równowagę. Sprawia, że przekwitłe rośliny, zamiast lądować na śmietniku, otrzymują szansę na ponowne narodziny. A ogród kwitnie dzięki naturalnemu nawożeniu bez stosowania sztucznych, toksycznych mieszanek ze sklepu ogrodniczego.

Proszę dzwonić do mnie. Nie tylko w sprawach ogrodu i kompostu. Powiedzmy, we wszystkich sprawach z nimi związanymi. Czekam na wasze telefony, zamieniając się w skrzynkę kontaktową dla wszystkich chętnych do odkrycia tajemnic kwitnienia drzew, kwiatów, owoców, warzyw albo nawet przepowiadania pogody. Cieszę się na każde interesujące pytanie!

Jestem uspokojony po pierwszych telefonach, proszę państwa. Temat kompostu zainteresował wielu z was i są już pierwsze pytania, w tym podstawowe: jak to się robi?

Natychmiast służę odpowiedzią, ponieważ, jak wspomniałem, przygotowałem się do tematu. Proszę państwa, kompost powstanie, gdy wykopie my dół, pilnując, by był względnie szczelny i aby nic nie wyciekało na zewnątrz, to znaczy nie przesiąkało w ziemię dookoła. Nad kompostem

należy mieć pełną kontrolę. Dalej sprawa jest prosta: jeśli wrzucimy do kompostu rzeczy martwe i poczekamy, aż się przetrawią i przemieszają, uzyskamy gwarantowaną pożywkę dla nowych roślin.

Kompost powinien się znajdować w miejscu zacienionym, najlepiej pod drzewem. Nie należy go jednak przykrywać ani przesadnie uszczelniać. Kompost potrzebuje powietrza, by nie wyginęły w nim bakterie, niezbędne do przetwarzania zawartości. Bakterie te wytworzą pożyteczne nawozy i pożywki.

Jeżeli jednak zaniedbamy hodowlę bakterii, rozmnożą się w sposób niekontrolowany i powstanie nie kompost, lecz nieużyteczna i kłopotliwa masa zanieczyszczeń. Będzie ją trzeba wyrzucić, wraz ze zdziczałymi bakteriami i wszystkim, na czym się rozsiadły. To już duży kłopot oraz - wiecie państwo, że jestem dość wrażliwy na tym punkcie - potworny zapach... Jeśli jeszcze doliczyć zniszczenie ziemi, niepotrzebne kopanie dołu i inne starania, okaże się, jak wiele pracy poszło na marne. Nie zapominajmy więc o następującym zestawieniu elementów: cień, powietrze, odpowiedni dół, kontrolowana ilość bakterii. Wtedy wszystko się uda: kompost przetrawi prawie wszystko, co do niego wrzucimy. Wyliczmy dla porządku: resztki jedzenia, odpadki roślinne i zwierzęce, liście, trawę, stare papiery, bawełnę, wiskozę, len, jedwab, węgiel, kwasy roślinne, tłuszcze roślinne, cukry, białka, aminokwasy, łatwo rozkładające się metale, witaminy... Wszystko - tylko w odpowiednich proporcjach.

Pamiętajmy: w niepozornym, wykopanym przez nas dole zatętni prawdziwe życie.

- Jon, czytasz dzisiaj wiadomości. Jean jest chora.

- Dlaczego ja? Przecież wiesz, że pracuję nad drugą częścią programu o kompoście! Muszę jeszcze posklejać kilka wypowiedzi i ustalić muzykę z operatorem.

- Nie wściekaj się! Szef powiedział, że masz to zrobić i koniec. Ja tu nie jestem od dyskusji, jeśli chcesz się z nim kłócić, idź sam.

- Dobra, dobra... Daj tę cholerną kartkę.

Drodzy państwo, mhm, mhm, przepraszam, czas na nasze dzisiejsze wiadomości o szesnastej pięć. Jean jest nieobecna, spróbuję ją zastąpić. Liczę na to, że wykażecie państwo wyrozumiałość, liczne o tej porze roku zgniłe pomidory zamiast w okno mojego redakcyjnego pokoju wrzucie proszę do kompostu, o którym rozmawialiśmy dwa dni temu. Tak, tak, kolega zza szyby pokazuje mi właśnie, że oddalam się od tematu, przepraszam, może drugi raz nie powierzą mi tak trudnego zadania. Więc zaczynamy:

„Dwudziestosześcioletni Lukas Tjerg z miejscowości Grudde złowił wczoraj na wędkę plastikową torebkę, w której znajdowały się dwa kilogramy wyrobów ze złota. Uczciwy wędkarz oddał swoją zdobycz na najbliższym posterunku policji, której zadaniem będzie ustalenie właściciela. Wędkę, która utrzymała tak grubą rybę, wyprodukowała firma Warrington”.

„Dziś o godzinie dziesiątej rozpoczęło się zebranie rady miejskiej z udziałem przedstawicieli ważniejszych firm naszego okręgu. Radzić będą nad utworzeniem nowych miejsc nauki zawodu. Przypominamy, że pomimo stosunkowo niskiej stopy bezrobocia w naszym mieście bez pracy pozostaje cztery tysiące siedemset ludzi”.

„Na placu Gandhiego doszło do kolizji, w której kolejka miejska wjechała na samochód prowadzony przez siedemdziesięcioletnią gospodynię domową. Ucierpiał głównie pies, którego pani wiozła do fryzjera, oraz jadący do

pracy pasażerowie kolejki, zmuszeni do piętnastominutowego oczekiwania na policję. Winnego dotychczas nie ustalono".

„Trwa akcja wysyłania paczek do Hindu - khuiu, indonezyjskiego miasteczka, które padło ofiarą trzęsienia ziemi".

\*

Karina protekcjonalnie poklepała rzeźbę stojącą u szczytu grobu.

- I kto postawił mu taki piękny nagrobek? - zapytała. - Koledzy z radia czy wdzięczni słuchacze?

- Siostra.

- Miał siostrę?

- Tak. Starszą od niego o osiem lat. Praktycznie zastępowała mu rodziców.

- Znasz ją?

- Przychodzi tu bardzo często. Możliwe, że widziałas ją wiele razy.

- Dlaczego zastępowała mu rodziców? Byli sierotami?

- Nie, na pogrzebie byli oboje, i matka, i ojciec, ale teraz sporadycznie przychodzi tylko matka. Jest już bardzo stara, a ojca nie było tu od lat.

- Ale siostra przychodzi.

- Tak. Zawsze sama.

\*

- Podać ci kawę, Evelyn?

- Nie. dziękuję. Masz dziś wolne popołudnie? - Owszem.

- Słyszałam cię wczoraj w wiadomościach.

Jon zaśmiał się gardłowo. Zasłonił usta ręką, aby kropelki kawy przypadkiem nie zabrudziły mu jedwabnego krawata.

- Poruta, co? Wiem o tym. Wiadomości nie są moją specjalnością. Robiłem to na stażu, ale potem... Nie rozumiem, jak jeszcze mogą mnie o to prosić. Nie nadaję się do odczytywania czyichś stów.

- Wcale nie zastanawiasz się nad tym, co czytasz.
- Nie. Za to bardzo zastanawiam się nad tym, co i jak mówię od siebie. I w tym, jak się zapewne domyślasz, tkwi tajemnica mojego sukcesu. Ale wiadomości...
- Wiesz, że tam w Indonezji zginęło już piętnaście tysięcy ludzi?
- W jednym miasteczku? Chyba żartujesz.
- Zaczęło się od jednego miasteczka, tego Hindu - khuiu, o którym z taką obojętnością wspomniałeś. Trzęsienie ziemi powtórzyło się następnej nocy i objęło rozległy teren na północy kraju. Ponad sto tysięcy ludzi straciło dach nad głową.
- To... rzeczywiście tragiczne.
- A wszystko niecałe pięć lat po erupcji wulkanu. Cud, że teraz nie odezwał się ponownie.
- Cud, cud. Ale dlaczego oni tam żyją? Co chwila coś tam się dzieje: trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, powodzie. Ginie ich połowa, a ci, co zostają, zamiast uciekać, gdzie pieprz rośnie, odbudowują swoje bambusowe chatynki i pilnie rozmnażają się dalej. Mimo że ta ukochana ziemia ich z siebie splukuje, wypala, wysusza, wytrząsa, a już na pewno nie karmi!
- Pewnie dlatego, że innej nie mają.
- Evelyn zamknęła trzymany na kolanach egzemplarz „Science”. Przed wejściem Jona przewertowała szybko artykuł o znalezieniu wody w Kuanali Tuot, jednym z kolejnych miejsc na świecie, o którym wiedziała, że nie jest szczęśliwe.
- Jon, nasz szpital dołączył się do akcji pomocy Indonezji. Wysyłamy leki, środki opatrunkowe, koce i odżywki. Przyrzeknij mi, że przyślesz do nas kogoś z radia, by zrobił dłuższą audycję, która zachęci ludzi do współpracy.
- Ja się tym nie zajmuję! Moja działka to rozmowy ze słuchaczami...

- Przyrzeknij mi. To naprawdę niewiele, co możesz zrobić dla tych, którzy trafili gorzej niż ty!

- Już dobrze... Przyrzekam. Muszę już iść. Cześć, siostrzyczko.

- Zrobisz to dzisiaj? Zadzwoń do ciebie do redakcji. - Dzisiaj, dzisiaj.

- Jon, my zbieramy też pieniądze.

- Jak mogłem o tym zapomnieć?

- Jon.

- Wyłóż za mnie setkę. Zwrócę ci pojutrze.

- Dziękuję ci. Mimo wszystko dobry z ciebie chłopiec.

\*

Beks skoczył na nogi Knuta, zanim Karina zdążyła zareagować, i teraz z przerażeniem liczyła plamy tłustej ziemi na nieskazitelnie wyprasowanych mundurowych spodniach. Knut uspokajająco machnął ręką, jednak była przekonana, że jest niezadowolony.

- Przepraszam cię, Beks chyba nigdy nie nauczy się kultury. On tak z miłości, wiesz...

- Z miłości, wiem.

- Twoja żona będzie wściekła.

- Na pewno nie.

Knut zamknął za sobą drzwi budki i wolno ruszyli alejką. Popołudniowe słońce statecznie towarzyszyło im zza wysokich drzew. Beks zapomniał o obojgu i myszkował między roślinami; czasami rozpędzał się i wbiegał na nagrobki, a wtedy Karina wołała go do nogi, na co on reagował połowicznie, nieznacznie zmniejszając odległość.

- Ten dziennikarz... Jak on umarł?

- Zginął na wojnie, w Afryce.

- Dziennikarz od kompostu?

\*



Jean nadal nie było, wyglądało na to, że grypa, którą złapała podczas letnich upałów, należała do jakichś szczególnie złośliwych, i Jon, pomimo upomnienia szefa za, jak się tamten wyraził, zbytnią dezynwolturę nadal czytał wiadomości. Ciągłe na nowo pojawiały się w nich wzmianki o kolejnych ofiarach trzęsienia ziemi. Trzeciego dnia Jon zrozumiał, że nie zdoła wymigać się od spełnienia przyrzeczenia danego Evelyn, więc niechętnie zaczął rozpytywać wśród kolegów, szukając ochotnika do zrobienia reportażu o akcji pomocy. Był jednak okres urlopowy, wszyscy albo wyjeżdżali, albo zajęci byli swoimi sprawami, tak więc w końcu Jon chcąc nie chcąc sam stanął w drzwiach naczelnego. Jak się spodziewał, szef rozpląnął się w zachwytach.

- Proszę, proszę, nasz etatowy ulubieniec damskiej części słuchaczy, najlepiej ubrany dziennikarz redakcji zainteresował się czymś takim, jak zbieranie starych ciuchów dla biedaków na końcu świata!

Jon spojrzał wymownie na koszmary krawat w maki na niezbyt świeżej koszuli naczelnego i zrezygnowany cicho westchnął. Nie istniał nawet cień szansy na to, by oni dwaj polubili się kiedykolwiek.

- Oczywiście, że to mnie interesuje - odpowiedział beczelnie. - Jako mieszkańcy lepszej części świata zobowiązani jesteśmy myśleć także o innych. I nie tylko stare ciuchy zbierane są przez tę szpitalną organizację, ale też leki, środki opatrunkowe, koce. Oczywiście także pieniądze i gdyby szef zechciał...

- Zobaczą, co da się zrobić. W naszej rozgłośni, oczywiście - uciał naczelnny. - Nie mam nic przeciw, by zrobił pan reportaż na temat zbiórki darów. To społecznie pożądane. Proszę jednak uważać na to, by pański materiał nie był zbyt nachalny. Żeby nasi słuchacze nie poczuli się winni, że to nie

ich spotkało trzęsienie ziemi. Jeśli chcą pomóc, niech robią to z własnej woli. - Oczywiście.

\*

Karina obserwowała Beksa, obwąchującego stokrotki w niewielkim wazonie na grobie Jona. Tego dnia Knut miał więcej czasu, nie wiedziała dlaczego i nie pytała go o to. Znalazła go dalej niż zwykle, w północnej części cmentarza: był jakby roztargniony, ale ucieszył się na jej widok. Przy głównej alei sama zatrzymała się przy grobie Jona, zafascynowana nagrobną fotografią, z której wyłaniały się brązowe oczy dandysa o twarzy przystojnej, choć może zbyt poprawnej. Chłopak z reklamy od fryzjera, uznała, spojrzawszy na zdjęcie, kilka sekund przedtem, nim przeczytała, że był dziennikarzem radiowym.

Knutowi także podobały się oczy Jona. Dawniej najbardziej lubił jego głos, którego Karina, zbyt młoda, nie miała okazji poznać. Knut zawsze słuchał radia w swojej budce, właściwie grało mu na okrągło. Zapamiętał Jona jako typowego radiowego uwodziciela, uwielbianego przez kobiety, z wielką ochotą dzwoniące do redakcji podczas każdego z jego programów, niezależnie od tematu. Wydawało się jednak, że i Jon nie przywiązuje szczególnej wagi do tego, o czym traktuje dana audycja. Nigdy nie wgłębiał się w szczegóły, zachęcając do dyskusji gości, a w chwilach ostatecznej potrzeby odwoływał się do ekspertów. Sam ograniczał się do błyskotliwego rozwinięcia tematu, rozwiązującego innym języki.

Koledzy, nie bez zawiści, pokpiwali z damskiego charakteru jego audycji, aczkolwiek nikt nie odważyłby się zarzucić mu zniewieściałości. Przeciwnie, gdyby tylko istniała najmniejsza szansa, niemal wszyscy dziennikarze z radia chętnie zamieniliby się z nim na wiele rzeczy, a szczególnie na publiczność. Natomiast najbardziej znacząca - czyli

damska - część publiczności chętnie zmieniłaby sposób komunikowania się z Jonem i oddała wiele, by zamiast za pośrednictwem radia dyskutować z nim, siedząc mu na kolanach.

- I taki facet pojechał do Afryki? - spytała Karina z niedowierzaniem.

- To podobno był przypadek. Zaczęło się od tego, że zrobił doskonały materiał o konieczności pomocy ofiarom tego trzęsienia ziemi. Naprawdę świetny. Sam go słyszałem. Były wywiady z ludźmi pracującymi w miejscowej organizacji pomocy, opowiadania lekarzy o następstwach urazów po takiej katastrofie, o stosunkowo niedrogiej pomocy, którą można ludziom zapewnić. Młode panie doktor wychodziły z siebie, by Jon dostrzegł w nich zalety aniołów miłosierdzia. A potem rozszalały się telefony, niektórzy bez uprzedzenia zaczęli przynosić dary i pieniądze wcale nie do organizacji siostry Jona, ale do radia. Przypuszczam, że wiele pań po prostu ucieszyło się z okazji zobaczenia Jona na własne oczy.

Knut poprawił przerzedzone włosy koloru wypłukanej ziemi. Tak naprawdę to są bez koloru, myślała o nich Karina. Zdawało się, że i on nie potrafi pozbyć się zawiści w stosunku do kogoś, kto jeszcze po śmierci emanuje niepokojącym pięknem i mocą. W głosie Knuta, gdy opowiadał o Jonie, brzmiał jednocześnie szacunek i uraza. Wspominał tamten czas, rzeczywiście gorące chwile w życiu miejscowego radia, wiele lat temu, gdy wierzył jeszcze w swój awans w cmentarnej administracji, w budce pijał kawę tylko w ściśle określonych godzinach i z wyszukaną uprzejmością zwracał się do każdego z przychodzących ludzi.

Tak, starał się naśladować Jona w sposobie intonowania zdań, wyobrażał sobie uśmiech i ubiór tamtego. Zapamiętywał też jego drobne żarciki i powiedzonka, choć nigdy nie

ośmielał się zastosować ich w praktyce. Teraz też nie bez nutki zazdrości opowiadał Karinie o błyskawicznie rozrastającym się punkcie pomocy, spontanicznie zorganizowanym w rozgłośni. Przypominał sobie tłumy ludzi, głównie kobiet, obładowanych darami, zagadujących, uśmiechniętych, gotowych do pomocy. On sam słuchał o tym wszystkim zamknięty w czterech ścianach budki, podobnej przecież do radiowego studia. I choć był bardziej niż tamten wystawiony na ludzkie spojrzenia, to nie interesował nikogo oprócz tych nielicznych, którzy zagubili się w labiryncie cmentarza.

- To jego szef położył koniec wszystkiemu. Jedni mówili, że popularność Jona była mu kolcem w oku, inni, że nie chciał, by radio z komercyjnej stacji zmieniło się w filię organizacji charytatywnej, jeszcze inni, że tłumy odwiedzających zakłócały pracę. W każdym razie doprowadził do tego, że inna organizacja dobroczynna zwróciła się do Jona. Dostał bardzo atrakcyjną propozycję, której jako dziennikarz nie mógł odrzucić. No i pojechał do tej Afryki zrobić materiał.

- Nie chciał, ale musiał?

- Może była w tym przekora, może chciał udowodnić, że nie taki znowu z niego dandys. A może w końcu sam zaraził się tym bakcylem pomocy biednym... W każdym razie miał mieszkać w luksusowym hotelu, mieć do dyspozycji dżipa z kierowcą i wszelkie możliwe wygody. Nikt nie wie, także jego siostra, jak znalazł się w najuboższej dzielnicy, sam, w dniu największych zamieszek.

\*

Temperatura przekraczała czterdzieści stopni. Jedyńm miejscem, w którym dawało się ją znieść, był hotel, klimatyzowany mimo racjonowanych dostaw prądu. W barze nie brakowało lodu do drinków, Jon uważał więc, że dopóki te

dwie rzeczy są zapewniane, przeczeka jakoś czas, który przyszło mu spędzić w Afryce. Złość ogarniała go na myśl o szefie, który wymusił na nim zgodę na ten wyjazd, oraz na samego siebie, ponieważ do tego dopuścił. Dał się zmanipulować i tyle, w końcu żadnemu z nich nie chodziło przecież o interes redakcji. W zespole było dość dziennikarzy, którzy możliwość zrobienia materiału o wojnie domowej uznaliby za życiową szansę. Nie wszyscy aż tak jak on cenili sobie czystość garnituru. Jednak szef wybrał jego - chcąc go poniżyć lub po prostu się go pozbyć.

Drugiego dnia pobytu wybrał się wraz z niewielką grupą dziennikarzy różnych gazet i narodowości na rundę po mieście o kilkanaście minut jazdy od enklawy białej dzielnicy, w której znajdował się hotel, bezpieczny w sąsiedztwie luksusowych rezydencji i klubów. Miejscowy kierowca oraz znakomicie mówiący po angielsku pilot zawieźli ich busem do tętniącego życiem miasta, o którym zaniepokojeni rozwojem wydarzeń obcokrajowcy mówili, że powinno zostać objęte godziną policyjną.

Jon uważał to za zbędne. Jego zdaniem - a był to jeden z poglądów znienawidzonych przez Evelyn - wszelkim wydarzeniom winno się zostawiać własny tor i tempo. Tak podpowiadała mu natura pogodnego fatalisty - tak określał samego siebie - sprzeczna z osobowością jego nieustająco poprawiającej świat siostry, zarzucającej bratu karygodną obojętność. Inaczej niż on, Evelyn zawsze znajdowała dość powodów do ulepszenia owego świata, w którego problemy angażowała się tak dalece, że zapominała o samej sobie.

Przez okno autobusu Jon obserwował z umiarkowanym zainteresowaniem otoczenie, usiłując składać w głowie słowa w formę błyskotliwego komentarza. Znalazł się tu, by przygotować relację o Afryce, i zwątpił już, że czyni słusznie, oglądając ją przez szyby samochodu, skoro wygodniej byłoby

za pośrednictwem hotelowego telewizora. W wysokiej temperaturze brakowało mu tchu. Chętnie odetchnąłby świeżym powietrzem, jednak wiedział, że na zewnątrz jest jeszcze gorzej. I na pewno mniej bezpiecznie. Jon nie miał poczucia bezpieczeństwa, teoretycznie zapewnianego przez krzykliwe słowo „Press” na drzwiach samochodu, powtórzone na identyfikatorze na jego piersi. Klasyczne prasowe insygnia w postaci magnetofonu oraz sporego aparatu fotograficznego z enigmatyczną instrukcją obsługi wydały mu się teraz dodatkowym zagrożeniem w sytuacji, gdyby zaszła potrzeba opuszczenia busa i wmieszania się w głodny i wyraźnie rozdrażniony tłum.

Na szczęście żaden z kolegów nie wpadł jeszcze na ten pomysł. Jon podejrzewał, że nabrali respektu na widok czarnych twarzy ludzi zbitych w gromadki na rogatkach miasta. Bus czekał tam prawie pół godziny, z dziennikarzami zamkniętymi w środku jak małpy w klatce, wystawionymi na widok tubylców, wyraźnie niechętnych wszystkim przybyłym z daleka. Czarni nie byli agresywni, ich twarze były dumne i nie wyrażały żadnych gwałtownych uczuć, jedynie tę niechęć... Nie spuszczaali wzroku, patrzyli w głąb busa z niemym pytaniem: „Czego tu szukasz, nikt cię tu nie prosił”. Jon czuł się bardzo niepewnie. Przestrzegano go przed żebrakami i bandytami, jednak nikt nie powiedział mu, że może być obiektem pogardy.

Biedę - katastrofalną, niewyobrażalną - zobaczył dopiero wtedy, gdy zrujnowaną drogą wjechali w granice miasta. Dostrzegł tamtejsze domy, a raczej coś, co miejscowi ludzie tym mianem określali. Zbite z kawałków starych desek, blachy falistej i plastiku lepianki o rozmiarach odpowiadających połowie europejskiego garażu, sklecone bezpośrednio na ziemi, dawały dach nad głową licznym, wielopokoleniowym rodzinom. Nawet obcy mógł się

domyślić, że są schronieniem jedynie na czas nocy, ponieważ w dzień żadne ludzkie stworzenie nie wytrzymałoby temperatury panującej we wnętrzu.

Za dnia życie toczyło się przed chałupinkami, na twardo ubitej, wysuszonej ziemi. Kobiety karmiły niemowlęta, ucierały ziarna lub obierały owoce i warzywa nieznane Jonowi nawet z nazwy. Silnymi rękami prały kolorowe rzeczy w miskach lub innych przedziwnych naczyniach, pełniących funkcję miednicy. Albo gotowały, a wtedy wokół dymiącego kociołka zbierały się mimo upału spore gromadki dzieci, chłone zapach jedzenia, którego i tak nie mogło wystarczyć dla wszystkich.

Jednak tylko część społeczności skupiała się wokół swych namiastek domów. Istniała także inna, potężna masa ludzi, o których Jon przypuszczał, że nie są przypisani nigdzie. W miarę jak bus zbliżał się do centrum miasta, rosły tłumy czarnych okupujących ulice, pozostałości dawnych skwerów i skrawki wysuszonej, dzikiej trawy. Były to skupiska ludzi naznaczonych wyrazem beznadziei w oczach, trzymających się razem, by czerpać siłę ze zbiorowości. W niektórych grupkach ktoś coś mówił, inni słuchali, potakując.

Jon przyglądał się wszystkiemu z niedowierzaniem. Wolałby móc myśleć, że ogląda film. Nie chciał tu być, nie chciał przynależeć i nie chciał brać odpowiedzialności za widziane obrazy. Ani za okaleczonych starców na kulach wyciosanych z kawałków drewna, ani za wychudzone kobiety w nieokreślonym wieku, wyciągające dłonie do każdego, nawet równie biednego przechodnia. Nawet na śliczne dzieci o rysach regularnych jak z elementarza czarnych aniołków, krzykliwe i pełne energii zbyt wielkiej jak na ich wynędzniałe ciała, Jon nie chciał patrzeć z obawy, że ich wizerunek utkwili mu w sercu. Bronił się przed tym, zamknął swe wszystkie wewnętrzne śluzy, zmuszając się do profesjonalnego

rejestrowania obrazów, ad hoc nadając im gotową formę dziennikarskiego sprawozdania. Aby zabić nieuchronne fale współczucia, bolesnego buntu i złości na własną, białoskórą beczynność, skoncentrował się na czekającym w barze potrójnym ginie z tonikiem, jakby myślał o nim odpierał ataki wyrzutów sumienia.

Wtedy zauważył kobiety. Kiedy mało wprawne oko Jona zaczęło w końcu rozpoznawać i rozgraniczać zbity tłum, wciągnął się on mimowolnie w obserwację żeńskiej części tej niewyobrażalnej masy. Była bardziej kolorowa i o wiele mniej gwałtowna, jakby złość, niechęć i zwątpienie miało do niej utrudniony dostęp. Jon nie wyczuwał napięcia w czarnych kobietach, mimo wszechobecnych w mieście wibracji i podniecenia, typowych dla czasów szczególnych. Znany wszystkim samcom od początków świata wojenny zew nie działał na kobiety. Pozostawały elementem stałym; nawet tu, na ubogiej ziemi pod palącym słońcem, trwały niezmiennie, karmiąc dzieci, i nigdy nie zapominały starannie upiąć swych perkalowych sukni. Były to kobiety, które układają włosy i, choć głodne, wpinają kolczyki w uszy, a przeguby rąk i kostki nóg ozdabiają bransoletkami.

Afrykańskie kobiety, które opanowały uwagę Jona, miały pełne usta i nieprawdopodobnie piękne oczy. Jednak nie od razu stało się tak, że spocony i zrezygnowany, sprawił sobie prezent w postaci wyszukiwania tych egzotycznych stworzeń, radowania nimi oczu i cieszenia się ich ruchem jak tańcem na scenie. Dokonało się to w wyniku długiego procesu, spowolnionego upałem, strachem i niechęcią do tego miejsca na ziemi. Iskrą dla tych nowych uczuć stało się muśnięcie czarnej chusty muzułmańskiej kobiety w chwili, gdy Jon, wraz z kolegami opuściwszy na krótko bus, przyglądał się świątyni w mniej przepełnionej dzielnicy miasta. Ulicą przechodziły dwie muzułmanki, w swych czarnych, szczelnych okryciach



drepczące za mężczyzną. Wyglądały jak wieże do gry w szachy, od czubka głowy do stóp spowite materia, spod której tylko wąska szpara na oczy nad metalowym elementem skrywającym nos dawała możliwość zerknięcia na świat. Nie one, lecz Jon przestraszył się, kiedy na wybrukowanej ulicy niemal potracił jedną z nich. W ułamku sekundy, w którym skrzyżowały się spojrzenia, Jon zadrżał, jakby poraził go prąd. Nigdy przedtem, w całym jego życiu, nic nie wstrząsnęło nim z taką siłą, jak to jedno spojrzenie pulsujących jak rozgrzana lawa oczu, rzucone zza zasłony rytualnej szaty.

I Jon zaczął dostrzegać inne kobiety, identyczne, niemożliwe do rozpoznania w strojach z dokładnością do milimetra maskujących ciało. Jednak nie udało mu się już pochwycić żadnego spojrzenia, w płynnym ruchu tkaniny sunęły ulicą same czarne duchy, a on, pokonawszy pierwszy szok, usiłował kpić z samego siebie i wymyślał im w myślach. Szczeniackimi żartami rozładowywał rozczarowanie, porównując muzułmanki do antycznych kolumn, przykrytych przez kogoś, by się nie zakurzyły. I do wież szachowych, i do garbów wielbłąda osłoniętych materiałem, jak u zwierzęcia, które tuż obok ktoś, jakby nigdy nic, przeprowadzał przez ulicę. Tak się zaczęło.

W drodze powrotnej Jon pogrążył się w myślach o kobietach. Początkowo skoncentrowany na postaciach zakwefionych muzułmanek, w swoim poszukiwaniu posunął się dalej, by zacząć odkrywać w tłumie Murzynki o pierwotnej urodzie ptaków i strojach barwnych jak egzotyczne pióra. Zachłysnął się spektaklem sukien i kunsztownych fryzur. Jego umysł odnalazł potrzebny wentyl - w kataklizmie zła, wojny, nędzy i śmierci odnalazł enklawę piękna.

Evelyn - napisał w swoim pierwszym liście, nagryzmołonym późną nocą w barze koszmarnym charakterem pisma, który sprawił, że Jon od dziecka zamiast

pisać wolał koncentrować się na mówieniu - Evelyn kochana, jak cholernie jestem tu nie na miejscu... Jeszcze tego by brakowało, bym zaczął wstydzić się swoich czystych koszul, ba, nawet czystej bielizny. Czuję się winny, że jem posiłki - bardzo smaczne, naprawdę, w hotelu mają angielskiego kucharza, czarnoskóry, ale wyuczony w starej Anglii - smakują mi przez to o wiele mniej. Czuję się winny, że jestem tu, w hotelu, i zarazem boję się go opuszczać, jakby był chybotliwym stateczkiem na morzu pełnym rekinów. To nie jest strach przed tym, że mogą mnie skrzywdzić, Evelyn, to jakoś jeszcze nie przyszło mi do głowy, ja po prostu boję się wpaść do tej wody. Oni są głodni, biedni i bardzo czymś wkurzeni. Naturalnie, że wiem czym, poinformowałem się dokładnie co do przyczyn tutejszej rewolty, ale mój instynkt mówi mi, że gdyby nie to było powodem, na pewno znaleźliby jakiś inny. To czas i ochota, kochana Siostrzyczko, w tym miejscu na ziemi po prostu coś musi się co jakiś czas wydarzyć. Nic tak nie uspokaja jak pełny żołądek, a ich żołądki są boleśnie puste. Aha, i jeszcze słońce przynosi spokój, słońca niby mają w nadmiarze, a mimo to wszystko funkcjonuje tu inaczej niż u nas w godzinach sjeisty.

Dżin jest w porządku. Dodaję nawet kostki lodu, bo w hotelu robią je - podobno - z mineralnej wody. Zresztą mógłbym pić i czysty dżin, to naprawdę jedyne wyjście. Dżin jest dobry. I kobiety. Jeszcze żadnej nie posmakowałem, ale są piękne, Evelyn, niesamowicie piękne. Sama chciałabyś mieć jedną taką w domu. Coś by Ci posprzątała, coś ugotowała, ale przede wszystkim mogłabyś sobie na nią patrzeć, kiedy porusza się tak spokojnie, z muzyką w każdym ruchu, jak fala albo gałąź drzewa.

Tęsknię za Tobą, Siostrzyczko. Nie wiem, czy Ci coś przywiozę. Mógłbym kupić Ci coś z krokodyla, ale wykopałabyś mnie z domu, bo teoretycznie są pod ochroną,

albo jakąś hebanową rzeźbę. Są naprawdę piękne, jak tutejsze kobiety, takie czarne i gładkie. Jednak choć wiem, że moje pieniądze bardzo by się tu przydały, wstydzę się ich posiadania i wyciągania ich przed tymi ludźmi, wstydzę się zabierania im czegokolwiek za moje łatwo zdobyte pieniądze. To wszystko jest takie beznadziejne, Evelyn; co mnie podkusiło, by się tu znaleźć? Czy nie ma w tym przypadku odrobiny i Twojej winy?

Pierwszą kobietą, której skosztował Jon, była zwyczajna hotelowa prostytutka. Zabrana z baru, w którym czekała na zagranicznych klientów, ubrana po europejsku w obcisłe dżinsy, naciągnięte na zbyt pełne pośladki i uda. Jej kręcone włosy były - zapewne dużym nakładem pracy - ściągnięte w ciasny kok, który nie rozsypał się na poduszce łóżka w hotelowym pokoju Jona. Świetnie знаła układ hotelu, bez omyłki odnajdowała drzwi do łazienki oraz minibar. Była dokładnie wymyta, pachnąca mydłem, szamponem i niezłą wodą kolońską, świeża do przesady, a mimo to natychmiast weszła jeszcze raz pod prysznic, jakby - wedle trywialnego dowcipu Jona - chciała dopucować się do białości. Przyniosła ze sobą kilka prezerwatyw do wyboru i znała swój fach, co sprawiło, że Jon w gruncie rzeczy był zadowolony z jakości usługi. Jednak pragnął czegoś innego. Dziewczyna, która została u niego na noc, nie różniła się wiele od innych znanych mu panienek lekkiego prowadzenia, a jej oczy nie przypominały w niczym tych, których łapczywie szukał w czarnym mieście. Zapłacił jej chętnie i pokręcił odmownie głową, kiedy kulejącym angielskim zapytała, czy ma przyjść następnej nocy.

Kiedy zaniepokojony barman zapytał o przyczynę niezadowolenia, Jon wychylał właśnie trzecią szklaneczkę dżinu. Przy czwartej zwierzył się z ochoty na muzułmankę w czarnej sukni i roześmiał się z własnej naiwności.

- Bo te tutaj nie są prawdziwe, wiesz? A jak już tu jestem, w Afryce, to właściwie powinienem zobaczyć lwa albo słonia, co? Rozumiesz mnie? Nie rozumiesz...

Zrezygnowany Jon uczynił nieokreślony ruch ręką.

- To wszystko jest takie nieprawdziwe... A najbardziej ja. Tu.

Porządkował właśnie kasety z nagraniami i rolki naświetlonych filmów, z uczuciem ulgi obliczając czas dzielący go od odlotu do domu, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi. Wstał i otworzywszy je, znieruchomiał na chwilę przed kolorową plamą na tle pustego korytarza z marmurową posadzką. Tworzyła ją młoda Murzynka w kwiecistej perkalowej sukni w rodzaju tych, które Jon widział na ulicy, i sądził już, że pojmuje ich skomplikowaną konstrukcję. Jej splecione w setki warkoczyków włosy wiły się jak węże w suple na czubku głowy, z którego uciekając, spadały na nagie ramiona. Płatały się z koralami na szyi i drżały lekko, jakby chciały owinać sobą też ozdobione paciorkami nadgarstki i kostki bosych stóp. Suknia, włosy i korale tworzyły wspólnie płataninę gęstą i zwodniczą jak sieć, rozpięta, aby bezlitośnie zawładnąć mężczyzną.

Pokonawszy pierwsze zaskoczenie, Jon roześmiał się bezgłośnie. Przypomniawszy sobie usłużnego barmana i z uznaniem pokiwał głową. Frontem do klienta, pomyślał, gdybym go poprosił, przywłókłby mi może nie całego słonia, ale chociaż jego odrąbane, pod karą śmierci chronione kły. Przyglądał się czarnej dziewczynie niepewny, czy nie jest tą samą, którą zabrał przed paroma dniami z baru, ale wydawało mu się, że prócz stroju i fryzury różni się od tamtej także kolorem skóry. W mętym świetle korytarza, uniemożliwiającym rozpoznanie, zawahał się przed wpuszczeniem jej do pokoju. Jednak gdy podniosła na niego

swe wielkie palące oczy, odsunął się milcząco od drzwi i ruchem dłoni zaprosił ją do środka.

Pachniała inaczej niż tamta czarna kobieta w jego łóżku. Na jej szyi, w delikatnych strefach nadgarstków i zagłębieniach obojczyków nie odnalazł śladu perfum. Wdychał jej naturalny zapach, usiłując go określić, przekonany, że nie każdemu mógłby się podobać.

Przypominał trochę sandałowe drzewo i coraz mocniej dominował w nim intensywny zapach potu, kiedy wilgotniała w zakamarkach niegolonych pach, linii dzielącej obfite piersi, w zgięciach kolan i łokci, w pachwinach i na pośladkach. Zdawało mu się, że dzięki niej dalej i dalej zagłębia się w tropikalnej dżungli, choć jej ogromne czarne oczy bliższe były gwiazdom nad pustynią, a pragnienie, palące, jakby nie pił nic od miesięcy, przywodziło mu na myśl suchy piach. Było tak, jakby spotykały się w niej dwie części Afryki, sucha i paląco duszna, wilgotna i spragniona każdej kropli wody.

A także Afryka głodna. Kiedy przed północą dziewczyna przyjęła nieśmiało zaproszenie na przekąskę, Jon dowiedział się, z jak wielką szybkością znikają z talerza sandwicze, które wraz z butelką alkoholu przyniósł nocny kelner. Jon nie tknął żadnego, przyglądając się jej łapczywemu pochłanianiu, a ona, z ukrywanym żalem zwolniwszy tempo przed ostatnim sandwiczem, dwukrotnie zapytała, czy rzeczywiście może zjeść je wszystkie. Zanim stuknęli się szklaneczkami dzinu, wypła jeszcze duszkiem dwie butelki coli.

Miała na imię Dillah. Kochali się wiele razy, tej nocy oraz następnej i następnej. Pojawiała się późnym wieczorem i zostawała do rana. Miała zawsze tę samą suknię, te same sandały i te same sploty koralu. Jedynie supeł z uplecionych włosów zmieniał kształt.

Kiedy opuszczała go o świcie po czwartej wspólnie spędzonej nocy, Jon usiadł na łóżku i pogładził ją po nagim

ramieniu. Jeszcze raz sięgnął do portfela i wyjął dodatkowy banknot, pięćdziesiąt dolarów, na widok których jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia.

- Nie, nie - powiedziała cicho swoim miękkim, zawsze poprawnym angielskim. - Nie dawaj mi tego.

- Dlaczego? - zdziwił się.

- Barman - powiedziała niechętnie po chwili milczenia i ponawianych pytaniach Jona.

- Oddajesz mu część, rozumiem. - Nie...

- Co nie? - nie zrozumiał Jon.

- To on...

- Co on?

- On mi płaci. Od klienta. Stałą sumę.

- Ile?

- Osiem dolarów.

Akurat tyle co dwie szklanki whisky, pomyślał Jon, niedrogo w tej Afryce. Opuścił głowę przed ogarniającym go uczuciem rezygnacji. W jego wyobraźni nieproszone pojawiły się oczy Evelyn, pełne niemego wyrzutu.

- Przecież możesz to schować i nic nie mówić barmanowi. To tylko dla ciebie, jak napiwek.

- Nie mam gdzie tego schować - odpowiedziała, wbiwszy w niego palące spojrzenie. - Gdyby się dowiedział, nigdy nie dostałabym pracy. Nie mogę ryzykować.

- A tu? - zapytał Jon, muskając dłonią linię dzielącą jej piersi. Próbował gestu żartobliwego, jednak sam zawstydził się siebie i poczuł rozdrażnienie.

- On... sprawdza - powiedziała Dillah.

- Rewiduje cię?

- Wszystkie nas sprawdza. Nie możemy ryzykować.

Jon oparł się o wezglowie łóżka. Niemoc, złość, rezygnacja, wszystkie te uczucia, towarzyszące mu od początku pobytu w Afryce, tworzyły w jego głowie

niesmaczny koktajl, który pił z braku innego, wiedząc, że teoretycznie mógłby przyrzucić sobie inny. Jednak nie zadawał sobie takiego trudu. Z niechęcią spojrzął na obracające się skrzydła wentylatora pod sufitem i pomyślał, że po powrocie do domu nic nie sprawi mu większej przyjemności od normalnego snu w ciszy, nieprzerywanej warkotem klimatyzacji.

- Czy mam przyjść jutro? - dotarło do niego nieśmiałe pytanie Dillah, która stała już przy drzwiach, gotowa do wyjścia, z umówionymi dwudziestoma dolarami w dłoni.

- Tak. Przyjdź, proszę.

- Do widzenia.

- Do widzenia, Dillah.

Jak miękko brzmiało jej imię. Zatęsknił do niej, choć dzieliło ich nie więcej niż kilkanaście kroków.

- Dillah... czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? - zapytał cicho, głosem niezamierzenie podobnym do tego, którym ona próbowała dowiedzieć się jego życzeń, kiedy się kochali.

Usłyszawszy sam siebie, pomyślał jednak, że używa tonu zarezerwowanego dla Evelyn.

Usiadła przed nim skupiona, oddalona o całą szerokość łóżka, podekscytowana w sposób świadczący o tym, że podjęła jakąś decyzję, jednak nie pozbyła się związanego z nią lęku. Jakby nie zauważyła dłoni, którą Jon do niej wyciągnął. Zapadła już ciemność, jak zawsze w Afryce gwałtowna, ignorująca znane Europejczykom kolejno następujące fazy zmroku. Tutaj zmęczone intensywną pracą słońce nie bawiło się w powolne ustępowanie za horyzont. Po prostu gasło.

- Powiedziałeś wczoraj, że chciałbyś coś dla mnie zrobić - powiedziała Dillah z determinacją, która przypominała mu ton ulicznych handlarzy.

- Tak?

Z supła włosów splecionych na czubku głowy wyciągnęła pomietaną fotografię i podała mu gwałtownym ruchem całego ramienia. Wziął ją niechętnie.

- Co to jest?

Na zdjęciu ujrzał czarnoskóre dziecko. Oszacował je na roczne, jednak równie dobrze mogło być o wiele starsze.

- Moja córka, Winnie. Chcę, byś ją stąd zabrał.

- Zwariowałaś? - Przestraszony upuścił zdjęcie na kapek łóżka.

- Zabierz ją stąd, proszę cię - powtórzyła, nie zmieniając napiętego tonu, przygotowana na walkę. - Ona nie może tu zostać.

- Co ja miałbym zrobić z dzieckiem? Dillah, jestem kawalerem, pracuję, jak ty to sobie właściwie wyobrażasz?

- Znajdź dla niej jakąś rodzinę! Mówiłeś, że jesteś dziennikarzem, że przyjechałeś tu, by o nas napisać, pokazać, udzielić pomocy. Powiedziałeś, że wielu ludzi interesuje się naszym życiem, chce pomóc! Zabierz ją stąd!

- Nie mogę tak po prostu zabrać stąd dziecka! Istnieją jakieś przepisy, prawo...

- Podpiszę ci każdy papier, bylebyś tylko ją stąd zabrał.

- To nie wystarczy, Dillah!

- Wystarczy! Często pojawiają się tu ludzie, którzy zabierają dzieci. Wystarczy podpisać papier!

- Nie!

Dillah opuściła głowę, ale tylko na chwilę. Nagle znalazła w sobie dużo siły, nie zamierzała i nie mogła zrezygnować. Przerażony Jon nie spuszczał z niej oczu, kiedy splotła dłonie tak silnie, że czarna skóra napięła się do granic jak w ostatniej modlitwie, a całe jej ciało naprężyło, podobne do antylopy, która wie, że od koncentracji i gotowości do morderczego biegu zależy jej życie.



- Ona nie może tak żyć jak ja - powiedziała chrapliwym głosem. - Wkrótce nie będę mogła jej nawet zapewnić opieki. Moja matka niedługo umrze, Winnie zostanie sama w domu, kiedy ja pójdę pracować. Nawet jeśli nie zachoruje, prędzej czy później znajdzie się jak ja na ulicy. Jeśli nic się nie zmieni, stanie się z nią to samo, co ze mną.

- Przecież może pójść do szkoły, uczyć się... Taką pomoc mógłbym ci być może zorganizować.

- Nie! - krzyknęła Dillah. - Jestem prostytutką! Oni o tym wiedzą! Jestem prostytutką dla białych! Już teraz plują za mną na ulicy!

Jon wstał, by nalać sobie drinka. Jego dłonie drżały, ale nie tylko dlatego przesadnie wolno nalewał lepkawy płyn, dorzucał kostki lodu, mieszał. Podszedł do okna i przez żaluzję wyjrzał na ulicę, która mimo obecności uzbrojonych hotelowych strażników wydała mu się złowroga. Wychylił szklanekę trzema łykami i odwrócił się w stronę łóżka. Dillah nie zmieniła pozycji, napięta na skraju łóżka, ze splecionymi palcami swoich czarnych dłoni o jaśniejszej wewnętrznej stronie. Nawet jej powieki były jak zamurowane, nie mrugały, nie wykonywały żadnego ruchu, utrzymywały w nieruchomości olbrzymie oczy, w których odbijał się on, słaby przy niej i bezradny.

- Więc przyszedłeś tu do pracy - powiedział cicho. - Chcesz zarobić swoje osiem dolarów czy nie?

Najchętniej zadzwoniłby do Evelyn, czego wstydził się i obawiał jednocześnie. Wiedział, że ona, choć tysiącokrotnie bardziej od niego świadoma trudności, natychmiast nakazałaby mu coś przedsięwziąć, zatroszczyć się, poczynić kroki. Zrobić wszystko, by uchronić dziecko Dillah: kto wie, czy sama nie zaofiarowałaby się je zaadoptować? Evelyn na pewno zrozumiałaby Dillah, przynajmniej część myślenia Dillah, jej poświęcenie i bohaterstwo. Jednak czy rzeczywiście

dotarłoby do niej znaczenie psychicznego samobójstwa, które popełnia matka, z własnej, choćby i przymuszonej woli pozbywając się dziecka? Evelyn nie była matką i zajmowała się zastępczym matkowaniem całemu światu, a każda myśl o czymś zagrożeniu pozbawiała ją snu. Świadomy tego Jon nie zdecydował się na rozmowę z hotelowego telefonu, droższą niż całonocna usługa miejscowej prostytutki. Gdyby to uczynił, nie pozostałby mu już żaden wybór.

Wypytywał więc kolegów dziennikarzy, ostrożnie, nie wspominając o niczym konkretnym. Od jednego z nich dowiedział się o istnieniu kościelnej misji, w miarę skromnych środków wspomagającej sieroty, i wybrał się tam dżipem w porze południowego upału, wyciągnąwszy z baru niezadowolonego kierowcę. Na miejscu dano mu do zrozumienia, że siostry chętnie pośredniczą w adopcjach, co jednak jest nielegalne i związane z pewnym ryzykiem. W niewielkim, przepelnionym żłobku Jon ujrzał gromadkę maleńkich dzieci o ślicznych twarzach i nienaturalnie wypchanych brzuskach. Wyszedł przekonany, że Dillah zna już to miejsce i z pewnością omija je szerokim kołem.

Czekał na nią wieczorem, jednak się nie pojawiła. Został w pokoju, wpatrując się w zdjęcie czarnoskórej dziewczynki o wielkich oczach swojej matki. Dillah zostawiła fotografię, wcale nie po to, by dać mu powód do rozważań.

„Nie mogę tego wynieść - powiedziała, wspominając barmana. - On by znalazł, kiedy będzie mnie sprawdzał przy wyjściu. Zrobię jej następne zdjęcie, to kosztuje połowę mojego zarobku. Cztery dolary”.

A więc tym razem tyle, co jedna whisky, pomyślał Jon cynicznie, pojmując jednocześnie, że nie był jedynym klientem, któremu Dillah usiłowała wcisnąć swoje dziecko.

Kierowca, który zgodził się zawieźć Jona do odległej dzielnicy slumsów, był zdenerwowany. Nie odzywał się

słowem, prowadząc dżipa ulicami pulsującymi chaotycznym ruchem nielicznych zdezelowanych samochodów, rowerów, wózków ciągniętych przez wynędzniałe osły oraz tłumu pieszych. Milczenie to było czymś niezwykłym, ponieważ wszyscy czarni, z którymi Jon dotychczas miał kontakt, zwykle byli bardzo rozmowni. Jon ujrzał go pierwszy raz w hotelowym lobby, gdy przyszedł wezwany przez barmana, wysokim napiwkami skłonionego do zdradzenia miejsca zamieszkania Dillah. Także on był niezadowolony, bronił się żywo w imię ustalonych zasad biznesu, wielokrotnie przysięgając, że sprowadzi dziewczynę jeszcze tego samego wieczora. Jednak Jon uparł się przy swoim, tłumacząc się koniecznością zrobienia zdjęć do gazety, w której chce pokazać prawdziwe otoczenie i życie takich jak ona. Przysięgł, że nie wymieni z nazwy hotelu, w którym pracuje Dillah, i w ogóle nie zrobi nic, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić. Pertraktacje trwały blisko godzinę i sporo kosztowały Jona, który dopiął w końcu swego u barmana, zaznajomionego z kapryсами dziwnie rozumujących białych gości.

Mimo że poruszali się samochodem bez klimatyzacji, Jon nie otworzył okna i nie zbliżał twarzy do szyby. Miasto było wrogie i groźne, mógłby przysiąc, że w promieniu kilku kilometrów nie ma prócz niego drugiego białego człowieka. Niechętnie określił własne uczucia i przyznał się przed sobą do strachu. Było gorąco i brakowało mu powietrza w samochodzie, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że na zewnątrz wcale nie jest lepiej, w tumanach kurzu i pyłu wzbijanego przez obcą, złowrogą masę o tysiącach nóg i rąk. Albo kikutów nóg i rąk.

Oprócz strachu i zmęczenia towarzyszyła mu rezygnacja. Znowu myślał o Evelyn, zastanawiając się, jak jest możliwe, by tak mocno różnili się od siebie. Skąd brała się jej pasja,

pytał samego siebie, jej zaangażowanie i energia? Gdyby w przyszłym życiu mieli urodzić się jako zwierzęta, ona byłaby lwicą, wspaniałą żoną najpiękniejszego samca w rewirze, ochraniającą wspólne potomstwo szefową całego stada. Natomiast on urodzi się jako szympan. I wcale nie na wolności, sam wolałby rezerwat lub lepszy ogród zoologiczny, a już najchętniej posiadłość jakiegoś ekscentrycznego milionera. Gdzieś, gdzie podziwiają i karmią smacznym jedzeniem, on, Jon, będzie szympansem z gatunku tych, o których czarni powiadają, że choć umieją mówić, nie czynią tego, wiedząc, że ludzie zmusiliby ich do pracy. Jon jako szympan zwolniony będzie z mówienia w nagrodę za terażniejsze życie, w którym funkcjonuje dzięki szczególnemu darowi wymowy. Z czego często wynikają kłopoty, zmuszające go do robienia rzeczy, od których wolałby trzymać się z daleka.

Wejście do chaty zagradała żelazna krata osadzona w niepewnych zawiasach. Coś, co Dillah nazwała domem, przypominało dwa zestawione kioski z gazetami, stworzone z różnych rodzajów budulca, głównie drewna i gliny, wzmocnionej stalowymi prętami w miejscach wybranych dość przypadkowo. Dach przykryty był płatami falistej blachy, a tam, gdzie jej zabrakło, suchymi gałęziami bananowca. Na starym krześle, po odłóżce płatami białej farby sądząc, odnawianym przed kilkunastoma laty, stała cynowa miska, oszczędnie napełniona wodą, moczyły się w niej jakieś rzeczy. Naturalnego klepiska wokół chaty nikt nigdy nie zamiatał, bo nie było to zwyczajem w mieście, także w dzielnicach zamożniejszych niż ta, gromadząca największą nędzę.

Jon podszedł do kraty i spróbował zajrzeć do środka, jednak panująca za nią ciemność zbyt mocno kontrastowała z palącym słońcem dookoła. Pomyślał, że nikogo nie ma, o czym świadczyłaby krata, i ze złudnym uczuciem ulgi obejrzał

się za siebie, szukając wzrokiem kierowcy. Jednak tamtego nie było i Jon przypomniał sobie, że umówili się przy końcu ulicy, przy skrzyżowaniu z główną arterią okolicy, szerszą nieco drogą, którą czasami przejeżdżali policjanci. Kierowca twierdził, że dla niego i samochodu będzie tam bezpieczniej.

- Dillah... - zawołał cicho Jon przez kratę. - Dillah, to ja. Własne słowa wydały mu się idiotyczne. Mimo to odczekał dłuższą chwilę, zanim ponownie się odezwał.

- Dillah, chcę zrobić zdjęcia twojej córki. Otwórz mi, proszę cię.

Ostrożny szelest dotarł do niego z wnętrza chatynki, jednak mógł pomylić go z hałasem panującym na ulicy. Za plecami usłyszał złośliwy chichot i odwrócił się gwałtownie. Dwóch siedzących po drugiej stronie ulicy wyrostków w wyblakłych koszulkach z amerykańskimi napisami wpatrywało się w niego z nieskrywaną bezczelnością.

- Dillah, otwórz, specjalnie po to przyjechałem.

Zobaczył ją dopiero, gdy podeszła blisko kraty. Bez słowa, jednak bardzo wolno i z obawą otworzyła od środka zasuwę i stanęli twarzą w twarz. Wyglądała inaczej niż wtedy, gdy odwiedzała go w hotelu - jej splecione w odwieczne warkoczyki włosy opadały na plecy, a strój nie przypominał już tradycyjnych szat Masajów. Miała na sobie starą spódnicę i związaną w taliu europejską, do szarości spraną bluzkę w kratę.

- Dzień dobry - powiedziała grzecznie ze strachem w głosie. - Nie powinieneś tu przychodzić.

Za jej plecami pojawiła się jeszcze jedna kobieta, starsza od niej Murzynka, drobna i przygarbiona. Jon pomyślał, że rzeczywiście wygląda na chorą, i wszedł do środka.

- To źle, że tu przyszedłeś - powtórzyła Dillah. Wzrok Jona wolno przyzwyczajał się do ciemności.

- Zastanowiłem się nad tym wszystkim - powiedział do obydwu kobiet. - Chcę ci pomóc, Dillah, i po powrocie do mojego kraju zrobię wszystko, co będę mógł, dla twojego dziecka. To potrwa jakiś czas i w ten sposób i ty będziesz mogła zastanowić się, czy rzeczywiście chcesz oddać komuś córkę. Zrobię jej dużo zdjęć do gazet oraz opowiem o niej w moim radiu. Wiem, że zgłosi się ktoś porządny, komu można zaufać, a wtedy z pomocą mojej siostry załatwimy legalną adopcję - jednak tylko wtedy, gdy nadal będziesz tego chciała. Jeśli się nie zdecydujesz, zorganizuję dla niej inną pomoc, tu, na miejscu.

Pierwszy kamień był jedynie zaczepką. Rzucił go mały chłopiec, który wyciągnął rękę po pieniądze lub cukierki. Jon nie miał przy sobie słodyczy i pożałował tego natychmiast, nazywając się idiotą. Nie miał też drobnych pieniędzy, portfel zostawił przezornie w hotelu, po przełożeniu do kieszeni koszuli paszportu, trzech banknotów, z których został mu tylko jeden - resztę dał Dillah - oraz legitymacji z nagłówkiem „Press”, o którym naiwnie sądził, że będzie jego ochroną. Ten pierwszy kamień, rzucony z odległości kilkunastu kroków, trafił go w plecy i raczej zdziwił, niż przestraszył. Jon stanął i odwrócił się w stronę dzieciaka, nie miał nawet zamiaru krzyknąć na niego ani mu grozić, nie podniósł też wcale ręki, a mimo to w tym samym momencie obok małego wyrosli dwaj młodzieńcy, w których rozpoznał, głównie po napisach na koszulkach, chichoczących sąsiadów Dillah. Jon rozejrzał się ukradkiem, usiłując ocenić odległość dzielącą go od oczekującego samochodu. Była spora, ponieważ dopiero kilkaset kroków odszedł od domu Dillah, która pożegnawszy go, zatrzasnęła żelazną kratę. Na twarzach wyrostków nie było śladu uśmiechu.

- What's a matter, boys? (O co chodzi, chłopcy?) - zapytał Jon, udając spokój.

- Chłopców masz w hotelu, ojczulku - odpowiedział jeden z nich niechlujną angielszczyzną.

Jonowi wydało się, że w otwartych wejściach slumsowych domów nagle pojawiło się więcej postaci. Oraz że upał jeszcze się nasilił. Pożałował, że nie poprosił Dillah o łyk wody, co na pewno dobrze by mu zrobiło.

- I kurwy też masz w hotelu - powiedział inny czarny, kilka lat starszy od tamtych dwóch, do których niespiesznie dołączył. - Możesz tam się z nimi pierdolić, nie tu. Tu jest za brudno dla ciebie.

Fuck to całkiem ładne słowo, przeleciało przez myśl Jonowi, któremu pod wpływem upału zrobiło się niedobrze i musiał walczyć z uczuciem słabości oraz dziwnej rezygnacji. Nigdy nie mógłbym użyć go w radiu, szef dostałby furii. Ale tutaj...

- Nie przyszedłem się pierdolić - odpowiedział swym przesadnie uprzejmym tonem, który każdorazowo doprowadzał do wściekłości naczelnego redaktora.

- Przyszedłeś do tej kurwy tylko tak, w odwiedziny? - zapytał najstarszy z czarnych, a jego towarzysze zarechotali. Śmiech zatoczył falę po progach najbliższych chatynek, przybierając wysokie tony chichotu czarnych dzieci, które zapewne nie rozumiały angielskiego, co jednak nie przeszkadzało im bawić się nową sytuacją na ulicy.

- W odwiedziny - potwierdził Jon, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Kolejny mały kamień uderzył go od tyłu w ramię i Jon obejrzał się odruchowo, kątem oka dostrzegając Dillah, zastygłą w przerażeniu na progu domu. Odwrócił się natychmiast, modląc się w duchu, by się nie zbliżała. Nagle poczuł strach, jednak nie o siebie.

- Przyszedłeś ją może sfotografować? - ciągnął czarny, wskazując na aparat Jona.

- Może.

- Sfotografujesz mnie? I moich kolegów? - arogancko zapytał tamten.

- Jeśli chcecie.

- Zrób to - rozkazał chłopak. - Zrób nam dużo zdjęć. Najpierw czarny pozował do zdjęć sam. Robił małpie miny i rozśmieszał do łez gęstniejącą na ulicy publiczność, potem zaprosił do wspólnej zabawy dwóch ślepo w niego wpatrzonych wyrostków, a po kilkunastu kłaśnięciach aparatu Jona także innych, w tym kobiety, które mimo wszystko starały się wyglądać ładnie. Jon poddał się fałszywej inscenizacji, od czasu do czasu rzucając spojrzenia w kierunku Dillah, nieruszającej się z miejsca na progu domu, zaklinając ją w myśli, by tam pozostała.

- Nie powinieneś zmienić już filmu, białasku? - usłyszał Jon głos czarnego tuż przy swoim uchu, sekundę potem, jak nozdrza zalał mu dolatujący od tamtego odór niemytego ciała.

- Jeszcze nie - odpowiedział Jon automatycznie.

- Pokaż!

Czarny wyrwał mu aparat, otworzył go sprawnie i jak prestidigitator uniósł nad głową, pokazując tłumowi jego puste wnętrze. Spojrzeli sobie w oczy i Jon zrozumiał, że tamten od początku wiedział o wszystkim, zainscenizował maskaradę, rozbawił i rozgrzał tłum, jakby był świadkiem pożegnania w chacie Dillah, która odłożyła dziewczynkę na posłanie dopiero po tym, jak Jon zapakował do kieszeni ostatni naświetlony jej zdjęciami film.

- Widzicie? - krzyknął. - Nasz gość kpi sobie z nas, tylko udaje, że robi nam zdjęcia, jak czarnym małpom, które i tak nic nie rozumieją!

Rozległy się pojedyncze gwizdy i złowrogie śmiechy, jednak czarnemu było ich za mało, więc powtórzył wszystko tak, aby zrozumieli go wszyscy - w mowie obcej dla Jona,



jeszcze głośniej, oskarżycielsko wskazując palcem błyszczący w słońcu aparat fotograficzny. Przy akompaniamencie nasilających się krzyków uczynił gest, jakby chciał rozbić go o ziemię. Uśmiechnął się jednak szeroko do otaczających ludzi i podał aparat w czyjeś ręce, które wyciągnęły się skwapliwie i błyskawicznie zniknęły.

Czarny popatrzył Jonowi w oczy i zniechęta kopnął go mocno w podbrzusze.

- Masz coś jeszcze? - zapytał, pochylając się nad Jonem, zwiniętym z bólu w pyle ulicy. - Magnetofon, na który nie mógłbyś nas nagrać? Pieniądze, których nie chciałbyś nam dać?

Z braku odpowiedzi, której wcale nie oczekiwał, sam szarpnął koszulę Jona i wyrwał mu z kieszeni europejski paszport oraz legitymację prasową. Rzucił je w górę, lekceważąc wszechmocne słowo „Press”, a wtedy wypadł z paszportu ostatni dwudziestodolarowy banknot.

- Tylko tyle? - zawył triumfalnie, podnosząc go z ulicy i błyskawicznie chowając do kieszeni. - Więcej nie masz?

Jon pokręcił głową, nie nadając jednak wysilonemu gestowi mocy odpowiedzi. Po prostu pokręcił głową. Jak przez mgłę rozejrzał się jeszcze po otaczającym go ciasno zbiorowisku czarnych twarzy, czując ulgę, że nie ma wśród nich Dillah, jej matki, a może nawet małej czarnej dziewczynki, choć mógł się pomylić, bo wokół niego gromadziły się i dzieci, przepychając się między nogami starszych. Ich buzie były ładne, bardzo ładne i malowały się na nich ciekawość i zaciętość, głód i rozbawienie, wiele uczuć, których Jon nie potrafiłby nazwać w zwolnionej plątaniu własnych myśli. Jakiś mały chłopiec, może ten, który pierwszy rzucił kamieniem, teraz kopnął Jona w nogę.

Jon jeszcze raz pokręcił głową.

Naświetlone filmy ze zdjęciami czarnego dziecka, bezpiecznie ukrytego za zamkniętą kratą w chacie hotelowej prostytutki, rozsypały się po ziemi i pomieszały z kamieniami, które poleciały na dziennikarza lokalnego radia z dalekiego europejskiego kraju. Jeden z tych kamieni był większy od innych i bardziej ostry. Ugodził białego mężczyznę w jakieś pechowe miejsce na czole tak, że ten stracił przytomność i nie czuł już, jak gwałtowna struga krwi zalewa mu oczy. I chyba dobrze, że tak się stało, bo nie dotarły już do jego świadomości kolejne fale przelewanej nienawiści, kopniaki stóp dużych i małych, obelgi i przekleństwa. Leżący człowiek pożałował tylko, że jego siostra, Evelyn, nigdy nie dowie się o małej dziewczynce, której obraz chciał przywieźć jej jako prezent i dowód na to, że tak naprawdę niczyj los nie jest przypieczętowany na wieczność.

Grób numer 2004

JEDWABNA

Hildegard Meyer zamieszkiwała prosty grób obrośnięty bylinami. Niewielka tablica z najtańszego kamienia informowała o jej nazwisku, dacie śmierci i urodzenia. Każdy mógł się z niej dowiedzieć, że przeżyła 76 lat, co było wynikiem przeciętnym, oraz tego, że przez całe swoje życie nosiła tylko to jedno, nieszczególne nazwisko.

- Życzyła sobie, by na grobie napisać „Hildegard i Silky”, ale rodzina uznała to za śmieszne - powiedział Knut.

- Nie wykonali jej ostatniej woli? - zdziwiła się Karina.

- Połowicznie. To znaczy, chcąc nie chcąc, pochowali też Silky razem z nią.

- Jak to? To ma być podwójny grób?

Karina dokładniej przyjrzała się grobowi, choć wiedziała, że niemożliwością jest, by w tak pełnym przepisów i obowiązków kraju ktoś pochował kogoś na czarno. Na czarno, zaśmiała się w myśli, ale pasuje. Musiało więc chodzić o psa lub kota. Samotne kobiety zawsze mają psa albo kota.

- Silky to kot czy pies? - zapytała bezlitośnie.

Knut spojrzał na nią, próbując ukryć rozczarowanie. Nie lubił, kiedy gasiła mu puentę lub nie pozostawiała dość czasu na odpowiednie wprowadzenie do historii.

- Kot. Dokładnie mówiąc, kotka. Otrzymała imię Silky, jednak jej pani wołała na nią Jedwabna. Z powodu sierści.

- Była persem? Persy są nieprawdopodobnie głupie.

- Nie, Silky była zwykłym dachowcem. Pręgowanym, szaro - biało - czarnym.

- Wykastrowanym i wykarmionym na puszkach Sheba, kapany co miesiąc, posiadającym własną ubikację i kokardkę - uzupełniła Karina, patrząc z satysfakcją na Beksa, umorusanego jak zwykle, myszującego wśród krzaków zbyt wysokich jak na jego krótkie krzywe łapy.

Karina podejrzewała, że Beks nigdy nie był piękny, zapewne już jako szczeniak zapowiadał się na szkaradzieństwo, którym się stał. Nie był także szczególnie mądry, a miesiące jej nauk zaowocowały skromnie okazjonalnym siadaniem na rozkaz i podawaniem łapy przez psa, który wykonywał sztuczki tylko wtedy, kiedy trzymała w ręku kiełbasę. Beks był jednak niezaprzeczalnie śmieszny i Karina twierdziła, że dokładnie tego od niego oczekuje, uparcie przemilczając znaczenie jego bezgranicznej psiej miłości.

- Nie - zaprzeczył Knut, odgarniając z grobu Hildegard Meyer opadłe liście. - Silky była prawdziwym kotem, żyjącym prawie tak, jak kiedyś koty sobie żyły. Przez pewien okres rzeczywiście nosiła obrózkę na szyi, a na niej przywiązany dzwoneczek, ale nie trwało to długo.

- A widzisz? - Karina zmarszczyła nos w wyrazie złośliwej satysfakcji. - Tutaj nie ma wolnych kotów! Tak samo jak nie ma wolnych ludzi.

- Jednak ten dzwoneczek ratował życie ptakom, na które polowała Jedwabna. Hildegard Meyer nie chciała mieć ptaków na sumieniu.

\*

Jedwabna wkroczyła w życie Hildegard wczesną jesienią, prawie dokładnie trzy lata przed tym pamiętnym dniem jedenastego września, kiedy w Nowym Jorku runęły na Manhattanie wieże World Trade Center. Słowo „wkroczyła” nie określa precyzyjnie tego wydarzenia, odnosząc się raczej do późniejszej Jedwabnej, z gracją przemierzającej metry niewielkiego mieszkania Hildegard krokiem pełnym majestatycznej powagi lub skoncentrowanym, perfekcyjnym pędem, kończonym skokiem na parapet okna, olśniewającym jak finałowa ewolucja na turnieju gimnastycznym.

Jednak owego pamiętnego dnia Jedwabna była tylko kudłatą, zakrwawioną kupką nieszczęścia, którą z litości, bardzo zresztą nietypowej dla sąsiadki Hildegard, włożono, czy może wrzucono, do starego kartonu po butach. Cała rodzina stała nad pudełkiem i debatowała głośno: matka, zaniedbana kobieta z nadmiarem zajęć związanych z nakarmieniem i ubraniem czwórki dzieci oraz one same, trzech źle wychowanych chłopaków w wieku od sześciu do trzynastu lat i pięcioletnia dziewczynka, podejrzewana przez Hildegard o niedorozwój. Ich burzliwa narada skłoniła ją do zatrzymania się przed osiedlową ławką, na której antypatyczna rodzina postawiła pudełko. Hildegard zajrzała do środka i dostrzegła kotka, zbyt słabego, aby mógł piszczeć.

- On żyje? - zapytała.

- Żyje, żyje - odpowiedziała skwapliwie sąsiadka, co zrodziło podejrzenia Hildegard, że nikt inny, tylko same dzieciaki doprowadziły kociaka do tragicznego stanu.

- Co chcecie z nim zrobić?

- Nie wiemy. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Może by trzeba zawieźć do schroniska, ale skąd wziąć na to czas? Nawet nie wiem, gdzie to jest, a mąż dziś pracuje na drugą zmianę.

- Może pani go weźmie? - zapytał zaczepnie najstarszy chłopak, o którym Hildegard wiedziała, że chodzi do szkoły trzy ulice dalej, takiej, co w żadnym wypadku nie kształci kandydatów na wyższe uczelnie. - To ładny kotek.

- Skąd wiesz? - rzuciła, wpatrując się we wnętrze pudełka. - Widzę tylko zakrwawiony kawałek futra.

- Ładny, ładny. Tylko trochę popsuty.

- Co mu się stało? - zapytała Hildegard, starając się zachować spokój.

- Bo ja wiem? Może jakiś pies? Tak go znaleźliśmy, a mama wsadziła go do pudełka.

- W schronisku, nawet jakby pojechać, wcale nie wiadomo, czy go wezmą. Koleżanka chciała raz oddać swojego psa, to powiedzieli, że nie ma miejsc - wtrąciła sąsiadka z niechęcią.

- I co z nim zrobiła?

- Z tym psem? - Kobieta skrzywiła się, zdziwiona. - Ktoś go potem wziął gdzieś na wsi czy co.

Hildegard zdecydowała się. Poprawiła pasek torebki na ramieniu i podniosła z ławki pudełko z kociakiem. Stworzenie spojrzało na nią nierozumiejącymi, mętnymi oczyma.

- Zobaczę, co da się z nim zrobić - powiedziała.

Kiedy Hildegard wdrapała się na swoje pierwsze piętro - niby to niewiele, dwadzieścia trzy stopnie, jeśli wliczyć trzy prowadzące na zajmowany przez nielubianą rodzinę parter - była już lekko zasapana. Nie bez znaczenia był tu karton mleka i paczka ciemnego chleba, niesione w torbie mikroskopijne codzienne zakupy, dokonywane zawsze w ograniczonych ilościach, ponieważ Hildegard nigdy nie kupowała niczego na zapas, pielęgnując codzienny pretekst do wyjścia z mieszkania. Także sąsiadka i jej dzieci doprowadziły ją do zadyszki, nagle objawiając chęć do rozmowy. Dzieciaki plątały się pod nogami w drodze do klatki schodowej, przekrzykując matkę snującą domysły na temat trzymania zwierząt w domu, trzeba sprawdzić w papierach, a poza tym, wie pani, to śmierdzi i brudzi. Chociaż właściwie nie, bo teraz to i koty wcale nie wychodzą z mieszkania, kastruje się je i tyle, można kupić takie kocie ubikacje i tylko zmieniać podsypki, na pewno to wszystko kosztuje, ale co, jak kto nie ma dzieci, to może sobie wydawać na zwierzęta.

W mieszkaniu Hildegard umyła ręce, ułożyła na kanapie stary ręcznik i ostrożnie wyjęła kociaka z pudełka po butach. Prawie nic nie ważył, był bezwładny, tylko leciutko drżał. Niepotrzebnie umyte ręce Hildegard uwalniały się krwią i

blotem, wrzesień tego roku był wyjątkowo deszczowy. Przyniosła trochę ciepłej wody w misce i ściereczkę, którą niezręcznie spróbowała oczyścić futerko. Zostawiła w spokoju zakrzepłą krew, sprawdzając jednak, czy pod nią nie ma otwartych ran. Były, i to sporo - kociak miał naderwane ucho, rozcięcie przy pyszczku i gruby strup krwi na nosku, którego bała się dotknąć. Naląła mu odrobinę mleka na spodeczek, jednak nie zainteresował się nim wcale, kiedy natomiast próbowała nakarmić go łyżeczką, kichnął słabo i prawie się zakrztusił. Hildegard była bezradna i czuła się źle w swej nieoczekiwanej litości i tkliwości dla nieznanego stworzenia, które znalazło się na granicy śmierci.

W książce telefonicznej odnalazła najbliższego weterynarza. „Proszę przyjść z kotkiem - powiedział głos w słuchawce - akurat nie ma zbyt wielu pacjentów”. Hildegard znalazła szeroką torbę, do której włożyła pudełko, a do niego na powrót kociaka. Wcale się nie bronił, nawet nie piszczał. Ujęła rączki torby i zrobiła parę kroków, nie potrafiąc pozbyć się myśli o kocim bólu i strachu, pogłębionym ciemnością w czterech ścianach kartonu. Wyjrzała przez okno. Znowu zaczynało kropić. Niepewna, czy poradzi sobie jednocześnie z torbą i parasolem, przebiegła w pamięci drogę do ulicy, na której znajdował się gabinet weterynaryjny. Dobre piętnaście minut marszu. Hildegard odstawiła torbę i podeszła do telefonu, by zamówić taksówkę.

Poczekalnia była prawie pusta, jeśli nie liczyć dwóch kobiet, jak ona w starszym wieku, oczekujących na fachową pomoc dla swoich psów. Jeden z nich był wilczurem i Hildegard przezornie usiadła daleko od niego, na co właścicielka, szczupła kobieta w okularach, natychmiast powiedziała:

- Nie musi pani bać się Duffiego. On jest bardzo zdyscyplinowany. Jak inaczej w ogóle mogłabym dać sobie z

nim radę? - I dodała z dumą: - Mój syn go dla mnie wytresował.

- Za to mój pies wcale mnie nie słucha - poskarżyła się uśmiechnięta właścicielka szarego, kudłatego malucha. - Robi, co chce, aż wszyscy w parku się ze mnie śmieją. To ja chodzę za nim, a nie on za mną.

- Z takim małym psem to nic groźnego - orzekła pani Duffiego. - Pobiega sobie i tyle, nikomu krzywdy nie robi. Ale duże rasy muszą reagować na rozkazy, inaczej nie można by ruszyć się z nimi z domu.

Kobiety wdały się w rozmowę na swoje psie tematy, którym Hildegard przysłuchiwała się zaskoczona. Sprawiały wrażenie zaprzyjaźnionych, choć z ich słów wynikało, że nigdy przedtem się nie spotkały. Właścicielka Duffiego zadała pytanie, którego Hildegard nie zrozumiała:

- Pani pies to shi - tsu?

- Nie, to silky - terier - odpowiedziała druga kobieta, także pogodnie uśmiechnięta. - Kiedy są małe, łatwo się pomylić. Idziemy do szczepienia z tym łobuzakiem.

Czule podrapała szczeniaka za uchem, ściągając nieco czerwoną smycz, ponieważ wciąż zaczepiał Duffiego.

- Ty łobuzie ty... - powiedziała pieszczotliwie - Ładnie to tak ciągle uciekać swojej pani?

- Pewnie ma na imię Silky - poddała właścicielka Duffiego.

- Oj, nie - zaprzeczyła jej rozmówczyni. - Wszystkie silky - teriery nazywają się Silky, tak jak jack - russel - teriery nazywają się Jack. Nazwałam go Karli.

- Ładnie.

- Mój mąż miał na imię Karl - wyjaśniła właścicielka Karlego. - Pomyślałam, że tak będzie zabawnie.

Pomocnica weterynarza poprosiła Hildegard do stołu recepcyjnego.



- Muszę przygotować kartę - powiedziała i wyciągnęła niezapisany formularz.

Zanotowawszy nazwisko i adres Hildegard, uprzedziła, że honorarium płaci się gotówką i zapytała:

- Jak ma na imię pani kot?

- Proszę? - zapytała Hildegard spłoszona.

- Muszę tu wpisać imię zwierzęcia - wyjaśniła jej dziewczyna w białym fartuchu.

- Nie wiem jeszcze - odpowiedziała Hildegard. - Wcale nie wiem, do kogo on należy. Sąsiadka znalazła go w takim stanie, więc go tu przywiozłam...

- Oczywiście. - Pomocnica weterynarza uśmiechnęła się do niej. - Na razie zostawimy wolne miejsce.

Kiedy, ściskając pudełko z kociakiem, Hildegard opuszczała gabinet doktora dla zwierząt, właścicielka szarego szczeniaka siedziała jeszcze w poczekalni.

- Czekałam na panią - powiedziała do Hildegard. - Jakoś nie mogłam wyjść i nie dowiedzieć się, co z tym biednym stworzeniem. I co powiedział lekarz?

- Powiedział, że się wykaraska - odpowiedziała Hildegard, nieśmiało odwzajemniając uśmiech.

Rozmówczyni już wcześniej wydała się jej sympatyczna, kiedy wraz z panią Duffiego wypytywały o zawartość kartonika i oburzone historią zwierzęcia wstały z krzeseł, by naocznie przekonać się o rozmiarze ludzkiej podłości spadającej na niewinne stworzenie. Kłaczasty szczeniak podskakiwał na krótkich nóżkach i szczekał, rozczarowany wysokością dzielącą go od ciekawie pachnącego pudełka. Także Duffy podszedł bliżej razem ze swą panią, jednak kiedy zajrzał do środka, obawiająca się o kociaka i samą siebie Hildegard odniosła wrażenie, że współczucie wypełniło jego psie oczy.

Teraz, gdy Duffy poszedł już do domu, szary szczeniak nudził się i ciągnął panią w stronę wyjścia. Hildegard pokazała kotka - weterynarz dał mu wzmacniające zastrzyki i przepisał lekarstwo, które należało podawać zmieszane z wodą.

- Ma złamane trzy żebra, naderwane ucho i skaleczony pyszczek - zreferowała. - Doktor powiedział, że chyba ktoś go kopnął.

- Ludzie są podli, naprawdę. - Właścicielka małego psa pokręciła głową. - Co pani zamierza zrobić? Zatrzyma go pani?

- Sama nie wiem...

- To trudna decyzja... Na pewno jest pani strasznie zaskoczona tym wszystkim. Cóż, życzę powodzenia. Temu maleństwu też.

Hildegard podziękowała i czekała na słowa pożegnania, kiedy tamta spytała:

- W którą stronę pani idzie? - Proszę?

- Gdzie stoi pani samochód?

- Nie mam samochodu - odpowiedziała Hildegard. - Muszę poprosić recepcjonistkę o wezwanie taksówki.

- Ależ ja chętnie panią podwiozę! - wykrzyknęła nowo poznana kobieta. - Chodźmy, zaparkowałam tuż za rogiem.

Zaskoczona Hildegard pozwoliła się poprowadzić do samochodu; ostrożnie ściskając karton, zajęła miejsce obok kierowcy i odpowiadała podczas jazdy na wszystkie pytania kobiety, która własnego psa zamknęła w bagażniku, gdzie zawzięcie ujadał. Kiedy żegnały się później przed domem Hildegard, wielokrotnie dziękującej za podwiezienie, właścicielka psa zawahała się chwilę. Pochyliwszy się do skrytki obok siedzenia kierowcy, wyciągnęła z niego kawałek papieru, na którym pośpiesznie nagryzmoła swój numer

telefonu. Wcisnęła kartkę do kieszeni płaszcza Hildegard, gdyż ta miała obie ręce zajęte.

- Proszę do mnie zadzwonić, gdyby jednak nie mogła pani zatrzymać tego kotka. Bo gdyby miała go pani oddawać do schroniska, to... Wie pani, mogę popytać trochę naokoło, może znajdzie się ktoś chętny.

- Dobrze - odpowiedziała Hildegard. - Zadzwonię.

- Ale niech pani też zadzwoni, jeśli on u pani zostanie, dobrze? Opowie mi pani, jak mu leci?

- Dobrze - powtórzyła Hildegard cicho.

- Obiecuje pani?

- Obieczę. - Hildegard uroczyście skinęła głową.

Kobieta nachyliła się nad pudełkiem i delikatnie, jednym palcem, pogłaskała maleństwo po skatowanym łebku.

- To on powinien nazywać się Silky... Ma taką jedwabistą sierść - powiedziała ciepło.

- To jest kotka - wyjaśniła Hildegard, dziwnie wzruszona.

- Weterynarz powiedział, że to panienka.

Hildegard nie zamknęła Silky w swoim samotnym życiu. Nie zamykała przed nią ani drzwi prowadzących na balkon, ani nie pilnowała wejściowych, nie kazała także odrąbać gałęzi drzewa przed oknem, przez które kotka wydostawała się na zewnątrz. Nie wołała za nią, kiedy tamta, pożegnawszy się głębokim spojrzeniem aksamitnych oczu, odchodziła w ciemność osiedlowego ogrodu.

Hildegard nie ostrzegała Jedwabnej przed innymi kotami, przed psami ani nawet przed dziećmi. Po wielu dniach pełnych wahania zawarła pakt z potomstwem sąsiadki: niechętna i niezadowolona z siebie poszła na umowę ze stworzeniami, które najchętniej przepędziłaby na koniec świata, z dala od roślin, drzew, jasnego nieba i kotów. Przewyciężyła się jednak, w długiej, godzinami wymyślanej przemowie wyjaśniła dzieciakom, że chce zlecić im niezwykle

ważne zadanie, im, którym Silky zawdzięcza życie. Hildegard gotowała się w środku swoim niewielkim, siedemdziesięcioletnim gotowaniem, kiedy mówiła te kłamstwa.

- To ważne zadanie polegałoby na tym, że uważalibyście na inne złe dzieci, które mogłyby Silky zrobić krzywdę. Nie wszystkie dzieci są takie jak wy - mówiła, patrząc z napięciem w ich dość bezmyślne oczy. - Wiem, że bywają takie, które krzywdzą zwierzęta. Nie chcę, by Silky spotkało coś takiego. Wy też nie chcecie, prawda?

Dzieciaki potaknęły bez przekonania.

- Pod koniec każdego tygodnia będę kupować dla was słodycze. Jakie czekolady najbardziej lubicie?

- Mleczną - ożywiła się dziewczynka.

- Wolę marsy i snickersy - zawołał najstarszy chłopak. Hildegard powiedziała szybko:

- Napiszcie mi to na kartce. Co sobotę przyjdziecie do mnie po wasze słodycze: dla każdego z was tabliczka czekolady albo dwa batony. Za opiekowanie się Silky.

Jednak Silky z własnej woli obchodziła ludzi szerokim kołem. Opóźniała zejście z drzewa, gdy jej czujne oczy dostrzegały przechodnia, cierpliwie i bezgłośnie odczekiwała potrzebny czas, by nie znaleźć się w zasięgu nikogo, nawet jeśli stawała się przez to przypadkowym świadkiem długiej rozmowy sąsiadek lub zmuszona była wysłuchiwać niewyszukanych dialogów między nastolatkami. Umiała być cierpliwa i przy niej uczyła się tego także Hildegard, nigdy do końca spokojna na czas wędrówek kotki. Kiedy Silky żegnała się z nią przed spacerem, poruszona strachem Hildegard odkładała książkę. Albo pośpiesznie wycierała palce z gliny, z której powstawały jej nikomu niepotrzebne dzbany. Albo wyłączała telewizor, pozostawiała w niełasce każde zajęcie, by towarzyszyć Silky wzrokiem, choćby niedaleko, do

momentu, w którym kotka umknie jej z oczu, zniknie w gąszczu krzaków lub schowa się za oddalonym płotem. Przynajmniej na ten krótki czas Hildegard pragnęła mieć pewność, że kotka jest bezpieczna. Że nikt jej nie krzywdzi.

Po pierwszych tygodniach życia pozbawionych pewności, że kotka przeżyje, Hildegard zajmowała się właściwie tylko tym jej przeżywaniem, była smutna, choć skoncentrowana i dość spokojna. Podawała kotce leki od weterynarza i pipetką wkraplała mleko do obolałego pyszczka. Opróżniła stary koszyk, w którym trzymała kłębki wełny w czasach, kiedy oczy nie odmawiały jej jeszcze posłuszeństwa. Wyścieliła go wełnianym kocym, który jednak szybko odłożyła na lepsze czasy, widząc, że kotka nie ma siły na wyjście z koszyka. Kupiła więc w sklepie kocia podściółkę i bawełniane ścierki i wszystko to zmieniała często, bo Silky siusiała na miejscu, na którym leżała. Hildegard była przekonana, że kotka bardzo się tego wstydzi, więc pocieszała ją łagodnie i starała się okazywać, że w żadnym wypadku nie traci cierpliwości.

Na noc przenosiła koszyczek z kotką na swoje łóżko, kładła go obok siebie i zasypiała, trzymając dłoń w pobliżu kocich łapek. Mimo niepokoju miała wtedy bardzo piękne sny. Zastąpiły one sny poprzednie, wyludnione. Sny, nawiedzające ją co noc w czasie przed nastaniem kotki, rozgrywały się na pustych drogach, leśnych i polnych, albo na ulicach pozbawionych żywej duszy miast. Ona sama niczego już nie szukała, błądziła tylko po pustych domach, przysiadła pod osamotnionymi drzewami i zaglądała w przymrużone oczy przydrożnych Chrystusów. W tych snach nie czuła chłodu, nie dokuczało jej gorąco, nie doznawała niczego prócz pustki. Jednak odkąd zaczęła dzielić życie z Silky, kotka wkradła się także w nocne marzenia Hildegard. Dzięki niej sny zmieniły tempo i nabrały rumieńców, może zbyt często zabarwiał je strach, jakby i w nich kotce zagrażało

niebezpieczeństwo. Czasami Hildegard musiała uciekać, aczkolwiek bywało i tak, że zasłaniała kocie łóżeczko swym mizernym ciałem, powstrzymując hordy złych ludzi, których poza nią nikt nie umiałby uciszyć. Była wówczas dość silna, by obronić kotkę przed karabinami mężczyzn o ogorzałych twarzach i małymi chłopcami o zimnych, bezwzględnych oczach. Wszyscy byli ubrani w panterki i uzbrojeni w proce albo długie noże. Dzieci sąsiadki śniły się Hildegard często. Oraz Anneliese i jej pies, Karli.

Posłuszna przyrzeczeniu z dnia wizyty u weterynarza Hildegard, niepewna i nieśmiała, zadzwoniła po tygodniu do poznanej w poczekalni gabinetu kobiety, aby powiadomić o stanie zdrowia kotki. Ona, dla której dialogowanie z drugim człowiekiem oznaczało czynność niemal zapomnianą, tłumaczyła szeroko i z namaszczeniem każdy szczegół kociej rekonwalescencji, jak się spodziewała interesujący dla kogoś dającego swój numer telefonu jedynie po to, by dowiedzieć się o losie raz widzianego zwierzęcia.

- Postanowiłam ją zatrzymać - powiedziała na koniec Hildegard. - Tak postanowiłam. Zatrzymam ją.

Anneliese po drugiej stronie połączenia odetchnęła z ulgą.

- Miałam taką nadzieję - uśmiechnęła się w słuchawce. - To dobrze. Co na to pani rodzina? To znaczy, przepraszam, ale ja nawet nie zapytałam, czy ma pani męża...

- Nie - odpowiedziała Hildegard. - Mieszkam sama.

- To tak jak ja... Widzi pani, jaka ze mnie natrętna osoba. Pytam panią o męża, a sama dopiero co się przedstawiłam.

- Napisała pani imię na kartce z telefonem. Wiedziałam więc, jak się pani nazywa.

- Rzeczywiście - przyznała ze śmiechem Anneliese. - Wie pani co? Strasznie, naprawdę strasznie się cieszę, że zajęła się pani tym kociakiem, chociaż szkoda, że to nie mały pies. Mogłybyśmy spotykać się na spacerach.

- Jeśli pani będzie miała czas i ochotę - powiedziała Hildegard, szukając słów - proszę nas odwiedzić.

- To miło z pani strony! Bardzo chętnie panią odwiedzę. Oczywiście zadzwonię wcześniej, by uprzedzić.

- Bardzo proszę.

- Cieszę się... Aha, czy ona ma już jakieś imię? - zapytała Anneliese

- Mhm, nie byłam zupełnie pewna - zawahała się Hildegard. - Myślałam o tym, że miała pani rację z tą jedwabistą sierścią. Pomyślałam, że Silky to dobry pomysł.

Tego dnia Jedwabna oficjalnie otrzymała swoje imię.

Kiedy Jedwabna wyrosła i ze sponiewieranego kociaka przeobraziła się w zadziorną kocią pannę, Hildegard uświadomiła sobie ze wzruszeniem, że jest kochana nie mniej, a uczucie zwierzęcia, w którym podejrzewała wdzięczność za pielęgnację połączoną z brakiem wyboru, nie odpłynęło wraz z przebytą chorobą. Kocia miłość pozostała niezmienna i wyrażała się wspólnymi wieczorami na kanapie, porannym muskaniem ogonem i ocieraniem miękkiego pyszczka o pochyloną nad nim pomarszczoną twarz. Jedwabna, ciesząca się z obecności Hildegard, z czasu spędzanego z nią w domu i z jej powrotów, okazywała miłość prostą i tak wyraźną, jak w pierwszych miesiącach wspólnego życia.

Była ona czymś innym niż nieokiełznane smutki i radości dziecka, uzależnionego, kapryśnego i wciąż pełnego strachu. Piski kociaka przemieniły się w łagodne pomiaukiwanie, melodyjne i nigdy głośne, czasami naznaczone pretensją o zbyt wolne spełnianie życzenia. Gdy Hildegard wracała po niedługiej nieobecności do domu, już nie stęsknione kociątko witało ją dziko, przy akompaniamencie spadających przedmiotów zbiegając z regału.

Dorastająca kotka śpieszyła wprawdzie do drzwi, jednak jej ruchy przeobrażały się już w taniec młodej kobiety, z

każdym dniem bardziej świadomej swej wielkiej urody. W tamtym okresie Jedwabna prosiła jeszcze o smakołyk lub chwilę zabawy, jednak nie zajmowały jej one jak dawniej bez reszty, więc w momencie, w którym wyczerpywało się jej zainteresowanie, odwracała się od Hildegard nagle i bez przeprosin.

Świat za oknem zaczynał wciągać ją bez ratunku, siedziała więc na parapecie, wodząc spojrzeniem za każdym poruszającym się stworzeniem. Nie zajmowała się niczym trwającym w bezruchu, jakby rzeczy niedynamiczne nie były godne poświęcenia czasu. Czujna i ciekawa kotka, metodycznie patrolująca wzrokiem otoczenie, lekceważyła każdą rzecz, którą uznawała za martwą, i szukała nowej tak długo, aż bezruch jakiegoś elementu zamieniał się w energię. Dotyczyło to wszystkiego - ludzi, zwierząt, gałęzi poruszanych przez wiatr, dziecięcych wózków i samochodów. Każdy ruch za oknem natychmiast zaskarbiał sobie pełną napięcia fascynację Jedwabnej, która skupiona prostowała gładką szyję, wysuwała pazurki, stroszyła uszy i wąsiki, wodząc oczami z zazdrością, jakby natychmiast chciała popędzić za czymś w ślad. Udzielało się to i Hildegard, która pragnąc pojąć zainteresowanie kotki, podążała za jej wzrokiem i jak ona odkrywała ulicę wraz ze światem dookoła. I za każdym razem dostrzegała coś nowego.

Gotowość do pędu nie odmieniła się w kotce, kiedy stała się prawdziwą Jedwabną, dumną damą, którą pysznić się mógłby cały koci ród, na jej przykładzie nauczać modelu kota na miauczonych wykładach, wyliczając właściwy iloraz miękkości i siły, sumy wdzięku i gracji, potęgi tajemnicy i siły charakteru. Hildegard, obdarowywana miłością tej doskonałej postaci w wielkopański i umiarkowany sposób, doceniała wagę wyróżnienia. Kiedy Jedwabna ocierała swe wysmukłe kocie ciało o opuchnięte nogi Hildegard, kiedy decydowała się



wskoczyć jej na kolana, stara kobieta natychmiast odsuwała od siebie plany na najbliższe minuty, nie chcąc uronić nic z porcji ofiarowanej miłości. Teraz Jedwabna, jakby w rewanżu za uratowanie życia, przynosiła ciepło i wielką czułość, była wyrozumiała i łagodna dla Hildegard, jakby doskonale wiedziała, że leczy nie tylko opustoszałe serce, ale i artretyczne stawy przyjaciółki. Swojej pani - tak mówiły dzieci sąsiadki, co jak paradoks brzmiało dla Hildegard, która wiedziała, że Jedwabna nie mogła mieć żadnej pani. Ani pana.

- Powinnaś ją wysterylizować - powiedziała pewnego dnia Anneliese. - Już pora. Wymknie ci się z domu i wróci z szóstką kociaków w brzuchu.

- Ona wcale nie chce wychodzić - zaprotestowała Hildegard. - Pilnie obserwuje wszystko przez szybę, ale wcale nie ma ochoty wychodzić. Nawet nie wystawi łapy na otwarty balkon.

- Teraz - powiedziała Anneliese - ale poczekaj, aż nadejdzie jej pora. Będziesz musiała pozamykać wszystkie okna, bo pobiegnie za pierwszym lepszym kocurem.

- Może gdyby właśnie przebiegał obok, bo gdyby miał siedzieć gdzieś w pobliżu, nie zwróciłaby na niego uwagi.

I Hildegard opowiedziała o ignorowaniu przez kotkę świata nieruchomego, jej szukaniu dynamizmu i ruchu.

- Ona chciałaby dogonić drzewo, gdyby nagle poruszyło się na trawniku. Dopóki trwa w miejscu, dla niej po prostu nie istnieje.

Nie powiedziała nic o sobie, o niezachwianych w ważności kartonach pełnych martwych pamiątek, zamkniętych w szafie listach i zdjęciach, wyblakłych kapeluszach i chusteczkach. Nie wspomniała o stojącej od lat w sypialni starej, niepotrzebnej już walizce, chociaż czuła, że Anneliese potrafiłaby ją zrozumieć.

- Powinnaś ją wysterylizować - powtórzyła przyjaciółka.

- Na razie nie. Poczekam. Jeśli widok jakiegoś kocura naprawdę miałby wywabić ją chociaż na balkon, będę z tego bardzo zadowolona. Myślę, że zatrzymuje ją tu dawny strach, ale jednocześnie się tu dusi.

I stało się tak, jak przepowiedziała Anneliese. Pojawił się pod oknem mieszkania Hildegard piękny, pręgowany samiec - w ruchu, z nastroszonym ogonem i zwinnymi łapami, tańczącymi zmysłowo wśród wiosennych rabat. Jedwabna nie od razu uległa jego miękkiemu pośpiewowi, jej zainteresowanie, dla niej samej nowe i niezwykle, obudziło w niej pewne rozkojarzenie i niepewność. Zdarzały się nawet momenty - Hildegard wspominała je później z rozczeniem - kiedy kotka zachowywała się jak dawniej bezradnie, szukając pomocy i wsparcia. Wskakiwała wtedy na kolana Hildegard i wpatrywała się w nią z napięciem, jakby prosiła o radę, biegła w koło lub miauczała płaczliwie, szukając wzrokiem kocura. Hildegard nie wierzyła jednak, że Jedwabna zdecyduje się wyjść z mieszkania. Zbyt dobrze знаła lęk, który budzili w kotce przechodzący ludzie, zbyt często odczytywała go w nagłym zeszywnieniu ciała i napięciu rozszerzającym kocie oczy. Według Hildegard wszelkie otoczenie domu mogło pasjonować Jedwabną jedynie w oddalonej perspektywie, jako ruchome obrazy, niewarte bliższego kontaktu.

Jednak zwyciężył kocur, którego Hildegard nazwała Tenorem z racji uwodzicielskiego, wysoko muzycznego miauczenia. Nie rywalizowała z nim, tłumiąc w sobie zazdrość o Jedwabną, od początku zdecydowana nie przeszkadzać kotce w niczym. Dawno przyrzekła sobie nie ograniczać jej i nie zamykać. Nie straszyć. Pragnęła głęboko, by Jedwabna, raz przezwyciężywszy strach, zapomniała o złej przeszłości i bolesnych doświadczeniach. W przeciwieństwie do niej winna mieć realne, jasne życie według własnego wyboru.

I któregoś dnia Jedwabna, wychodząc na balkon, przekroczyła magiczną granicę mieszkania. Przestraszona, rozglądała się na boki, lecz dochodzące z dołu tenorowe kocie miauczenie uciszyło jej obawy. Wskoczyła na balustradę, brudząc aksamitne łapki wilgotną ziemią skrzynek unieruchamiających balkonowe kwiaty. Kiedy stała między nimi, wysoka i widoczna dla wszystkich, przypomniał się jej strach, więc się zawahała. Jednak nabrzmiałe obietnicami miauczenie kocura rozwiało jej lęk. Jedwabna weszła na markizę rozpostartą nad balkonem na parterze i znów się zatrzymała, niepewna i nagle przerażona. Chrapliwe miauczenie pręgowatego kota sprawiło jednak, że zapomniała o wszystkim.

Hildegard obserwowała scenę z fotela w balkonowym pokoju. Jej dłonie zbieleły od zaciskania palców, jakby raz jeszcze trzymała w nich swoją starą walizkę. Była pewna, że kotka, raz ją opuściwszy, nigdy już nie powróci. Jedwabna, ostatnia miłość i przyjaciel. Własna starość wydała się Hildegard jeszcze koszmarniejsza, niemożliwa do pokonania, bez litości i światła. A jednak nie zatrzymała Jedwabnej, pomyślawszy, że dobrze jej, ślicznej i młodej, odchodzić tak bez bagażu, wolnej i niespętanej niczymi zaklęciami, przekładanymi na wyrzuty sumienia.

Dzieci Jedwabnej było siedmioro, o jedno za dużo na jej obrzmiałe sutki, jednak poradziła sobie i z tym, była dla wszystkich tak dobrą matką, że wkrótce nie można było rozpoznać, które z kociąt zjawiało się na świecie ponad normę. Także Hildegard pomagała małym w starcie w kocie życie, dostarczając najlepszego pożywienia ich mamie, a im samym wkraplając do pyszczków najróżniejsze odżywki. Wraz z kotkami pojawiło się w jej domu prawdziwe życie. Już Jedwabna wniosła do niego światło i wiele miłości, a odkąd dorosła, wspólne bytowanie jej i Hildegard zmieniło się w

koegzystencję dwóch dam, niezależnych istot połączonych wprawdzie tkliwym uczuciem, jednak szanujących swą wzajemną duchową nietykalność. Natomiast dzieci Jedwabnej były prawdziwymi dziećmi i spędzały swe kocie dzieciństwo w sposób, który ich matce, zbyt długo zagarniętej przez chorobę, prawie nie był dany. Siedmioro kociąt nie grzeszyło rozsądkiem, nie obawiało się niczego i w przeciwieństwie do Jedwabnej nigdy nie zastanawiało się nad niczym. Spokojne były jedynie, kiedy spały, a chwile egzystencjalnej zadumy, tak typowe dla matki, gdy była w ich wieku, kociętom nie zdarzały się nigdy.

Hildegard, zajęta nimi bez reszty, pełna troski o ich zdrowie i bezpieczeństwo, zadająca sobie także wiele trudu, by ratować przed nimi mieszkanie - nie myślała o przyszłości. Bez namysłu odsunęła od siebie problem, którym jej przyjaciółka, akurat nieobecna, zajęłaby się natychmiast. Wysłana przez lekarzy do sanatorium Anneliese przypominała o swoim istnieniu jedynie za pomocą kolorowych kartek, pełnych ciepłych pozdrowień i obaw o swego psa. Dopiero sąsiadka z właściwym sobie taktem przypomniwała Hildegard, że pora stanąć nogami na ziemi.

- Koty śmierdzą, wie pani? Ile pani tego ma, siedem? Musi je pani szybko oddać, bo właścicielka domu się dowie. Ona już przemyka oczy na tą pani Silky, bo nikt z lokatorów się nie skarży, nawet jak mnie pytała, to powiedziałam, że to czysta, miła kotka. I dzieci ją lubią. Może i mysz złapie z piwnicy, bo umie łowić. Ale siedem kociaków to już nie da rady. Musi pani oddać.

Hildegard otarła łzy, płynące jej z oczu po telefonie do weterynarza, który wyleczył Jedwabną. Zrozumiała, że dla niej i kociaków jest tylko jedno wyjście. Istniał już gotowy plan do zastosowania w podobnych wypadkach. Pomocnica doktora, który sam z braku czasu nie zajmował się wszystkim,

objaśniła Hildegard, na czym to polega, i zaopatrzyła w numery telefonów.

- Musi pani dać ogłoszenie do gazety o kotkach do oddania. W żadnym wypadku nie może pani zapomnieć o opłacie ochronnej.

- Co to takiego? - zapytała Hildegard.

- Suma, którą pobierze pani od ludzi, którzy zdecydują się wziąć małe.

- Ale ja nie chcę żadnych pieniędzy! - spłoszyła się Hildegard.

- Tylko w ten sposób będzie pani pewna, że kotki trafią w dobre ręce, do ludzi, którzy naprawdę chcą zapewnić im dobre warunki. Za setkę albo dwie nikt nie kupi ich do laboratorium na eksperymenty albo do zabawy. Albo do czarnej mszy satanistów.

- Co pani mówi? Takie maleństwa?

- To się zdarza - potwierdziła młoda dziewczyna w fartuchu. - Nawet bardzo często.

Hildegard zanotowała sobie w notesie numer telefonu gazety z bezpłatnymi ogłoszeniami oraz słowa „opłata ochronna”.

- Co mam zrobić, jeśli nikt się nie zgłosi?

- Wtedy odda je pani do schroniska. Teoretycznie zobowiązani są je przyjąć.

Hildegard zapisała numer schroniska dla zwierząt. - I jeszcze jedno - powiedziała pomocnica weterynarza. - Kiedy już odda pani małe, proszę przyjść z Silky do sterylizacji.

- Jak to? - wyjąkała Hildegard, której zabrakło dwóch kolejnych oddechów.

- Proszę się nie martwić. Kotce nic nie będzie, nawet tego nie poczuje. Będzie taka, jak przedtem, będzie bawić się i polować, będzie do pani tak samo przywiązana. A pani

odpadną kłopoty. Prawdę mówiąc, na świecie nie ma dosyć chętnych na wszystkie kotki, które mogłyby się urodzić.

Jedwabna szukała swoich małych przez kilka dni po tym, jak dwa ostatnie, w tym Siódmy, zostały zabrane do nowych domów. Utraty pierwszej trójki jakby nie zauważyła, o co Hildegard miała do niej trochę pretensji. Przy czwartym kociaku zaczęła okazywać niepokój, przy następnych trzeba było ją świadomie oszukiwać, bo zaczęła w końcu łączyć przychodzących ludzi - wcześniej zjawisko całkowicie abstrakcyjne - ze znikaniem dzieci. Jednak oplakująca każde z maleństw Hildegard musiała zauważyć, że Jedwabna nie przeżywa utraty zbyt tragicznie. Już od wielu dni zostawiała je same, odnalazłszy na nowo drogę po markizie, znów wychodziła na coraz dłuższe spacerunki po ogrodzie. Po powrocie układała się jeszcze do nakarmienia dzieci, jednak one już radziły sobie nieźle z picciem ze spodeczka. Kiedy w domu pozostały ostatnie dwa kociaki, zaniepokojona i dezorientowana Jedwabna próbowała zabrać je ze sobą na nocną wędrówkę, jednak ani one nie miały na to ochoty, ani Hildegard nie była dość odważna, by na to pozwolić.

W końcu pozostały same, Hildegard oraz Jedwabna, przyglądająca się opiekunce pytająco, jednak bez pretensji, jakby nie kojarzyła jej wcale z zaginięciem dzieci i prosiła o pomoc w poszukiwaniach. „Czy nie widziałaś gdzieś moich małych? Nie mogę ich znaleźć. Kiedy wychodziłam ostatnio, jeszcze tu były”, mówiły oczy kotki, pomiaukującej smutno ze wszystkich kątów mieszkania. Hildegard powróciła w tych dniach do wzmocnionej dawki nasennych tabletek, dusiła się od wyrzutów sumienia i w myślach wymyślała sobie od najgorszych. Jako tanie przeprosiny traktowała rozpieszczanie kotki smakołykami i kilkoma nowymi zabawkami. Zabawkami, którymi Jedwabna przestała się interesować przed upływem trzech tygodni; zapomniała o wszystkim,

zafascynowana na nowo światem poza granicami mieszkania. Hildegard, rozczarowana jej krótką pamięcią, miała o to żal.

Tylko to sprawiło, że poszła za radą weterynarza i zawiozła Jedwabną do jego gabinetu, by ją wysterylizował.

\*

- W końcu wszyscy byli zadowoleni: Silky poznała uroki macierzyństwa i to tak, jak należy: trochę przyjemności i szybki powrót na wolność, siedem rodzin dostało słodkie kociaki do karmienia shebą, a Hildegard pewnie jeszcze na tym zarobiła - podsumowała Karina. - Ile, mówiłeś, płaci się tej, no, opłaty ochronnej?

- Hildegard brała po dwieście. W ten sposób kotki trafiły do zamożnych rodzin.

- Dwieście! W głowie się nie mieści, zabulić tyle za kota! Nawet za Beksa nie dałabym stowy.

Knut nie uwierzył jej, ale milczał.

- Tak się robi - oświadczył.

- Więc stara zarobiła.

- Przekazała te pieniądze na schronisko dla zwierząt. Karina w bezsilnej złości popukała się w czoło.

- Jasne - wyszczała wściekła. - Głupie stare baby nie mają co robić z pieniędzmi, więc wydają na koty i kanarki.

- To były jej pieniądze - zaoponował Knut. - Sama utrzymywała się z emerytury, na którą ciężko zapracowała.

- I co z tego? - Karina podniosła głos. - Mało jest głodu na świecie, potrzebujących? Mało sierot? Dlaczego nie dała tego na potrzebujące dzieci, skoro jej zostało?

- To nie były jej dzieci. Nie miała z nimi nic wspólnego.

„Ona ich nie urodziła. Nie miała wpływu ani na to, że się urodziły, ani na to, jak żyły. Ani jacy z nich powstają ludzie”, chciał jeszcze powiedzieć Knut, powtarzając słowa przygnębionej Anneliese. Tuż po pogrzebie przyjaciółka Hildegard wdała się w ostrą wymianę słów z daleką rodziną,

przybyła częściowo z obowiązku, a częściowo w nadziei znalezienia w mieszkaniu zmarłej przedmiotów przedstawiających jakąś wartość bądź oszczędności starszej pani, teoretycznie dość rozsądnej, by odłożyć coś na czarną godzinę. Tymczasem Hildegard nie zostawiła nawet testamentu. Na kilkanaście dni przed śmiercią wypisała w szpitalu przelew na prawie wszystkie oszczędności na schronisko dla zwierząt, resztę przekazując Anneliese z prośbą, by zapłaciła za pogrzeb. I likwidację mieszkania, dodała. Rodzina Hildegard wypytywała później lekarzy, czy na pewno nie chodziło o objawy zaburzeń psychicznych.

„Na pewno - odpowiedział ordynator - ona miała tylko zapalenie płuc”.

- Od żadnego z dzieci nie spotkało ją nic dobrego - powtórzył za Anneliese Knut - dlaczego więc ona miałaby im pomagać?

„Od żadnego z ludzi nie spotkało ją zresztą nic dobrego” - dodała wtedy Anneliese i rozplakała się. Hildegard nie zawdzięczała ludziom nic.

Jedenastego września dwutysięcznego pierwszego roku Hildegard pojechała autobusem do centrum, by kupić sobie jesienny płaszcz. Jej stare palto wytarło się na obrzeżach rękawów i choć mogłaby nosić je nadal, postanowiła sprawić sobie przyjemność nowym. Jak zauważyła, w modzie były różne odcienie czerwieni i choć nie miała dość odwagi, by w wieku siedemdziesięciu sześciu lat kupić jaskrawe okrycie, postanowiła poszukać płaszcza w kolorze innym niż dotychczasowe szarości. Z nawyku wybrała się do centrum handlowego w porze, w której sklepy zapełniają się klientami i spotyka się pracujące na pół etatu kobiety z pociechami odebranymi z przedpołudniowych przedszkoli, pracowników wszelakich firm wykorzystujących przerwy obiadowe oraz rozgadanych uczniów po szkole. Jako emerytka Hildegard



mogłaby robić zakupy rano, kiedy w sklepach panuje spokój i cisza, a niezmezczone sprzedawczynie chętniej służą radą i pomocą. Jednak potrzebowała czasem otarcia się o gwarne życie, podsłuchania urywków rozmów, złowienia czyjegoś zapachu czy uśmiechu. Kręcąc się anonimowo wśród wieszaków wypełnionych ubraniami, chciała wyobrazić sobie, że i ona przyszła z kimś na zakupy.

Przymierzyła dwa płaszcze w jednym ze sklepów, nie odważywszy się poprosić o kolejne. Sprzedawczyni nie okazywała zniecierpliwienia, z własnej woli proponowała przyniesienie innych, jednak Hildegard odmówiła, kilkakrotnie dziękując za uprzejmość. Niespiesznie wyszła ze sklepu, oglądając swetry i spódnice, zachęcająco rozwieszane wzdłuż głównej alejki. Przytrzymała drzwi energicznej matce, popychającej sportowy wózek z niemowlęciem i ciągnącej za rękę drugie, może trzyletnie dziecko, po którego grymaszeniu łatwo było poznać, że pora południowej drzemki dawno już minęła.

Miasto żyło zwyczajnym wczesnojesiennym życiem, nieprzyspieszonym jakąś szczególną sklepową wyprzedają, nieprzewidzianą zmianą klimatu czy oczekiwaniem na coś lub na kogoś. Nic nie zapowiadało nowych wydarzeń. Takich wrześnieowych dni były już setki, powtarzała sobie Hildegard, jak zawsze podniecona znalezieniem się wśród ludzi, zapomniawszy, że z rejestru przyszłych dni jeden właśnie się wykreśla. Łapczywie obserwowała przechodniów, zwalniała nieznacznie kroku, gdy mijali ją ludzie zaplątani w rozmowy, wypatrywała myśli na obcych twarzach i cieszyła się z każdego dostrzeżonego gestu. A wszystkich tych czynności wcale nie była świadoma, jakby jej dusza była wiernym odbiciem surowej twarzy ze ściągniętymi brwiami w sposób typowy dla ludzi starszych, odpowiedzialnych za siebie jednoosobowo. Ludzi starszych, którzy winni skupiać się

przede wszystkim na swych nadwreżonych stawach, potencjalnie zagrożonych przez każdy krawężnik lub wyślizgany chodnik, oraz na niedowidzących oczach, łatwo mylących ceny na etykietkach oglądanych rzeczy.

Hildegard nigdy nie zdołała prawdziwie pogodzić się z nienależeniem do skupiska ludzi. Mogła wyliczać sobie tysiąc razy zalety samotności, mogła czuć realną niechęć do ludzi o zachowaniach rażących jej poczucie spokoju, herbatą w pojedynczej saskiej filiżance świętować swą niezależność, jednak jej zmysły nie zawsze były jej wierne. Prawdziwa, głęboko w środku schowana Hildegard chciała widzieć ludzi, słuchać ich i dołączać do nich w tłumie. Przynajmniej czasami, rzadko, tak jak owego dnia.

W drugim sklepie zdobyła się na odwagę, prosząc o czwarty płaszcz z wieszaka, zagadnęła nawet sprzedawczynię o szerokość okrycia, według niej zbyt śmiałego. Ekspedientka, w sposób typowy dla pracownic dobrych sklepów elegancka i dostojna, wyjaśniała właśnie ze swadą kanony ostatniej mody ze szczególnym podkreśleniem specyfiki koloru, kiedy wyraz niekontrolowanego zaskoczenia odmalował się na jej twarzy. Hildegard pochwyciła kierunek jej spojrzenia i zauważyła telewizor, zainstalowany w sklepowym kącie dla mężów klientek na zakupach. Choć sprzedawczyni ani na minutę nie przerwała tyrady, było jasne, że akcja na ekranie ją rozprasza. Koniec końców panie zgodziły się, że także czwarte palto pozostawia wiele do życzenia, i umówiły się na przymierzanie nowej kolekcji, oczekiwanej w sklepie w najbliższy poniedziałek. Podczas gdy Hildegard ostrożnie zajmowała miejsce na ruchomych schodach, ekspedientka wpatrywała się z niedowierzaniem w telewizor, zarezerwowany wyłącznie dla klientów.

Hildegard szła już w kierunku przystanku autobusu, kiedy ktoś gwałtownie pociągnął ją za rękaw. Przestraszyła się, mimowolnie przyciskając do siebie torebkę.

- Niech pani patrzy, co się dzieje! - usłyszała nerwowy głos, po którym rozpoznała sąsiadkę, matkę dzieci, którym okupywała się w zamian za bezpieczeństwo Jedwabnej.

Obwieszona siatkami kobieta silnym szarpnięciem zatrzymała Hildegard i zmusiła ją do pozostania na miejscu przed witryną sklepu ze sprzętem elektronicznym. Nowoczesne okno wystawowe zdominował ostatni model odbiornika telewizyjnego, tak wielki, że Hildegard z niekłamanym szacunkiem zaczęła przyglądać się urządzeniu, co opóźniło zrozumienie pokazywanego obrazu.

- Pani widzi? - pytała sąsiadka, kręcąc z niedowierzaniem głową, ani na moment nie wypuszczając z rąk reklamówek z pobliskiego sklepu z tanią odzieżą dla dzieci. - Widzi pani, co się dzieje?

Nic nie rozumiejąc, Hildegard patrzyła na dwa samoloty dziurawiące wieżowce.

- Co to jest? - zapytała. - Jakiś nowy film?

- Nie! - syknęła sąsiadka. - To prawda! To właśnie stało się w Ameryce!

I Hildegard nie ruszyła się z miejsca przez najbliższych dwadzieścia minut. Może nawet chciała pójść już do domu, lecz uległa energicznej matce czworga dzieci, do których tamta nagle przestała się spieszyć, dopiero co obkupiwszy je na zimę. A może Hildegard pozwoliła sobie na gwałtowną falę uczuć, na niedowierzanie, przerażenie, zbiorowy żal i współczucie, strach i niepewność. Nagle należała do zbiorowości - była jednym z ludzi, którzy łączą się we wspólnocie zagrożonej i zaatakowanej, w jednym rzędzie z zabijanymi, zaskoczonymi i ograbionymi z bezpieczeństwa. Czowała to, co inni otaczający ją nieznani ludzie, słuchała ich

komentarzy, pełnych przerażenia, machinalnych, nieprzemyślanych, wcale nie wydawały się jej głupie, chyba sama nawet coś powiedziała, nagle jedna z wielu.

Niczego w swoim życiu nie uznała za tak wielki błąd, niczego, nawet swoich własnych stu lat samotności nie żałowała potem tak głęboko, jak owych dwudziestu minut spędzonych wtedy w tłumie.

Wracając do domu, czuła lęk. Było to dziwne uczucie, jednak Początkowo łączyła je z przeżytym szokiem, wspólnym wszystkim ludziom w mieście. Powtarzała sobie, że winne są obrazy z telewizji, radiowe komentarze w autobusie i niekontrolowane rozmowy przechodniów, jednak czuła różnicę dzielącą ich nierealność od dokuczliwego strachu, który z wolna ogarniał ją całą. Hildegard otarła pot z czoła, postanawiając położyć się natychmiast po przyjściu do domu i połknięciu zaniechanych ostatnio tabletek na serce. Bardzo pragnęła znaleźć się u siebie, w swoich ścianach, z Jedwabną.

Kiedy wchodziła do budynku, strach opuścił już granicę serca i zaczął podchodzić do gardła. Pomyślała, że to głupie, przekonana, że oderwie się od masowego zagrożenia we własnym mieszkaniu, na kanapie, z kategorycznie wyłączonym telewizorem i radiem. Nerwowo otworzyła drzwi. Strach zalał ją realnie, jak zapach gazu z niezakręconego kurka.

- Jedwabna? - zawołała zduszonym głosem Hildegard w głąb mieszkania. - Silky!

Kotka nie pojawiła się w przedpokoju i choć zdarzało się to często, Hildegard wpadła w histerię. Nie sprawdzając zamknięcia wejściowych drzwi, rzuciła torebkę na podłogę i mimo czarnej mgły nagle zalewającej jej źrenice pobiegła do pokoju. Dostrzegła Jedwabną natychmiast i był to obraz, który odtąd nie opuścił jej na dłużej niż kilka minut. Był niemożliwy

do ominięcia wzrokiem, jakby całe jego otoczenie, pokój, w którym się wydarzył, służył jedynie za rodzaj ramy.

Jedwabna wisiała w uchylonym górą oknie, jej trójkątny pyszczek tkwił po zewnętrznej stronie, podczas gdy zeszywniałe ciało pozostało po stronie pokoju. Bezwładne łapki zwisały na szybie, pięciu, może sześciu centymetrów zabrakło kotce do podparcia się na parapecie. Zdradliwe, przezrocyste i bezlitośnie śliskie szkło umazane była krwią z pyszczka i tylnej łapki Jedwabnej, która złapana już w pułapkę nożyc uchylonego okna, z łebkiem uwięzionym w ostry kąt między szybą a futryną, walczyła o życie, wczepiając się pazurkami w tapetę. Jeden z nich tam pozostał, mały, ostry haczyk wbity między papierowe zakrwawione róże.

Ani jeden dźwięk nie przedarł się przez gardło Hildegard kiedy, jeszcze nie chcąc uwierzyć, wyciągała Jedwabną ze szczęk morderczego okna. W jakiś przedziwny, obcy jej rytm własnego serca, niezdecydowanego jeszcze, czy powinno zatrzymać się, czy eksplodować, Hildegard jak we mgle przysunęła ciężki fotel do okna i wdrapała się nań niezdarnie, by wyłuskać kotkę z pułapki.

Potem usiadła bez siły z martwym zwierzęciem na rękach, pojmując brutalną nieodwracalność sytuacji. Oczy Jedwabnej były szeroko otwarte i Hildegard widziała w nich przerażenie. Nieco później dostrzegła też wyraz buntu niepokornego kota, do końca gotowego do walki. Na koniec Hildegard odkryła żal i wyrzut, który zatrął życie w niej samej, ponieważ w oczach martwej kotki odczytała pytanie: „Gdzie byłaś, kiedy mogłaś mnie uratować?”.

Stara kobieta ułożyła Jedwabną na przykrytej białym prześcieradłem kanapie i wsunęła poduszczkę pod martwy łebek, obmywszy przedtem krew z zeszywniałego, jak tamto okno otwartego pyszczka. Chciała również zamknąć jej oczy, jednak pozostały nieporuszone i Hildegard nie żałowała tego

później, gdy siedziała blisko i głaszcząc miękkie wciąż futerko, jeszcze raz opowiadała kotce własne życie.

Tak minęły dwa dni, podczas których reszta świata skupiła się na zamachu na World Trade Center w Nowym Jorku.

\*

Karina rozejrzała się po cmentarzu. Zaczynało zmierzchać, wzdrygnęła się z zimna. Beks, bez śladu znudzenia doskonale znanym otoczeniem, zapamiętałe obwąchiwał każdy kamień. Wyglądał zdrowo i był zadowolony z siebie.

- Jak to się właściwie stało? - zapytała Knuta. - Nie rozumiem. Ta kotka, która tak ciągle wychodziła przez okno i wracała, nagle się na nim powiesiła?

- Musiała się poślizgnąć. Okno było uchylone górną, to daje szparę szerokości około piętnastu centymetrów i Silky pewnie liczyła na to, że uda się jej wyjść, skoro jej pani, normalnie otwierająca drzwi balkonowe, zbyt długo nie wraca do domu. Poślizgnęła się tak nieszczęśliwie, że zsunęła się w dół jak w otwartych nożycach i zawisła całym ciężarem ciała, po jednej stronie głowa, po drugiej reszta. Nie miała szans się wyswobodzić.

- Mogła poczekać z tym wychodzeniem, głupia kotka - powiedziała Karina z żalem, którego za wszelką cenę nie chciała pokazać.

- Mogła - zgodził się Knut.

- Na pewno bardzo cierpiała. Tak zawisnąć na własnej głowie, brr...

Hildegard wyobrażała sobie tę śmierć i cierpienie Jedwabnej nie tysiąc, nie milion razy, lecz zajęta była nimi bez ustanku, nie próbując nawet uwolnić się od dręczących myśli. Obsesyjnie obliczała czas, przez który Jedwabna walczyła ze śmiercią, moment, w którym wyrwała sobie pazurek, usiłując wspiąć się na nim po ścianie. Kiedy pojęła,

że nie ma dla niej nadziei, kiedy zaczęła się dławić, kiedy jej pyszczkiem puściła się krew. I od nowa... Dlaczego Jedwabna nie chciała poczekać, co było dla niej tak pilne, że musiała koniecznie opuścić bezpieczny dom? Czyżby znowu był to kocur, teraz, na jesieni, we wrześniu?

Po dwóch dniach Hildegard pojęła konieczność pochowania kotki, nie wiedziała jednak, od czego zacząć. Nawet abonowana od lat gazeta wyglądała inaczej, mało w niej było ogłoszeń, za to zatrzesienie zdjęć z Nowego Jorku, bo jak wszyscy mówiła tylko o jednym. Hildegard niemądrze szukała jakichś prostych słów, czegoś w rodzaju „Pogrzeby kotów” lub nawet „ukochanych kotów”. Zawroty głowy sprawiały, że trudno jej było rozpoznawać litery. Szczęśliwym zbiegiem przypadków w końcu odezwał się telefon, a w nim Anneliese, jak wszyscy przerażona ostatnimi wydarzeniami. Kiedy po krótkim przywitaniu się wdała się w jedyny temat, którym od dwóch dni żył świat, Hildegard milczała, aż przyjaciółka przerwała dywagacje, pytając, czy wszystko jest w porządku.

- To znaczy, na ile może być w porządku po takiej strasznej tragedii! - dodała podniecona. - Pomyśl tylko, przecież jak nic wywiąże się z tego kolejna wojna!

- Silky nie żyje - wybąkała Hildegard. - Muszę ją gdzieś pochować.

Anneliese przyjechała po godzinie, potrzebnej na przygotowanie się do wyjścia z domu oraz zdobycie adresu krematorium dla zwierząt domowych. Przewidziała z góry odmowę właścicielki domu na koci pogrzeb w ogródku, jednocześnie buntując się na myśl o wywiezieniu Jedwabnej na miejsce wiecznego spokoju gdzieś w lesie, zbyt odległym dla Hildegard, nie najmłodszej, niezbyt zdrowej i nawet niezmotywowanej. Wymyśliła więc skremowanie martwej kotki i choć plątała się w słowach, przyjaciółka wysłuchiwała

wyjaśnień w skupieniu. Hildegard była spokojna, obojętnym kiwnięciem głowy zaakceptowała wysoki koszt przedsięwzięcia, nie ruszając się znad wyłożonego białym ręcznikiem koszyka, w którym leżała Jedwabna, prawie się nie mieszcząc, gdyż śmierć wydłużyła ją, nadając wygląd sztywnej pluszowej zabawki. Kiedy Anneliese przez telefon upraszała najbliższy termin w krematorium, zniżonym głosem tłumacząc rozmówcy konieczność poczynienia szybkich kroków, Hildegard głaskała Jedwabną i mruzczała coś niezrozumiałego. Ona jedna nie czuła zapachu śmierci, pomimo ciągłego wietrzenia przez dotychczas nietknięte, wciąż umazane kocią krwią okno, nasilającego się odor, wyraźnego dla zaniepokojonej Anneliese. Nie odważyła się jednak zaproponować przyjaciółce zastąpienia koszyczka lodówką, zdołała natomiast przekonać pracownika krematorium, aby następnego dnia przyszedł wcześniej do pracy i spalił Jedwabną - za połowę miesięcznej emerytury Hildegard.

Karina zapięła ostatni guzik kurtki pod szyją. Jej nos nabrał sinawej barwy i naprzykrzające się zimno w połączeniu ze zmierzchem opadającym na nagrobki sprawiło, że zapragnęła szybko znaleźć się w domu. Jeśli tak dalej pójdzie, jeszcze zaczną bać się cmentarza, a to już będzie megagłupie, pomyślała, nie potrafiąc jednak zrezygnować z końca historyjki.

- I jak się to skończyło? - zapytała, używając ulubionego cynicznego tonu. - Stara z rozpaczki popełniła samobójstwo w dzień pogrzebu kotki?

- Nie - odpowiedział Knut. - Przecież ci opowiadam, że pogrzebu nie było. Jedwabna została skremowana.

- Za połowę emerytury staruszki.



- Tak. Hildegard Meyer siedziała w fotelu w niewielkiej poczekalni, towarzyszyła jej Anneliese, jednak nie rozmawiały ze sobą. Z głośnika leciała jakaś muzyka...

- Religijna?

- Nie... Wszystko trwało niezbyt długo, bo na spalenie czekały już następne zwierzęta. Potem Hildegard, odprowadzona przez Anneliese pod same drzwi, wróciła do domu z małą podłużną urną w torebce.

- Aha! - zawołała Karina. - Rozumiem. I z tą urną stara kazała się pochować, a jej głupia rodzina, rozdrażniona brakiem spadku, próbowała protestować.

- Prawie - powiedział Knut, znowu niezadowolony z uprzedzania faktów. - Najpierw urna została włożona do koszyczka Jedwabnej. Ciągle stał w tym samym miejscu, co za jej życia.

- Umyła chociaż okno? - zapytała niechętnie Karina.

- Anneliese to zrobiła, cztery dni później.

- A na co w końcu umarła Hildegard? - Karina niecierpliwie zatupała w miejscu. - Powiedz już, bo w końcu Beks mi zamarznie i ja będę musiała go skremować, a szkoda mi forsy. Popęłniła samobójstwo czy nie?

- Zachorowała trzy miesiące później. Już listopad był wyjątkowo zimny, w grudniu Hildegard leżała w łóżku z ciężkim przeziębieniem, z którego wywiązało się zapalenie płuc. Anneliese wezwała karetkę, która zabrała ją do szpitala.

- Z którego nie wróciła.

- Zabrakło jej woli walki, jak powiedziała Anneliese.

- Nie wbijała pazurów w tapetę. - Karina pokiwała głową.

- Całkowicie ją rozumiem. No, muszę już iść. Dzięki za dzisiejszą bajkę. Następnym razem poproszę o weselszą.

- Oczywiście. - Knut uśmiechnął się niepewnie, usiłując naśladować jej ton. Robił to niezręcznie, ale jego nieśmiałość

próby zawsze ją rozczulały. - Jako następną przygotuję bajkę o jakimś wesołym umarlaku.

Uśmiechnęła się do niego swoim na pół ironicznym uśmiechem.

- Bardzo proszę. Do widzenia.

- Ale nie zapytałaś, dlaczego w końcu leżą tu obydwie, Hildegard i Jedwabna - upomniał się Knut, starając się nie okazywać rozczarowania.

- No, ta Anneliese włożyła jej urnę do trumny, to logiczne - odpowiedziała Karina bezlitośnie.

\*

Kaszel Hildegard stawał się coraz bardziej dokuczliwy i wywoływał ostre bóle w klatce piersiowej. Z nawyku łykała aspirynę, choć niezbyt regularnie, zapominając o niej nawet po jedzeniu, jeśli udawało się jej coś przełknąć. Czuła się bardzo źle i przestała ścielić łóżko, w którym spędzała większość czasu. Dużo spała, także w ciągu dnia, jednak dręczyły ją koszmary. Budziła się spocona i obolała, napęczniona strachem po obrazach, których później nie mogła sobie przypomnieć. Jedynym, co pozostawało w jej pamięci, była wszechobecna krew. Hildegard na chwiejnych nogach wstawała z łóżka i błąkała się w szlafroku po zaniedbanym mieszkaniu, bez celu obchodząc wszystkie kąty, zaglądała za fotele i do szaf i kładła się dopiero wtedy, gdy ostre dreszcze zaczynały miotać jej wychudzonym ciałem.

Gdyby nie Anneliese, zapewne przestałaby jeść. Po zaledwie kilku dniach choroby skończył się ciemny chleb i suchary, których nigdy nie było dużo u Hildegard, unikającej gromadzenia spożywczych zapasów. Anneliese przychodziła co drugi dzień i gotowała pożywne zupy, które Hildegard zjadała, źle ukrywając obrzydzenie. Często wymiotowała tuż po wyjściu przyjaciółki i zaraz potem kładła się wyczerpana do łóżka, by na nowo zapaść w niespokojny sen.

Któregoś dnia zbudził ją dzwonek do drzwi. Nie mogła to być Anneliese, mająca własne klucze, i zaskoczona Hildegard usiadła gwałtownie na łóżku; co wywołało natychmiastowy zawrót głowy. Odczekała trzy dzwonki, jednak gdy natręt wciąż nie rezygnował, owinęła się z trudem w nieświeży szlafrok i trzymając się ściany podeszła do drzwi. Przez wizjer dostrzegła ośmioletnią córkę sąsiadki, jedyną wśród rodzeństwa zwolenniczkę zwykłej mlecznej czekolady.

- Nie mam czekolady - wychrypiała Hildegard po jak na jej wątłe siły gwałtownym otworzeniu drzwi. - Silky też nie ma, już nie żyje. Koniec z czekoladą.

- Wiem - powiedziała dziewczynka, bez zdziwienia patrząc na rozczochraną staruszkę swymi nieinteligentnymi oczyma pod niskim czołem. - Ta pani z psem mi mówiła. Ona mówiła, że pani jest chora.

- Tak - powiedziała z trudem Hildegard i chciała zatrzaskać drzwi.

Nie zrobiła tego jednak, zatrzymana ruchem dziewczynki, która wyciągnęła do niej zaciśniętą dłoń. Między palcami sterczały kawałki szarego futra.

- Co to jest? - zapytała Hildegard ze strachem.

- Moja stara zabawka, kotek - wyjaśniła dziewczynka. - Już się nim nie bawię, bo jestem za duża. A moi bracia zawsze mówili, że jest podobny do Silky. Nawet go czasem nazywałam Silky, chociaż to chłopiec.

Hildegard stała bez ruchu w drzwiach, ze wzrokiem wbitym w wyciągniętą dłoń małej sąsiadki.

- To dla pani przyniosłam - powiedziała dziewczynka bez uśmiechu. - Żeby przypominał pani Silky.

- Nie chcesz go już? - świszczącym szeptem zapytała Hildegard.

- Nie. Mówiłam pani, że jestem za duża na zabawki. Muszę się dużo uczyć.

- Dziękuję ci - powiedziała szybko Hildegard, zabierając zabawkę z dłoni dziewczynki.

Silny zawrót głowy sprawił, że prawie upadła, jednak zebrawszy resztki sił, dodała:

- Jeśli tylko pójdę po zakupy, kupię ci tę czekoladę...

- Mleczną - przypomniała dziewczynka.

- Tak. Mleczną - powiedziała Hildegard i zamknęła drzwi.

Wlokąc się z powrotem do łóżka, rzuciła wytartą zabawkę na podłogę.

Zapłakana Anneliese opowiedziała Knutowi o ostatnich dniach Hildegard w szpitalu. Knutowi, gdyż nie było nikogo innego, kto zechciałby jej wysłuchać. Obrażona rodzina zmarłej - cztery, może pięć osób nieukrywających nawet pośpiechu - z pewnością nie miałyby na to ochoty. Anneliese nie lubiła tych ludzi od pierwszego kontaktu i ze względu na nich poprosiła Knuta, by na czas pogrzebu przechował Karliego w szklanej budce. Odchodziła przy dźwiękach skomlenia psa i pochlipywała, przekonana, że w miejsce tych niesympatycznych obcych ludzi Hildegard i Silky po stokroć wołałyby kudłatego przyjaciela, który z należnym uczuciem odprowadziłby je w ostatnią drogę.

Kiedy odbierała go po spiesznej ceremonii, Knut zaproponował kawę z termosu, a zmarznięta i nieszczęśliwa Anneliese przyjęła ten gest z wdzięcznością. Rozpłakała się na nowo w obliczu serdeczności nieznanego człowieka, wyrozumiałego dla niej oraz jej ciągle nieposłusznego ulubieńca, i zaczęła wspominać zmarłą przyjaciółkę.

- Bo wie pan - powiedziała - tak naprawdę to podwójny grób, ona tam leży ze swoją kotką. Jej rodzina nawet o tym nie wie, nie mówiłam nikomu, bo oni już się wściekli, kiedy przeczytali jej ostatnią wolę. Napisała, że chce napisu „Hildegard Meyer i Silky”. Jacy byli szczęśliwi, kiedy dyrektor cmentarza ich poparł... Że niby musi się zgadzać

ewidencja. A Silky to tylko kotka, tu nie wolno chować kotów. Ale udało mi się zrobić tak, jak chciała. Włożyłam jej kotkę do rękawa. Tak schudła, to znaczy Hildegard tak schudła, że prawie jej nie było. Gdyby ją pan zobaczył... Same kości. Jej bluzka miała bardzo szerokie rękawy, więc włożyłam Silky do rękawa.

Knut milczał, choć jego oczy wyrażały niedowierzanie. Anneliese zauważyła to i ocierając łzy, wyjaśniła:

- Silky nie żyła od ponad trzech miesięcy. Była skremowana i Hildegard trzymała jej prochy w domu. To była małeńka urna. Zmieściła się w brzuchu zabawki, którą Hildegard miała ze sobą w szpitalu. Wie pan, taki wypchany pluszowy kotek. Nawet nie wiem, skąd go miała...

Grób numer 1261

MIRKO

- Zaproponowali chemioterapię.
- Teraz, tak od razu po operacji? Mówili, że były jakieś przerzuty?
- Nie, profilaktycznie.
- Przecież odcięli całą nogę, czego jeszcze chcą?
- Obawiają się, że przerzuty mogły pójść dalej. Chcą wziąć się za cały organizm, by mieć pewność, że wszystkie komórki rakowe zostały zlikwidowane.
- Czy on to wytrzyma? Jest taki słaby, wykończony fizycznie i psychicznie, z odjętą nogą... Skąd ma wziąć siły, aby to wszystko znieść?
- Nie ma wyjścia. Oni mówią, że bez tego wszystko może pójść na marne. Wszystko się odnowi i przerzuty rozejdą się po całym organizmie. Nic ich nie zatrzyma.

Ewa - Maria ciężko wstała od stołu, by zaparzyć sobie i siostrze bliźniacze kolejną kawę. Chwilę później jej mocny aromat ogarnął dużą kuchnię dwupiętrowego rodzinnego domu, jeszcze przed wojną wybudowanego przez dziadka. Zachowały się nawet nieliczne stare meble, w tym krzesła i sosnowy stół pamiętający czasy, w których Ewa - Maria i Anna najchętniej bawiły się pod jego blatem. Między jego cztery solidne nogi chowały się przed starszym bratem, a ponieważ to kuchnia, nie dziecinny pokój, była ulubionym miejscem dziewczynek, tylko tam urządzały przyjęcia dla lalek, lepiły ludziki z plasteliny lub malowały farbami na wielkich arkuszach papieru. Wysokie ściany kuchni i sufit, ściemniałe nieco od gotowania i papierosowego dymu, były niemymi świadkami wielu rodzinnych wydarzeń, zarówno szczęśliwych, jak tragicznych, i jakby po to właśnie, by zawsze móc stawić im czoła, trzymały się stabilnie i bezpiecznie.

Ewa - Maria była starsza od Anny o siedem minut. Miały po trzydzieści siedem lat i były równie ważne w licznej rodzinie, której członkowie zawsze trzymali się razem. Jedną z wielu jej tradycji były wspólne niedzielne obiady, zawsze o tej samej porze, przy tym samym stole w jadalni, gdzie w ciągu lat zmieniał się jedynie porządek zajmowanych miejsc.

Dawniej, kiedy siostry były jeszcze małe, u szczytu stołu zasiadał dziadek, mimo dawno przekroczonych ośmiu dziesiątek lat prosto trzymający się mężczyzna, po jego prawej stronie babcia Julianna, mała siwa kobieta o zaraźliwym, wysokim chichocie i wielu talentach, w tym literackim, następnie rodzice Ewy - Marii i Anny, Adam i Idalia, potem starszy brat Adam junior i na samym końcu one, bliźniaczki. Prowadziły przeciwko bratu nieubłaganą wojnę o dominację, tym bardziej zaciętą, że on kompletnie je ignorował. Siedem lat różnicy, liczba zbieżna z liczbą minut dzielących przyjście na świat jednej i drugiej, była zbyt poważna, by Adam junior zechciał poświęcać siostrom więcej uwagi. Kochał je i rozpieszczał cukierkami, jednak nigdy nie traktował poważnie, także wtedy, gdy wymyślały skomplikowane psikusy mające na celu przepędzenie od niego kolejnych narzeczonych.

Adam junior pierwszy opuścił dom, kiedy jedna z narzeczonych okazała się wystarczająco odporna, by nie tylko znosić dziewczynki wraz z ich gierkami, lecz nawet je polubić i zdobyć ich przyjaźń. Panna ta została zaakceptowana także przez dziadków i rodziców, i to tak dalece, że Ewa - Maria i Anna wylądowały jeszcze dalej w hierarchii niedzielnych obiadów, kiedy zajęła miejsce przy stole obok swego świeżo upieczonego małżonka. Niedługo później urodziły się im dzieci i kiedy tylko nauczyły się siedzieć, wyciągnięto dla nich ze strychu wysokie foteliki, które na czas obiadu lokowano tuż przy krzesłach rodziców. Kiedy najmłodszy

prawnuk przesiadał się z matczynych kolan na pierwsze samodzielne siedzisko, zmarł senior rodu, szybko i z godnością. Babcia podążyła za nim jeszcze w tym samym roku. Adam, ojciec bliźniaczek i Adama juniora, regularnie przychodzącego na niedzielne obiady wraz z całą rodziną, zajął miejsce u szczytu stołu i jakby złąkł się odpowiedzialności, a może myśli, że tego krzesła nie zamieni już na żadne inne.

Ewa - Maria wyszła za mąż w wieku dwudziestu dwóch lat, wyprowadziła się z domu i dwa lata później urodziła Mirka. Rozwiodła się po następnych trzech latach i jeszcze jako całkiem atrakcyjna młoda kobieta wróciła z dzieckiem do rodzinnego domu, entuzjastycznie przyjęta przez rodziców, którzy w gruncie rzeczy nigdy nie zaakceptowali zięcia. W przeciwieństwie do męża Anny, rzetelnego rudego dryblasza, który inaczej niż mąż Ewy - Marii zgodził się zamieszkać w rodzinnym gnieździe i sam odnowił mieszkanie dziadków na drugim piętrze, jeszcze zanim Anna obdarzyła go synem, ochrzczonym imieniem Tim.

Pięcioletni Tim z mieszanymi uczuciami przyjął kuzyna na podwórko, które mimo regularnych wizyt Mirka składanych w domu w czasach, gdy mieszkali osobno, uważał jednak za swoje.

- Za dwadzieścia lat w naszą planetę uderzy kometa. Jest już w drodze, po swoim ściśle ustalonym torze leci sobie spokojnie w naszą stronę i nic jej nie zatrzyma - oświadczył Tim.

- Nieprawda, możemy ją zatrzymać, a jeżeli nie jesteśmy do tego stuprocentowo zdolni teraz, za dwadzieścia lat będzie to tak proste, jak wysłanie w kosmos zwykłego satelity. Mamy dość energii atomowej, neutronowej czy słonecznej. Nie jest problemem zestrzelenie jej z ustalonego toru. Przeszkadzimy jej w biegu i na nas nie wpadnie - zaproponował Mirko.



- To nic pewnego, że komukolwiek uda się ją zatrzymać! Będzie jak wtedy, gdy uderzenie komety spowodowało wymarcie dinozaurów na całej kuli ziemskiej!

- Ach tak? - Mirko zarumienił się ze złości. - Bo stały tak sobie w jednym miejscu i kometa załatwiła je wszystkie naraz?

- Nie, ty ignorancie! Po jej uderzeniu ziemię na długi czas pokryły chmury kurzu meteorytowego zasłaniające słońce, na skutek czego znikła roślinność i dinozaury zdechły z głodu! - wyjaśnił Tim, z przyjemnością cedząc słowa.

- Sam jesteś ignorantem! Powtarzasz teorie z programu telewizji śniadaniowej. W „Science” pisali ostatnio, że zmiany klimatyczne wpłynęły na strukturę pokarmu, do którego dinozaury miały dostęp, a nie pozbawiły ich go zupełnie! Zabrakło mianowicie składnika potrzebnego do budowania powłoki jaj i małe wykluwały się zbyt wcześnie. Naukowcy twierdzą, że tak należy tłumaczyć przyczynę małej liczby jaj dinozaurów w wykopaliskach! - zaprotestował Mirko, unosząc się na poduszce. Jednak Tim nie okazywał litości.

- Może. Ale tak naprawdę wyginęły, ponieważ natura już się nimi nabawiła. Na dłuższą metę okazały się jej pomyłką. Były ładne, malownicze, zróżnicowane. Ktoś, kto je projektował, miał przy tym prawdziwą zabawę. Dinozaury to dowód kreatywności, jednak nie były niczym innym, jak wprawką do właściwego łańcucha. Poza tym nie rozwijały się. Dlatego musiały zginąć.

- Nie rozwijały się?

- Jak ludzie na przykład. Ludzie znaleźli sposoby na zastąpienie brakujących materiałów dla swoich zagrożonych jaj, które z braku potrzebnych naturalnych składników również musiałyby pękać zbyt wcześnie albo wcale. Ludzie rozwinęli się, bo nie pozwolili naturze, by ich wyeliminowała

- wyjaśnił Tim, patrząc z wyższością na swego przykutego do łóżka kuzyna.

Mirko otworzył oczy dziesięć minut po tym, jak Tim zajął miejsce przy jego łóżku, w wygodnym fotelu pomyślanym dla odwiedzających, którzy na dotrzymaniu towarzystwa chorym spędzają noc w szpitalu.

- Spałeś - powiedział triumfalnie do bladego kuzyna.

- Nnnie - zaprzeczył tamten słabym głosem. - To po zastrzyku. To wcale nie jest sen...

- Spałeś, spałeś! - powtórzył Tim. - Widziałem dokładnie, jak drgają ci powieki, co jest typowe dla fazy REM. Wcale nie wiem, po co ci jakakolwiek pomoc w zasypianiu.

- Przyniosłeś mi ten plakat? - Mirko ożywił się nieznacznie.

- Właściwie tak - potwierdził niechętnie Tim.

Trzymał na kolanach zwinięty rulon papieru i sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Co to znaczy właściwie? Przecież go przyniosłeś?

- No tak.

- Nie chcesz mi go dać? Rozmyśliłeś się?

- Nie, tylko...

Mirko uniósł głowę o kilka centymetrów, jednak natychmiast ciężko opuścił ją na poduszkę. Popatrzył w sufit swymi niebieskimi, jeszcze zamglonymi oczyma.

- Rozmyśliłeś się. Nigdy chętnie nie dzieliłeś się niczym, chociaż rodzice cię do tego zmuszali. Zwłaszcza twój tata, bo nie chciał, byś nie wyrósł na egoistę. I co? Nawet głupiego plakatu ci szkoda...

- Wcale mi nie szkoda! Widzisz, że go mam! Przyniosłem przecież.

- Ale ciężko ci się rozstać, to widać... Próbowałem tak zasnąć, jak mówiłeś. Wyobrażałem sobie ten plakat, ze

schodami, z ludzikami... Też chciałem być jednym z nich, mieć obydwie nogi, wchodzić po stopniach do góry, do góry...

Tim milczał, wpatrzony w twarz kuzyna i jego jasne włosy stapiające się z kolorem poduszki w drobne blade kwiatki.

- Tak boję się swoich snów... Z jednej strony chcę je mieć, bo nie zawsze przychodzą i kiedy zasypiam bezsenne, jest tak, jakbym wpadał w czarną dziurę, i myślę, że to już śmierć. Bronię się czasami długie godziny, czasami całą noc, przed takim zasypianiem... Jestem potem bardzo zmęczony. Siostra robi mi zastrzyk, wtedy znowu wpadam w tę dziurę...

Tim nie zmieniał wyrazu twarzy, wyobraził sobie, że jest maską, niezagrożoną działaniem jakiegokolwiek mimiki. Nawet jeśli jego wewnętrzna twarz dawno wykrzywiła się od płaczu, usta wygięły w podkówkę, a oczy napełniły łzami, nie istniała żadna szansa, by ktokolwiek to zauważył.

- A kiedy udaje mi się śnić, nie pamiętam o swojej uciętej nodze - mówił dalej Mirko. - Najczęściej latam. Macham rękami i lecę, pewnie dlatego, że do latania nogi nie są potrzebne. Często jeżdżę na rowerze i jest to jeszcze przyjemniejsze niż latanie, bo wiem, jak się to robi... Pamiętasz, jak razem pojechaliśmy za miasto i rodzice nas szukali?

Nieruchomo wpatrzony w kuzyna Tim kiwnął głową.

- Kiedy jadę we śnie na rowerze, wcale nie muszę pedałować, więc nie pamiętam, czy mam jedną nogę, czy dwie... Pedały i koła kręcą się jak szalone, a ja pędzę... To lepsze od latania.

Tim otrząsnął się i niecierpliwie poruszył w fotelu.

- Przyniosłem ci ten plakat, przecież mówię. Rzecz w tym, że trochę inaczej wygląda. Zresztą sam zobacz.

Wstał z fotela i rozwinął rulon papieru, który trzymał dotychczas na kolanach. Ze wzrokiem wbitym w kuzyna podszedł jeszcze bliżej, aby zaprezentować plakat z

najmniejszej odległości, prawie dotykając kolanami stojąca kroplówki.

- Co to jest? - zapytał Mirko słabo. - Przecież mówiłeś, że ten plakat jest biało - czarny... Że schody przypominają szachy.

- To prawda, mówiłem - potwierdził Tim niechętnie. - Tak ten plakat wyglądał. Był biało - czarny i ja wyobrażałem sobie, że jest podobny do szachów, chociaż tak naprawdę to przecież nawet głupi widzi, że to są schody.

Mirko walczył ze łzami napływającymi do oczu.

- Podobnie jak każdy widzi, że tu jest napisane Where do you want to go today? (Dokąd dziś zmierzasz?), a nie, jak ja to odczytywałem, Where do you want to go tonight (Gdzie chciałbyś pójść wieczorem?)? - dodał Tim. - Poprawiłbym, ale ojciec by mnie wyśmiał, skoro jego zdaniem nigdzie nie łązi się nocą.

- Co się stało? - zapytał Mirko urywanym głosem. - Dlaczego go tak pomalowałeś?

Tim obruszył się teatralnie.

- Przecież to nie ja! Masz mnie za idiotę czy za kogoś niedorozwiniętego? Przecież widzisz, że to zrobiło małe dziecko! Ja nawet nie mam w domu takich kolorów, takiego błękitu ani tego różu! A złoto! Skąd niby miałbym wziąć złotą kredkę?!

Na plakacie dziecięca rączka dokładnie zamalowała wszystkie biało - czarne miejsca. Tam, gdzie przedtem były schody, proste, graficznie przedstawione stopnie prowadzące do nieskończoności, utworzyła się wznosząca się ku górze paleta ulubionych przedszkolnych kolorów - od jasnozłotej żółci po soczystą ultramarynę. Nakreślone czarną kreską ludziki, z których każdy sprawiedliwie zajmował po jednym stopniu, ubrały się w kolorowe ubranka, w barwne spodenki i spódniczki, sweterki i bluzki z bufkami, kołnierzykami i

wielkimi jak u kłowna guzikami. Paski, kropki, falbany, kolorowe fryzury pojawiły się na głowach postaci, które przedtem były tylko szkicem bez włosów i uszu, jak symboliczne figury na znakach drogowych.

Oszołomiony Mirko rozpoznał na plakacie nawet króla i królową, błazna, kota, dwa psy i anioła. Oraz drzewa i kwiaty wokół schodów stojących teraz bezpośrednio pod błękitnym niebem z puszystymi chmurkami, uśmiechniętym słońcem po prawej stronie i zamaszystym księżycem po lewej.

- Sorry, stary, to nie moja wina - powiedział Tim, zwijając plakat i odkładając go na fotel. - Do matki przyszła koleżanka w odwiedziny, przyprowadziła ze sobą taką sześciolletnią smarkulę, Lizunia miała na imię, wyobrażasz sobie tylko, Lizunia! No i ta mała się nudziła, więc matka przyprowadziła ją do mojego pokoju, bo i tak szedłem na trening i zapytała, czy nie włączyłbym dla niej jakiejś łatwej gry komputerowej. Ale Lizunia chciała malować, nawet kredki miała ze sobą i papier, więc rozłożyła się na podłodze z tym malowaniem. A ja poszedłem na trening. Słuchaj, naprawdę nie mogłem wiedzieć, że ona zabierze się do twojego plakatu! Gdybym wiedział, nie ścigałbym go przecież dla ciebie wcześniej ze ściany!

Ewa - Maria była blada, jednak nie to, lecz jej sylwetka sprawiała, że nikt nie rozpoznałby w niej bliźniaczki Anny. Jej siostra była okrągłą, ciepłą kobietą, natomiast na Ewie - Marii każde ubranie wisiało, jakby je od kogoś pożyczyła. Będąc dziećmi, obydwie były dość pulchne, z czego jako nastolatki wyciągnęły się za pomocą drakońskich diet, w których stosowaniu popierały się wzajemnie. Po ślubie Anna zaokrągliła się łagodną warstewką tłuszczu kobiety spełnionej i szczęśliwej, o co jej mąż nie miał pretensji i powtarzał standardowe „kochanego ciała nigdy dosyć”. Było jej zresztą do twarzy z kilkoma dodatkowymi kilogramami, zyskała

gładką skórę i jeszcze bardziej pogodny wyraz ładnych błękitnych oczu. W ciąży znowu przybyło jej trochę i tak już zostało. Tim uważał Annę za najpiękniejszą kobietę na świecie i gdy tylko nauczył się mówić, nazywał ją w tajemnicy Mamą - Laleczką. Był zszokowany, kiedy na placu zabaw jakaś dziewczynka pokazała mu lalkę Barbie. „To nie jest lalka - stwierdził stanowczo. - Jakaś Barbie to tak, ale na pewno nie lalka. Lalki całkiem inaczej wyglądają”.

Siostry upodobniły się do siebie wyglądem, kiedy Ewa - Maria wróciła do domu po nieudanym małżeństwie i zalecała depresję czekoladą oraz pieczonym przez matkę drożdżowym ciastem. Siłą rzeczy ograniczyła także fizyczną aktywność, kiedy przydomowy ogród zwolnił ją ze spacerów z dzieckiem do parku, a obecność Tima jako towarzysza gier dla Mirka z obowiązku grania z nim w piłkę. Ewa - Maria skutecznie leczyła rany kawą i słodyczami, siedząc na tarasie z siostrą i przy jej pomocy przechodząc konsekwentnie wszystkie fazy porozwodowej żałoby. Wymyślała nieobecnemu eks-mężowi, inscenizowała skomplikowane akty zemsty, jednocześnie obserwując z daleka dokazującego synka, o którym z czułością myślała, że aby go mieć, warto było się kilka lat pomęczyć.

Kiedy Mirko zachorował, przestała jeść. Z dnia na dzień po postawieniu diagnozy zapomniała, że istnieje coś takiego jak apetyt. Nie czuła głodu ani pragnienia, połykała coś z obrzydzeniem dopiero wtedy, gdy mroczki pojawiały się przed oczami i ktoś z rodziny napominał ją, że niczego nie wzięła do ust. Spieszyła się bardzo - do lekarza, do laboratorium, na spotkanie z innym lekarzem, do biblioteki i do Internetu, aby zdążyć ze wszystkim, zanim Mirko, jej mały chłopczyk, obudzi się ze snu w swym szpitalnym pokoju.

Własna matka obawiała się już o jej życie i płakała po kątach jakby opustoszałego nagle domu. Powtarzała na

zmianę, że Ewa - Maria traci rozum i nie sposób się z nią porozumieć. I że upadnie gdzieś kiedyś i więcej się nie podniesie. Ojciec, kosztem wielkich wewnętrznych wysiłków zachowujący prostą postawę u szczytu rodzinnego stołu, próbował zachować spokój i pilnował przestrzegania rytuałów, jakby były jedynym lekarstwem na nagłe załamanie porządku. To on, a nie z niezwykłą gwałtownością postarzała Idalia, pilnował czasu posiłków, to on wstawał wcześnie rano, by w kuchni czekać na Ewę - Marię z kawą i kawałkiem chleba, kiedy w niedopiętym płaszczu już usiłowała gdzieś biec.

Ewa - Maria była złym odbiciem siebie dawnej i nawet jej oczy nie przypominały już bliźniaczki, okrągławej Anny. Wyglądała tak, jakby przestało obchodzić ją własne ciało, jakby wyłączyła je z obiegu, wykorzystując jego najprostsze funkcje do spełniania konkretnych celów, za pomocą ewidentnie rabunkowej gospodarki. Wyglądała źle, wkładała na siebie byle co i poza rodziną nie komunikowała się z nikim prócz ludzi, którzy mieli coś do powiedzenia na temat leczenia u dzieci raka.

- Przyniosłem ci drugiego „Harry'ego Pottera” - powiedział Tim, rzucając ciężki tom na łóżko Mirka.

Wyglądało to groźnie z korytarza, toteż przechodząca akurat pielęgniarka zatrzymała się na chwilę z przerażoną miną. Jednak Tim trafił dokładnie w miejsce na skraju łóżka obok zdrowej, niesklutej wenflonami ręki, jakby od dawna takie rzuty trenował. Zadowolony z siebie rozwalił się w fotelu i wyciągnął nogi w niezasnurowanych adidasach.

- I nie mów mi, że to ci się aż tak podoba - ostrzegł.

- Aż tak znowu nie... - powiedział Mirko, oglądając okładkę, niewiele różniącą się od poprzedniego tomu, który przeczytał w trzy dni. - Kiedy wyjdzie następny?

- Nie wiem. Pewnie za parę miesięcy. Kobieta dzielnie pisze, chociaż spokojnie mogłaby zrobić sobie wakacje. Pomyśl tylko - Tim wyprostował się ożywiony - ile ta Rowling ma teraz kasy! Żyła z zasiłków socjalnych, a teraz jest milionerką, ma więcej forsy, niż może wydać.

- Na zdjęciu jest podobna do jednej lekarki w szpitalu - powiedział Mirko. - Przychodzi czasem do mnie pogadać, kiedy ma dyżur, opowiada mi o swoich dzieciach. Ma trójkę, więc pewnie dlatego mnie żałuje. Wyobraża sobie, że to samo mogłoby się zdarzyć jej dziecku, więc dręczą ją wyrzuty sumienia.

- Niby dlaczego miałyby mieć wyrzuty? Zrobiła ci coś czy co?

- Nie... Ale jest coś takiego, że człowiek czuje się niepewnie, kiedy widzi obok siebie czyjś problem. Dziękuje Bogu, że to nie jemu się zdarza, ale jednocześnie czuje się winny w stosunku do tego, na którego padło.

- Dziękuję ci, Panie, że to tamten oberwał piorunem, a nie ja?

- Tim skrzywił się ironicznie.

- Myślę, że jest coś takiego - powtórzył Mirko.

Otworzył książkę i zaczął czytać, zapominając na kilka minut o kuzynie, który patrzył na niego zmrużonymi oczyma w sposób oznaczający najwyższe skupienie. Po chwili Mirko odłożył książkę i widok szpitalnego korytarza za wpółotwartymi drzwiami przypomniał mu o dzieciach lekarki.

- Jej trzeci syn ma jakiś zespół nadpobudliwości - powiedział.

- Nie może się skoncentrować, ma wielkie problemy w szkole, jest agresywny i ciągle bije się z rodzeństwem i innymi dziećmi. Ta lekarka musiała się zgodzić, by przyjmował leki psychotropowe. Należą wprawdzie do nowej generacji, więc



są teoretycznie nieszkodliwe, ale trzeba stosować je przez wiele lat, może do samej dorosłości.

- Co za problem? - spytał Tim.

- Dla mnie żaden... Ale sądzę, że ona milion razy myśli przy mnie o tym, jak wielkie ma szczęście, skoro jej syn jest tylko nadpobudliwy, z czego pięknie daje się wyleczyć jakąś nowoczesną tabletką.

- Widzisz? - zawołał Tim z nagłym ożywieniem. - Kolejny dowód na moją teorię wyższości ludzi nad dinozaurami! Dinozaury nie potrafiły chronić się tabletkami! Mały nadpobudliwy dinozaur zginąłby na długo przedtem, nim osiągnąłby dorosłe lata. Inne, silniejsze dinozaury po prostu by go zatłukły, nie zastanawiając się nad tym, że tracą w nim osobnika zdolnego do kontynuowania gatunku!

Ewa - Maria spakowała już wszystkie rzeczy Mirka, czemu on przyglądał się z niepokojem. Miał opuścić szpital, w którym pozbawiono go nogi, a chemioterapia spowodowała, że stracił większość włosów. W swoim przekonaniu był teraz innym chłopcem niż ten, który kilkanaście tygodni wcześniej o własnych siłach przekroczył progi szpitala. Także w jego umyśle dokonały się wielkie zmiany, izolatka stała się dla niego rodzajem azylu, normalniejszym teraz niż ulica, z której przychodzili odwiedzający go ludzie - matka, ojciec, dziadkowie, wujostwo i Tim. Zwłaszcza Tim, pachnący tą ulicą, z włosami potarganymi przez wiatr, w ubrudzonych butach, spocony. W szpitalnym pokoju Tim pozostawał gościem, a jednak nawet tu próbował narzucić swoje zasady gry, jakby nadal bawili się we wspólnym ogrodzie. To, że nie zawsze wygrywał, było dla Mirka pozytywną stroną szpitala, który onieśmiałał Tima. Po powrocie do domu - tego Mirko obawiał się najbardziej - wszystko wróci do dawnego stanu, a może będzie jeszcze gorzej, skoro Timowi już nic nie przeszkodzi w dominowaniu nad nim, kaleką.

Powrót do świata ludzi zdrowych przerażał Mirka. W jego umyśle oddalili się od niego wszyscy chodzących o własnych siłach, pracujący, biegający. Szczególną, nieosiągalną kategorię uzyskali ci szczęśliwcy, którzy jeżdżą na rowerach. Mirko kochał swój rower. Dawniej jeździł z Timem do szkoły i wściekał się w duszy, że jest wolniejszy. A Tim nigdy nie dawał mu forów, nie podkładał się, tak jak tato w szachach. Dwa lata starszy i o sześć centymetrów wyższy, rozpędzał się z rozkoszą i bywało tak, że niknął Mirkowi z oczu tuż za ostrym zakrętem niedaleko domu.

Tim wszedł cicho do pokoju Mirka w momencie, gdy kuzyn z trudem usiłował unieść głowę do góry, by po wymiotowaniu do miski na podłodze na powrót ułożyć się na łóżku. Tim pomógł wychudzonemu ciału odnaleźć możliwie wygodną pozycję i tłumiąc obrzydzenie, uniósł miskę z wymiocinami.

- Przepraszam... - dotarł do niego słaby głos z łóżka, kiedy kierował się w stronę łazienki.

- Nie ma za co - odpowiedział Tim szorstko, walcząc z mdłościami na widok zawartości miski, w której były także ślady krwi. - Bardzo dobrze, że tym razem twoja matka cię jakimś cudem nie dosłyszała. Jest taka wykończona, że wygląda już gorzej od ciebie i kiedyś przy stole spadnie nam z krzesła.

Wylał wymiociny do sedesu i wypłukał miskę. Usiadł na chwilę na brzegu wanny, by zaczerpnąć tchu, potem napił się wody bezpośrednio z kranu. Wracając szerokim korytarzem, potknął się o nogę stołu, na którym ustawiono komputer, do niedawna jego własność, i zaklął cicho.

- Nie klnij z mojego powodu - powiedział Mirko, kiedy Tim wrócił do pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. - Przyzwyczajasz się i ojciec będzie cię beształ.

- Mam to gdzieś - oświadczył Tim.

Mirko przyglądał mu się współprzymkniętymi oczyma, które nawet w mroku sprawiały wrażenie zapadłych w głąb twarzy.

- Masz do mnie pretensję o komputer - powiedział cicho.  
- Że musisz się ze mną dzielić.

- Coś ty? - zachnął się Tim. - Przecież i tak byś przyłaził do mnie grać, więc co za różnica? Mam więcej spokoju, a kiedy chcę, i tak mogę go sobie używać.

- Mama chciała mi kupić nowy, ale starczyło jej tylko na modem. Chce, bym miał zajęcie... A poza tym sędzę, że cała rodzina jej odradziła taki zakup. Nie opłaca się dla mnie... Jestem coraz słabszy, to nie byłoby na długo.

- Przestań gadać głupoty, okej? Jeżeli rodzina odradziła jej zakup komputera, to tylko dlatego, że ona naprawdę nie ma kasy, bo skąd? I tak pracuje jak głupia, dorabia do tej połówki etatu jak może, ale komputer? Chyba słyszałeś, jak mój stary mędził, kiedy kupowali dla mnie. A przecież pracują oboje i wcale nie są biedni.

Na twarzy Mirka pojawił się ślad koloru i dolna warga zaczęła mu drżeć.

- Mama wcale nie musiała iść na pół etatu, mogła nadal pracować tak, jak przedtem. Kocha swoją pracę, wiem o tym. Albo raczej kochała, bo teraz... Ma ze mną tyle kłopotów. I wydatków.

- Znowu gadasz! I po co to gadanie? Przecież i tak by nie mogła pracować, jak ty tu leżysz. Mieli ją za pół roku wyrzucić za nieproduktywność? A tak i pracuje, i może być z tobą.

- Przecież miałbym opiekę. Są dziadkowie, czasem przychodzi pielęgniarka. Potrafię się ruszać... Sam przesiadam się na fotel i jadę do łazienki, sam siadam do komputera. Tylko że to niewygodne...

Tim przeczesał palcami włosy usztywnione żelem, którego resztek jak zwykle nie wyczesał przed snem. Ojciec nie znosił jego fryzury, zdaniem Tima wolałby go ostrzyżonego jak komandos, szczęściem matka, choć niechętnie, i w tej kwestii stanęła po jego stronie. Zresztą Tim coraz mniej gwałtownie bronił swej nastroszonej czupryny i ostatnio sam nawet bąknął, że może jednak obetnie się na krócej. Gdyby nie obawa, że ojciec uzna to za własne kolejne zwycięstwo, już przed miesiącem poszedłby do fryzjera.

- Niedługo będziesz miał protezę, tylko rana musi się zagoić. Widziałem w katalogu, rewelacja. Są lepsze niż w pierwszej części „Terminatora”, zupełnie jak prawdziwe. I niech ci nie przyjdzie do głowy mnie kopać, bo ci oddam ręką! A jak wiadomo, na ręce nie masz ze mną szans.

Mirko uśmiechnął się słabo. Nawet on nie przypuszczał, że Tim uderzyłby go teraz, kiedy jest kaleką. Wcześniej zdarzało się to często, choć trzeba przyznać, że przy innych zawsze brał jego stronę. Obydwaj uważali to za zwyczajną rodzinną solidarność, choć trudno było nie zauważyć, że każde stanięcie w obronie młodszego kuzyna było dla Tima dodatkową okazją do zabawy.

- Taka proteza też musi strasznie dużo kosztować - powiedział Mirko niechętnie.

- Ubezpieczalnia płaci - skłamał Tim bezczelnie. - Coś ty myślał, że żyjemy w Bangladeszu?

Następnej nocy Tim założył grubą bluzę na piżamę, zanim poszedł ciemnym korytarzem do pokoju Mirka, choć nie wezwały go żadne niepokojące odgłosy. I nie pomylił się, bo Mirko, choć nie wymiotował, leżał z otwartymi oczami i wpatrywał się w sufit. Nie zareagował na przyjście kuzyna ani na to, że tamten bez szczególnej ostrożności usiadł na drugim końcu jego łóżka. Mirko automatycznie podciągnął nogi, czyli jedną, tę, która mu została, a kiedy mimo nawykowego

napięcia mięśni odpowiedzialnych za drugą nic nie drgnęło w pustej przestrzeni pod kołdrą, nie wytrzymał i zaczął płakać. Próbował się opanować, więc płacz przyjął formę bezradnego łkania, bolesnego i utrudniającego oddychanie.

- Nie możesz spać - powiedział Tim, nie wiedząc, co mógłby zrobić lepszego.

Po długiej chwili wahania położył dłoń na stopie zdrowej nogi kuzyna.

- Ja też - dodał. - To chyba pełnia. Odpowiedziało mu łkanie. Poklepał Mirka po nodze.

- Może nie całkiem, wiem. Prawie pełnia, zobacz, jak jasno. Wcale nie potrzeba lampki.

Z napięciem przyglądał się kuzynowi, kiedy ten nerwowo wycierał łzy z twarzy, używając do tego całej powierzchni dłoni. Nieprzyjazna poświata księżycy nadała twarzy Mirka odstraszący wygląd, jego zwykłą bladość zmieniając w siny, trupi odcień bieli i wyostrając kości policzkowe. Prawie kompletnie pozbawiona włosów czaszka ponuro lśniła w mroku.

- Jeśli tak patrzysz w sufit, to może wygrzebie ci ze strychu moją lampkę z dzieciństwa, tę z rybkami, co? Nigdy ci nie mówiłem, ale ona naprawdę ratowała mi w nocy życie, kiedy byłem mały... Bałem się ciemności, cholera, jak bardzo bałem się ciemności! Ojciec tego nie rozumiał, nigdy nie pozwolił, bym choć raz przyszedł do nich do łóżka, dla niego mógłbym się zadusić ze strachu na śmierć. To babcia kupiła mi tę lampkę, bo nawet mama nie odważyłaby się na coś takiego. I tylko dlatego mogłem trzymać ją w pokoju, że to babcia, a nie kto inny, mi ją podarowała. Ta lampka była niebieska i w jej środku walec obracał się wokół własnej osi. Były tam fale i ryby, małe i duże, z ogonami i kolorowymi płetwami... Leżałem tak jak ty teraz, na plecach, i wpatrywałem się w sufit, oglądałem sobie te ryby i zawsze

widziałem je trochę inaczej. Wydawało mi się, że poruszają się w różny sposób, płyną wolniej albo szybciej, gonią się, polują albo tylko udają się na spacer. Nadałem im imiona i wymyślałem całe historyjki. W końcu przy tym zasypiałem, do dziś umiem zasypiać tylko na plecach. Mama mówi, że przez to kiedyś zacznę chrapać i żona wyrzuci mnie z domu. Ale pamiętaj, nigdy nie opowiadaj mojej żonie, jak to się zaczęło. Ani się waż opowiedzieć mojej żonie, że zasypiałem przy niebieskiej lampce z rybkami.

- Mnie... mnie już wtedy nie będzie, Tim, przecież wiesz o tym. Tim opanował lodowaty dreszcz w całym ciele i silnie trzepnął

Mirka w zdrową stopę. Wydała mu się jeszcze bardziej koścista.

- Jak sobie będziesz wmawiał, to pewnie - wysyczał. - Jak ja sobie będę wmawiał, to i mnie się to uda, a wtedy w końcu będę miał święty spokój. Żadnej szkoły, żadnego marudzenia ojca, razem z tobą polecę sobie do Krainy Wiecznych Łowów. Przecież razem czytaliśmy ten artykuł w „Science” o plemionach, w których umiera się na życzenie, nie?

Mirko milczał.

- Przeczytaliśmy też inne artykuły, kuzynku, na przykład o autosugestii, walce umysłem, o pokonywaniu choroby siłą, wizualizacją - dodał ciszej Tim. - Nie powinieneś się poddawać. Musisz znaleźć w sobie siły, musisz chcieć żyć...

- Ja chcę żyć - ledwo dosłyszalnym głosem odpowiedział Mirko. - Bardzo.

- Widzisz? - triumfalnie wyprostował się Tim - Widzisz? Trzeba tylko...

- Ale wiem, że to mi w niczym nie pomoże - dokończył Mirko, jakby nie dosłyszał jego słów.

Tim pośpiesznie wszedł do pokoju Mirka, podszedł do szafy, wyciągnął z niej kurtkę, po chwili wahania dołożył bejsbolówkę oraz szalik i rzucił je na łóżko kuzyna.

- Ubieraj się - rozkazał. - I pospiesz się, bo nie mamy dużo czasu. Zaskoczony Mirko nie ruszył się z miejsca.

- Dlaczego? - zapytał. - Po co mam się ubierać?

Tim zdążył już podsunąć do łóżka inwalidzki wózek.

- Pospiesz się, mówię. Jedziemy na wycieczkę.

- Jaką wycieczkę?

- Rowerową. Mirko zbladł na kilka sekund, a po chwili zarumienił się jak

zawsze, kiedy ogarniało go podniecenie.

- Co ty mówisz? Jak to, przecież wiesz... Ja...

Podniósł oczy na wyciągniętą rękę Tima, który stanowczym ruchem podawał mu sweter z golfem.

- Doskonale wiesz, że już nigdy w życiu nie będę jeździł rowerem. Nawet z protezą - dokończył smutnym, urywanym głosem.

Tim westchnął i teatralnie przewrócił oczami.

- I znowu masz mnie za idiotę - powiedział. - Ja będę jechał, zresztą na twoim rowerze, bo mój ukradli. Będziesz musiał pożyczyć mi swój wypieszczony rower, który zakonserwowany czeka na ciebie w garażu. Ty siądziesz na ramie.

- Dlaczego... Dlaczego to robisz?

- Bo ci obiecałem, ośle jeden, nie pamiętasz? Przyrzekłem ci, że pojedziemy razem rowerem, więc pojedziemy! Pojedziemy wszędzie tam, gdzie zawsze jeździliśmy i zobaczysz sam, że nic się nie zmieniło ani na ulicy, ani w lasku, zobaczysz, że w stawie znowu jest cała fura kijanek i jeśli chcesz, weźmiemy jakiś pojemnik i przywieziemy kilka do domu, żeby postraszyć babcię Idalię.

- Ale jak...

- Ale jak mój ojciec się o tym dowie - dokończył Tim - nogi mi z tyłka powyrywa i znajdziemy się w podobnej sytuacji. Więc musimy się pospieszyć, bo druga taka okazja może się już nie nadarzyć. Moi starzy i twoja matka są w pracy, a dziadkowie pojechali razem do lekarza, co im na pewno zajmie parę godzin. Urwałem się ze szkoły, więc proszę cię, docień to i nie marnujmy już czasu.

Szorstkimi ruchami Tim pomógł Mirkowi włożyć sweter, poprawił supeł na zbędnej, niewypełnionej niczym nogawce dresowych spodni i zasznurował mu, zapewne niepotrzebnie, but na zdrowej nodze. Z odległości kilku kroków cisnął w jego kierunku bejsbolówką i szerokim uśmiechem skwitował odebranie celnego rzutu. Kiedy przytrzymał fotel, na który wypróbowanymi ruchami całego ciała przesiadał się osłabiony Mirko, widział wielkie zmęczenie kuzyna. Poklepał go pocieszająco po głowie, której łysinę skutecznie przykryła płócienna czapka, i popchnął wózek w kierunku wyjścia. Nie musieli pokonywać żadnych schodów, ponieważ po powrocie Mirka ze szpitala jego pokój przeniesiono z pierwszego piętra na parter, do dawnego gabinetu dziadka. Gdyby nie to, że rodzicom trudno było już chodzić po schodach, Ewa - Maria poprosiłaby ich, by odstąpili także swą sypialnię dla niej, gdyż obawiała się, że nie dosłyszy w nocy wołania syna. Adam i Idalia przewidzieli jednak taką możliwość i nie zamierzali się zgadzać, sami zdecydowani na nocne dyżury przy wnuku, którego matka była i tak umęczona do granic.

Kiedy Tim poszedł do garażu po rower, a Mirko czekał na wózku przed wejściem do domu, zaczął kropić lekki wiosenny deszcz. Kapuśniaczek, pomyślał o nim ciepło Mirko i uśmiechnął się z wdzięcznością w kierunku nieba, jakby zesłało go na jego cześć. Łagodna wilgoć, siąpiąca z chmur o pysznym odcieniu jasnej szarości przeplatanej promieniami słońca, nie przypominała łez.



Mirko rozejrzał się po ulicy, obsadzonej rzędami japońskich wiśni. Ich obrzmiałe zielone pęki prześwitywały już gdzieś gdzie różowym kolorem, nie dalej jak za tydzień drzewa powinny obsypać się kwieciami. Także zieleń na trawnikach nabierała już soczystości, tylko czekać, a rozpocznie się sobotnie koszenie, i warkot elektrycznych i spalinowych silników znowu będzie budził matkę, która uwielbiała wolne dni, jedyne, w których mogła pospać dłużej.

Kiedyś koszenie ogrodu należało do nich obojgu, Mirka i Tima, przy czym starszy z kuzynów zawsze usiłował wykręcić się od tego obowiązku. Wdychając łapczywie wiosenne powietrze, Mirko pomyślał, że gdyby naprawdę proteza miała okazać się tak fantastyczna, jak obiecują, jeśli będzie mógł się prawie normalnie poruszać, przejmie całkowicie obowiązek koszenia trawy. Za tę jedną dzisiejszą wycieczkę, za jedno wyjechanie za bramę domu, wyczekiwane od powrotu ze szpitala przez długie tygodnie, podczas których nawet nie widział ulicy. Za nieruchome godziny przesiedziane w wózku inwalidzkim na tarasie w chronionym murem ogrodzie, gdzie rozmoczona po zimie ziemia i tak nie pozwalała zapędzić się dalej.

Będzie kosił trawę... I wiele innych rzeczy zrobi dla Tima, dziękując mu w ten sposób nie tylko za dzisiejszy dzień. Także za jego obecność w te wszystkie ciemne noce, w których nie wierzył już, że rana zagoi się po operacji, w których zwątpił w swe okaleczone ciało, za czas, w którym śmierć była już tak blisko. Mirko coraz słabiej się bronił. I dopiero teraz, za dnia, z poszumem wiatru i kroplami deszczu na policzkach, nieśmiało wygrzebał z siebie nadzieję. Uśmiechnął się raz jeszcze i niepewnym ruchem ściągnął bejsbolówkę ze swej bezwłosej głowy.

- Wkładaj to natychmiast! - huknął na niego Tim, powróciwszy z rowerem z garażu. - Zaziębisz się i wszystko będzie na mnie. Chcesz, żeby mnie zabili?

Wsiadanie na rower nie było proste. Ustawili wózek tuż przy rowerze i Tim usiadł na siodełku, silnie zapierając się nogami. Mirko uniósł się z najwyższym wysiłkiem i na wpół wciągnięty przez trzymającego go pod pachami kuzyna, niewygodnie usadowił się na ramie. Obciążony dwoma chłopcami rower niepewnie przejechał przez wejściową bramę. Jacyś ludzie odprowadzili ich spojrzeniami, szczęściem nie byli to sąsiedzi. Osiedle opustoszało w porze wczesnego przedpołudnia - dzieci zostały odprowadzone do przedszkoli, a rodzice i dziadkowie poszli do pracy, na zakupy lub na spacer. Jak spodziewał się Tim, nie było też wiele samochodów i mógł jechać prawie środkiem ulicy, zmagając się z nad normą obciążonym rowerem, do czego jeszcze nie zdążył się przyzwyczać.

Mirko śmiał się głośno. Już po kilkunastu metrach, po pierwszym zachwianiu roweru, które przy zjeżdżaniu z krawężnika przestraszyło Tima, Mirko roześmiał się jak małe dziecko i nie przestawał się śmiać, aż brakowało mu tchu i następował krótki atak kaszlu, o którym natychmiast zapominał, by znowu śmiać się euforycznie. Odrzucił głowę do tyłu, nie pamiętając o kuzynie podtrzymującym go ramieniem, kurczowo ściskającym też kierownicę i niemającym serca zwrócić mu uwagi. Drobny deszczyk był lekki jak para i w rytm powiewów wiatru miękko osiadał na twarzy.

Tim dałby sobie radę z tym zakrętem, tak jak robił to tysiące razy, jadąc wolno, jadąc pędem, nawet jadąc w deszczu większym niż tamtego dnia. Nawierzchnia była tylko trochę wilgotna, żaden problem dla chłopaka, który na własnym rowerze pokonywał wiele razy wszystkie trudne

trasy. Jednak to nie był jego rower, miał zupełnie inne koła, inne siodełko i inną kierownicę. Całkiem inną ramę, właściwie zbyt wysoką na wożenie kogokolwiek, nawet jeśli miałyby chodzić o lekkiego jak piórko chłopca bez jednej nogi. Chłopaka w bejsbolowce, która nagle odrywa się od głowy i zasłania widoczność, oraz w spodniach, których jedna nogawka, pusta i związana w supeł, nieoczekiwanie wplątuje się między szprychy. Jednak i z tym Tim by sobie poradził, ponieważ Tim zawsze świetnie radził sobie ze wszystkim. Nic by się nie stało nawet wtedy, gdyby rower wywrócił się na pustej ulicy - obaj kuzyni najwyżej nabiliby sobie po parę guzów.

Jednak ulica nie była pusta. Zza zakrętu właśnie w tym momencie wyjechała duża ciężarówka firmy transportowej wypożyczającej samochody ludziom, którzy chcą samodzielnie przewozić swoje meble wraz z resztą dobytku. Niezapięty pasami kierowca, hamując ostro, nagryzł wargę do krwi, a towarzysząca mu żona zemdląła na widok chłopca, którego głowa tkwiła nieruchomo pośrodku kałuży krwi, oraz drugiego, który choć sam zakrwawiony, usiłował się podnieść i iść w jego kierunku. Czego jednak nie mógł uczynić, ponieważ brakowało mu nogi.

\*

- Tim zginął na miejscu, ponieważ uderzył głową o krawężnik. Zapewne nie stałoby się tak, gdyby, jak stwierdzili policjanci wezwani na miejsce wypadku, miał kask - zakończył Knut. - Jego ojciec zawsze kazał mu wkładać kask.

- I co, nie wkładał? - zapytała Karina, uśmiechając się smutno.

- Tylko wtedy, kiedy ojciec go pilnował.

Karina wpatrywała się w zdjęcie chłopca ubranego w komunijny garniturek z muszką.

- A co się stało z Mirkiem?

- Umarł dwa tygodnie później w szpitalu. Miał poważne obrażenia, jednak kiedy odzyskiwał przytomność, pytał tylko o Tima. W końcu sam zrozumiał i stracił ochotę do życia.

- Przecież i tak by umarł wcześniej czy później. Jeszcze by się bardziej męczył, potem, z przerzutami - powiedziała Karina. - Tima szkoda, on powinien żyć.

- Ale okazało się, że Mirko też mógłby żyć. Sekcja nie wykazała żadnych przerzutów. Miał wielką szansę na wyzdrowienie.

Krótkie włosy Kariny ugładziły się na moment, kiedy nerwowym ruchem zagarnęła je za ucho. Była smutna, bardziej niż podczas innych opowieści Knuta, i on to zauważył.

- Jego matka nigdy się o tym nie dowiedziała. Po śmierci Mirka załamała się nerwowo i spędziła kilka miesięcy w szpitalu. Dziadkowie zajmowali się wszystkim i wiem, że ukryli przed nią prawdę. Lepiej było dla niej, jeśli ten wypadek uznała tylko za przyspieszenie wyroku. Jacyś ludzie, świadkowie całego zajścia, opowiedzieli jej potem, jak głośno Mirko śmiał się na tej swojej ostatniej wycieczce. Uchwyciła się tej myśli, zawsze, kiedy tu przychodzi, mówi, że na pewno był szczęśliwy przed śmiercią. Żałuje tylko, że sama na to nie wpadła, sama nie pojechała z nim rowerem albo rikszą...

- Żałuje, że nie umarła razem z nim? - poddała Karina łagodnie i smutno.

- Teraz już chyba nie... Ona jest w ciąży, wiesz?

- Co takiego?!

Miękkość zniknęła nagle z głosu i z ruchów dziewczyny. Gwałtownie poprawiła szalik i na jej usta powrócił wpółironiczny uśmiech.

- Życie idzie dalej, prawda? Szybko pogodziła się z losem. Knut uśmiechnął się łagodnie.

- Minęły dwa lata... I wątpię, czy się pogodziła. Przychodzi tu tak samo często jak kiedyś, płacze. Związała się z jednym z tych lekarzy, którzy leczyli Mirka. Znam go, bo pracuje w naszym szpitalu. Nie wzięli jeszcze ślubu.

- Ale wezmą. Pewnie już wprowadzili się do domu i Adam z Idalią cieszą się z nowego nabytku dla rodziny. Obydwie córki znowu są zameżne.

Knut pokręcił głową.

- Rodzice Tima rozstali się.

- A to dlaczego?

- Nie wiem... Podobno bardzo niewiele par wytrzymuje utratę dziecka. Tak przynajmniej się mówi. Zbyt ciężka próba.

- Na pewno obwiniali się wzajemnie - powiedziała Karma.

- Na pewno - zgodził się Knut.

Miejsce pod krzakiem jaśminu

GERE

Mój pan zabrał mnie ze sobą w miejsce, które znajdowało się wyżej niż to, na którym staliśmy długo wśród obcych ludzi. Zaświeciło na nas bardzo wiele świateł, tak że musiałem mrużyć oczy. Niedaleko siedzieli ludzie, którzy grali muzykę na instrumentach. Było to coś ważnego, ponieważ mój pan był bardzo podniecony i szybciej biło mu tętno, szybciej oddychał i jego pot pachniał inaczej. Pan mówił głośniejszym i w inny sposób niż zwykle, uśmiechał się i ścisnął mnie czasem zbyt mocno, jakby chwilami o mnie zapominał. Jednak cały czas trzymał mnie na rękach i czułem się z nim bezpiecznie, chociaż miejsce niepokoiło mnie hałasem, tłumem nieznanymi mi ludźmi, mieszanką zapachów, głośniejszą muzyką i światłem.

Wszystko było mi obce. Myślę, że mówili także o mnie, ponieważ często na mnie spoglądali, a mój pan kilka razy podrapał mnie za uchem. Obcy człowiek, który stał koło nas i rozmawiał z moim panem, pogłaskał mnie po głowie, odruchowo stuliłem uszy, ponieważ jego dłoń także była obca i nie mogłem rozpoznać, czego ode mnie chce. Myślę, że ten człowiek chciał dobrze, bo mój pan mu na to pozwolił, a pan przecież mnie kocha i nie dopuści, by ktoś zrobił mi krzywdę.

Zrobiło mi się duszno i chciało mi się pić, a kiedy zacząłem dyszeć, mój pan i ten drugi człowiek wskazali na mój wyciągnięty język i zaśmieli się wesoło. Muzyka zagrała jeszcze głośniejszym, światła pozmieniały się z jaśniejszych na ciemne, inni ludzie, którzy siedzieli dalej, zaczęli hałasować, tłukąc dłonią o dłoń. Przestraszyłem się, ale mój pan pogłaskał mnie uspokajająco i wiedziałem, że mogę mu ufać. Potem wyszliśmy z tego jasnego miejsca do pokoju, w którym jakaś kobieta dała mi miskę wody i słodkie ciastko. Bardzo lubię słodkie ciastka, a także chciało mi się pić, więc ucieszyłem się i polizałem ją po ręce. Potem mój pan pogłaskał mnie znowu i

wziął do ręki smycz. Ucieszyłem się bardzo, że idziemy na spacer, ale nie skoczyłem mu na spodnie, bo on się wtedy bardzo złości i podnosi głos. Pomachałem ogonem i zawołałem tylko jeden raz: Kocham cię, mój panie!

Grób numer 1262

TIM

- Tim, proszę cię, zostaw w spokoju to mrowisko. To jakaś mania! Za każdym razem, kiedy tędy przechodzimy, rzucasz coś na nie albo niszczysz je kijem. Regularnie w każdy piątek, kiedy idziemy do szpitala. Pomyśl, to jest dom tych mrówek. One bardzo się napracowały, by go wybudować, a ty niszczysz wszystko w kilka sekund. Poza tym wzniecasz tumany kurzu!

Karina pogłaskała miękkie skrzydło marmurowej rzeźby przedstawiającej otwartą książkę.

- Co oznacza ten motyw na jego nagrobku? Jakby chodziło o pisarza albo kogoś takiego... Przecież ten chłopiec miał tylko piętnaście lat, w tym wieku nie pisze się książek.

- Tim pisał pamiętnik - wyjaśnił Knut, przyglądając się chłopcu na fotografii wzrokiem zdradzającym uczucie, które Karina z wahaniem określiłaby jako czułość. - Matka znalazła go po jego śmierci. Wiele zeszytów, starannie ukrytych w skrzyni na strychu. Jeśli wierzyć jej słowom, ten chłopak był najmłodszym pamiętnikopisarzem na świecie, bo zaczął jako sześciolatek, w wieku, w którym większość dzieci wcale nie zna liter. A on podejrzwał, że babcia Idalia robi co wieczór notatki w swoim dzienniku, i pomysł mu się spodobał.

- Rodzinna tradycja kontynuowana przez dzieciaka. No, no.

- Jego matka twierdzi, że te zeszyty na nowo podarowały jej przeszłość. Zanim je znalazła, nie odchodziła od albumów z zdjęciami Tima. Teraz mówi, że zdjęcia to tylko gorszy dodatek.

\*

PIĄTEK

Mama ma rację, że regularnie niszczę to mrowisko. Ciekawi mnie, czy powstanie na nowo, bo mrówki nigdy nie



tracą ochoty na odbudowanie swojego domu, jak mówi Mama. Wydaje mi się, że zawsze robią to w ten sam sposób, ale może to złudzenie. Pozornie mrowisko sprawia wrażenie spokojnego miejsca, w którym mieszkańcy poruszają się ze stałą prędkością. Mrówki nie przyspieszają tempa wtedy, kiedy załamują się pod nimi w trudzie zbudowane korytarze. Zasypana mrówka odkopuje się spod piachu i igliwia w identycznym rytmie i bierze się do pracy, ani nie przyspieszając, ani nie zwalniając kroku. Zagrodzisz jej drogę, odwróci się bez zniecierpliwienia, bez agresji i zacznie szukać innej drogi. Nie zwolni ani na chwilę, kiedy przydepnę butem jej towarzysza. W takim samym tempie przeniesie jaja zagrożone w mrowisku, jak będzie się siłować ze znalezionym kawałkiem liścia. Spokojnie, uporczywie, bezmyślnie do przodu. Wykona pracę, którą ma zapisaną w maleńkiej głowie. Nigdy nie pomyśli dlaczego i jak bardzo to bez sensu. Nie zapamięta, że i tak przyjdę tu w przyszły piątek i znów wszystko jej rozwalę.

## WTOREK

Zrobił mi się wrzód na lewym przedramieniu. Mama oczywiście mówi, że to nic groźnego, żaden wrzód, pryszcz jedynie. Ojcu nie pokazałem go wcale, znowu śmiałyby się ze mnie i nazwał babą. Nienawidzę, jak to robi. Patrzy na mnie prawie z obrzydzeniem i pewnie żałuje, że nie jestem taki jak on - jedyna osoba, z której jest naprawdę dumny. Rozczarowuję go, wiem o tym. Nie lubi tego, że piszę, czytam wiersze, gram w szkolnym teatrze. Pierwszy raz nazwał mnie babą, kiedy w przedszkolu przebrałem się za królową. Ojciec we wszystkich mężczyznach widziałby twarde facetów, najlepiej komandosów, a przynajmniej adwokatów albo przedsiębiorców jak on sam. Ale daję sobie radę i z nim, i z tym wszystkim, czego ode mnie oczekuje. To dla niego powstał silny Tim, Tim na pokaz. Ma swoje dobre strony, to

znaczy, istnienie tamtego Tima ma dobre strony. Gdzieś w poprzednich zeszytach istnieje jeszcze tabela, którą zrobiłem, z trzema kolumnami. Wyliczyłem dokładnie: FAKT - PLUSY - MINUSY. I powstała całkiem głupia rzecz, całkiem nieoptymistyczna, na przykład:

„NAUCZYŁEM SIĘ BIĆ - NIKT SIĘ ZE MNIE NIE ŚMIEJE - CI, NA KTÓRYCH BY MI ZALEŻAŁO, UWAŻAJĄ MNIE ZA TYPKA ZAŁATWIAJĄCEGO SPRAWY PIĘŚCIAMI”.

Przez to zapewne wielu z nich nawet nie poznam, nie zbliżą się do mnie, za to zostanę kumplem tych, na których wcale mi nie zależy. A gdybym się teraz przebrał za królową i jedni, i drudzy zrywaliby boki ze śmiechu.

A już najgłupsze jest to, że zadowolając ojca, robię przykrość Mamie. Ona nigdy nie ganiła mnie za nic, bawiła się ze mną misiami i nie wciskała czołgów czy elektronicznych mieczy. Teraz chyba nie przepada za „silnym Timem”. Gdyby nie ojciec, miałbym w domu swoje miejsce, nawet pamiętników nie musiałbym chować, może nawet czasem dałbym babci Idalii jakieś kawałki do przeczytania.

## ŚRODA

Doskonale wiem, że to wrzód, a nie jakiś tam zwykły pryszcz. Obserwuję go od dawna, bałem się, że to będzie to samo, co u Mirka. Kiedy poczułem zgrubienie, pomyślałem: „To pierwsze komórki nowotworowe, tak jak u niego na kostce”. Rodzice mówili, że rak nie jest zakaźny, ale i tak pożałowałem, że dotykałem Mirka już po tym, jak okazało się, że ma raka.

Choroby też nie zamierzam do siebie dopuszczać. Będę miał ją pod kontrolą, jak inne rzeczy. Nie dopuszczę, by doprowadziła mnie do płaczu, nie pozwolę, bym przez nią poczuł się słaby. I z chorobą poradzę sobie tak, że nikt się nie dowie.

## PIĄTEK

Już po wszystkim.

Czekałem, co będzie dalej z narośłą, kiedy powiększała się, a mnie śniły się nocami mnożące się rodziny komórek rakowych, na moich oczach podwajały się, potrajały, z setek robiły się ich tysiące, całe miasta, galaktyki komórek rakowych organizowały się, tworzyły własne prawa, umawiały się, które z nich zajmą mój łokieć, które dłoń, które wyprawia się do serca, a które do mózgu... Mama sprawdziła, czy nie mam gorączki. Dziś, czyli czwartego ranka - były to najdłuższe dni mojego życia - skóra zaczerwieniła się na narośli. Poczulem ulgę. Bolało. Rak nie boli - tak mówią lekarze, rak nie wyprawia się na zewnątrz organizmu, on draży go w dół. Potem na szczycie mojego wrzoda pojawiła się biała plamka. Wiedziałem już, że dam sobie z nim radę. Przyglądałem mu się mściwie, właściwie chciałem go zlikwidować od razu, ale wiedziałem, że jeszcze jest za wcześnie, jeszcze nie będę w stanie pozbyć się całej ropy, tej wydzieliny, całego świństwa, które namnożyło się wbrew mojej woli w moim ciele. Wrzód był jeszcze zbyt uważny, jego zewnętrzna straż trzymała się mackami zdrowych części mojego ciała. Potem skóra wokół wrzodu nabrała purpurowej barwy, co oznaczało, że biała maź atakuje, ale jako pewny siebie zdobywca zapomina o ostrożności. I przeliczyła się z siłami, zbyt szybko się rozrosła i namnożyła, miejsca zaczęło jej brakować, wrzód napiął się jak balon, skóra na nim stała się cienka i obrzmiała. Bolało mnie i swędziało. Wtedy ja zaatakowałem. Cienką igłą podrapałem naskórek. Przemyłem miejsce spirytusem. Nacisnąłem skórę przedramienia wokół wrzodu. Położyłem gorący kompres. Ponownie spróbowałem nacisnąć. Cienki już, biały naskórek napiął się, lecz nie pękł. Ująłem wrzód w dwa palce, które owinałem sterylną gazą i podważyłem go od spodu. Naskórek pękł i biaława maź

wytrysnęła na zewnątrz. Poczułem pieczenie. Zanurzonym w gorącym naparze gazikiem przemyłem ranę i długo, starannie wyciskałem ją do końca, tak długo, by nie zostało w niej nic z białej ropy. Pod palcami pojawiła się krew. Moja zdrowa krew. Oczyszczyłem ranę. Nie pozostało w niej nic prócz krwi i osocza. Ani jednej białej komórki, z której powstanie druga, potem trzecia, potem tysięczna, by znowu rozmnożyć się we mnie, rozgościć się i zżerać mnie od środka, psuć moją krew i mnie całego.

### ŚRODA

Powiesiłem sobie dwa plakaty na ścianie, nawet nie wiedząc, ile radości sprawię tym rodzinie. Pierwszy to wierna kopia zawieszzonego w pokoju specjalnego agenta Muldera z „Archiwum X”, słynne „I want to believe”(Chcę uwierzyć.). Mama nie zwróciła na to szczególnej uwagi, ponieważ zna serial i, co tu dużo mówić, trochę o mnie wie, jako dzieciak chyba za wiele rozgadywałem się na temat - mówiąc w skrócie - UFO. Tak więc Mama odczytała mój plakat zwyczajnie, tak jak go pewnie wymyślono. Natomiast babcia Idalia, jak wszyscy starzy ludzie z dnia na dzień coraz bardziej religijna, nieznająca ani Muldera, ani Dany Scully, odczytała napis z radością i popędziła po dziadka Adama, aby podzielić się z nim odkryciem. Oni oboje, choć kochają mojego ojca, mają do niego cichy żal za ateizm, chociaż ojciec nie jest niewierzący tak naprawdę, tylko z lenistwa. Dziadkowie nie zauważyli na przykład nigdy, jak skwapliwie podjęła jego lenistwo Mama, którą przecież sami wychowali. Ale ona jest ich córką, więc usprawiedliwiają ją przed sobą i całym światem, tłumacząc, że ulega mężowi. Trochę im z tym źle, tak mi się przynajmniej wydaje, chociaż byłem przecież, jak Mirko, ochrzczony i przystąpiłem do komunii. Pewnie też i ślub wezmę w kościele, a Mirka już nie będzie między nami.

Przy czym to on chodził do kościoła co niedzielę z matką, a jednak zachorował. Ja nie.

Babcia, przeczytawszy plakat, uznała, że chcę się nawrócić. Sam z własnej woli nadrobić braki w wierze. Uznała to za świetny omen, uściskała mnie, a dziadek Adam dał mi forszę na kino. Poszedłem sam, ale przyniosłem Mirkowi średnią porcję popcornu.

### ŚRODA W NOCY

Nie mogę spać. Moje I want to believe nie ma nic wspólnego z tajnymi aktami FBI. Chodzi mi o to, i nie powiem o tym nikomu, że chciałbym wiedzieć, a nie wierzyć. I want to know. (Chcę wiedzieć.) Dopiero kiedy będę wiedział, będę umiał uwierzyć, wcześniej nie. Wiara i wiedza, a raczej wierzenie w coś i wiedzenie czegoś, są moim zdaniem dokładnie zamienne. Słyszałem rozmowę ciotki Ewy - Marii z lekarzem, który co kilka dni przychodzi do Mirka. Pili razem kawę, wyraźnie się lubią, on nie ma rodziny, więc cieszy się, jeśli ktoś zatrzyma go wieczorem i czymś poczęstuje. Wymieniał jakieś lekarstwa, ciotka nie miała o nich wielkiego pojęcia, chociaż we wszystkim, co dotyczy raka, jest teraz obeznana do niemożliwości. Gadali długo, taki small - talk o leczeniu, bo o czym innym można rozmawiać z lekarzem. I on mówił, że ukazał się artykuł zaprzeczający skuteczności stosowania czegoś tam, co stosowano przez lata, wierząc w skuteczność. On uczył się o tym na studiach, przepisywał to setkom pacjentów, a teraz wszystko okazuje się nieprawdą. Powiedział tak: „Straciłem wiarę w to, w co wierzyłem”. Teraz boi się, że wszystko inne w tej jego medycynie też może się nie zgadzać, więc jak ma leczyć ludzi? Ha. A co mają powiedzieć wszyscy wierzący, którym coraz to następni naukowcy powtarzają, że Boga nie ma? Coraz mniej niewiadomych pozostaje do odtworzenia modelu powstania świata, jak powiedział J. S. Gordon w „Science”: Im dalej i

głębiej się posuwamy, tym ciaśniej się staje. Nauka odkrywa kolejne miejsca i już prawie nie pozostały żadne, w których mógłby znajdować się Bóg.

Kiedy będę wiedział, uwierzę. A jestem świadomy tego, że to niemożliwe dowiedzieć się wszystkiego. Może więc zdarzy mi się klasyczna ironia losu, że na starość będę wierzył bez podstaw? Ze zwykłego strachu przed śmiercią, jak babcia Idalia?

I want to know.

**SOBOTA**

Drugi z plakatów podarował mi ojciec i bardzo, ale to bardzo się ucieszył, że już po trzech dniach powiesiłem go na ścianie naprzeciw łóżka. Przy czym plakat jest idiotyczny i jest kolejną z tych kulek, które wrzucam do słoja nieszanowania mojego ojca. Mój wielki problem: NIESZANOWANIE OJCA. Dobrze, że jest także Mama. Od niej nie oczekuję spełniania moich wymagań. Mama dobrze gotuje, ładnie pachnie, uśmiecha się do mnie i co wieczór, obojętnie, co by się działo, przychodzi pocałować mnie na dobranoc. Oczywiście nikomu o tym nie mówię, zwłaszcza Mirkowi.

A ten plakat jest biało - czarny, „męski”, jak powiedział ojciec, przedstawia schody z ludzikami, które wypowiadają się hasłkami typu How do I do it? (Jak mam to zrobić?), albo I want to do it (Chcę to zrobić.), albo I'll try to do it (Spróbuję to zrobić.). I tak dalej. Ale nie o to mi chodzi, powiesiłem go z powodu hasła WHERE DO YOU WANT TO GO TODAY? Na plakacie chodzi o strukturę przedsiębiorstwa, dalej o strukturę społeczną, miejsce, które zdaniem mojego ojca każdy musi zająć, oraz o miejsca, do których powinien dążyć. To dla ojca. A mnie chodzi o sny. Oglądałem sobie wieczorem ten plakat przed zaśnięciem, pali się u mnie mała lampa, prawie udało mi się już od niej odzwyczaić i ojciec nie był już

taki wściekły. Jednak kiedy obcieli nogę Mirkowi znowu nie umiałem zasnąć w ciemnościach.

Dokąd chcesz pójść dzisiejszej nocy - toNIGHT - oto co znaczy dla mnie ten plakat. Nauczyłem się udawać w sen, wszystkie te ludziki to ja i razem kpimy sobie z tego, co dzieje się w jakiejś tam firmie. Wcale nas nie obchodzi, co stanie się toDAY, a już na pewno nie mamy żadnych zadań do wykonania. Ja, te ludziki, wybieramy sobie sen, wybieramy się w sen, wybieramy siebie na sen, jednego z nas, mnie - na ten sen. Nauczyłem się tego bardzo szybko, choć wydaje mi się, że być może rozwinąłem tylko to, co praktykowałem jako całkiem mały dzieciak, kiedy mama wieczorem siedziała przy mnie dłużej. Rozmierałem wtedy pod jej dłonią, gdy głaskała mnie po karku, po kolei zapominałem o nogach, tułowi, rękach, szyi i głowie. Wchodziłem w miękki korytarz, który był wytłumiony ze wszystkich dźwięków. Nawet moje oczy, choć jeszcze nie spałem, nastawiały się jak lornetka na to inne, senne widzenie. Moje ciało zostawało w łóżku, a ja zaczynałem się unosić.

Ten plakat pomaga mi wybierać sen. Kiedyś tylko czekałem na przyjście snu, czasami bałem się, ponieważ często zdarzał się sen bardzo zły, naprawdę straszny, a wtedy przez wiele nocy obawiałem się jego powrotu. Schody z plakatu, różne ludziki - różny ja - przypominają mi szachy. Jestem białym pionkiem, czasami białym konikiem albo gońcem. Mogę zaczynać grę, mogę nadać jej początkowe tempo. Nie lubię być królem. Najbardziej chciałbym być białą królową.

## ŚRODA

Głupio wyszło z tym plakatem. Wszystko przez to, że sam nie umiem zdecydować się, co uważam za dobre, a co za złe. Zwłaszcza z Mirkiem, bo u niego wszystko jest teraz takie ekstremalne. Z Mamą, nawet z ojcem, wszystko jeszcze zdążę

- naprawić błędy, nadrobić jakieś złe zachowania, poza tym oni i tak mają swoje życie, także beze mnie. A Mirko składa się teraz tylko z dni, które mu zostały. Nie mówimy nic ciotce Ewie - Marii, ale chyba nikt już nie wierzy w to, że Mirko przeżyje. Jest tak, jakby z tą nogą odjęli mu przyszłość, bo kto wyobraża sobie trzynastoletniego chłopaka bez nogi.

Kiedy opowiadałem mu o plakacie ze schodami, było to przy okazji szachów, bo obaj lubimy grać w szachy, a on jak na takiego smarkacza jest naprawdę świetny. To chyba jedyna dobra rzecz, którą dał mu ojciec. Mirko gra z ojcem od piątego roku życia, co tylko wkurza ciocię Ewę - Marię, która uważa, że ojciec powinien rozmawiać z synem i grać z nim w piłkę, a nie siedzieć przy szachownicy, kiedy już i tak rzadko się widują. Ale Mirko kocha szachy, pewnie właśnie dlatego, że to ojciec go nauczył. Mój ojciec jest kiepski w szachy i zawsze się wykręca, kiedy ja albo Mirko chcemy z nim zagrać.

Mirko opowiadał, że na samym początku ojciec stawiał sobie tylko pionki i obok króla królową, a i tak z nim wygrywał. Potem, kiedy Mirko grał już coraz lepiej, ojciec zaczął dostawiać kolejno po jednej wieży, skoczku, gońcu i tak dalej. Najdłużej grali tak, że ojciec nie miał królowki, chyba aż do zeszłego roku. Potem Mirko zażądał, by grali jak równy z równym, a że smarkacz jest ambitny, zauważał natychmiast, kiedy ojciec się podkładał. I ryczał, nie powiedział mi oczywiście, ale jestem pewien, że ryczał. Ojciec miał z nim kłopot, pewnie, ale gdyby nie choroba, Mirko zostałby drugim Kasparowem.

No więc opowiedziałem Mirkowi o moim plakacie, w którym widzę szachy, a on strasznie się napalił. Też go ubawiło, że mój ojciec znowu nic nie zrozumiał, ale od słowa do słowa zaczął mówić o własnych snach i o tym, że boi się zasypiać. Spodobał mu się mój pomysł zaczynania snu tak, jak



zaczyna się grę. Więc obiecałem mu ten plakat. Ale kiedy go zdjąłem ze ściany, z tej kolorowej, którą malowaliśmy razem z Mamą w kleksy, na co ojciec się wkurzył, plakat znowu wyglądał tak, że tylko go powiesić w gabinecie mojego starego nad biurkiem. Znow przedstawiał ludziki pracujące na mojego ojca, żeby był zadowolony. Poza tym ten plakat był biało - czarny, jak niebo i piekło, nawet te ludziki bez włosów miały takie kontury, że jakoś zaczęły mi przypominać duchy. Przecież nie mogłem dać Mirkowi plakatu, na którym czarno - białe duchy wchodzą po schodach do nieba! I to jeszcze do jakiego nieba! Białego, bladego, zimnego jak nie wiem co! (Ojciec powiedziałby „jak cholera” - ale mnie zabrania).

Nie wiedziałem, co z tym zrobić, więc zwlekałem z zanieśieniem tego plakatu do szpitala, aż mały zaczął mówić, że mu pożałowałem. Ale - cholera - miałem być odpowiedzialny za to, że jemu zaczęłoby śnić się niebo z duchami? I to jeszcze niebo, do którego trzeba wchodzić po schodach, skoro on nie ma nogi... Głównie jak głupi, aż trafił chciał, że przyszła koleżanka Mamy z sześciolletnią córką, Lizą, fajny dzieciak, chociaż trochę mądrała. Mama zdziwiła się, kiedy powiedziałem, że Liza może pobawić się u mnie w pokoju. Ona koniecznie chciała grać na komputerze, ale powiedziałem, że jeśli pokoloruje mi jeden plakat, dam jej na zawsze moją nową grę na CD - ROM - ie. Dąsała się, poza tym wyszło na to, że wcale nie mam kolorowych kredek, były same ciemne. Kiedyś słyszałem rozmowę Mamy z ciotką, że trzeba powiesić kolorowe firany w pokoju Mirka, bo ciemne pomieszczenia wywołują fatalny nastrój. Posadziłem Lizę przy komputerze i pojechałem rowerem - niezbyt chętnie jeżdżę ostatnio na rowerze - do sklepu za rogiem, zaraz za tym ostrym zakrętem. Tam wszystko jest droższe niż w supermarkecie, ale nie miałem czasu, więc musiałem tutaj kupić te kredki i jeszcze się cieszyłem, że w ogóle były. Liza

wcale nie była zadowolona, że odrywam ją od gry, ale powiedziałem, że jeszcze jej te kredki dołożę, jeśli naprawdę pięknie pomaluje mi plakat dla Mirka. I namalowała, zrobił się cały kolorowy, może różowego na nim za dużo, ale mała najbardziej lubi różowy. Kiedy poszła, poprawiłem trochę kreski na bardziej wyraziste pisakiem, bo zabrała kredki, i już na sam koniec, sam nie wiem, co mnie natchnęło, domalowałem jednemu ludzikowi skrzydła. Mirko może sobie mówić, co chce, ale anioł na pewno mu nie zaszkodzi. Myślałem, że może nawet nie zauważy go w tej masie kolorów Lizy.

Mirko wcale nie był szczęśliwy. Już myślałem, że się rozryczy, ale się opanował. Pewnie dlatego, że cały czas trochę się mnie boi - i dobrze. Wcale nie trzeba ryczeć, to w niczym nie pomaga. Zacząłem się wygłupiać i opowiadać o kolorowych snach i kolorowych szachach, bo przecież kiedy byliśmy mali, nie graliśmy w szachy, tylko w inne gry kolorowymi pionkami i ludzikami, no i w końcu się rozluźnił i pozwolił, bym zawiesił mu ten plakat na ścianie. Wiem, że będzie lepiej spał. A jemu powiedziałem, że poproszę ojca o drugi plakat, taki sam, i wtedy się zamienimy. Mirko się zgodził i na razie mam spokój, chociaż wiem, że ojcu dawno skończyły się plakaty i żadnego mi nie przyniesie. Zawsze mogę powiedzieć Mirkowi, że znowu pokłóciliśmy się ze starym i nie chcę go o nic prosić.

### CZWARTEK

Denerwuje mnie, kiedy Mirko zagina mnie w różnych sprawach. Nawet jeśli chodzi o te głupie dinozaury. Jest w końcu młodszy, miał prawie trzy lata życia mniej na zbieranie wiadomości. Oczywiście wiem, że ostatnio może spokojnie poświęcać cały swój czas nauce, wszyscy znosimy mu książki i gazety, nawet mój ojciec kupuje mu „Geo”, chociaż mnie kiedyś odmówił, bo za drogie. Mirko ma telewizor w pokoju i

zdaje się, że nawet został oddziałowym pieścioszkiem, bo nie tylko lekarze, ale i inni pacjenci przychodzą do niego pogadać. Wszyscy tam zachowują się tak, jakby chcieli wynagrodzić mu to, że jest jedynym dzieckiem na oddziale. Mama mówi, że akurat jest odwrotnie, że to starsi ludzie szukają kontaktu z młodym życiem, ale jej nie wierzę. W Mirku zostało mało życia. O tyle mniej, ile zabrano mu z nogą, procentowo, jak w papierach ubezpieczalni powypadkowej. Może uruchomiło się u niego tyle samo więcej procent mózgu, ale on zawsze był niegłupi... Wiem na pewno, że wolałby tę nogę. Chętniej oddałby procenty z mózgu.

A jeśli chodzi o dinozaury, to głupio wplątałem się z nim w rozmowę o tabletkach przedłużających życie pojedynczym ludziom i ludziom jako rasie. To znaczy, wplątałem się, znowu mówiąc o jego chemioterapii jako o czymś zbawczym, ale nie wiem, czy mi uwierzył. On mówi, że to dobrze, że dinozaury wyginęły, bo pozostały w pamięci jako śliczne obrazki dla dzieci. Fakt, żadne następne stworzenia, nawet ukochane pieski i kotki z kokardami, nie były już tak malownicze. Pewnie Pan Bóg zwolnił tamtego malarza, który je dla niego wymyślał, a następnemu zabrakło fantazji. W każdym razie tabletki nie przedłużyły życia dinozaurom, które zginęły w kwiecie urody, jak by powiedziała babcia Idalia. Nie ewoluowały. Gdyby życie Mirka rzeczywiście miała przedłużyć chemioterapia, czy w jego później przekazywane geny wpisałby się jakoś ten brak prawej nogi? Czy jest teoretycznie możliwe, żeby kiedyś narodziło się jednonożne dziecko? A po innych ludziach, którym rozwój nauki sztucznie przedłużył życie, pozostałyby w dalekiej przyszłości ślady w postaci braku rogówki albo piersi, sztywności stawów biodrowych albo natychmiastowej łysiny? Muszę dowiedzieć się więcej na temat ewolucji genów.

\*

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile twój rower kosztował?

Głos ojca kipiał wściekłością, której nawet nie próbował opanować, ponieważ obecna w pokoju Anna także dzieliła z nim zdenerwowanie, którego powodem był znowu Tim.

- Dostałem go w prezencie, więc nie wiem - odpowiedział Tim, starając się nie okazywać strachu. Ciszej dodał: - Od dziadka.

- To nie ma znaczenia, od kogo go dostałeś! - krzyknął ojciec. - Ma natomiast znaczenie to, że to bardzo drogi rower i ja sam dokupiłem ci do niego doskonałe zamknięcie, którego miałeś używać! Właśnie dlatego, żeby nikt ci tego roweru nie ukradł!

- Yes, sir - odpowiedział Tim, spuszczać głowę.

- Przestań ze mnie kpić! - wrzasnął ojciec. - Nie mam nastroju słuchać twoich głupich żartów!

Anna z przestachem chwyciła go za rękę, jakby bała się, że za chwilę padnie uderzenie.

- On tego nie chciał... Coraz więcej jest kradzieży, każdego dnia coś się dzieje, a z rowerami to już prawdziwa plaga. Żadne zamki już nie pomagają!

- Ale wszyscy chociaż próbują się przed tym uchronić, czymkolwiek, natomiast nasz syn nawet nie zadał sobie trudu wyciągnięcia linki z plecaka! Poza tym okłamał nas! Okłamał, czy ty nie zdajesz sobie z tego sprawy? Powiedział nam w oczy, że sprzed szkoły skradziono mu rower, który był odpowiednio zabezpieczony przed kradzieżą!

W oczach Anny pojawiły się łzy. Nie puszczać trzęsąc się ze złości dłoni męża, wpatrywała się w swego piętnastoletniego syna, który wydał się jej nagle jeszcze mniejszy w swoich modnych, zbyt obszernych ubraniach i przekręconej do tyłu czapce z daszkiem na opuszczonej

głowie. Obok jego nóg w niezasnurowanych, wyglądających na olbrzymie adidasach leżał plecak, z którego prócz książek wysypało się także solidne zabezpieczenie do roweru.

- Będiesz chodził do szkoły pieszo. Przez rok. Nie będę płacił za autobus ani matka nie będzie cię odwoziła przed pracą. Nie myśl też sobie, że wolno ci będzie używać roweru Mirka.

Tim krnąbrnie uniósł głowę.

- No, sir - odpowiedział.

### PONIEDZIAŁEK

Ciotka Ewa - Maria powiedziała przy stole, że zamierza kupić Mirkowi laptopa z wejściem do Internetu, aby chłopak miał jakieś zajęcie, kiedy leży w łóżku. Chwilę potem zapytała dziadków, czy pożyczą jej pieniędzy, kiedy proteza będzie do odebrania, bo ma tylko albo na jedno, albo na drugie. I zaczęła płakać, nie wiem, czy konkretnie dlatego, że nie ma pieniędzy na obydwie rzeczy dla Mirka, czy znowu płakała na samą myśl o protezie, którą będzie musiał nosić. Jasne, to nic fajnego, ale przecież nikt inny, tylko ona sama opowiadała mi kiedyś o grze Pollyanny i nawet pożyczyła książkę. Nie wiem, czemu akurat przy tej okazji przyszło mi to do głowy, pewnie dlatego, że Pollyanna swoją grę wymyśliła w dniu, w którym ktoś przysłał jej w paczce kule zamiast lalki. I od tej pory wymyślała, a z nią całe miasteczko, pozytywne strony każdej, nawet bardzo złej sytuacji. Kiedyś ciotka Ewa - Maria była bardzo zabawną osobą i głosiła pozytywne myślenie. Śladu z tego nie zostało od czasu choroby Mirka. Już myślałem, by przypomnieć jej tę grę Pollyanny, ale szkoda mi się jej zrobiło, kiedy tak płakała. Poza tym ojciec siedział z nami przy stole i pamiętam, jaki był zły, że czytam takie książki dla dziewczyn. „Pollyanna! - drwił. - Jako następną przeczytasz może «Anię z Zielonego Wzgórza»!" Przeczytałem, pewnie,

babcia Idalia ma wszystkie tomy, stare jak świat, z fajnymi rycinami. Czytałem w tajemnicy. Właściwie to tchórz ze mnie.

Chciałem powiedzieć ciotce, że powinna się cieszyć z tej protezy dla Mirka. Że to proteza, nie kule. Widziałem katalog, wygląda jak prawdziwa noga. Zgina się w kolanie, zgina się w kostce. Kiedy Mirko ją w końcu dostanie, pogonię go tak, że będzie chodził na niej szybciej niż na własnej nodze. Tylko czemu to cholerstwo jest takie drogie? Mirko mógłby wprawdzie dostać protezę z ubezpieczalni, ale tylko taką, która naprawdę niewiele różni się od kul, to znaczy, kul współczesnych. Wcale się nie dziwię, że ciotka Ewa - Maria gotowa jest wydać majątek, poza tym wiadomo, że kiedy potrzeba, w domu zawsze znajdują się jakieś pieniądze. I nie musi ich wyrzucać na laptopy (cholera, ale sam chciałbym kiedyś go mieć!).

Powiedziałem ciotce - pod warunkiem, że nie powtórzy Mirkowi - aby tego nie robiła. Powiedziałem jej, że potrzebuję kumpla w lecie, takiego, co się będzie ruszał, a nie takiego, co tylko ciurkiem leży w łóżku. Bo wiadomo, że jak kupi mu laptopa, to nawet nie będzie mu się chciało ruszyć tyłka z pościeli. I powiedziałem, że możemy przecież razem używać mojego komputera. „Ale on nie wejdzie do ciebie po schodach” - powiedziała ciotka Maria - Ewa, a ja powiedziałem, że możemy go postawić na korytarzu na parterze, gdzie jest miejsca dosyć. Mama się ucieszyła i obiecała załatwić stolik, a ojciec miał głupią minę i chyba był niezadowolony, bo on jest w gruncie rzeczy skąpy i kupił ten komputer dla mnie, po długiej walce zresztą, dopiero gdy go przekonałem, że na pewno będę lepszy w szkole. I sam z niego czasami korzysta, zwłaszcza w weekendy. Więc zacząłem trzeć oczy i powiedziałem, że i tak nie mogę ostatecznie siedzieć zbyt długo przed monitorem, bo oczy mnie bolą i

łzawia, i czy moglibyśmy pójść w przyszłym tygodniu do okulisty.

\*

Anna weszła do pokoju Tima, kiedy odrabiał lekcje. Najpierw podniosła z podłogi kurtkę, potem sweter i skarpetki. Nie spiesząc się, podeszła do siedzącego przy biurku syna i zajrzała mu przez ramię, udając, że nie zauważa kolorowego egzemplarza „cinema”, pośpiesznie schowanego pod zeszyt z zadaniami z fizyki. Poglaskała go po warkoczyku z tyłu głowy, bo, jak oboje wiedzieli, nie znosiła żelu, za pomocą którego Tim uparcie formował sobie nad czołem sztywne różki.

- Mówiłeś poważnie o tym obcięciu włosów? - zapytała z nadzieją.

- Poważnie - potwierdził. - Znudziły mi się długie, poza tym idzie wiosna.

- Nie wierzę ci. Chodzi o Mirka - powiedziała, choć był to blef z jej strony.

- Trochę... - przyznał niechętnie. - Męska solidarność. Anna przytuliła go do swej pulchnej piersi.

- Jestem z ciebie dumna z powodu tego komputera. - Okej.

- Naprawdę powinniśmy pójść do okulisty?

- Coś ty.

- Jesteś facetem mojego życia, wiesz o tym?

- Drugim.

- Tylko w kolejności.

Tim uśmiechnął się, czego nie zauważyła. Gdyby miała naprzeciwko siebie jego twarz, dojrzałyby na niej ślad codziennego smutku, doskonale maskowany ironią.

- Ale ostrzegam cię, jeśli Mirkowi odrosną w końcu włosy i zapragnie nosić długie, też będę solidarny - powiedział podstępnie Tim.

- Okej.

- I wstawisz się za mną u ojca? - odwrócił się do niej z przekornym grymasem ust.

- Słowo się rzekło. Chociaż to nie będzie łatwe, sam wiesz. On... jest trochę przeczulony na ten temat. Zresztą nie wini ciebie, lecz mnie.

- Bo nie obcinałaś mi włosów, kiedy byłem mały?

- Nie, cwaniaku, bo ustępowałam ci, kiedy chciałeś mieć długie!

\*

## NIEDZIELA

Jaka jest ta Śmierć, której tak obawia się Mirko? Która nie daje mu spać, jak sam mówi, trzyma przy nim straż i nie opuszcza jego łóżka? Dlaczego ja jej nie czuję? Przecież powinienem. Chodzę do niego i szukam jej, oglądam wszystkie kąty pokoju, przyglądam się Mirkowi, kiedy ma największe wątpliwości, i jeśli widzę jakieś ślady, dałbym prawie pokroić się za to, że pochodzą z niego samego, a nie z jakiejś czatującej na niego Śmierci.

Najpierw chodziłem do niego najbardziej ze względu na ciotkę Ewę - Marię, bo niknie w oczach. Ona zawsze była moją przyjaciółką i zawsze czułem to, że ona i Mama są bliźniaczkami. Tak trochę jestem synem ich obydwu i podoba mi się to. Jestem ich i pochodzę z tego domu. Oczywiście wiem, że kiedy się urodziłem, ojciec też już był tutejszy, jednak czuję, że należę tu bardziej niż on, przez urodzenie, przez oczy Mamy i ciotki, moje znamię na boku, dokładnie takie jak u dziadka Adama, nawet przez pamiętniki babci Idalii. A ojciec jest elementem napływowym. (Ale by się wściekł, gdybym mu to powiedział!).

Potem chodziłem już dla samego Mirka. Ale też do tej śmierci, o której w końcu zaczął mi opowiadać (postanowiłem, po pierwszych wątpliwościach, jednak nie



pisać tego słowa wielką literą). On się jej boi. Wcale nie wyobraża jej sobie - w przeciwieństwie do wielu pisarzy czy poetów - jako pięknej młodej dziewczyny; jednak ma to pewnie związek z wiekiem. Teraz coś pięknego dla Mirka to rower albo staw pełen kijanek, bo dziewczyny zupełnie go nie obchodzą. Poza tym on nie chce, jak tamci, odchodzić. W śmierci nie ma dla niego żadnej atrakcji.

Jego śmierć nie ma płci, jest jakimś złym towarzyszem, nieproszonym, jest samym strachem. I dlatego podejrzewam, że Mirko ją sobie trochę wymyślił, sam sprowokował i w jakiś dziwny sposób sam wzywa ją do siebie. Wiele przemawia za tym, że jest tak, jak przypuszczam: przede wszystkim to, że ja jej nie czuję, a powinienem. Znamy się z Mirkiem od urodzenia i większość rzeczy zawsze odczuwaliśmy podobnie - także odkąd podrośliśmy i przestaliśmy się do tego przyznawać. Nigdy nie musieliśmy długo gadać, aby się zrozumieć, a zabawa w chowanego nam nie wychodziła, bo każdy z nas wiedział, gdzie drugi się schował. Dlatego nie wierzę do końca w tę śmierć, która podobno prześladowe Mirka w pokoju.

Słyszałem, jak sąsiadka mówiła do Mamy, że jeśli ktoś jest śmiertelnie chory, widać to na twarzy. Podobno zapadają się oczy, wyostrza nos, zarys szczęk i zęby bardziej wystają z dziąseł. Ignorancja i przesady, czytałem o tym. To wynik zwykłego chudnięcia, nic więcej. Anorektycy żyją z tym całe lata i niekoniecznie umierają. Mirko schudł, to prawda. My wszyscy, prócz ciotki Ewy - Marii, prawie nie wierzymy w jego wyzdrowienie, to też prawda. Ale jeśli on rzeczywiście od nas odejdzie, będzie to oznaczało, że jego czas się skończył, a nie że śmierć, po miesiącach straszenia go we własnym domu, w końcu zdecydowała się go zabrać. Tłumaczę to Mirkowi, a raczej usiłuję tłumaczyć. Wiem, że

noc źle go nastraja i boję się, że myli śmierć ze zwykłą ciemnością.

#### CZWARTEK

Nie ma szans, bym zdażył zbudować riksę. Mirko czuje się coraz gorzej, jest coraz słabszy, nawet do komputera coraz rzadziej się podnosi i jak tak dalej pójdzie, rzeczywiście trzeba będzie kupić mu laptop. On sam mówi, że to już niedługo, boję się o niego i boję się być przy nim, bo coraz częściej gada od rzeczy, chociaż to, co mówi, jest jakoś logiczne i zaczynam nie odróżniać jego normalnego myślenia od myślenia w chorobie. Powinni go stąd zabrać. Nie wiem dokąd, nie mam pojęcia, ale chyba chodziłoby o jakieś miejsce, w którym nie ma nocy. Ten dom, mój dom i Mirka, jest najlepszym domem na świecie, ale nawet on nie wytrzymuje ciemności. Kiedy byłem mały, bałem się spać, ta ciemność była silniejsza od mojego całego zaufania do domu, od wiary w niego, od lubienia. Ciemność zabierała mi widzenie ścian, które lubiłem, rzeczy, zabawek, mebli. Kiedy dom niknął mi z oczu, tak jak Mama niknęła mi z oczu, wpadałem w przerażenie. Co tu dużo mówić, wiele z tego zostało do dziś, choć z tym walczę, a poza tym teraz chodzi już tylko o Mirka.

Nawet w Internecie sprawdzałem, czy mógłbym gdzieś skombinować riksę. Jakiś amator ma do sprzedania, ale nie mam tyle kasy, nie mam też szans jej szybko zdobyć. Potrzebowałbym dwóch, trzech miesięcy, a to za długo. Poza tym nie wiem, czy Mirkowi o to chodzi. Boję się po tej historii z plakatem, niby go przyjął, niby było OK, ale dałem mu coś innego, niż on chciał (a niby uważam, że go wyczuwam). On mówi wyraźnie o rowerze. Mówi, że to jedyny sen, który go cieszy, jedyne marzenie: chce pojechać rowerem nad staw.

Grób numer 1149

LAI

- Bardzo dziwne imię - powiedziała Karina. - Lai.  
- La - i - poprawił ją Knut. - Wymawia się La - i.  
- Była Azjatka?  
- Pochodziła z Azji, ale nie wiem dokładnie skąd.  
- Nie pytałeś? - zdziwiła się, ponieważ brak wiadomości o którymś z lokatorów cmentarza zupełnie do Knuta nie pasował.

Jego lokatorów, jak przyzwyczaiła się myśleć.

- Rzadko widuję jej rodzinę - wyjaśnił niechętnie, jakby się za nich wstydził. - Raz do roku, na Święto Zmarłych, przychodzi teściowa, dwa, trzy razy do roku mąż z córeczką. I z nową żoną, bo bardzo szybko ponownie się ożenił.

- Jaki jest? - spytała.

- Wysoki, bardzo wysoki, z długimi kończynami, dużą głową, tęgi. Nie podobałby ci się.

- Chcesz powiedzieć, że nie wyszłabym za niego za mąż, jak ta La - i.

- Nie, na pewno nie.

- Dlaczego ona za niego wyszła? Knut bezradnie pokręcił głową.

- Może wybrał ją sobie z katalogu i sprowadził? - poddała Karina.

- Nie - odpowiedział. - Jak na taką importowaną żonę zbyt dobrze znała język. W każdym razie nie mieli werbalnych trudności, by się dogadać. Werbalnych.

Karina wykrzywiła usta.

- Wiesz o niej, że umiała rozmawiać ze swoim mężem, a nie wiesz, jakiego była pochodzenia?

Nie zareagował na jej zaczepkę.

- Tak powiedziała jej teściowa. Jeden raz, kiedy z nią rozmawiałem. Powiedziała: „Dużo ze sobą rozmawiali”.

- La - i i jej mąż?

- No tak.

\*

Siedziały na tarasie, przy starannie nakrytym stole, przy parujących filiżankach herbaty. Lai poprawiała białe kwiatki w płaskiej szklanej misie, powtórzyła ten gest już wiele razy, bardzo chciała, by na jej stole wszystko wyglądało bez zarzutu. Rozpoczął się wrzesień, lecz słońce jakby zapomniało o następującej jesieni i paliło bez litości. Lai skorzystała z tego i założyła słoneczne okulary, które dość dokładnie chroniły ją przed wzrokiem rozmówcy, a kapiące łzy ścierała ukradkiem za każdym razem, gdy sięgała do kwiatowej kompozycji, jakby rzeczywiście ta wymagała natychmiastowego poprawienia.

- Powiedz mi, proszę - kontynuowała teściowa - czy zadałaś sobie kiedykolwiek trud zdefiniowania własnej sytuacji życiowej?

Dlaczego ona używa tak trudnych słów, pomyślała Lai z rozpaczą. Chce mnie upokorzyć? Podkreślić granicę między nami? Między mną a jej synem? Jednym z jej trzech synów?

- Co masz na myśli, mamó?

Jak zwykle Lai wzdrygnęła się na dźwięk tego słowa. A przecież od tak dawna, dokładnie od sześciu lat, czterech miesięcy i jedenastu dni brzmiało w jej ustach tak samo, niezmiennie gładko, nie było przecież trudne, nie zawierało trudnych spółgłosek, nie wymagało szczególnego akcentu czy intonacji.

Ma - ma, nie mniej i nie więcej.

Pierwszy raz wypowiedziała je tamtego pamiętnego dnia, pełnego deszczu i słonecznych promieni, słanych bez sensu między chmury, jakby niebo nie mogło zdecydować się na wróżbę, której Lai tak bardzo oczekiwała. Silna ulewa wymywała z powietrza zachłystujące się własną urodą smugi

światła i gasiła ogrodowe kwiaty, pyszne w koncercie majowego dnia. Chwilę później wiatr wyganiał ulewę spośród drzew, siejąc popłoch wśród gałęzi, altankowych mebli, balonów i rozpiętych lampionów.

Lampiony były z plastiku. Dobra wola przyszłej rodziny Lai i otwarte powiedzenie świata „tak, akceptujemy tę dziewczynę i wszystko, z czym przychodzi” ścierały się w nich z potrzebą praktyczności. W melanzu tym zawarł się przypadkiem jakiś sens, albowiem plastikowe lampiony i girlandy były zwykłym naśladownictwem azjatyckich ozdób, uproszczonym symbolem azjatyckości z gatunku „made in China”. Były atrapą, taką, jak sama Lai, i kontrastowały z domem łagodniej, niż czyniłyby to prawdziwe ptaki i smoki z papieru. Poza tym z tworzywem sztucznym nie mogły poradzić sobie tak łatwo jak z papierem miejscowy deszcz i wiatr.

Lai powinna była docenić niewątpliwe staranie, z którym przybrano ozdobami, zakiśnięty w swoim trwaniu dom przyszłej teściowej. Mocny na stulecia, choć niewielki, o ściśle wyliczonej liczbie pokoi, z małą, funkcjonalną łazienką i dużą kuchnią, o której ktoś nieorientowany powiedziałby „gościnna”. Dom z czerwonym dachem, obłożony rudym klinkierem na wieki, otoczony kwiatami bliźniaczo podobnymi do kwiatów sąsiada i następnego sąsiada, i następnego sąsiada... Oraz pełen mebli - ciężkich, masywnych, w kolorach zeschniętego brązu, brudnej żółci i zszarzałej zieleni. Serwetek w szarym beżu. Wyblakłych zdjęć kobiet o surowych twarzach w oprawie ciasno upiętych włosów i mężczyzn w wojskowych mundurach.

Friede diesem Haus... obco i groteskowo kołatało się w głowie Lai, wystraszonej spektaklem nieba, oczekującej słońca na szczęście, na obietnicę i potwierdzenie. Na błogosławieństwo. Przyjechali tu prosto z kościoła, gdzie

odbył się normalny katolicki ślub, jak na niewielkie miasteczko staranny i uroczysty; jego należyty splendor miał zamknąć usta wszystkim nieprzychylnym, ograniczyć złośliwości do ironicznych komentarzy na temat skośnych oczu panny młodej. Zajechali pod dom samochodem, z którego widoczność zakłócał ogromny bukiet białych kwiatów na masce, poganiani przyjacielskimi klaksonami jadących z tyłu gości. Przed ustrojonym domem matki Torstena wysiedli, specjalnie zwlekając, aby dać czas gospodyni na przybranie odpowiedniej pozy na progu i poprawienie wielkiego jak opona kapelusza.

Kobieta udrapowała się na najwyższym stopniu schodów i energicznie wskazała miejsce swym pozostałym synom. Obaj podobni byli do Torstena, w ich wzroku Lai odnalazła tę samą ironię - właściwie mogłaby wydać się za któregokolwiek z braci. Kiedy obejrzała się odruchowo, sprawdzając, czy ten jej rzeczywiście przy niej stoi, następną wielką chmurą zasłoniła słońce. W tej chwili Lai uświadomiła sobie, że wszyscy razem spędzą w tym domu jej poślubną noc. Wyniosła kobieta, wyższa o trzy stopnie schodów, potężny Torsten z podobnymi jak bliźniaki nieżonatymi braćmi o imionach Horst i Sven, oraz ona, Lai w białej sukni.

Torsten popchnął ją lekko do przodu, więc uniosła w dłoni skraj koronkowego welonu i niepewnie ruszyła ku domowi. Nim zdążyła uczynić drugi krok, jego dłoń stanowczo ujęła jej łokieć. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i w tej samej chwili wiatr przegonił ciemną chmurę. Błysnęły słoneczne promienie, odbiły się w kwiatach pnącej róży przy drzwiach, niewiele brakowało, a zajaśniałyby także w powitalnej girlandzie na drzwiach, jednak zasłoniła ją kobieta w kostiumie i kapeluszu, z dwoma w ciemne kolory ubranymi mężczyznami jako asystą.

Podobnie było z następną wyczekiwaną wróżbą. Odpędzający chmury wiatr rzucił welon na oczy Lai, prawie wyrwał z jej dłoni delikatną koronkę i zatańczył nią przekornego pirueta. Lai zatrzymała się w pół kroku, jednak Torsten powiódł ją dalej, do matki i braci, ustrojonych w uroczyste uśmiechy. Kobieta w kapeluszu wygłosiła krótką mowę, ucałowała syna w czoło, a ją w obydwa policzki i powiedziała:

- Od dziś możesz mówić do mnie „mama”.

Gdy znikali we wnętrzu domu, kolejno za gospodynią - Lai przypadło drugie miejsce, za nią podążył jej mąż i jego dwaj bracia - po raz ostatni krzyknęło słońce zza chmury o drapieżnym kształcie chińskiego smoka.

Teściowa śledziła wzrokiem kwiatki tańczące w wazie między drobnymi palcami Lai.

- Dokładnie to, co mówię, Lai. Mam na myśli twoją sytuację życiową, której zalet zdajesz się nie dostrzegać.

- Ależ dostrzegam - powiedziała szybko Lai.

- Masz bardzo dobre życie.

- Wiem o tym. Mamo.

- Mój syn wszystko ci zapewnia.

Lai złożyła dłonie na kolanach. „To nienormalne - powtarzał Torsten wiele razy - ten sposób, w który łzy wyciekają ci z oczu”. Nigdy nie miała na nie wpływu; nie drżały jej usta ani nawet nie pojawiał się katar, tylko łzy same płynęły jej strumieniami po twarzy. Jeśli leżała na wznak, ściekały na boki, czasami wpadając do uszu, jeśli leżała na boku, łzy z górnego oka, omijając nos, pokonywały długą drogę, by dołączyć do mokrej plamy łez z oka nad wciśniętym w poduszkę policzkiem. „Nawet nic przy tym nie mówisz”, dodawał Torsten z irytacją.

Tego słonecznego popołudnia na tarasie mieszkania, które Lai zajmowała z Torstenem i córką Marie, łzy wypływały

spoza szczelnej powierzchni słonecznych okularów. Na szczęście ich użycie było uzasadnione - taras nigdy nie został uzbrojony w markizę, a przeciwsłoneczny parasol przedwcześnie powędrował na coroczne ferie zimowe do piwnicy. Teściowa, bojąc się kurzych łapek w kącikach oczu, pierwsza założyła okulary, a Lai skwapliwie poszła w jej ślady już po pierwszych zdaniach zapowiadających temat wizyty.

- Torsten jest dobrym mężem i ojcem - powiedziała Lai blado.

- Ja nigdy nie miałam co do tego wątpliwości - stwierdziła matka Torstena, bardziej niż zwykle akcentując słowo „ja”. - Jednak ty... Jesteś ciągle nieobecna, przygnębiona. Wydaje mi się, że nawet nie starasz się spełniać jego oczekiwań. Prowokujesz go do zachowań, o które nigdy bym go nie podejrzewała.

Lai machinalnie poprawiła okulary i pomyślała ze strachem, że niemożliwe jest, by niewielki siniak w okolicach kości policzkowej wydobył się spod grubej warstwy pudru.

- Kilkakrotnie poczułam od niego alkohol, kiedy był u nas wieczorem. A przyjechał samochodem.

- Torsten lubi wypić wieczorem jedno piwo.

- Powinnaś się sprzeciwić, jeśli chce potem wsiąść do samochodu.

- Ja... staram mu się nie sprzeciwiać.

- Dlaczego nie przyjedziecie razem? Wtedy ty mogłabyś prowadzić. Zrobiłaś przecież prawo jazdy.

Lai spojrzała na teściową bezradnie. Powinam powiedzieć, że Torsten mnie na te wizyty nie zaprasza?

- Zwykle jest dość późno. Staram się, by Marie była przed ósmą w łóżku.

- Co oznacza, że ojciec prawie jej nie widzi - powiedziała matka Torstena sucho. - O której dokładnie przychodzi do domu? O osiemnastej?



- Krótko przed szóstą, tak... Jemy razem kolację. Jeśli nie jest zbyt zmęczony, to on kładzie małą do łóżka. Opowiada jej bajkę.

Kobieta siedząca w fotelu na tarasie, jak zawsze elegancka, wyprostowana, starannie uczesana i z dyskretnym makijażem, ujęła w dłoń filiżankę z wystygłą herbatą. Odwróciła się, wykonując całym ciałem obrót wokół swojej osi, by spojrzeć prosto w skośne i mokre oczy Lai, przezornie schowane za lustrzanymi szybkami okularów. Lai ze zdziwieniem dostrzegła, że tym razem teściowa nie szuka w nich własnego odbicia, nie sprawdza skuteczności szminki i ondulacji. Matka męża rzeczywiście próbowała zajrzeć jej w twarz.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele zostało ci dane?

Lai zacisnęła powieki. Ależ tak, ależ tak, pomyślała rozpaczliwie, wiem. Małżeństwo. Mieszkanie, samochód. Pralka i zmywarka. Kolorowy telewizor, fryzjer, ubrania. Cotygodniowe pieniądze wystarczające na utrzymanie domu.

- Czy zdajesz sobie sprawę - zapytała teściowa - jakim wielkim darem jest być kochaną?

„Przecież jesteś kochana” - mówił do niej.

Tyle razy, tak szeroko i rozwlekle, z tysiącem argumentów, które rzadko rozumiała. Lubił mówić, kochał zabawę słowami i doskonalił się w niej latami, znajdując dobrego słuchacza w Lai, choć ona czuła, że Torsten sam jest swoim najwdzięczniejszym odbiorcą, należycie doceniającym brzmienie własnego głosu, jego barwę i modulację. Swej wielkiej pasji poświęcał wiele czasu, trenując wymowę, melodię zdania i przerwy oddechowe, a także używanie nowych określeń, wyszukiwanych pilnie w książkach i zapamiętywanych z rozmów ze znajomymi z pracy.

Jego znajomi byli ludźmi takimi jak on, urzędnikami państwowymi, dla których dalsze kształcenie zawodowe jest

kwestią ambicji lub potrzeby zajęcia czasu w sytuacji, gdy posada tak czy inaczej jest dożywotnia. Torsten, urzędnik w urzędzie, otoczony urzędnikami w bezpiecznej i niekreatywnej hierarchii, kroczył ustaloną, nieskomplikowaną drogą. Praca nie wymagała od niego szczególnego wysiłku, czasami zdarzały się drobne odmiany w postaci mityngów czy szkoleń, z których korzystał skwapliwie, bo zapewniały rozrywkę. Zwykle celem szkoleń było stworzenie "urzędnika z ludzką twarzą", pożądanego przez media i kolejne nowo wybrane władze. Torsten był wdzięcznym obiektem takiego formowania, ponieważ chłonał nowości i dostosowywał się do każdego serwowanego modelu, nie dopracowawszy się nigdy własnego. Na zajęciach uczył się wszystkiego, czego od niego wymagano, bez różnicy, czy chodziło o prezentowanie nowych przepisów, czy o nowy sposób redagowania pism. Bez oporu ćwiczył i inne elementy budujące image dobrego urzędnika - nawet patrzenie w oczy rozmówcy i podawanie mu ręki. Niczym dobry uczeń wkuwał wszystko jak leci, najczęściej przy śniadaniu i w łazience.

A później wypróbował to na Lai. Przy niej z sobotnio - niedzielnego kursanta zmieniał się w trenera. Zaglądał jej głęboko w oczy, tłumaczył, zadawał pytania. Jednak, zbyt niecierpliwy, zwykle sam na nie odpowiadał, przy okazji poznając lepiej samego siebie. W tych monologach pojawiał się Torsten niekoniecznie prawdziwy, lecz taki, jakim mógłby być. Jakim chciałby być. Jakim byłby już dawno, gdyby mu tylko dano możliwość. Torsten rozrastał się w pozycji, na której wolno mu było mówić w sposób nieograniczony: pytać i odpowiadać, opiniować i ganić, chwalić i czuć satysfakcję, rzadko słuchać - przy Lai, która odzywała się wtedy, gdy udzielił jej głosu.

Już w ich pierwszych wspólnych latach czasami brakowało jej tchu. Czuła, że się dusi. Każde jego słowo,

jeszcze wolno i z trudem modulowane, uderzało ją jak śrut. Całe garście śrutu trafiały ją w czoło, policzki i zamknięte oczy. Tak działo się co wieczór, pod kuchenną lampą nad stołem, w miejscu, w którym jedli kolację. Wtedy prezentacje Torstena nie trwały jeszcze długo, gdyż jako krasomówca stawiał dopiero pierwsze kroki. Na razie próbował, testował. Dopiero rozpoczął coś, co go pasjonowało i smakowało mu jak melasa. Mówił i był słuchany, a Lai słuchała, bo on mówił. I słuchała go, kiedy mówił coraz więcej, coraz szerzej, coraz barwniej, coraz mądrzej, coraz bardziej niedorzecznie.

Przedstawiał jej obce światy, a ona wpadała coraz głębiej w studnię strachu przed nim, bojąc się jednocześnie, że on to odkryje. Odkryje ten strach i jej niezrozumienie. Zrzuci pokrywę ich pozornego współbytu, w którym spotkali się jako ludzie niby z tej samej planety, jednak okazali się kompletnie różni, ekstremalnie osobni, krańcowo obcy. Nie szukała winy i przyczyny. Czasami łopotała w niej naiwna myśl, że dzieli ich różnica ras, że i jej mózg jest jak jej skośne oczy, pracujące w innych zakresach. Innych, czyli gorszych. Bała się, że on to w końcu zauważy. Wyrzuci jej to, wygarnie. Wyrzuci ją.

Czasami jakaś myśl tłumaczyła jej, usiłowała tłumaczyć, wtrącając się w momencie najwyższej biedy, że nie może być aż tak źle. Przecież jej matka, smukła, chorowita kobieta, była Europejką, musiała więc myśleć w podobny jak Torsten sposób. A jednak wszyscy azjatyccy krewni z urazą tłumaczyli Lai w dzieciństwie, że to właśnie matka przywiozła im z Europy jakieś prawdy zbyt proste, obce wszystkim skośnookim. Jej matka jak Torsten wierzyła w jednego Boga i Jego uproszczonych dziesięć zasad. Prawd niewykonalnych, niesprawdzalnych, pozbawionych metafizycznego kontekstu, prawdziwego ducha natury, okrojonych o wiedzę tajemną i demony, lekceważących nawet siłę ciała i umysłu. Jej matka wierzyła w dziesięć zaleceń pomijających moce, klimaty,

pozaludzkie ziemskie istnienia i ziemskie tradycje. Jej matka nie wierzyła w ludzką wrodzoną bezsilność. Przeciwstawiała się poddaniu losowi i przeznaczeniu. Mówiła: jest Bóg, człowiek i drugi człowiek. A miłość pokona wszystko.

I umarła w tej miłości, zbyt wcześnie, by objaśnić swoje prawdy małej Lai. Podobno nie była szczęśliwa. Ale kto jest szczęśliwy, jak powiedziała europejska ciotka, na krótko przyjmująca dziewczynkę do swego pustego domu w obcym mieście. Lai była jej wdzięczna, chciała się uczyć i pragnęła rodziny. Później pojawił się tamten chłopak o włosach czarnych jak jej własne, lecz zmierzwionych, i o oczach niebieskich jak farbowane goździki w kwiaciarni. Roześmiany, budzący zaufanie. I jego przyjaciele, jego szefowie, knajpa, w której usiłowała tańczyć, choć klienci śmiali się z niej po cichu, i praca, którą wykonywała później zamiast tego tańca. Nie miała już wtedy nic, zabrakło jej pieniędzy, ambicji i siły. Pozostały strach i zwątpienie, więc nawet nie protestowała, kiedy kraj, którego język tak dobrze znała, postanowił się od niej uwolnić. Co zrobisz? - zapytała jakaś kobieta, urzędniczka zajmująca się deportacją. Nie wiem, powiedziała Lai. Kolegą urzędniczki był inny urzędnik, Torsten. Starszy od niej, ustabilizowany. Dobry człowiek.

- A już miałem kupić sobie żonę. Azjatkę, jak ty - powiedział jej dość wcześnie. - Teraz nie ma dobrych kobiet w Europie, idziemy po równi pochyłej w kierunku końca cywilizacji; tam, gdzie rozpada się rodzina, nastąpi koniec i nigdy nie będzie już jak w czasach, które pamiętamy. Kobiety się emancypują, nie chcą dzieci, nie chcą zajmować się domem. Obserwowałem wiele kobiet, bo chciałem założyć rodzinę i mieć dom. Z dziećmi, z ogrodem. Jednak one stawiały zbyt dużo wymagań. Nie zdecydowałem się.

Kiedyś, później, powiedział:

- Oświadczałem się trzy razy.

Prawdziwym dalszym ciągiem opowieści winno być to, że po krótkich, oficjalnych oświadczeniach przynosił z powrotem do domu swój odrzucony, sztywny bukiet kwiatów. Żadna go nie chciała. Koledzy w urzędzie mieli rodziny, bracia kolejne narzeczone, a matka, choć niechętnie, powtarzała kąśliwe komentarze sąsiadek. On dręczył się, upokorzony.

Torsten ubarwiał swe opowieści. Przed Lai snuł ciąg dalszy, w którym przedstawiał siebie jako biurowego boga, nieznającego upokorzeń i śmiechów. Dzieląc się z nią przeżyta historią, pokazywał ją jak pudełko czekoladek, w środku puste. Mówił o głupocie kobiet, niewiedzących, co tracą. Mówił, że nie były go warte, jego, który właściwie tylko je testował. I nie pomylił się, bo konfrontacja zawsze wypadła na jego korzyść. Kobiety są nierozsądne, niezdolne do oceny. Niewłaściwe.

- Zakochałem się kiedyś w koleżance z pracy - powiedział jej chyba po roku.

Z dumą dodał, że stłumił własne uczucia, bo tamta żyła w trwałym związku. Jednak w rzeczywistości nigdy nie miał u niej szans, czego nie zauważył w porę. Kiedy odważył się wyznać jej miłość, wyśmiała go, podpita jak wszyscy na urzędniczej zabawie.

Chichocząc, pocałowała go dla żartu prosto w poślinione usta i chwając się, odeszła do swego przyjaciela, poklepującego właśnie inną urzędniczkę. Wszyscy troje śmiali się głośno.

- Ona nie wie, co straciła - przekazał Torsten Lai.

Jeśli nawet przeidealizował tę rzeczywistą kobietę, tę koleżankę z biura - płynęła opowieść w świetle lampy nad stołem - rzeczywiście chciał ofiarować jej uczucie. Darował jej niecodzienną możliwość wspięcia się na podest ideału. Otrzymałaby miłość niejako bez zasługi, wystarczyłoby przyjąć ją z wdzięcznością i docenić. Jednak niektóre kobiety

nie zasługują na szczęście, które je spotyka. Igrają z losem. Ale to nic, twierdził Torsten, z pewnością spotka je zasłużona kara.

- Nienawidziłem jej po tym wszystkim - powiedział kiedyś. - Wyobrażałem sobie tysiące razy, że zwabię ją do mieszkania, pod jakimkolwiek pozorem, i zabiję. Poćwiartuję i zamknę w lodówce. Siedziałem tu, przy tym stole, wyobrażając to sobie i za każdym razem musiałem wstać i zajrzeć do lodówki, czy jest wystarczająco duża.

Lai poczuła strach przed otwieraniem lodówki, a on zadowolony był ze swej szczerzej wypowiedzi. Zdobył się na nią niedługo potem, gdy przeczytał poleconą książkę o ważności eksterioryzacji negatywnych uczuć. Poczł dumę z samego siebie, świadomy niebanalności obrazu ćwiartowanej kobiety.

Co wieczór Lai dygotała z zimna pod kuchenną lampą. Obowiązkowa część życia, cowieczorne przesłuchiwanie i wysłuchiwanie, cały ten nieuchronny rytuał słów, gestów i zachowań odbierał jej siły. Wieczór poprzedzał dzień, w którym od początku bała się zmierzchu, czuła lęk, obserwując przez okno zachodzące słońce, jednocześnie czekając, by już nastąpił. Wiedziała, że i tak nic go nie odwlecze. Później słuchała mówiącego Torstena. Skupiała się na jego słowach, jednocześnie walcząc o siłę do tego słuchania. Aby wytrzymać, nauczyła się oddychać głębiej i równomierniej niż w zwyczajnych okolicznościach. Podświadomie zajęła swoje ciało i umysł oddychaniem, niezależnie od potoku słów płynących do niej z drugiej strony stołu.

Kiedyś, po upływie wielu miesięcy, słowa te zaczęły wypadać z ich własnego regularnego porządku. Najpierw co dziesiąte. Lai rozumiała sens jak dotąd, boleśnie śledziła ich rytm i znaczenie, jednak co dziesiąte słowo Torstena wpadało w czarną dziurę, z towarzyszeniem nikłego dźwięku „pip”

ginęło w powietrzu wiszącym między nimi dwojgiem. Na początku Lai była zaskoczona. Rozglądała się wokół w poszukiwaniu słowa, o którym wiedziała, że zostało wypowiedziane. Szukała go na ustach Torstena i obserwowała moment, w którym powstawało. Jednak nigdy nie zdołała go uchwycić. Dla co dziesiątego słowa droga do jej uszu okazywała się zbyt daleka.

Potem zaczęły wypadać następne słowa, co ósme i co szóste, Lai zachichotała kiedyś przy co piątym, bo dźwięk, który temu towarzyszył, był zupełnie nieprzyzwoity. Jednak pokarana została śmiertelnym strachem, bo Torsten uniósł się z krzesła i spytał ją ostro, czy się dobrze czuje.

- To ja - powiedział wtedy Ptak.

Spojrzała wówczas na Torstena, niepewna, czy jego umiejętność modulowania głosu mogła zaprowadzić go aż tak daleko. Jednak nie, z pewnością głos nie należał do niego, tylko do Ptaka siedzącego na kaktusie zdobiącym parapet. Zabrakło jej słów i powietrza. Po poruszających się ustach Torstena poznała, że nie przerwał tyrady.

A Ptak powiedział po prostu:

- To ja zjadam te jego głupie słowa.

Mijały miesiące i lata, podczas których zdarzyło się wiele wieczorów, kiedy Ptak nie pojawiał się wcale. Na długo przepłoszyło go dziecko, które przycupnęło w brzuchu Lai i obudziło w niej niewyobrażalną słodycz, silniejszą niż inne uczucia. Lai myślała wtedy o Ptaku, jednak jej myśli w dziwny sposób dotyczyły tylko jego skrzydeł. Nie zastanawiała się nad jego umiejętnością mówienia, zgadywania, robienia do niej śmiesznych min oraz mrugania na zmianę prawym i lewym okiem. Nie zwracała uwagi na zabawne komentarze Ptaka, nie czekała nawet na zjedanie słów Torstena. Czuła natomiast, że łączą ich skrzydła, przyswoiła je sobie, przywłaszczyła i przyhołubiła, bo dziecko

w jej wnętrzu sprawiło, że gdyby chciała, sama mogłaby pofrunąć.

W tym czasie Torsten istniał obok niej w sposób niebolesny, doceniała jego długą nieobecność, która przedtem oznaczała jedynie przygotowanie do powrotu. Teraz w czasie spędzonym w jego domu, w jego kuchni czy pokoju, najczęściej jednak podczas spaceru zdarzało się, że myślała o mężu z czułością, odkrywając prawdę o jego zasłudze w miękkiej kropli słońca noszonej pod sercem. Nocami sama szukała bliskości, wierząc, że obecność dużego ciała Torstena przysporzy dziecku ciepła i obietnicy dobrej przyszłości poprzez zapewnienie, że czekają na nie oboje.

Słowa Torstena nie były wtedy inne, mówił o tym samym i tak samo, jednak ona słyszała wszystko inaczej, wsłuchana w siebie. Dziecko stworzyło niewidzialne mury wokół umysłu Lai, przytłumiło słuch i wiele rodzajów rozumienia. Dzięki niemu stała się w tym okresie niezniszczalna. Gdyby Torsten spytał ją, jak nauczył się pytać później, „o czym mówiłem?” - umiałaby odpowiedzieć mu z uśmiechem. Nie Ptak, ale dziecko podszeptoby jej użyteczną odpowiedź.

Po urodzeniu maleńkiej Marie wiele się zmieniło. Niemowlę dużo płakało, uspokajało się jedynie w ramionach Lai. Torsten był z tego niezadowolony, podobnie jak jego matka i dwaj bracia. Brakło czasu, by zająć się domem, Lai schudła i zdarzało się, że oczy same zamykały się jej ze zmęczenia. Wieczorny rytm ich domu pozostał jednak niezmienny, kolacja pod lampą zachowała charakter nieodzownego rytuału tak jak poranny, nigdy wieczorny, prysznic Torstena. On sam nadal mówił o sobie, bo w gruncie rzeczy niewiele drgnęło w jego świecie nawet teraz, gdy przybyła mu nowa i odpowiedzialna funkcja życiowa.

- Jestem teraz ojcem - perorował. - To bardzo ważne, bo...



Lai słuchała go, trzymając Marie w ramionach, malutka nie chciała spać, jakby i jej przeszkadzał ciężar wszystkich tez i oświadczeń, usiłowała bronić się płaczem albo może broniła swej matki. Jednak w Torstenie budziło to irytację, której natychmiast dawał wyraz.

Wtedy Lai nauczyła się płakać razem z Marie. Było to doświadczenie nowe dla niej i nieoczekiwane, jednak natychmiast połączyło się w jedno z wszechobecnym w niej strachem, więc nie było przyjemne. Wiedziała, że jej płakać nie wolno, więc uwięziła płacz w sobie tak, że nigdy nie przyniósł jej ulgi. Bolał ją w środku i zajął miejsce zwolnione przez urodzone dziecko. Torsten obserwował z wściekłością jej ciemniejące w głęboką sadzę oczy, z których wypływały łzy.

- Ucisz dziecko - mówił - i przestań płakać. To przez ciebie ona nigdy się nie uspokoja. Przez ciebie nie umie zasnąć we własnym łóżeczku.

Za namową matki kupił lampkę do dziecięcego pokoju, obracający się niebieski walec, w którym pływały kolorowe rybki. Młodszy brat, od niedawna znów zaręczony, też przyniósł zabawki w prezencie, misie i króliki powieszona na obręczy mocowanej nad łóżeczkiem. Mechanizm napędzany prądem grał melodyjkę i kręcił w kółko misiami. Torsten kazał kłaść Marie do łóżeczka, by zasypiała sama, wspomagana przez króliki, misie i rybki, jednak maleństwo dalej płakało, więc Lai dokonywała cudów, przesuwając czasy karmienia. Trzymała córeczkę przy piersi najdłużej, jak było to możliwe, aż do momentu, kiedy zupełnie straciła pokarm.

W czwartym roku ich małżeństwa, kiedy Marie całkiem nieźle radziła sobie z zasypianiem przy świetle z rybkami i pozostałą menażerią, stało się coś nieoczekiwanego. Podczas wieczoru jak każdy inny Torsten nagle przerwał mówienie i wstał ze swojego miejsca przy stole. Obszedł go naokoło i

stanął naprzeciw siedzącej na swoim krześle Lai. Z przerażenia zgubiła oddech i jej oczy rozszerzyły się przed nim.

- Dlaczego ciągle ryczysz? - zapytał niskim, wyraźnym głosem. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

- Dlaczego ryczysz? - wrzasnął. Pokręciła głową wiele razy.

- Lekarz mówił, że jesteś zdrowa, szok poporodowy dawno minął, nie masz powodu ryczeć!

Z trudem wykrztusiła:

- Przecież ja nic nie robię, nie płaczę wcale...

- A te łzy?! A te pieprzone, cholerne, obrzydliwe łzy, co lecą z twoich cholernych chińskich oczu? Co chwilę, bez powodu, codziennie, nie wiadomo, kiedy się kończą, i nie wiadomo, kiedy zaczynają!

- Nie wiem... To nie moja wina...

- A czyja? Moja?!

- Nie wiem, ja wcale nie chcę...

- Wstań - rozkazał. - Torsten, ja...

- Wstawaj, mówię ci!

Wstała, choć kolana odmawiały jej posłuszeństwa. Jej ciało zamieniło się w watę.

- Przestać płakać - rozkazał cicho, lodowatym i twardym głosem. - W tej sekundzie przestań płakać.

- Torsten... - Skuliła się w sobie, lecz nie miała gdzie uciec.

- Ani jednej łzy - wycedził. - Rozkazuję ci. Przygwożdżona jego nieprzytomnym wzrokiem, wchłonięta przez jego rozpalone spojrzenie, w którym ogień zaczął pokonywać wodę, usłyszała swoje serce. Najpierw przytłumione bum - bum - bum, potem coraz głośniejsze, niezmienniejące rytmu, tylko coraz to bardziej hałaśliwe, jak

dzwon kościoła, do którego wędrowiec zbliża się wąską ścieżką.

- Ani jednej łzy - powtórzył wolno Torsten, nie uwalniając jej wzroku.

Dzwon rozkołysał się, niemożliwy do opanowania, jego majestatyczne uderzenia zaczęły tracić rytm, zapomniał się we własnym hałasie i sile, bum - bum - bum, bum - bum - bum. Szum uszu zasłonił przed nią słowa Torstena, jednak widziała jego usta recytujące te same sylaby, metodycznie i z naciskiem. Z melodii dzwonu wypadły pojedyncze uderzenia, zbyt głośne, by móc zachować tempo, przed oczami Lai pojawiły się sine plamy i rozumiała już tylko to, że się boi, panicznie, bardziej niż zwykle, strachem nowym i nieoczekiwanym; już, już, a stałby się cud i krzyknęłyby o tym strachu, wydobyła z siebie zakopany dawno krzyk, jednak stało się coś innego.

Sinym plamom sprzed jej oczu wyrosły skrzydła. Uformował się dziób i oczy. Pierzasta korona i silne, władcze pazury. Ptak, to on, nareszcie wrócił, pomyślała z ulgą. Był większy i jaśniejszy niż dawniej. Poważniejszy niż poprzednio, a mimo to przeleciawszy przez twarz Torstena, jakby wcale go nie było, usiadł na lodówce w tyle kuchni i powiedział:

- Wiesz co, Lai? Śmieję się z tej bzdury!

W piątym roku małżeństwa była prawie zdrowa. Po kilku tygodniach w szpitalu, gdzie umykała wszystkim terapeutycznym rozmowom, śpiesząc się tylko do Marie, i wykonywała wszystkie polecenia, pozwolono jej wrócić do domu. Była posłuszna jak zwykle. Łykała tabletki, po których była senna i bolało ją podbrzusze. Znajdowały się wśród nich różowe pastylki na serce, do zażycia przy porannej herbacie, pitej po odprowadzeniu Marie do przedszkola. Torstenowi ubyło energii, w wieczornych wykładach nadal kazał i prawił,

jednak bardziej ponuro, jakby mówił z nawyku, jeszcze bardziej niż przedtem do samego siebie. Czasami nawet sam to zauważał i wyrzucał Lai, jak wiele między nimi popsuka. Uważał ją za przyjaciela, miał do niej zaufanie, a ona myśli tylko o sobie. Nie o rodzinie, nawet nie o dziecku. O sobie.

- Dobrze, że Marie nie jest do ciebie podobna - stwierdził.  
- Modliłem się o to, by odziedziczyła cechy mojej rodziny, i moja prośba została wysłuchana. Nie tylko jej włosy są prawie jasne, ale nawet ma niebieskie oczy. To, że są trochę skośne, jest właściwie bez znaczenia.

Tego jesiennego dnia, w którym matka Torstena zdecydowała się odwiedzić Lai, reszta rodziny była poza domem. Urząd zorganizował wycieczkę rowerową dla swoich urzędników i ich rodzin, a Torsten zabrał jedynie Marie. Lai ubrała małą w przeciwdeszczową kurtkę, uzbroiła w plecak w różową kratkę i kask. Patrzyła z balkonu, jak odjeżdżali - duży, długoramienny Torsten na ponadwymiarowym rowerze, i tak zbyt małym na jego wielkie ciało, oraz drobniutka Marie, jak przyklejona do jego pleców na dzieciennym siodełku. Jej małe stópki przypięte były paskami do specjalnych podnóżków, mających je chronić przed dostaniem się między szprychy. Lai była przerażona tym spinaniem.

- Przecież gdy ty się przewrócisz, ona upadnie razem z tobą, nie będzie miała szans się podeprzeć... - powiedziała cichutko, bezgłośnie, tak że nawet jej nie usłyszał.

Odjechali więc, Torsten z córeczką, znikli z pola widzenia Lai tkwiącej w promieniach wrześniego słońca na balkonie, a pojawiła się niezapowiedziana teściowa. Nawet jeśli jej wizyta nie była przypadkowa, Lai nie wiedziała o niczym. Przywitała gościa z uśmiechem i pokornie, zalała herbatę i ze stołu w salonie przeniosła na balkon dużą misę z kwiatami. Nie rozumiała tej spokojnej kobiety, która przed wieloma laty urodziła jej męża, wyczuwała, lecz nie pojmowała siły

wieżów między nimi, tak jak naprawdę nie rozumiała ich języka, ograniczając się do powierzchownej znajomości słów.

Teraz czuła, że teściowa przygląda się jej ironicznie, kpi z filiżanek i kwiatów dryfujących po szklanej misie. Niewiara w możliwość pozbycia się obaw sprawiała, że Lai nie próbowała nawet zgadywać zamiarów tej nieruchomo siedzącej kobiety. Dla tamtej była tylko gejszą - i to zbyt kiepską: za mało uśmiechniętą, źle ugiętą w pokłonie i niedoskonałą w sztuce podawania herbaty.

- ...jakim wielkim darem jest być kochaną? - dziwne pytanie zabrzmiało w jej głowie.

Było jak echo, odzywało się daleko, to znowu blisko, uderzyło o czaszkę z prawej strony i z lewej, wpadło do prawego ucha i z sykiem uciekło nosem. Przybrało realną formę szarozielonkawej masy i przepłynęło gardłem z głowy w kierunku dna jej ciała. Oblepiło serce.

- Być kochaną? - powtórzyła Lai lekko, zwracając na teściową niewidzące oczy.

Serce zareagowało na bliskie mu słowo.

Tak, kochanie... Kto mówi do mnie „kochanie”? To taki daleki, obcy wyraz. Nie znam go wcale, nie rozumiem. Tak mówią wszyscy ci ludzie, zwracają się tak do siebie, ale ja, Lai? Ale ja, La - i? Przecież istniały kiedyś i dla mnie jakieś słowa o kochaniu i niekochaniu, o tym, jak kochać, i w tym kochaniu czuć, jakaś bajka o kobiecie i mężczyźnie, o niej kobiecie, o nim mężczyźnie, jakieś inne kocham, które kiedyś może znałam, ale zapomniałam, jak brzmią, jak mają brzmieć, jakie mają znaczenie, nie mogłam nikogo tego nauczyć, nawet Marie, nawet Marie.

„Marie też się ciebie wstydzi przed dziećmi w przedszkolu” - powiedział przecież Torsten.

We wrześniu zdarza się bardzo często, że dni są gorące, ale zbiera się na burzę. Bywają konstalacje gwiazd

niezapowiadające nic dobrego, zdarza się szum drzew, które gubią liście, mimo że serdecznie pragnęłyby je zachować. Było duszno na tym tarasie, gdzie z porcelanowych filiżanek Lai piła z teściową chińską herbatę. Poza tym zapomniała z pośpiechu swojej różowej tabletki, tego dnia i poprzedniego dnia, i dnia poprzedzającego poprzedni dzień.

Ptak przyleciał z sąsiedniego drzewa, największego ze wszystkich w okolicy. Po raz pierwszy zdarzyło się, że przyleciał do niej za dnia. Było to tak nieoczekiwane, że rozszerzyły się jej źrenice. Ptak w świetle słonecznym był jeszcze piękniejszy i większy niż zazwyczaj. I wcale nie był skłonny do żartów. Był uroczysty i skupiony. Pełen miłości. I zrozumienia.

- La - i? - powiedział.

- Tak?

- Jesteś tego pewna?

- Tak - powiedziała i kiwnęła głową.

- Jednak wiesz, co to oznacza?

- Tak - odpowiedziała i wygładziła się skóra wokół jej oczu.

- Wiesz, że nigdy więcej tutaj.

- Tak - odpowiedziała i jej policzki przybrały barwę porcelany.

- Nigdy więcej nie usłyszysz i nie odpowiesz - ciągnął Ptak.

- Tak! - odpowiedziała Lai i jej usta rozkwitły uśmiechem.

- Nawet Marie.

- Tak... - powiedziała Lai i jej serce zatrzymało się w biegu.

Towarzyszająca jej kobieta dawno już zerwała się z fotela, zdjeta paniką usiłowała podtrzymać Lai, drobną, nagle pozbawioną mięśni. Płacząc, podsunęła jej pod głowę zerwany

z siebie zakiet i pobiegła w głąb mieszkania szukać telefonu, wezwała pomoc i wróciła z wodą w szklance, oblewała nią swe trzęsące się ręce, zwilżając siniejące wargi nieprzytomnej Lai.

- Dziecko - wołała - dziecko...

- Serce - stwierdził niedługo później lekarz, przybyły na wezwanie z dwoma pielęgniarzami.

Nieprawda. Bo był to tylko Ptak.

- Mój Ptak - powiedziała sama Lai. - Zabrał mnie mój Ptak.

Grób numer 196

KRIS

Był to jeden z tych dni, w których przypomina się nagle, jak bardzo zatarta i śliska jest granica między jawą a snem. Niby wszystko działo się normalnie, odbywało się swoim porządkiem, spotykali się ludzie, padały jakieś słowa, ktoś kogoś dotykał, ktoś płakał. W pobliżu biegały dzieci, przygarbiony człowiek przechodził aleją, nieco dalej kobieta z siatką spieszyła się do domu, zimowe słońce odbijało się od nagrobnych pomników, a oni stali w tłumie, smutnym, czarnym zbiorowisku ludzi, którzy żegnają kogoś drogiego.

Przyjaciele i rodzina. Obcy ludzie poważni i smutni, rodzina bezbronna i pokonana ciosem, który innych ominął. Uderzeniem losu na oślepa, jakby przypadkowym. Matka, machinalnie poprawiająca wstążki u wieńców, siostra, kurczowo ściskająca rękę młodszego bratanka, starszy syn, rozumiejący jedynie to, że stała mu się krzywda, nieumiejący poradzić sobie z zapłakaną twarzą wystawioną na widok zbyt wielu ludzi. Kobieta zmarłego - wolno jej było kochać go tylko w tajemnicy - blada i nieobecna. Gdyby żyła kiedyś w Grecji, krzyczałyby głośno i rozdzierała na sobie suknie. Wszyscy oni, otoczeni tłumem innych ciemnych ludzi, stali wokół podłużnej, obłożonej kwiatami skrzyni, na którą spoglądał z krzyża wynędzniały Chrystus.

Tyle razy o tym rozmawiali. Nigdy nie mógł się zdecydować, czy wierzy w ten inny, lepszy świat. Śmierć była dla niego zbyt abstrakcyjna. Podobnie jak dla niej. Mimo to przekonywała go naiwnie, że coś musi tam być. Przecież tylu widziało, słyszało, czuło.

- Pamiętasz, jak mama opowiadała, że ojciec u niej był?
- Mama! Wiesz, jaką ona ma fantazję! Śniło się jej, Lalu, albo była zmęczona...



A przecież poprzedniego dnia w szpitalu u bratowej nie wyobrażała sobie niczego, nie zagalopowała się w fantazjach, niezdolna nawet do myślenia. Czuła tylko, rozmawiała z nim, zastanawiając się, czy sama nie odpowiada sobie na wymyślone pytania, czy tęsknota i paralizujący ból nie płatają jej figli, każąc prowadzić niemy dialog na dwie osoby. Jak głupcowi, któremu zabrakło towarzystwa. Gdyby było inaczej, zapytałaby go przecież o coś innego, o rzeczy ważne, chciałyby poznać odpowiedź na odwieczne pytanie: „Jak tam jest?”, i sama sobie odpowiedziałyby obłudnie: „Pięknie. Bosko. Jasno”. W jego imieniu. Przede wszystkim zapytałaby - i dowiedziałaby się od niego - gdzie jest. Wmówiłaby sobie, że wie, zna nowe miejsce jego pobytu i nigdy już nie dręczyłoby jej to pytanie, naiwne jak początek świata, palące jak zabijanie. A nie zapytała o nic. Rozmawiali właściwie o niczym, była przedziwnie spokojna, obiecywała mu opiekować się bratową, on zapewniał, że wszystko będzie dobrze, i stała uśmiechnięta przed opustoszałym wejściem do szpitalnej sali, na której leżała cudem wyciągnięta z płonącego samochodu wdowa po jej bracie.

Przyjechali natychmiast po telefonie od matki. Jan prowadził szybko, jakby i jemu wszystko stało się obojętnie, ona nie reagowała na nic. Raz tylko przeleciała jej przez głowę myśl, że właściwie dobrze jest jeździć mercedesem, którego metr blachy na przodzie ofiaruje pozorne poczucie bezpieczeństwa. On jechał z żoną małym, starym samochodem. Nie wiedzieli dokładnie, co się stało, tyle że ktoś na nich najechał. Zderzenie, pożar. Może wpadli w poślizg. Kto był temu winien?

- Gdyby miał lepszy samochód, uciekłby przed tą ciężarówką - powiedział Jan.

Oboje czuli się winni, że mają lepszy samochód.

Po kilku godzinach dojechali do matki. Wydało się im, że mówi od rzeczy. Jan poszedł do ich dawnego mieszkania, które po ich wyprowadzce z miasta odziedziczył Kris z rodziną. Było puste. Bratowa dopiero kilka godzin temu odzyskała przytomność w szpitalu, dziećmi zajmowała się jej matka, w kuchni stały jeszcze nieumyte kubki po ostatnim wspólnym śniadaniu, w sypialni niepościelone, ledwie zarzucone kocem małżeńskie łóżko.

Jan włączył magnetofon w tym miejscu kasety, gdzie ktoś słuchał jej ostatnio, usiadł w fotelu, zapalił papierosa. Próbował zrozumieć.

Ona też próbowała zrozumieć. Lekarze w białych fartuchach, cały szpital był nagle ich pełen, dawali jej jakieś środki. Miały ją uspokoić. Odmówiła. Po nienaturalnym, głupio przeżyтым pogrzebie ojca przed wielu laty, tym razem chciała uczestniczyć. Myślała też, że nie zrozumie, jeśli nie zobaczy. Nie zobaczyła. Spalone ciało nie nadawało się do pokazywania. W kostnicy stała zamknięta trumna, do której bała się zbliżyć. Namiastką, na wpół żyjącym corpus delicti, mogła być bratowa, nieprzypominająca dawnej siebie, spuchnięta do niepoznania, zmasakrowana i popalona.

Potem były rozmowy, kawa pita u matki sprawiającej wrażenie, że nie wierzy w to, co się stało, niezależnie od mechanicznie załatwianych spraw pogrzebowych. Obcy ludzie poszli do domów, pomówić o życiu, jak jest nieoczekiwane, a czasem niesprawiedliwe, a tamtych prześladowe chyba jakieś fatum. One z matką nie mówiły o fatum. Dość było go wszędzie. Przecież zostały, matka i ona, która, gdyby było trzeba, zatrzymałaby życie zębami.

Po tygodniu wrócili do domu. Matka została ze swymi kłopotami, synową, powoli wychodzącą z mgły, dwojgiem wnuków i chorym na serce drugim mężem. Rozumiejąca

przecież, że córka z mężem odjeżdża do własnego życia. Obiecała często dzwonić.

Zostały same ze swoim bólem. Każda osobno, bo nawet gdyby były razem, i tak nie umiałyby go podzielić. Na każdą z nich czekały inne bezsenne noce, o których nie potrafiłyby sobie opowiedzieć, wspomnienia, słowa, gesty, kawałek życia, które im zabrano. To nieprawda, że śmierć przytrafia się innym. Tak naprawdę wydarza się tylko nam.

Po powrocie do domu i codziennego rytmu życia Lala szukała medium, chciała, by ktoś ją uspokoił, upewnił co do tej rozmowy na szpitalnym korytarzu. Bała się o tym mówić, tylko raz zapytała Jana, czy Kris mu się nie śni, czy go nie czuje. „Teraz już nie - odpowiedział. - Na początku śniło mi się, że widzę go w ciemnym tunelu, po którym miota się, wołając: Gdzie ja jestem?”.

Na początku nie było światła. Nikt nie śpiewał „Maledicti” - gwałtowny ziemski finał bez „Requiem” i bez Mozarta. Tylko krzyk i rozbita szyba. Ułamki sekund przeciągnięte na wiele ziemskich obrotów, żadnej przestrogi, ostrzeżenia, zwiastuna przyczajonej śmierci. Tylko pusta szosa, wielki samochód, krzyk żony, Boże, co on robi, przecież nas zabije, Boże, to za szybko, co z moimi dziećmi, przepraszam cię, kochanie, nigdy nie chciałem cię zranić, niczego nie zdążę ci wytłumaczyć... I koniec.

Nikt tam na niego nie czekał. Za oślepiającym światłem też nic się nie wyjaśniło.

Minęło wiele lat. W życiu Lali dużo się nie zmieniło, a ona sama zmieniała się standardowo, zwyczajnie. Starszy syn zrobił maturę i dostał się na studia, miał fajną dziewczynę, z którą zamierzał zamieszkać w akademickim mieście, mimo że nie miał aż tak znowu daleko od domu i na upartego mógłby dojeżdżać na zajęcia. Na szczęście w domu pozostawała jeszcze piętnastoletnia córka, więc i Lala, i Jan pogodzili się z

kolejnym uszczupleniem rodziny, które, jak słusznie zauważył syn, było w końcu do przewidzenia. Kiedy przyszły wakacje, syn odmówił stanowczo spędzenia ich z rodzicami. Niech jedzie Marta, powiedział, jest jeszcze mała, powinna trzymać się mamy i taty. Trochę jemu na złość, a trochę dlatego, że ostatnio sypnęło w domu większymi pieniędzmi, wykupili dwa tygodnie wakacji na Karaibach; po kilku wieczorach spędzonych z nosem w katalogach i przewodnikach wybrali jedną z wysp, która na zdjęciach wyglądała tak, jakby była rajem.

Lala, jak zawsze zorganizowana i przewidująca, starannie przygotowała rodzinę do wyjazdu. Sporo czasu zajęły jej zakupy, jednak zgromadziła na czas wystarczająco dużo wygodnej bawełnianej garderoby, wśród której nie zabrakło paru ciuchów spełniających normy „swobodnej elegancji”, według informacji z katalogu wymaganej w hotelu. Kupowała tylko dla siebie i Jana, ponieważ nieubłagana dorastająca Marta kierowała się w ubieraniu przede wszystkim samodzielnością, ograniczając się do brania od rodziców pieniędzy. Odstawiona przez nią na boczny tor Lala z pewnym smutkiem zaopatrzyła wszystkich przynajmniej w kosmetyki i lekarstwa, potrzebne na wyprawę w daleki świat.

Nigdy przedtem nie wyjeżdżali tak daleko, najdalsza podróż zawiodła ich do Grecji, dokąd lot trwał około czterech godzin, podczas których Jan i tak zdążył wypić sześć piw, a kiedy w końcu wylądowali, nawet greccy celnicy wydawali mu się dość nierealni. Lala modliła się przez całą drogę, wsłuchana w odgłos silnika. Gdyby mogła, bez przerwy trzymałaby za ręce oboje dzieci, jednak jedynie Marta, wówczas trzynastoletnia, nie wyszarpywała się z jej uścisku. Starszy syn rozsądnie zauważył, że trzymanie się za ręce nie uratowało jeszcze nikogo przed spadnięciem samolotu, i zajął

się filmem pokazywanym w niewielkim telewizorze. Umierając ze strachu, Lala ganiła się wówczas za głupotę.

Lot na wyspę był równie koszmarny i włókł się bezlitośnie. Po jedenastu godzinach wylądowali na malowniczym lotnisku, bardziej przypominającym regionalną knajpę niż miejsce pracy celników i policji. Natychmiast zalała ich sucha fala upału. Po względnie sprawnych formalnościach, bez kontroli bagażu, zapakowano ich do mikrobusu wraz z innymi przybyłymi samolotem pasażerami i zawieziono do hotelu. W recepcji Lala, nie mogąc liczyć na wstawionego jak poprzednim razem Jana, posłużyła się swoim całkiem sprawnym angielskim i poparłszy go gamą uśmiechów, wyprosiła pokój z widokiem na morze. Po zakwaterowaniu okazało się, że oprócz zapierającego dech widoku na turkusowe fale i wysokie daktylowe palmy na plaży w pokoju czeka także butelka schłodzonego białego wina. Wykończeni podróżą i szczęśliwi z pomyślnego finału Lala i Jan opróżnili ją jeszcze przed kolacją.

\*

Karaibska wyspa była przede wszystkim gorąca. Zbyt gorąca, jak uważali wszyscy łącznie z Lalą, chociaż poprzednio twierdziła, że właśnie ciepła nad brzegiem morza brakuje jej do pełnego szczęścia. Potrzebny był jej także leżak pod parasolem oraz możliwość pogrążenia się w dobrej lekturze, a hotel zapewniał wszystkie te atrakcje, wzbogacając je dodatkowymi, z których szczególnie ceniła serwowane od rana do północy egzotyczne drinki. Kiedy uzbrojeni w maski i płetwy Jan z Martą w niewiarygodnie przejrzystej wodzie uganiali się za rybami, Lala pierwszą szklaneczką z plażowego baru rozpoczynała słodkie nieróbstwo nad brzegiem morza. Była absolutnie zadowolona i nie żałowała już nawet nieobecności syna. Pierwszy raz od wieków wszystko wokół perfekcyjnie komponowało się w całość:

pocztówkowo piękne otoczenie, szum fal, niemilknąca muzyka salsy i merenge, palmy nad głową i w rozleniwieniu słońcem ludzie piękniejsi niż zwykle. Lala, dotychczas niechętna kąpielom w morzu, wchodziła z radością do ciepłej jak w wannie wody i była prawdziwie szczęśliwa, gdy perliste fale obmywały ją całą. Na plaży natomiast oddawała się odkładanej z dawna na większą okazję lekturze i dzięki niej udawała się w kolejny nowy świat. Jak wyjaśniła Marcie i Janowi - w poszukiwaniu straconego czasu.

Marcel Proust nie był nigdy na Karaibach, jednak oboje doświadczyli podobnego zafascynowania plażą wraz z jej aromatem morza i soli. Tamta inna plaża, nieistniejąca już zapewne w swej dawnej formie ulotnego fin de siecle'u, znajdowała się w Balbec i zamiast palm kwitły w jej pobliżu jabłonie. Miały jeszcze przeminąć dziesiątki lat, nim świat zapozna się z tragicznie przekabacaną nazwą wyspy Bikini, więc ciała przechadzających się nad brzegiem Atlantyku dostojnych panów i nadobnych dam były jeszcze starannie okryte. A jednak nawet kompletność stroju nie przeszkadzała im w prowadzeniu najstarszej ludzkiej gry nazywanej uwodzeniem, ponieważ zapach morza, rozgrzewające słońce i zmysłowy rytm fal od wieków przypominały ludziom o tym, że życie jest wiecznym pożądaniem. W każdym czasie, niezależnie od epoki, kroju spodni czy krynoliny, tak samo zakwitały dziewczęta, a kobiety kwitły - czy to po stronie Guermantes, czy Sodomy i Gomory. Jak owady krążyli wokół nich mężczyźni, jakiś tabaczkowy pan podążał za swoją Albertyną, jakiś inny za dwiema Albertynami. I piękna nie musiała być li tylko płeć przeciwna, skoro także hotelowy windziarz rozkochać mógł w sobie samego barona de...

Na nadmorskiej promenadzie w Balbec zamknięte mimo upału budy dorożek kołysały się rytmicznie. Wiozły kochanków, w zamieszaniu pogubionych cylindrów i

rozwianych falban sukien świadczących o tym, że pożądanie, wpisane w naturę rzeczy, istniało zawsze. Odeszły w przeszłość stroje, fryzury i pojazdy, zniknęli tamci ludzie. Pozostały uczucia i gonitwa człowieka za człowiekiem, niezmienna jak łańcuchy modrych gór morza, jego lodowce i kaskady, jego wspaniałość i niedbały majestat. Te dwie części świata - wnętrze człowieka oraz prymarny wizerunek jego ziemi - nie zmieniły się wcale.

Lala przymyka oczy. To spotkanie z Proustem w niezwyklej scenerii karaibskiej plaży budzi w jej rozpalonym słońcem umyśle zdradliwe fantasmagorie. Odkłada książkę i przygląda się ludziom, sennym na leżakach i rozbawionym w morzu. Kiedy pojawia się instruktor sportów wodnych, Lala szybko zakłada ciemne okulary i od tej chwili nie odrywa już oczu od chłopaka, zapewne równego wiekiem jej synowi.

Jego ciało jest inne niż zewnętrzna powłoka wszystkich dotychczas widzianych przez nią białych mężczyzn. Jakby pochodził z odrębnej rasy. Wygląda jak Indianin albo potomek Indian z domieszką krwi hiszpańskich kolonizatorów, aktywnych swojego czasu nie tylko na polu architektury i religii. Jest wysoki, a jego skóra ma kolor gorzkiej czekolady. Jego doskonale sklepioną czaszkę obrysowują króciutkie włosy w odcieniu złota. Ze swym absolutnie proporcjonalnym ciałem i szlachetnie wyrzeźbioną twarzą mógłby służyć za wzór do podręcznika anatomii.

Ten Indianin - Lala postanawia myśleć o nim „Ten Indianin” - nie jest ani typem gniewnego mocarza z fresków Michała Anioła, ani też nabłyszczonym egzemplarzem z wystawy „Wybory Mistera Czegoś Tam”. Jest... jest pięknym samcem. Doskonałym osobnikiem, emanującym pierwotną urodą i siłą. Tak jak pierwsza kobieta - o której zdaniem Lali zapewne śni drzemiący po nurkowaniu Jan - nie miałyby makijażu, trwałej ondulacji i operacyjnie powiększonych

piersi, tak i Ten Indianin nie potrzebuje fryzjera, krawca i stylisty. Jego uroda to dar otrzymany od natury wraz ze sprężystością kroków, wypływającą z rytmu krwi, harmonijnym ruchem bioder i nieskazitelną linią wyprostowanego karku. Postacie takie jak on wyrastają z piasku i wody, jak palmy na plaży.

Archetyp męczyzny prawdziwego, pięknego, stworzonego do polowania, tańca i płodzenia dzieci, wolno przechodzi plażą. Śledzą go spojrzenia wszystkich kobiet. Jeżeli wierzyć w zbiorową gonitwę hormonów, z pewnością odbywa się ona teraz, gdy jak leniwy kot Ten Indianin bawi się z nudów czyjąś zapomnianą piłką. Wieczorem będzie tańczył w dyskotecie. Nie jest fordanserem - a szkoda! Jego naturalne pole magnetyczne obejmie wszystkie wpatrzone w niego kobiety, które zbledną na widok jego zmysłowo rozkołysanych bioder. Wybierze sobie którąś z młodziutkich dziewcząt o czekoladowej skórze i hebanowych włosach, by w ciasnym uścisku roztańczyć ją w morderczym rytmie tutejszej muzyki morza.

Lala zastanawia się, czy Ten Indianin jest inteligentny. Czym zajmuje się prócz pracy w hotelu, w którym sezon trwa przez okrągły rok? Może nie potrafi robić niczego innego, a może zarabia, by studiować astrofizykę. Dla Lali pozostanie to zagadką, bo brązowy chłopak nie zwraca na nią uwagi. Lala odkłada na bok zapomnianego na dłuższą chwilę Prousta i krytycznie przygląda się sobie. Słońce nie działa najlepiej na jej skórę, łuszczącą się i czerwoną. Rozstępy z drugiej ciąży zasłania jednocześnie kostium, cellulitis na udach pokaźne pareo. Zapomniała pomalować paznokcie u stóp...

A gdyby tak, myśli Lala, mały manewr w gatunku ronsardowskim: „Słuchaj, może porozmawiamy chwilę, tu na plaży, za dwie godziny zajdzie słońce, wiesz, chciałabym napisać o tobie wiersz, przyślę ci kiedyś tłumaczenie...”. W



duży zaśmiewa się z samej siebie; gdyby nie żał, że wyrwie Jana ze snu, chętnie opowiedziałaby mu o własnej parafrazie renesansowego sonetu. Jednak w jakim miałyby zabrzmieć języku? Hiszpański Lali jest bardzo kiepski, a poza tym samo zestawienie brzmi jakoś dziwnie: ona, kobieta w wieku ponadśrednim, miałyby odgrywać Ronsarda, podczas gdy Ten Indianin byłby jego Heleną?

Lala nie spuszcza oczu z postaci o brązowej skórze. Ciekawe, jaka muzyka najpiękniej płynęłaby w powietrzu, gdyby tak, jak swe wiotkie damy malował pędzlem Renoir, ona składała w wersy portret Indianina? Teraz, gdy on jak miękka, połyskliwa pantera odpoczywa w cieniu, aż prosi się o „Popołudnie fauna”, grane lekko, w zwolnionym tempie znużonych popołudniem fal. Ze słońcem chyłącym się za skały, z psami obszczekującymi pelikany i z posmutniałą nimfą w tle. Jak tamta blondynka, czytająca panią de Stael... Lala przygląda się dokładniej, ach nie, to jednak powieść Danielle Steel.

Kiedy Ten Indianin odchodzi swym niedbałym krokiem gigantycznego leniwego kota, Lala z trudną do ukrycia niechęcią powraca na proustowską plażę w Balbec.

Tego samego wieczora opowiedziała wszystko Janowi. W barze, przy kolejnym nadprogramowym drinku. Nie było przy nich Marty, która grała z kimś w warcaby. Lala chichotała i kpiła z samej siebie, uprzedzając niepożądaną męzowską zazdrość, uzasadnioną w kontekście fantazji na temat mężczyzny, który mężem nie jest. Jednak Jan słuchał jej w skupieniu i nie było w nim złości. Kiedy skończyła, wyciągnął z kieszeni spodni trzy sznurki ręcznie nawlekanych koralików. Były barwne i niewiele warte.

- To dla ciebie, proszę - powiedział.

- Dziękuję ci bardzo - odparła zaskoczona. - Są bardzo ładne... Kiedy jedno po drugim przymierzała koraliki, Jan

zrewanżował się jej własną historyjką. O kobiecie, która krążyła po plaży, dźwigając ciężką gablotkę pełną bransoletek, pierścionków, słonecznych okularów i koralu, aby sprzedać je turystom.

- Naprawdę nigdy nie zwróciłaś na nią uwagi? - zapytał. - Jest taka piękna.

To Lala poczuła ukłucie zazdrości, chociaż pomyślała automatycznie, że skoro sama wypatruje za kimś oczy, z pewnością nie ma do niej prawa.

- Nie... Tu jest tylu wędrownych handlarzy - odpowiedziała.

- Tak, w tym wiele kobiet - potwierdził Jan. - Prawie wszystkie są piękne. Wydaje mi się zresztą, że tu na wyspie wszyscy są ładni. Kobiety, mężczyźni...

- I dzieci - uzupełniła. - Dzieci są prześliczne. Jan patrzył na nią poważnie i Lala znalazła w jego spojrzeniu wielką bliskość.

- Czuję coś podobnego na widok tej kobiety. Nie gniewaj się - spokojnie uprzedził jej niepokój - to czysto teoretyczne, jakbym podziwiał postać na obrazie albo rzeźbę. Albo film... Nie ma nic wspólnego z życiem, ja nawet nie potrafiłbym porozmawiać z tą kobietą. Kupiłem u niej coś dla ciebie, bo jest biedna, ale właściwie wystarcza mi samo patrzenie na nią, kiedy przechodzi plażą w jedną i drugą stronę.

Wieczór opanował hotel z jego barami i restauracją, upstrzony gwiazdami naturalny dach świata przytłaczał ogromem ich dwoje, kiedy siedzieli na ulubionych miejscach przy wygięciu baru z widokiem na czarną plamę morza. Tylko ruch łagodnych o tej porze, w białe pióropusze ubranych fal przypominał, że ciemna linia końca krajobrazu jest wodą.

- Nie potrafiłem tego tak ładnie określić, jak zrobiłaś to ty - powiedział Jan - jednak teraz wiem, że czułem to samo. Ona wydała mi się skończenie piękna, aż nierealnie doskonała.

Lala me byłaby kobietą, gdyby nie zabolęły jej te słowa, a jednak powaga brzmiąca w głosie Jana nie zezwoliła jej ani na zazdrość, ani na kokieterię. Przekonała się, że słusznie mu zawierzyła, kiedy odezwał się ponownie.

- Ta kobieta - powiedział zamyślony - nie odpowiadałaby żadnym europejskim normom. Jej sylwetkę uznano by za zbyt tęgą, jej twarz za zbyt masywną. I tak zapewne jest, jednak... Znowu nie umiem tego określić, ale patrząc na nią, nie potrafię pozbyć się myśli o prastarych rzeźbach przedstawiających boginie Płodności, Miłości, Obfitości, Ziemi... Nawet Śmierci. Jakby rzeczywiście była archetypem, wzorcem pierwszej kobiety. Patrząc na nią, czuję się mężczyzną. Ojcem. Myśliwym. Czuję pożądanie, jestem silnie pobudzony, jednak wcale nie z jej konkretnego powodu. Ona przypomina mi o starych instynktach.

Lala zawahała się, chciała użyć słów najprostszych, z obawy przed patosem. Jednak ton rozmowy dawno oparł się już o prosty patos - czy coś takiego - i wystarczyłoby nim popłynąć.

- Czy ty jej pożadasz? - spytała cicho Jana.

On spojrzął jej w oczy i dostrzegł skrywany w nich strach. Zaśmiał się z tego.

- Nie. Ale na jej widok przypominam sobie, że jestem przede wszystkim mężczyzną. Dopiero potem, że twoim. Mam też szczęście być ojcem, ale już całkiem na końcu sadowią się pojęcia o tym, że gdzieś mieszkam, pracuję, zbieram jakieś rzeczy...

Także Marta znalazła coś, co zagarnęło ją całą. Wykupili dla niej kilka godzin nurkowania, a kiedy wróciła do nich z wody, wyglądała tak, jakby odbyła podróż międzyplanetarną. Choć nie mówiła wiele, jakby świadomie ograniczając wypowiadane słowa do najpotrzebniejszych, wiedzieli już, że

oto ich córka natknęła się po raz pierwszy w życiu na coś, co nieodwołalnie zajęło całą jej fantazję i umysł.

- To jest lepsze od snu. To jest realne i nieskazitelnie piękne. Nie czuje się ciała, które staje się tym samym, co woda, i uzyskuje się kąt widzenia, który normalnie nie istnieje. Ciało nie przeszkadza, nie waży, nie jest niczym ograniczone. To nieprawdopodobne, być pozbawionym wagi.

Lala wymieniła spojrzenia z Janem, dyskretnie, aby Marta nie zdołała nic zauważyć. A córka, uczulona zwykle na ukradkowość spojrzeń i przesadnie podejrzliwa w szukaniu podtekstów, nie zwróciła na nich uwagi. Opowiadając o świecie spotkanym pod powierzchnią wody, Marta zwracała się przede wszystkim do samej siebie.

Marta miała nadwagę, za co Lala przede wszystkim winiła siebie. Zawsze przekarmiła córkę, którą uważała za niejadka, pozwalała jej na jedzenie słodczy i nigdy nie odmawiała kupowania lodów. Na początku nie dostrzegała zbędnych kilogramów na dziecięcej sylwetce Marty, a później, gdy porównała ją z grupą równolatków w szkole, uznała, że wszystko wyrówna się w wieku dojrzewania. Tak się jednak nie stało i zestresowana córka Lali zaczęła przeprowadzać jedną po drugiej różne, ale tak samo nieskuteczne diety. Ze zmiennym powodzeniem uprawiała różne sporty. Kurs nurkowania ukończyła w kraju, zdała końcowy egzamin w zimnym jeziorze i nie była szczególnie zachwycona. Teraz powtarzała, że w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, jak ważne wrota sobie tym otworzyła.

Sposób spędzenia reszty urlopu przez Martę został tym samym przesądzony. W wodzie zapominała o wszystkim. Jej czas upływał na nurkowaniu, czekaniu na nurkowanie lub wspomnianiu pięknego nurkowania. Była szczęśliwa. Wyprosiła u rodziców dodatkowe godziny, a kiedy się

skończyły, zaciągnęła u nich dług a conto swoich oszczędności, które postanowiła poświęcić w całości.

- To także zupełnie inny stan świadomości - powiedziała do Lali, a ta przestraszyła się o bezpieczeństwo i zdrowie córki. - W miarę zagłębiania się zmienia się perspektywa. To jest podobno porównywalne z piciem alkoholu, ale bez złego samopoczucia później. Przynajmniej tak mówią inni.

- Naprawdę uważasz, że to dla ciebie takie dobre? - zapytała Lala ostrożnie.

Marta spojrzała na nią oczami, w których odbijało się absolutne szczęście.

- Mamo, to najcudowniejsza rzecz, jaka wydarzyła mi się w życiu. Jakbym wcześniej jakoś niedokładnie żyła.

I zdarzył się im jeszcze jeden powód do uwierzenia, że wyspa, na której się znaleźli, jest rajem. Stało się to, gdy wynajętym samochodem pojechali do jej prawie niezamieszkanego końca, nie do końca wierząc mapie, wedle której istniała tam jedna jedyna droga, równoległa do wybrzeży na wydłużonej części lądu. Mapa nie wydała im się wiarygodna dlatego, że nie było na niej zaznaczonych rzek, a nawet strumieni. Nie było gór, lasów i skupisk ludzkich. Według Lali i Jana, zatwardziały mieszczuchów, takie miejsca na Ziemi nie miałyby prawa istnieć - szczególnie w bajkowym klimacie i w dobie rozbuchanej turystyki, kiedy o prawo budowy hoteli nad ciepłym morzem zabijają się wielkie firmy.

Tymczasem okazało się, że mapa nie kłamie. Tam, gdzie wyspa rozciągnęła się w zwężoną część niknącą w końcu w morzu, rzeczywiście nie było ludzi i - a raczej ponieważ - na tej jej części nie było też słodkiej wody. Było to dość niesamowite: niezbyt szeroki skrawek ziemi objęty dwoma rękawami nieskończonej przestrzeni morza. Prócz nakreślenia

jednej prostej drogi dzikiego krajobrazu nie tknęła ludzka ręka.

- Więc po co w ogóle tutaj droga? - pytała oszołomiona Lala Jana, który milczał, jakby nie chciał tracić słów.

Wyłączyli nawet radio w samochodzie, dla odgłosów wyspy rezygnując z rytmów muzyki, w której zakochali się oboje za temperament i pozbawioną wstydu zmysłowość. Teraz przeszkadzał im nawet szum silnika samochodu pokonującego pustą drogę, mieli mu za złe zagłuszanie fal morza, widocznego raz z jednej, raz z drugiej strony krajobrazu. Obydwa żywioły - nieuprawiana, wysuszona ziemia i morze, uderzające w nią gwałtownie, jakby walczyło z nią o dominację - były tu silniejsze i bardziej nieokiełznane, hałaśliwe jak wysokie fale i rozbujane jak wielometrowe kaktusy, jedyna roślinność, która zdołała tu przeżyć.

- I tu znowu jest całkiem inaczej - zauważyła cicho zaskoczona Marta, odkrywając w sobie zachwyt dla krajobrazu, choć nic nie mogło podważyć jej przekonania o wyższości wody nad każdą formą lądu.

Zatrzymali samochód, by dotknąć stopami miejsca, które wydało się im nieziemskie. Gdyby nie upał, poszliby przed siebie; nie uzgadniając niczego wszyscy troje rozmarzyli się o tym samym - długiej wędrówce gdzie oczy poniosą, piaszczystą drogą lub obok drogi, w poszukiwaniu kawałka świata, w którym nikt przed nimi nie był.

- Jest inaczej - powtórzyła Marta prawie ze strachem. - Wszystko jest inne. Światło, powietrze, zapach, perspektywa. Czuję się tak...

Nie dokończyła, a Jan i Lala spojrzeli na nią jednocześnie, oboje przekonani, że znają treść tych niedopowiedzianych słów.

- Czuję się tak, jakbym wróciła do miejsca, za którym zawsze tęskniłam - powiedziała Marta, ich piętnastoletnia córka.

Prawie nie rozmawiali ze sobą w drodze powrotnej. W zamieszkaney części wyspy nie od razu skierowali się do hotelu, lecz zaparkowali samochód przed małą restauracją na plaży, niewielkim barakiem sprawiającym wrażenie zaniedbanego, z kilkoma przykrytymi wyblakłą ceratą stolikami, ustawionymi pod parasolami bezpośrednio na piasku. Zapach ryby grilowanej na węglu drzewnym przypomniiał im o głodzie i wszyscy troje zapragnęli zaspokoić go w miejscu, w którym prócz dwóch drzemiących w cieniu palmy wychudzonych psów nie było nikogo. Usiedli więc przy jednym ze stolików i zdjęli buty, z ulgą zatapiając stopy w piasku. Cień parasola rozleniwił ich natychmiast, tak bardzo, że nie chciało im się nawet pokonać kilku metrów dzielących ich od podpływających fal, by zamoczyć zmęczone nogi.

Długo czekali na kelnera, a kiedy nikt nie pojawił się przez kilkanaście minut, podczas których zapach ryby i ostrych przypraw nieznośnie drażnił nozdrza, Jan niechętnie ruszył w stronę kontuaru. Wrócił dopiero po kwadransie i drżały mu ręce, jednak ani rozklejona słońcem Lala, ani obsesyjnie zapatrzona w wodę Marta nie zauważyły niczego.

- Zamówiłeś coś? - zapytała Lala, nie otwierając oczu za ciemnymi okularami.

- Tak... Słuchaj, tu... - próbował mówić, lecz zabrakło mu słów.

- Co takiego? - spytała sennie.

- Tu jest ktoś, kto...

Otworzyła oczy i zsunęła słoneczne okulary na koniec nosa.

- Kto tu jest, kochanie? - zapytała, zaskoczona jego mimo opalenizny pobladałą twarzą. - Spotkałeś kogoś znajomego?

Jan wyciągnął do niej rękę i silnie zacisnął jej dłoń w swojej.

- Lalu, tutaj jest ktoś - powiedział głosem, na dźwięk którego nawet Marta odwróciła się zdziwiona - kto wygląda identycznie jak Kris. Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. On... On zaraz przyniesie nam napoje.

Potrzeba było dłuższej chwili, nim Lala poskładała w mózgu znaczenie usłyszanych zdań. Same w sobie nie wydałyby się jej być może aż tak znaczące, jej pierwszym skojarzeniem było słowo „sobowtór”, niegroźne i często spotykane w najróżniejszych kontekstach. Nawet określenie „wygląda jak Kris” nie zabrzmiało dla niej zaskakująco w odniesieniu do licznych zdjęć rodzinnych, ustawionych w ramkach w wielu miejscach domu, do rozmów w rodzinie, gdzie wiele osób, w tym ona sama, „wyglądało jak Kris”. U Lali, a prawdopodobnie trochę i u matki ich obojga, wytarł się gdzieś z czasem bolesny element takiego związku, pozostała natomiast jego część radosna, powód do dumy. Każde z nich cieszyło się, czując coś takiego, wierzyło, że wyglądem jak Kris zatrzymuje go przy sobie. Dzięki temu Kris nigdy do końca nie umarł.

Jednak twarz Jana i jego pełne napięcia spojrzenie sygnalizowały coś innego. Był to niepokój i ból. Zwątpienie. Strach, tak bardzo niespodziewany w idyllicznej scenerii rozpalonego słońcem dnia, opanował go całego i falami, szybszymi niż oddalone o kilka kroków morze, zaczął się przelewać na niepojmującą jeszcze niczego Lalę. Za chwilę pojęła rytm swojego strachu: były to kroki kogoś zbliżającego się po sucho trzeszczącym piasku, osoby przychodzącej do niej skądś za jej plecami, coraz bliżej - Lala powinna odwrócić się w tę stronę, jednak nie mogła.



Nie uniosła głowy, gdy ktoś zatrzymał się przy ich stoliku. Jak zaczarowana wpatrywała się w Jana, z którego czoła spłynęły grube strużki potu. Kątem oka zauważyła, jak Marta, nie pamiętająca prawie Krisa, w osłupieniu otwiera usta. Ona sama poczuła znajomy zapach, którego nawet nie potrafiła zidentyfikować, wiedząc, że chodzi o coś bardzo dawnego, głęboko zatopionego w przeszłości. Usłyszała ciche słowa wypowiedane po hiszpańsku:

- Agua con gas? Una cerveza? ( - Woda mineralna? Piwo?)

Najpierw zobaczyła ręce, które zajęte ustawianiem butelek i szklanek na stole znalazły się na poziomie jej wzroku. Znała je. Potem zaczęła śledzić zarys szczupłej sylwetki ubranej w wytartą flanelową koszulę w kratę. I to wydało się jej znajome. W końcu Lala, zmagając się z nagłym skurczem karku unieruchamiającym głowę w jednej niewygodnej pozycji z trudem uniosła twarz. Przed nią stał jej brat, Kris.

Wyglądał tak samo, jak kiedyś. W przeciwieństwie do niej nie postarzał się o więcej niż trzy, może pięć lat, chociaż nie potrafiłaby określić jego wieku. Miał niestaranną fryzurę z opadającym na oczy pasmem włosów, ogorzałą twarz i swój zwykły niepewny uśmiech. Patrzył na nich przyjaźnie, rozstawiając napoje na stole, odpędził ścierką jakąś muchę i wsadziwszy pod pachę pustą tacę, chciał już odchodzić, kiedy zatrzymały go przerażone spojrzenia ich trojga. Uśmiechnął się raz jeszcze zdziwiony, a kiedy oczy Lali nieproszone napęliły się łzami, spojrzał na nią z niepokojem.

- Żle się pani czuje? Czy mogę coś dla pani zrobić? - zapytał znajomym głosem po hiszpańsku.

Lala nie była zdolna do odpowiedzi. Choć otwierała i zamykała usta, nie wypływał z nich żaden dźwięk. Jan towarzyszył jej w zaskoczeniu, jedynie Marta wykrztusiła z siebie:

- Wujek Kris?

- Perdone? ( - Przepraszam?)

- Wujek Kris! Co ty tu robisz? - powtórzyła Marta głośniej, jakby z bolesnego osłupienia chciała wyzwolić się złością.

Człowiek, który w wytartych spodniach i koszuli stał boso na piasku, przyglądał się im wzrokiem, w którym nie było śladu zrozumienia. Był zaskoczony, lecz była to jedynie reakcja na ich zdziwienie oraz na słowa, które usiłował zrozumieć. Przenosił wzrok z jednego na drugie, dłużej zatrzymując go na Marcie i płaczącej cicho Lali i z całą pewnością wszyscy troje byli mu obcy. Zachowywał się tak, jakby widział ich po raz pierwszy w życiu.

Nie rozumiał ich. Bezradnie kręcił głową, kiedy mówili do niego, była w tym grzeczna gotowość współpracy, jednak w jego oczach ani razu nie pojawiła się najdrobniejsza iskierka rozpoznania. W końcu zdenerwowana Marta zaczęła mówić do niego po angielsku, na co on z wyraźną ulgą wskazał ręką restaurację i z przepaszającym uśmiechem odwrócił się, aby sprowadzić kogoś innego. Na co Lala, przerażona myślą, że odejdzie i znowu zniknie na zawsze, szybko skleciła po hiszpańsku:

- Jestem Lala. To jest Jan i Marta.

Człowiek w kraciastej koszuli uśmiechnął się uprzejmie.

- Miło mi - odpowiedział. - Mam na imię Felix.

Wyciągnął do nich rękę, którą po kolei uścisnęli automatycznie, a Lala zadrżała na całym ciele, czując dotyk nieprawdopodobnie znajomy.

- Powiedz mu, żeby z nami usiadł - doradził jej Jan, jak ona przestraszony.

Lala, nie spuszczać oczu z człowieka, który był zwierciadłem Krisa, w panice szukała hiszpańskich słów.

- Proszę, wypij z nami piwo. Zapraszamy cię - powiedziała i natychmiast dodała z ulgą: - Serdecznie.

Mężczyzna niepewnie obejrzał się za siebie, jakby szukał oparcia w kimś ukrytym w restauracji. Wahał się w obliczu ich napięcia, którego przyczyn nie rozumiał.

- Okej - powiedział w końcu. - Przyniosę piwo.

Kiedy odszedł, milczeli wpatrzeni w siebie w poszukiwaniu wzajemnej pomocy, zdezorientowani, przestraszeni i nieszczęśliwi. Tak jak człowiek, który był przyczyną tego stanu, nie pojmowali niczego.

Wrócił po kilkunastu minutach. Tym razem Lala odwróciła się na dźwięk jego trzeszczących w piasku kroków i za plecami Feliksa zauważyła na progu restauracji starszą tęgą kobietę, która przyglądała się im spod ściągniętych brwi. Musiała usłyszeć nowinę o dziwacznych gościach.

Namówili Feliksa, by usiadł. Czuł się niepewnie, uśmiechał się nierównym uniesieniem warg, tak samo jak Kris, kiedy był zakłopotany.

- Nie pochodzisz z wyspy - zaczęła Lala z determinacją. - Proszę, powiedz, skąd jesteś.

- Dlaczego pytasz? - spytał zdziwiony, lecz ciągle grzeczny.

Bliska paniki Lala, świadoma, że nigdy w życiu nie poradzi sobie z trudną rozmową po hiszpańsku, jeszcze raz spytała go o znajomość angielskiego. Felix ponownie zaprzeczył.

- A ta kobieta? Zna angielski? - spytała zrozpaczona. - Trochę. - Uśmiechnął się, a Lala zrozumiała, że chodzi o umiejętności wystarczające do przyjęcia zamówienia na obiad.

- Szefowa? - spytała Lala, starając się uśmiechnąć w sposób budzący zaufanie.

- Si.

Mijał czas, a Lali wydawało się, że prowadzi dziwną walkę i występuje w niej w pojedynkę, bez Jana i Marty, w osłupieniu śledzących sytuację. W panice szukała sposobu na zatrzymanie Feliksa i skłonienie go do odpowiedzi na pytania. Przez głowę przeleciał jej nieproszony obraz więziennej rozmównicy, w której ostatni i ściśle ograniczony czas pozostaje ludziom na końcowe pytania i odpowiedzi przed ostatecznym rozstaniem. Jak wizyta w piekle albo w niebie, według zasad dziecięcej gry: masz tylko trzy pytania.

Przerażona spojrzała na butelkę piwa, którą Felix trzymał w dłoni. Była w połowie pusta.

- Jak się nazywasz?

Spojrzał na nią z zakłopotaniem. Nie odpowiedział. Szybko, jak usprawiedliwienie, powiedziała:

- Ja nazywam się...

Nie chciała, by uznał ją za niegrzeczną. Podała swoje panięskie nazwisko, to, które powinien był znać. Jednak nic mu nie mówiło. Wpatrzona w niego z dramatycznym napięciem, nie mogła się okłamywać. Słyszał je po raz pierwszy w życiu.

- Mój brat nazywa się - zapomniała formy czasu przeszłego po hiszpańsku - Kris.

Wbiła w niego błagalny wzrok. On tylko ponownie kiwnął głową, jednak jego grzeczność zaczynała przegrywać ze zniecierpliwieniem.

- Jak się nazywa twoja siostra? - uniosła głos Lala, nie wytrzymując napięcia, i rozplakała się, ostatecznie straciwszy panowanie nad sobą.

- Nie mam siostry - odpowiedział Felix ze zdziwieniem i przestraszeniem w oczach.

Po nieprzespanej nocy wrócili do restauracji na plaży. Podjęli tę decyzję po wielogodzinnych debatach, w których nawet niechętnie pogodzona z rezygnacją z nurkowania Marta

brała ożywiony udział i wносиła całkiem rozsądne pomysły. Udało się im znaleźć w hotelu kelnera, który akurat miał wolne i za opłatą zgodził się pojechać z nimi, by odegrać rolę tłumacza. Przemierzyli niewygodną drogę, podczas której popłakująca Lala modliła się, by na miejscu wszystko nie okazało się snem, a wczorajsze spotkanie niewytłumaczalnym - i jednorazowym - nieporozumieniem.

- To nie może być Kris, Lalu.

- Widzieliśmy to wszyscy. Nie ma takich aktorów, nikt nie potrafiłby tak udawać. On miał nawet bliznę na podbródku! Nie widziałeś? Tę samą, znam ją dokładnie, to ja jako dziecko przyłożyłam mu rakietę do badmingtona!

- Lalu, on nas nie znał, widział nas pierwszy raz na oczy.

- Mamo, to sobowtór. To się zdarza.

- Nie ma takich sobowtórów! Dlaczego nie powiedział mi, jak się nazywa?

- Przecież wcale nie mogliście się dogadać...

- Dzisiaj wszystkiego się dowiemy. Nie martw się, dla twojego własnego spokoju.

- Jak mogę być spokojna! To on!

- Lalu, Kris nie żyje. Nie żyje, zrozum to wreszcie.

- A widziałeś jego ciało?

- Nie, bo było popalone. Nie mógł przeżyć tego wypadku.

- Sam widzisz! Może to był ktoś inny?

- Twoja bratowa nie jechała z nikim innym. To był Kris, Lalu. Kris nie żyje.

- Nikt nie widział go zmarłego. Widzimy go tu, sam go widzisz, wielki Boże, przecież nie jesteś ślepy...

- Lalu, czy nie zastanowiłaś się... Ten człowiek, Feliks, przypomina Krisa sprzed wielu lat. Właściwie wygląda jak Kris przed śmiercią. To było dwanaście lat temu. On teraz wyglądałby całkiem inaczej, gdyby żył.

- Ale... Jan, ja nic nie rozumiem! Tu dzieje się coś strasznego, czego całkiem nie pojmuję, czy ktoś chce mi zrobić jakiś koszmarny kawał?

Na szczęście był na miejscu. Nawet nie zdziwił się na ich widok, jakby rozumiał, że kulejąca, dziwaczna rozmowa z poprzedniego dnia nie mogła ich, obcych i nienormalnie zainteresowanych nim ludzi, usatysfakcjonować. Zasiadli w szóstkę do stolika ustawionego na piasku: oni troje, Felix, kelner, z przejęciem odgrywający rolę angielsko - hiszpańskiego tłumacza, oraz właścicielka restauracji, nieproszona, lecz bardzo zainteresowana. Zachowywała się tak, jakby miała szczególne prawa do Feliksa, sygnalizowała, że łączy ich coś więcej niż stosunek szefowej i podwładnego, pomimo różnicy ras i wieku, uderzającej dla zbulwersowanej Lali.

- Oni przepraszają za takie zachowanie - tłumaczy z wielką powagą hotelowy kelner - ale to jest niezwykła sytuacja. Sami się tym martwią.

Jan z Martą oraz Lala, mniej więcej rozumiejąca hiszpańską wersję tłumacza, potwierdzają jego słowa częstym potakiwaniem głowy. Lala nie spuszcza oczu z Feliksa.

- Oni chcą wiedzieć coś o Feliksie. Myślą, że to ich brat.

- Nie... - Lala słabo protestuje po angielsku, widząc, że tamci patrzą na nią jak na wariatkę - to znaczy... Felix wygląda identycznie. Ma nawet taką samą bliznę na twarzy...

Marta uśmiecha się z zażenowaniem, kiedy gospodarze i przywieziony tłumacz mierzą ich wzrokiem, w którym malują się mieszane uczucia. Marzy już tylko o tym, by wszystko się wyjaśniło, matka odzyskała spokój i aby wszyscy troje mogli wreszcie wrócić do hotelu. Z uspokojonymi sumieniami, choćby nawet i ze zdjęciem Feliksa na pamiątkę.

- Oni chcieliby wiedzieć, skąd Felix pochodzi - mówi tłumacz. Felix i jego szefowa wymieniają ze sobą zakłopotane spojrzenia. W końcu odzywa się kobieta:

- To co z tego, że on wygląda jak jej brat. Nie jest jej bratem, bo nigdy jej nie widział. Nie umie nawet mówić jej językiem. A ona, skoro ma brata, po co jej drugi? - I kobieta śmieje się: - Przecież nie byli bliźniakami.

- Ale brat mojej mamy nie żyje - mówi po angielsku Marta. - Zginął w wypadku dwanaście lat temu.

Przy stole zapada milczenie.

- A mama cały czas bardzo za nim tęskni - dodaje Marta, jakby chciała ich wszystkich usprawiedliwić.

Felix i właścicielka restauracji patrzą na siebie zakłopotani. Wymieniają kilka zdań po hiszpańsku, jakby byli sami przy stole, tłumacz - kelner przenosi wzrok z jednego na drugie i widać, że teraz i on jest zdziwiony.

- Przecież mogą nam powiedzieć, skąd pochodzi Felix. Gdzie się urodził i kim jest jego rodzina. To nic wielkiego - odzywa się w końcu Jan.

Felix szuka pomocy u kobiety. Ona uspokajająco kładzie mu dłoń na kolanie. Po kilku chwilach, kiedy wydawało się nawet, że zaraz zasnę, kobieta o śniadej twarzy przenosi wzrok z Feliksa na Lalę. Waha się i jest na nią zła, to widać, jednak czuje litość na widok łez.

- Rozumiem cię - mówi w końcu, a kelner tłumaczy. - Ja straciłam dwóch braci. Wiem, co czujesz.

Lala w odpowiedzi skwapliwie kiwa głową. Kobieta niechętnie mówi dalej:

- Jednak Felix nie jest twoim bratem. Musisz to przyjąć. On widzi ciebie pierwszy raz w życiu, nie czuje nic do ciebie, nie rozumie twoich słów. Nie zastąpi ci twojego brata.

Jan uwalnia Lalę od odpowiedzi:

- Ty też spróbuj zrozumieć! Nie chcemy od was niczego, prócz pewności. Chcemy wyjechać stąd, wiedząc, że spotkaliśmy człowieka jedynie łudzaco podobnego do zmarłego brata. Teraz wiemy tylko, że inaczej się nazywa, a pomogłaby nam pewność, że rzeczywiście jest kim innym, urodził się gdzieś indziej, w innej rodzinie, w innym świecie. Chcemy wiedzieć, że to podobieństwo jest przypadkowe.

Felix uśmiecha się zakłopotany i patrzy na swoją towarzyszkę. W końcu, po długiej chwili wahania, mówi do tłumaczącego kelnera:

- Powiedz im, że nie mogę dać im tego, czego ode mnie oczekują.

- Dlaczego? - znowu unosi się Marta. - W czym tu problem, do diabła?

- Ponieważ on sam tego nie wie - wyjaśnia kobieta.

Felix to un extranjero. Obcy. Pojawił się na wyspie dawno temu, dziesięć lat, może więcej. Nie pamięta skąd, nie ma przeszłości. Pracował w różnych miejscach, tyle, by zarobić na utrzymanie. Dłuższy czas pomagał rybakom przy połowach, kiedyś miał nawet własną niedużą łódź i sieci, które dobrze sprawdzały się przy połowach krabów. Teraz pracuje tu, w restauracji. Dobrze mu. Nic nie zamierza zmieniać.

- Nie interesuje go własna przeszłość? - pyta osłupiała Marta. Felix uśmiecha się do niej z sympatią.

- No - odpowiada, patrząc jej prosto w oczy.

W jego spojrzeniu jest spokój.

Lala czuje się tak, jakby dostała wysokiej gorączki. Ma wypieki na twarzy i oczy jej błyszczą. Pełen obaw o nią Jan szuka w panice logicznego rozwiązania.

- Czy on był chory? - pyta. - Czy Felix cierpi na zaburzenia pamięci?



- Nie - odpowiada kobieta. - Może kiedyś był chory, ale jakie to ma znaczenie? Teraz pamięta wszystko. Wszystko, odkąd pojawił się u nas.

- I nie interesuje cię, co działo się z nim wcześniej? - nie ustępuje Jan.

- Nie - zaprzecza kobieta pod spokojnym spojrzeniem Feliksa. - My tu nie przywiązujemy wielkiej wagi do tego, co kto robił wcześniej.

- A jeśli... A jeśli - głos Jana łamie się, jakby wygłoszenie absurdałnej teorii było zbyt silnym wyzwaniem - ten człowiek rzeczywiście jest moim szwagrem, moim przyjacielem, który wcale nie zginął, tylko przyjechał tu jakimś cudem i zaczął nowe życie?

- I nie poznałby cię teraz wcale? - odpowiada pytaniem kobieta. - Ani swojej siostry? Ani języka, którym mówicie?

- Jeśli coś stało się z jego pamięcią...

Kobieta nie traci spokoju. Niezmiennie się uśmiecha.

- A skąd wy pochodzicie? Gdzie jest wasz kraj, opowiedz mi o tym - prosi.

Jan spełnia jej życzenie, dodając liczbę tysięcy kilometrów, które doń prowadzą. Tym razem oboje śmieją się ubawieni - i Felix, i jego szefowa.

- Jak tam jest? - pyta Felix.

- Inaczej - mówi cicho Lala. - Zimniej.

- Co robił twój brat? Łowił ryby, tak jak ja?

- Był elektrykiem. Zakładał ludziom w domach przewody elektryczne i naprawiał różne urządzenia.

Właścicielka baru ponownie wybucha głośnym śmiechem.

- W tym nie są do siebie podobni. U restauracji sama muszę zajmować się wszystkim. On woli grać na gitarze.

Kris nigdy nie grał na gitarze, myślą jednocześnie Lala i Jan. Ani na żadnym innym instrumencie.

- Miał żonę i dwoje dzieci. Dwóch synów - mówi Lala. Felix kręci głową i przepraszająco rozkłada ręce. Odwraca się do tłumacza i coś wyjaśnia.

- To nie ja. Nigdy nie zapomniałbym o tym, że mam syna - oświadcza tamten po angielsku.

Felix nie zgodził się pojechać z nimi do kraju. Obcego kraju, powiedział. Nie chciał przyjąć ani biletu lotniczego, ani ich gościny. Nie chciał poznać tych innych, zimniejszych miejsc, nie chciał spotkać wdowy po Krisie ani jego dwóch synów, z których jeden stał się tymczasem dorosły i bardzo do niego podobny. Chciał zostać u siebie, na wyspie. Powtórzył: żadnych zmian.

Odwiedzili go jeszcze trzy razy. Jeśli był nimi zniecierpliwiony, dobrze to ukrywał. Także jego kobieta, otwarta już w poufałości właścicielka restauracji, nie kazała im się wynosić. Oboje wykazywali wielki spokój i odmawiali grzecznie, aż Lala i Jan przestali nalegać.

- Właściwie co byś z nim zrobiła, Lalu? - zapytał Jan ostatniego wieczora przed odlotem, kiedy wzięli z baru butelkę wina, dwa kieliszki i rozłożyli się na pustej plaży, oświetlonej jedynie księżycem, który tu, na wyspie, wisiał na niebie poziomo, z końcówkami zadartymi ku górze jak rogalik.

- Masz na myśli, co zrobiłabym, gdyby wrócił z nami do domu? - spytała.

- Do jakiego domu, Lalu? Do twojej bratowej, która wyszła po raz drugi za mąż i jest w tym związku szczęśliwa? Dwóch synów, którzy żyją własnym życiem i jego częścią jest zmarły, mocno wyidealizowany ojciec? Czy do twojej matki, która nie zna żadnego języka poza ojczystym? Tym razem ty służyłabyś za tłumacza, gdyby chciała o coś zapytać?

- A nasz dom? - poddała Lala nieśmiało.

- I co wtedy byś z nim zrobiła? - powtórzył Jan. Lala milczała.

- Nie macie wspólnej przeszłości. On nic nie wie o przeszłości twojej i Krisa. Nie zna gier, w które graliście, i nie zrozumie waszych powiedzonek. Chciałabyś go tego uczyć?

- Nie... Jego fizyczna obecność...

- Jego starszy syn jest jego fizyczną obecnością. Przecież mówicie tak wszystkie - twoja bratowa, ty, mama... Uspokajacie się z roku na rok, w miarę jak on rośnie i coraz bardziej przypomina ojca. To dobrze. Ale tamten, ten Felix...

- Ty myślisz, że... Myślisz, że tamto miejsce jest już zajęte? Zamiast odpowiedzi objął ją mocno i przytulił do siebie.

- Prawdopodobnie masz rację - powiedziała, nie znajdując w sobie całkowitej zgody. - Tak zapewne jest. Z nami wszystkimi.

Powrotna podróż samolotem ciągnęła się bez końca. Jan zapijał strach piwem, Marta z roztargnieniem oglądała film, choć naprawdę już tęskniła za nurkowaniem i snuła plany na przyszłość, natomiast Lala, zapominając tym razem o modlitwie za szczęśliwy lot, usiłowała ułożyć sobie wszystko w głowie. Próbowwała pocieszyć się myślami, że nie wszystko się skończyło, nie jest ostateczne tak długo, jak tamten człowiek, Felix, nie opuści swojej wyspy, a jak sam powiedział, chce dożyć na niej końca świata. Zawsze więc będą mogli do niego wrócić, przylecieć samolotem, skoro świat stał się taki mały. Nawet z bratankami albo z mamą, jeśli jej serce nie będzie budziło obaw. Oraz jeśli to wszystko ma sens.

A jednak nie o istnienie Feliksa chodziło. Nie o jego grę na gitarze, pracę w restauracji, łowienie ryb i tę kobietę, z którą dzieli życie. Lala wiedziała aż nazbyt boleśnie, że problem leży gdzie indziej, umiejscowiony gdzieś w

przedziale brakującego czasu. Prawdziwą niewiadomą były wszystkie lata stanowiące jednocześnie brak przyszłości Krisa po wypadku i brak przeszłości Feliksa, spokojnie żyjącego na wyspie. A także ich przyczyna. Pytanie, gdzie i jak skończył się jeden, a zaczął drugi.

Tylko... Czy rzeczywiście drugi?

- Mówiłem ci o tej, no wiesz, tej drugiej w życiu Krisa? - zapytał nagle Jan, ukradkowym spojrzeniem sprawdziwszy, czy Marta nie wyjęła słuchawek z uszu.

- Mówiłeś - potwierdziła niechętnie. - Mówiłeś też, że była bez znaczenia.

- To prawda. Kris nigdy nie zostawiłby żony i dzieciaków. Jednak ona była rodzajem urlopu w jego życiu, taką ucieczką od kłopotów.

- Opowiadał ci o niej? - spytała.

- Raz... Niewiele. Był zresztą pijany i potem bardzo się wszystkiego wstydził. Tysiąc razy prosił mnie, bym ci nic nie mówił.

- Dlaczego robisz to teraz?

Jan zerknął na nią spod oka, jakby próbował określić jej nastrój. Zwykle robił to, chcąc upewnić się, czy jego słowa nie brzmią śmiesznie.

- Szefowa w restauracji jakoś mi ją przypominała - powiedział.

- Ty ją znałeś?! - zawołała zaskoczona.

- Nie, widziałem ją raz, a później była na pogrzebie... Nie jestem nawet całkiem pewien, że to o nią chodziło. Ale widzisz, Kris sam kpił wtedy z siebie, mówił, że tamta jest zaprzeczeniem cech klasycznej kochanki - starsza od niego, tęgawa, o wiele mniej atrakcyjna i inteligentna od żony. A jednak dawała mu bezpieczeństwo, akceptowała, była ciepła... Na pogrzebie obserwowałem nieznaną kobietę i jedna pasowałaby do tego obrazu. Była nieprzytomna ze smutku.

Lala patrzyła na niego pełna złości.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałeś?

- Po co?

Akurat przechodziła stewardesa i Jan skorzystał z okazji, by zamówić kolejne piwo. Walcząca z bliżej nieokreśloną irytacją Lala przyłączyła się, prosząc o wino.

- Ja też nie mogę sobie tego poskładać w całość - powiedział Jan, uprzedzając jej słowa. - Też zadaję sobie tysiące pytań. Wiem, że ten Felix nie jest Krisem. Nie naszym Krisem - twoim, dzieci, moim. Ale jeśli w ogóle jest nim choć trochę, to dobrze się stało, że znalazł się na tej wyspie.

Znajomy dreszcz strachu i niepewności ponownie wstrząsnął plecami Lali. Czując zimno w całym ciele, powiedziała cicho:

- A więc ty też wiesz, że to był on.

- Nie wiem, Lalu, nie wiem! Skąd mógłbym to wiedzieć? Przecież to sprzeczne z logiką, ze zdrowym rozsądkiem... To kompletnie niemożliwe.

- A jednak...

- A jednak na tej wyspie było wszystko, o czym on marzył. Wiesz o tym lepiej ode mnie. Nie chciał być elektrykiem, nie chciał klepać biedy i gnieździć się w dwóch małych pokojach, nie chciał jeździć starym samochodem po zatłoczonym robotniczym mieście.

Stewardesa przyniosła im napoje i szybko znikła.

- Chciał grać na gitarze - powiedziała Lala, upijając wina z plastikowego kieliszka. - I kochał łowić ryby.

- Chciał wyjechać w długą podróż, do miejsc, gdzie kilometrami nie spotyka się nikogo. Marzył o tym, by latać.

- To coś takiego, jak nurkowanie.

- Bardzo podobne.

- Był chudy, więc ciągle marzył - przypomniała Lala.

- I - nie gniewaj się - zawsze miałem wrażenie, że obowiązki ojca rodziny go przerastają. Z twoją bratową... to chyba nie był związek idealny.

- Chyba nie - przyznała, zła na siebie - skoro rzeczywiście miał tę drugą kobietę

- Taką ciepłą, jak tamta na plaży. Lala podejrzliwie ściągnęła brwi.

- Taką na plaży, czy taką w restauracji na plaży?

- Obydwie... - odpowiedział Jan, pochylając się w jej stronę, by lekko ucałować jej rękę. - Pamiętasz ten rysunek, na którym Kris jako kilkunastoletni chłopak naszkicował raj?

- Jak mam nie pamiętać - zachnęła się. - Sama ci go pokazywałam, u mamy. On wcale nie nazywał się „Raj”.

- Wiem, jednak ten rysunek przedstawiał raj. Tytuł, który Kris wymyślił, był na potrzeby publiczności.

- Tak... - przypomniała sobie Lala. - Nazywał się „Piękni ludzie, piękne miejsca”.

Słońce zaczęło zachodzić w maleńkich okienkach samolotu i Lala, przechylając się przez drzemiącą ze słuchawkami w uszach Martę, wyjrzała przez szybę. Nie było widać ziemi, cały widok zajmowały chmury, przez które prześwitywało czerwieniejące słońce. W jego rudawej poświacie były miękkie i pierzaste.

- Są puste - powiedziała ze zdziwieniem.

- Co takiego? - nie zrozumiał Jan.

- Chmury - wyjaśniła Lala. - Chmury na niebie są puste.

I Jan spojrział przez wąskie oczko samolotowego okna i nagle parsknął głośnym śmiechem, który obudził Martę, więc przebiła rodziców rozzłoszczonym wzrokiem.

- Lalu - powiedział Jan między wybuchami śmiechu - czy wyobrażasz sobie Tego Indianina parującego tu po chmurach? Tę seksualną, ciemną panterę? Albo moją bosą

kobietę z plaży obwieszoną koralami? Przecież pozapadałoby się tu po kostki!

Oczy Lali rozszerzyły się ze zdziwienia. Zaczęła się zastanawiać, czy Jan może już być kompletnie pijany. Albo czy - bo teraz wszystko było już możliwe - ma rację.

- A fale? A kaktusy? I ta szeroka droga, z której obydwu stron widać morze?

- I powietrze - z wahaniem przypomniała Lala. - Z zapachami.

\*

Knut skończył opowiadać i westchnął zabawnie, jak zawsze, kiedy był zadowolony z siebie. Szybko jednak spojrzał na Karinę w oczekiwaniu na kolejne ironiczne pytanie. Ona jednak milczała. Uśmiechnął się do niej ze śladem pretensji.

- I czemu nic nie mówisz?

Karina odpowiedziała półuśmiechem i błazeńskim wygięciem ust.

- Czekam na puentę - powiedziała, akcentując słowa. - Przecież zawsze zostawiasz sobie coś na koniec.

- Zawsze? - spytał zdziwiony.

- Nie wiesz o tym?

- Nie. Wiem tylko, że gdy wszystko opowiem do końca, ty i tak o coś pytasz.

- Okej, niech ci będzie - poddała się, trochę dlatego, że było chłodno, a opowieści o ciepłej stronie kuli ziemskiej nie pomogły jej w utrzymaniu odpowiedniej temperatury własnego ciała. Chciała do domu. - Jak to się skończyło? Lala wróciła na wyspę?

- Nie - odpowiedział Knut, nawet nie nadając głosowi tonu szczególnego napięcia. - Wszystko zostało po staremu.

- Tylko? - ponagliła go zniecierpliwiona Karina.

- Nic tylko - roześmiał się zadowolony Knut. - Czasami wydaje mi się, że rzadziej przychodzi na cmentarz. I kiedy modli się nad grobem brata, nie jest tak smutna jak kiedyś.

- Aha? - Karina była rozczarowana, czemu wyraz dawały jej opuszczone kąciki ust.

- Aha - potwierdził Knut. - Sądzę, że według niej wcale nie ma go w tym grobie.

Z nieposkromionym strachem Karina odsunęła się od kamiennej płyty.

- Nie ma go - powtórzyła. - To dopiero.



Grób numer 472

MELISSA

Była piękną „oniryczną” blondynką. Tomasz bardzo lubił to słowo i lubił używać go w odniesieniu do Melissy. Kiedyś nawet wymknęło mu się przypadkiem w domu, kiedy na prośbę matki opisywał Melisę najdokładniej, jak potrafił, mówiąc o jej smukłej sylwetce, długich nogach, jasnej skórze i jedwabistych włosach koloru opustoszałej plaży. I posłużył się określeniem, które według niego najdokładniej ją wyrażało.

- Oniryczną... - Matka, od wielu lat niepracująca zawodowo kobieta inżynier, pokiwała głową.

Tomasz nie był przekonany, że matka na pewno zna to słowo, jednak mógłby się założyć, że sprawdzi jego znaczenie w słowniku.

Uwielbiał bawić się w określanie Melissy. Była tego warta i często żałował, że nie potrafi malować. Nadrabiał to robieniem jej tysięcy zdjęć i najczęściej były one czarno - białe, choć wcale nie czerń i nie biel były ulubionymi kolorami ich obojga. Jednak Tomasz uważał, że każdy, kto zapragnąłby sportretować Melisę, chwyciłby za ołówek lub piórko, zapomniawszy o kolorach, aby pędzel i farby nie skradły eterycznej wiotkości jej konturu.

Gdy nie byli razem, w wyobraźni widział ją wpisaną w tło ikony, odzianą tylko w miękkie gieżło, jak na przekorę odrealniające jej perfekcyjne ciało. Pozowała mu raz do serii nagich zdjęć, do których otulił ją jedwabiem. Oglądając później fotografie, żałował, że szlachetna plastyczność tkaniny odegrała na nich osobną rolę, obrazom, które miały być tylko Melisą, dodając zbędny aspekt.

Uwielbiał opisywać Melisę jej samej, co zawsze ją bawiło, tym bardziej, że była osobą dość konkretną. Była dokładna i dbała o porządek własnego świata. Jej idealizowany obraz stworzony przez Tomasza zarazem

pochlebiał jej i ją cieszył, choć nie uważała go za prawdziwy. Rozbieżność tkwiła być może w znaczeniu słów, które Tomasz tłumaczył jej z języka ojczystego, nazywając na nowo i opisując znaczenie tych, które w jej języku nie istniały.

- Mówię, że jesteś oniryczna, bo taka właśnie jesteś.... Kobietę jak ty widział Nerval w swoim domu wariatów, doskonałą i nietykalną nimfę. A nimfa to Ondyna, oniryczna Ondyna to onomatopeicznie dokładna nierealna czarownica z bagien, jednak ty nie mogłabyś być z bagien, bo jesteś zbyt jasna, zbyt kościoloniowa, zbyt świetlista i czysta... Ty jesteś z mgły, nie słowiańskiej, nie mojej, jesteś z mgły celtyckiej, japońskiej bibuły, z białej laki na filiżance...

Umierał, gdy się kochali, i wyobrażenie o niej mieszało się z realnością jej ciała, zapachu i intensywności, z jaką ona przeżywała miłość. Nie była wtedy Madonną, jaką malowałby Modigliani, nie była zjawiskiem, lecz żywiołem pełnym gorąca, oddechu, krzyku i wilgoci. Kontrast tych dwóch światów, z których każdy był jego Melissą, odbierał mu rozum.

- Więc kiedy przywieziesz nam tę swoją oniryczna narzeczoną? - zapytała matka którejś niedzieli. - Oniryczna, ale mam nadzieję, że nie zaspaną.

Uśmiechnęła się zalotnie, a Tomasz zrozumiał, że rzeczywiście zajrzała do słownika. Ucałował ją ciepło i obiecał spotkanie z Melissą w czasie najbliższym z możliwych.

Tomasz kochał swój dom i czuł się w nim bezpiecznie. Dom stanowiły mury, dach oraz to, co znajdowało się w środku. A także tabliczka z nazwiskiem na drzwiach, odrobina ogrodu, a przede wszystkim oni: matka, ojciec, Tomasz i Ula, słowiańska rodzina w Europie Zachodniej. Z własną historią, którą ojciec opowiadał mu wiele razy, przypominając

miesiące i lata po wyjeździe z ojczyzostego kraju rodziców i starszej siostry. Tomasz urodził się już tutaj.

Rozumiejąca internacjonalizm ich domu Melissą pasowała doń doskonale. Jej jasnowłosa matka, pogodna kobieta o gładkiej skórze i śpiewnym sposobie mówienia, pochodziła z Holandii. Ojciec Melissy był natomiast stuprocentowym Niemcem, który przekazał swoim dzieciom rzeczowy stosunek do świata wraz z zamiłowaniem do porządku i obowiązków. Melissa nie miała więc w sobie odrobiny słowiańskiej duszy, jednak i to nie przeszkadzało w niczym.

Najgorsze było to, że Melissa nie wierzyła w Boga.

- Jestem ateistką i co z tego? Moja cała rodzina to ateści. Mnie nie przeszkadza, że ty jesteś katolikiem.

- Jak można w nic nie wierzyć?

- Ależ ja wierzę: w człowieka, w ewolucję, we wszechświat, w wyższą siłę, która być może jest początkiem rzeczy. Tylko nie widzę powodu, by modlić się do tego wszystkiego albo łązić co niedziela do kościoła. Nie wierzę w twojego katolickiego Boga.

- Ani żadnego innego.

- Właśnie.

- Czy ty wiesz, że to nie jest twój wybór? Myślisz tak, bo nikt ci Boga nie pokazał! Twój rodzice byli ateistami, więc ty też jesteś, nie wiedząc, że mogłabyś pójść inną drogą.

- A ty uważasz, że twój Bóg jest twoim wyborem? Ty z kolei wierzysz w Niego, bo twoja rodzina cię tak wychowała! Ty także nie masz innej drogi..

- A jednak... Znajac Boga, potrafię wyobrazić sobie życie z nim albo bez niego. Natomiast ty nie.

- I uważasz się za lepszego, bo zanim sam zacząłeś myśleć, nawkładali ci tego Boga do głowy?

- Nie uważam się za lepszego. Wydaje mi się tylko, że mam większe szanse rozumieć obydwie stany.

- Lepiej niż ja?

- Lepiej niż ty.

- A potrafiłbyś zrezygnować z Boga? Stwierdzić, że go nie ma, i żyć tak, jakby go nie było? Zapomnieć o nieśmiertelności duszy, o raju i piekle i żyć tak, jakby wszystko - jak dla mnie - miało się skończyć po śmierci?

- Teoretycznie tak.

- Teoretycznie! Twoja wiara siedzi w twojej podświadomości, bo ci ją tam zasiali. Tak, tak, twoja mama i twój tatuś. I twoje słowiańskie babcie i ciocie, i wujkowie...

- Sam dokonuję wyborów!

- Owszem, jednak startując z mojej i twojej pozycji, mnie łatwiej byłoby uwierzyć w Boga niż tobie usunąć go z życia!

Dyskusja skończyła się w łóżku jego krótkim i wielkim umieraniem, po którym paliło go sumienie na wspomnienie własnych myśli, obejmujących Melissę właśnie w kategoriach boskich. To ona zdawała mu się ważniejsza nad wszystko, czego się dotychczas nauczył. W gorącym konflikcie wewnętrznym udawało mu się czasami wybaczać sobie drobniejsze, banalne przewinienie katolika, który kocha się z kobietą bez ślubu, jednak fakt, że kobieta ta wcale nie wierzy w Boga, był dla Tomasza jednoznacznie i niezaprzeczalnie karygodny.

Tymczasem kiedy ona leżała obok odprężona i radosna, koncentrował się na obrazie Boga wspaniałomyślnego i wybaczącego, pragnąc zapomnieć o zakazach i nakazach w imię boskie postawionych. Czynił to, ponieważ własna głęboka wiara i pochodząca z niej świadomość grzechu odbierały mu wiele z doskonałego przeżycia miłości z kobietą. Czuł się przez to okradziony, skrzywdzony w swoim pierwotnym, ludzkim „ja”, które szeptało mu, że połączenie

ich dwojga, tkliwy i ponadrealny lot nad ziemią, nie jest tylko aktem fizycznym czy grzesznym wyrwaniem ciała spod kontroli umysłu. Gwałtowne światło rozbłyskające w środku człowieka mogło pochodzić tylko z samej duszy - tej pozaludzkiej, boskiej. I wierzyć się mu, Tomaszowi, nie chciało, że właśnie ono miałoby być grzechem.

On sam nigdy nie czuł się tak szczęśliwy i czysty, nigdy nie ocierał się tak blisko o niebo jak wtedy, gdy nagie ciała jego i Melissy łączyły się ze sobą.

Ich pożegnanie było bardzo bolesne. Tomasz, w militarystycznej kurtce i z brezentowym plecakiem, nerwowo ścisnął drżącą Melissę, która płakała jak małe dziecko, nic sobie nie robiąc ze spojrzeń ludzi na peronie, z rozmazanego makijażu oraz z jego zaniepokojenia takim zachowaniem. Kiedy wcześniej wyobrażał sobie scenę ich dworcowego pożegnania, widział ją jako rasową, chłodną piękność na tle tłumu ludzi na peronie. Miała być boginią o twarzy owianej złocistymi włosami, tajemniczą jak wyzwanie, wyrażającą zgodę na odejście naznaczone klątwą czekania i modlitwą o łaskę powrotu.

Tymczasem nie było w niej śladu zagadkowości. Nie trzymała w dłoni pożegnalnej róży, zapomniała nawet chusteczek do nosa i nieuważnie wycierała mokrą twarz grzbietem dłoni albo przytulając się do jego kurtki, zostawiała wilgotne ślady na materiale. Nie było w niej nic z ulotnej czarodziejki, nic z Ondyny - była tylko zapłakaną, bezradną i niemal histeryczną dziewczynką.

- Nie dam sobie rady bez ciebie. Nie wytrzymam tego roku.

- Musisz wytrzymać, kochanie. Wytrzymamy...
- Będziesz pisał... codziennie... i dzwonił.
- Tak. Codziennie, przyrzekam.
- Kocham cię... Kocham cię!

- Ja też cię kocham... To tylko kilka krótkich miesięcy, a potem już zawsze będziemy razem.

- Przysięgasz?

- Przysięgam.

- Na wszystko?

- Na całe nasze życie.

Kiedy pociąg odjeżdżał, wstrząsana łkaniem stała na peronie i nawet nie machała mu dłonią na pożegnanie, zakrywając nią usta, jakby próbowała zatrzymać krzyk. „Żegna mnie, jakbym jechał na wojnę” - myślał Tomasz, który choć sam rozbity i przerażony pierwszym rozstaniem, koncentrował się już na nowym odcinku życia. Nie rozumiał nowego obrazu Melissy i instynktownie nie był nim zachwycony.

Razem ustalili - on postanowił, a ona zaakceptowała - jego odmowę odbycia służby wojskowej. Sumienie Tomasza, zagorzałego pacyfisty, nie wyrażało na nią zgody, na co nie bez wpływu byli jego wschodni antenaci. Z wielkim trudem zdobył więc możliwość służby cywilnej w Gambii, choć łączyła się z pewnymi niebezpieczeństwami natury zdrowotnej oraz rezygnacją z zapłaty. A jednak otrzymawszy zgodę na wyjazd, Tomasz jak dzieciak podskoczył do góry, jakby pod postacią biletu do Afryki spełnić się miało jedno z jego najważniejszych marzeń. Perspektywę spędzenia roku w nieznanym świecie uznał za wyzwanie oraz wielki honor i nawet rozstanie z Melissą nie mogło zakłócić mu radości. Jej samej nie odsunął przy tym na jakiś drugi emocjonalny plan, nie zamierzał zaniedbać uczuć, które jej dotyczyły, nie lekceważył także znaczenia ich długiego rozstania. Wiele myślał o nich obojgu, a zadając sobie nieuniknione pytania o wierność, spokojny był o własną. Co do Melissy, chciał wierzyć w to, że będzie na niego czekała.

Jednak istniał też inny powód, do którego Tomasz nigdy nie przyznałby się przed samym sobą, a dotyczył niezupełnie świadomego prowokowania losu. Związek z Melissą, emocjonalnie intensywny i bogaty, zawierał w sobie także spory element niepewności i on właśnie, co Tomasz czuł instynktownie, stanowił dodatkowe, niewyczerpane źródło podniet. Z jednej strony psychiczna niezależność Melissy nie do końca zezwalała Tomaszowi na pewność bycia najważniejszym w jej życiu, z drugiej zaś jej ponadprzeciętna atrakcyjność owocowała istnieniem wielu potencjalnych rywali. W ciągłym męskim zagrożeniu Tomasz polubił w końcu myślenie o życiu z Melissą jako o pewnego rodzaju walce o każdy następny dzień, który równie łatwo jak przez nią ofiarowany, może być odebrany w każdej chwili.

Wyjazd na koniec świata w pojedynkę był podbiciem stawki, a wynikające z niego wyzwanie Tomasz przyjął, zadziornie twierdząc, że świetnie wszystkiemu podda.

Gdy wrócił do domu, rodzice już spali. Idąc do łazienki, zauważył smugę światła z pokoju Uli i zapukał do drzwi.

- Proszę.

- Nie śpisz jeszcze - powiedział, wchodząc. Siostra odłożyła czytaną książkę i spytała wprost:

- Znalazłeś ją?

- Nie. Nie mieszka już tam, gdzie dawniej, nie zostawiła adresu, a w naszym dawnym pubie nikt dawno o niej nie słyszał.

- Myślisz, że wyjechała?

- Nie wiem. Nie sędzę. Chyba że wyjechała z kimś. Myślę, że jest teraz z kimś i obraca się w zupełnie innych kręgach.

- Stchórzyła przed tobą?

- Możliwe.

Tomasz zastanawiał się niedawno, czy taki rodzaj tchórzostwa pasowałby do Melissy, i nie znalazł odpowiedzi. Uzmysłowił sobie, przy okazji rugając się za spostrzegawczość z gatunku post mortem, że właściwie nie znał jej z sytuacji konfliktowych. Nigdy nie doszło między nimi do poważniejszej sprzeczki, nie był także świadkiem żadnej innej, w której generalnie chłodna i jakby automatycznie utrzymująca dystans z otoczeniem Melissa byłaby stroną. Drażąc temat, pojął, że nie zwrócił dotychczas uwagi na jej ograniczone uczestniczenie w tak zwanym życiu codziennym, gdzie nieszczególnie zajmowała ją rodzina, przyjaciele, gdzie nawet własne plany na przyszłość nie wzbudzały w niej większej pasji. Dlaczego nigdy tego nie zauważył? Dlaczego nie wzbudził jego podejrzeń fakt, że z Melissa wszystko odbywało się bez wiążących słów i nieoczekiwanych sytuacji?

Aż do pożegnania na dworcu, gdzie jej gwałtowność tak niemile go zaskoczyła.

- Próbowałam czegoś się o niej dowiedzieć, tak jak prosiłeś mnie w liście - powiedziała Ula. - Nie udało mi się. Rozmawiałam z wieloma osobami z jej roku, ale wszystkie mówiły to samo. Oni także podejrzewają, że wyprowadziła się z miasta.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Pewnie kogoś poznała. Nie chcę ci robić przykrości, ale jeżeli tak jest, to musi być poważne. Nie znika się tak nagle z życia, jeśli chodzi tylko o przelotny romans.

- Wiem - odpowiedział cicho. - I muszę ją znaleźć, choćby tylko po to, by mi sama to powiedziała.

Chwilę milczeli. Tomasz pomyślał, że właściwie nie o Melissie chciał porozmawiać z Ulą. Choć sytuację w domu znał z opisów ojca, chciał jeszcze raz wszystko usłyszeć z ust



siostry, gdyż ojciec, rzetelnie referując fakty, nie mówił nic o uczuciach.

On właściwie nigdy nie umiał mówić o uczuciach, a ja to po nim odziedziczyłem, pomyślał z urazą.

- Powiedz mi, co z mamą - poprosił.

- Wymusiła na nas, by ci o niczym nie pisać. Bała się, że przerwiesz służbę i zaraz przylecisz.

- Nie mogłem przerwać - przestraszył się. - Myślisz, że tego ode mnie oczekiwała?

- Nie, raczej nie. Nie chciała przyjąć do wiadomości niebezpieczeństwa. Do dzisiaj nie chce tego zrobić, próbuje traktować raka jak każdą inną chorobę.

- Ale myślała, że mógłbym przylecieć - powtórzył.

- Gdybyś naprawdę to zrobił, przestraszyłbyś ją na dobre - powiedziała Ula szczerze. - Wtedy musiałyby zacząć myśleć, że to ostateczne. Także ze względu na nią ojciec i ja tak stanowczo ci to odradzaliśmy.

Z nagłym wstydem Tomasz przypomniał sobie reakcję na ojcowskie napomnienie o niezmiennianiu biegu wydarzeń i uświadomił sobie, jak szybko - zbyt szybko - zgodził się nie wracać do domu. Oczywiście poinformował się dokładnie co do prognozy choroby matki i przebiegu leczenia, po czym chętnie uwierzył, że wczesne wykrycie raka w odmianie stwierdzonej u matki gwarantuje niemal wyleczalność. W pewnym stopniu tak jak matka nie chciał uświadomić sobie grożącego niebezpieczeństwa. Jednak największą rolę odegrał dystans, który wytworzyło w nim przebywanie w samym centrum niewyobrażalnego ludzkiego nieszczęścia, gdzie śmierć jest na porządku dziennym, następując szybko i nieodwołalnie na skutek zwyczajnego głodu albo nieskomplikowanych chorób, możliwych do wyleczenia prostymi, acz nieosiągalnymi ze względu na koszty lekami.

- Co się z nią teraz dzieje?

- Wierzy, bo chce wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Nie chce mówić o sobie, ale trudno nie widzieć, jak bardzo jest przerażona. Najtrudniejsze jest to, że cały rytm jej życia się zmienił, bo przez chorobę musi żyć wolniej, czego nie potrafi. To nie pozwala jej przestać myśleć o chorobie.

- Naprawdę nie pali?

- Naprawdę. Ale tu akurat świetnie sobie radzi, bo już wcześniej zamierzała z tym skończyć. Jest więc w tym także jakiś akt własnej woli.

Ula opowiadała mu o matce do czasu, gdy zegar w przedpokoju wybił trzecią nad ranem. Przytłoczony nieszczęściem, które dopiero w domu przybrało brutalnie realne kształty, Tomasz wstał z fotela i chwiejnie ruszył do swojego pokoju. Powlókł się korytarzem, który własnoręcznie malowała jego matka, po dywaniku, który wybrała, w kapciach, które przekornie podarowała mu na Dzień Dziecka. W pokoju, w którym czytała mu bajki i ganiła za brak porządku, łzy pociekły mu z oczu: wszystko to miało pozostać niezmienione, jej jednej mogło zabraknąć.

Moja matka może odejść. Tak jak odeszła Melissa. Tomasz zacisnął palce. Nie potrafię uporządkować myśli, nie wiem, która z tych tragedii bardziej mnie zdruzgotała.

Ucieszył się jak dziecko, usłyszawszy, że ktoś ją odnalazł. Krew uderzyła mu do głowy, serce rozpedziło się w nim w radosnym oczekiwaniu i poczuł zastrzyk nieprawdopodobnie silnej energii. W tej samej sekundzie gotów był biec do niej, przekonany, że ją odzyskał. Zdziwił się, dowiedziawszy się o jej nowym miejscu pobytu. Nie uwierzył w to, co usłyszał o jej nowym sposobie życia.

Usiadł ciężko na krześle, z którego dopiero co instynktownie się poderwał, w doskonale znanym pubie, od lat miejscu spotkań tych samych ludzi, zaprzyjaźnionych ze sobą niemal od dzieciństwa.

- To niemożliwe - powiedział. - Melissa? Nie ona. Musiałeś ją z kimś pomylić.

Przyjaciół puknął się w czoło.

- Zgłupiałeś? Pomylić Melissę?

- Musiałeś się pomylić - powtórzył uparcie Tomasz. - To nie mogła być ona.

Tamten patrzył na niego z litością.

- Pojedź tam. To niewielkie miasteczko. Przypuszczam, że już wszyscy ją znają. Taka dziewczyna nie przechodzi niezauważona. Zapytaj w którymkolwiek z domów, w których była. Każdy musiał ją zapamiętać.

Minęły jednak trzy dni, zanim Tomasz pojechał do wskazanego miasteczka, chociaż nie prowadziła do niego jakaś szczególnie długa droga, jedynie kilkadziesiąt kilometrów, niewystarczających nawet na ułożenie myśli i jakiegoś planu postępowania. Czas, który minął od otrzymania wiadomości o Melissie do momentu rozpoczęcia poszukiwań, upłynął mu na towarzyszeniu matce w szpitalu podczas trzeciej serii naświetlań. Chciał uczestniczyć w uzdrawianiu, ogarnięty wyrzutami sumienia za uprzednią nieobecność, aczkolwiek nie najlepiej znosił widok osłabionej matki, zmuszającej się do uśmiechów maskujących słabość i przerażające bóle. Ojciec i Ula z całą pewnością stanowili lepszą pomoc; obeznani z sytuacją i przygotowani na wiele, próbowali wspierać też i jego, co jednak wcale nie było łatwe. Tomasz trwał w koszmarze niepewności i paradoksalnie wydawało mu się, że w Gambii radził sobie znacznie lepiej niż teraz, kiedy wrócił do domu.

Zaparkował samochód zaraz za rynkiem miejscowości sprawiającej wrażenie spokojnej, przy szerokiej, niezatłoczonej ulicy. Sklepy były tu takie jak wszędzie, jedynie dwa czy trzy niewielkie butikie nie należały do znanych sieci handlowych, rozprzestrzenionych po wszystkich

miastach i miasteczkach Zachodniej Europy. Także domy mieszkalne nie odznaczały się niczym szczególnym. Ciemny, od czerwieni do brązu wahający się klinkier konsekwentnie okrywał je wszystkie, a spadziste dachy dopełniały wrażenia stabilności i pełnej porządku nudy. Ogródki były zadbane i właściwie takie same, od krótko przyciętych trawników i kwitnących krzewów po liczne rzeźby z terakoty i kamienia, wśród których nie brakło wesołych kolorowych krasnali, jak Tomasz słusznie podejrzewał, często importowych z wschodniej granicy.

Nie wiedział dokładnie, od czego powinien zacząć. Bez pośpiechu doszedł do rynku i rozejrzał się, nieświadomie badając teren w sposób podobny do rozpoznania stosowanego w Gambii. Po półgodzinie wszedł do prawie pustej o przedpołudniowej porze kawiarni i zamówił kawę, z chętną do rozmowy kelnerką zamienił kilka zdań, a po piętnastu minutach wrócił do samochodu i pojechał na wskazane mu nowe osiedle.

Miał wielkie szczęście, sam prawie nie mógł w nie uwierzyć, nieprzygotowany na to, że po długich tygodniach poszukiwań wszystko zakończy się tak nagle i szybko. Aż niezadowolony był z takiego rozwiązania i nie odczuł nic prócz zaskoczenia, kiedy w odległości kilkunastu metrów rzeczywiście zobaczył Melisę.

Była ubrana w prostą błękitną sukienkę, a długie złociste włosy luźno spływały jej na plecy. Miała buty na płaskim obcasie i grubą książkę pod pachą, kiedy wraz ze starszym, surowo ubranym mężczyzną stała z uśmiechem na ustach przed niechętnie uchylonymi drzwiami i dzielnie zniosła prawie natychmiastowe zatrzaśnięcie ich przed nosem. Rozczarowanie, które zagościło na twarzach nierównej pary, po krótkiej wymianie spojrzeń oddalającej się od niegościnnego domu, było ledwie zauważalne.

Tomasz odczekał kilka minut potrzebnych na uspokojenie przyspieszonego rytmu serca, otarł z czoła nieoczekiwane krople potu i na dygoczących kolanach wysiadł z samochodu, nie odrywając wzroku od zakrętu ulicy, za którym zniknęli Melissa i jej towarzysz. Ostrożnie, jakby obawiał się ich powrotu, podszedł do drzwi, od których odprawiono ich z kwitkiem. Nie wiedział dokładnie, co robi, nie miał żadnego gotowego planu, naciskając na dzwonek. Dopiero słysząc zdecydowane brzmienie kroków kogoś, kto zbliżał się do drzwi, zaczął gorączkowo składać myśli.

- Dzień dobry - powiedział grzecznie do kobiety w średnim wieku, która stanęła przed nim w domowym fartuchu, wyczekującej pozie bez uśmiechu.

- Dzień dobry - odpowiedziała i nie sposób było nie dojrzeć niechęci w jej niecierpliwym spojrzeniu.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, spuszczał wzrok na czubki butów, jednak opanował się natychmiast, podnosząc oczy na rozmówczynię w sposób, który miał wzbudzać zaufanie. - Wiem, że dopiero co panią niepokojono, jednak...

- Pan też do nich należy? - przerwała kobieta ostrym tonem. - Bo jeśli tak...

- Nie - zaproponował, starając się nadać głosowi jednocześnie przyjazną i stanowczą barwę - wręcz przeciwnie.

- Więc o co panu chodzi?

- Chciałem tylko dowiedzieć się, kim byli ci ludzie. - A pan kim jest?

- Chcę kupić tu dom - odpowiedział bezsensownie, z ulgą przypominając sobie tablicę informacyjną jakiegoś biura maklerskiego, dużą płachtę z dykty, o którą mało co nie zawadził, parkując nieuważnie, gdy dostrzegł na ulicy Melisę.

- I co to ma do rzeczy? - spytała nieuprzejmie kobieta, węsząc podstęp.

Jej postawa nie wyrażała strachu, także sposób, w jaki trzymała na wpół otwarte drzwi wskazywał na to, że albo nie jest w domu sama, albo doskonale wie, jak radzić sobie z intruzami. Tomasz zmusił się do kolejnego uśmiechu.

- Właściwie nic... - odpowiedział z wahaniem. - Rozglądałem się po okolicy i zobaczyłem tę parę. Właściwie to chciałem zapytać panią, jak tu się mieszka, jednak zapytałem o nich. Sam nie wiem czemu.

- To jehowi - odpowiedziała kobieta. - Mieszkam tu dopiero od czterech miesięcy, a oni przyszli już trzeci raz. Ciągłe ci sami, stary i ta blondynka. Następnym razem poszczuję ich psem.

- Ma pani psa? - spytał Tomasz głupio.

- Nie! - Kobieta roześmiała się na widok jego niezdecydowanej miny. - Ale pożyczę od sąsiadki. Sąsiedztwo jest tu bardzo sympatyczne, mówię to panu na wypadek, gdyby rzeczywiście chciał pan kupić tu dom...

Pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. W samochodzie, w którym zostawił szeroko otwarte drzwi, opuścił oparcie fotela, by móc się położyć, i oparłszy głowę na skrzyżowanych dłoniach, zamknął oczy. Przestało mu się spieszyć. Mógłby pójść za Melissą i jej dziwnym przyjacielem, przekonany, że nie zakończyli jeszcze kolędowania po osiedlu, które w tym miejscu ledwie się zaczynało. Z pewnością nie odeszli daleko, odwiedzili może pięć, najwyżej siedem domów, zakładając, że i tak nigdzie nie wpuszczono ich do środka. A jednak Tomasz nie ruszał się z niewygodnej pozycji w samochodzie, jakby naciągany odpoczynek sprawiał mu przyjemność. Ogarnęło go otepienie, nie był już zaskoczony ani też rozczarowany. Widok Melissy uspokoił go w jakiś nielogicznie fragmentaryczny sposób, jakby sama znajomość miejsca jej pobytu wystarczyć mogła do wymyślenia sposobu na ciąg dalszy wydarzeń. Wcale nie przeszkadzało mu przy tym, że

nie poznał jej adresu, a ulica, na której ją spotkał, stanowiła rewir nawracania niewiernych.

Postanowił wszystko jeszcze raz przemyśleć. Kiedy już ją znalazł, kiedy mógł zwyczajnie podejść do niej i zagadnąć, zabrakło mu sił. Poczul się wyczerpany, jak w ciężkich chwilach w Afryce, kiedy z tysiącem problemów na głowie padał na polowe łóżko, na czas krótkiego wypoczynku odsuwając od siebie sprawy do rozwiązania, wyłączwszy mózg tak, jak gasi się światło.

Kiedy po długim czasie otworzył oczy, jakaś nieważna muzyka popłynęła z okna któregoś z domów, a on nie pamiętał już o niczym - ani o Melissie misjonarce, ani o chorej matce, którą zamierzał odwiedzić w szpitalu.

Matka była blada, jej oczy zapadły głęboko w oczodoły okolone przeredzonymi rzęsami. Wąski nos wyostrzył się niebezpiecznie, jednak jasność skóry sprawiała, że nie tylko Tomasz, lecz i inni odwiedzający twierdzili zgodnie, że matka wygląda bardzo młodo. Drobną sylwetką, do kilku centymetrów skrócone jasne włosy oraz wzruszająca bezradność ciągle zabieganej osoby, która nagle zmuszona jest pozostać w łóżku, budziły we wszystkich uczucia bardziej bliskie wzruszeniu niż współczuciu. Także Tomasz uświadomił to sobie, gdy prawie automatycznie kupił zamiast kwiatów psa - maskotkę u ulicznego sprzedawcy, kiedy ten zagadnął go w drodze do kwiaciarni.

Obolała matka obdarzyła go szczęśliwym uśmiechem małej dziewczynki; była trochę zaskoczona prezentem, lecz bardziej zdziwił się on, zobaczywszy jak szczerze przytula do siebie zabawkę. Widok ten zaowocował wulkanem nowych sił, wyzwalał w nim pragnienie zaopiekowania się nią naprawdę, tak, jak czyni prawdziwie dorosły syn. Stan ten był porównywalny z przeżywanymi w Gambii i Tomasz natychmiast poczuł się silniejszy na znajomym terenie. Tu

przynajmniej reguły nie były mu obce, zwłaszcza najprostsza i najbardziej odpowiadająca sytuacji prawda o ogromie ludzkiego nieszczęścia: emocje zdają się na nic, kiedy dzieje się coś bardzo złego. Tomasz zapamiętał, że chcąc coś działać, trzeba zakasać rękawy munduru, założyć okulary oraz czapkę z daszkiem i zdecydowanie zabrać się do roboty. I jeszcze to, że mając przed sobą wielki kawał niezagospodarowanej ziemi, należy zaczynać od najbliższego rogu.

Najlepiej na kolanach.

- Mamusiu...

Gładził dłoń o wysuszonej skórze. Matka uśmiechnęła się ze słodyczą.

- Jak to się stało, że nas urodziłaś? Mnie, wielkiego draba i tę prymuskę Ulę? Teraz jesteś taka malutka, że każde z nas mogłoby nosić cię na barana.

- To tylko ta choroba, Tomku - odpowiedziała. - Sam doskonale wiesz, że z nas wszystkich to ja zawsze miałam najwięcej siły.

- Zgadza się - potaknął. - Prymuska i drab w jednej osobie. Widzisz, może za dużo tego było. Tak ciągle biegałaś i biegałaś, aż nie zdążył ci się odłożyć żaden tłuszcz i teraz nie masz nic. Prawie cię nie widać w tym wielkim łóżku.

- Masz na myśli pamiętne babci „Nim gruby schudnie, to chudy zdechnie”? - zażartowała matka.

Uśmiechnęli się oboje, chociaż dowcip, jak ulał pasujący do grzeszącej nadwagą babci, nie wydawał się na miejscu w szpitalnej sali oddziału onkologii. Tomasz pokręcił głową i pogłaskał matkę po rękę. W sali przyjemnie pachniało. Nie były to kwiaty, teoretycznie zabronione; Tomasz przypuszczał, że raczej matka nie odmówiła sobie kilku kropli perfum.



- Ja nie zdechnę, synku - powiedziała poważnie. - Obiecuję ci, tak jak obiecałam ojcu i Uli.

Odrobinę mocniej uścisnęła jej wychudzone palce.

- I obiecałam to sobie - dodała - bo nie chcę zgodzić się na odejście teraz, kiedy wszystko już tak dobrze się układało. Nie było nam łatwo, kiedyś ciągle klepaliśmy biedę, potem przyjechaliśmy tu, było ciężko, ale wszystko wytrzymaliśmy, udało się, jesteście z Ulką zdrowi i mądrzy, kochamy się wszyscy, nawet drzewa tak pięknie wyrosły nam w ogrodzie... Tak bardzo chciałam mieć własną czereśnię. I róże. I chciałam raz wypłynąć w rejs statkiem. Mogę to wszystko mieć teraz... Nie będę z niczego rezygnować. Chcę mieć wnuki i popłynąć statkiem w rejs.

Tomasz milczał chwilę, uspokojony. Przymknął oczy i cieszył się ciszą, skoncentrowany na ledwie wyczuwalnym zapachu perfum. Ocknął się dopiero wtedy, gdy jakiś pchany przez pielęgniarzkę wózek lekko uderzył o coś na korytarzu.

- Tak będzie - przysiągł.

Matka przymknęła oczy. Była już zmęczona.

- O rejs będzie musiał zatroszczyć się wasz ojciec. Wnuki to wasza sprawa - powiedziała.

- To bardzo dobry podział zadań - zgodził się Tomasz.

- Mam gdzieś wasze czytanie Biblii! - wrzeszczał młody człowiek w podkoszulku i opadających spodniach. Machał rękami i ze złością rzucił papierosa na swój własny chodnik przed drzwiami, prosto pod stopy starszego mężczyzny, któremu towarzyszyła blondynka ubrana na niebiesko.

- Dlaczego ich tak traktujesz? - zapytał ostro Tomasz, nieoczekiwanie dla samego siebie przechodząc przez furtkę dzielącą dom od ulicy.

Wysiadł z samochodu, z którego znów, jak kilka dni wcześniej, śledził Melisę i jej towarzysza w misyjnych wędrówkach po osiedlu. Żadne z nich nic nie zauważyło,

kiedy w skupieniu obserwował ich przez szybę zaparkowanego auta i był świadkiem odprawienia z kwitkiem przez kolejnych ludzi z rzędu. Tak było w trzech szeregowych domach, w czwartym nikt nie otworzył, natomiast w piątym, po dłuższej chwili oczekiwania, pojawił się ten agresywny młodzian.

Melissa zbladła, usłyszawszy głos Tomasza, który pojawił się nagle i nie patrząc na nią, stanął obok, jakby zainteresowała go jedynie rozmowa z chłopakiem, odgarniającym nerwowo długie włosy znad czoła. Zdezorientowana, przenosiła niedowierzający wzrok z jednego na drugiego.

- A ty co? Jesteś ich gorylem czy jak? - warknął młodzieniec do Tomasza.

- Nie, ale nie rozumiem, dlaczego się tak drzesz - odpowiedział Tomasz z przesadnym spokojem w głosie. - Zrobili ci coś?

- Zrobili, stary, zrobili! Przyłażą tu, przeszkadzają mi już któryś raz!

- Ach tak?

- Mówiłem im grzecznie, żeby dali sobie spokój, ale oni nic, dalej swoje! W dodatku mają mnie za idiotę!

Starszy towarzysz Melissy otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ona natomiast nie uczyniła żadnego ruchu.

- Słuchaj, stary - chłopak w podkoszulku usiadł zrezygnowany na progu domu - jestem muzykiem, muszę pracować. Korzystam z czasu, kiedy nikogo nie ma w domu i nie życzę sobie, by ktoś mi ciągle przeszkadzał.

- Jasne - zgodził się Tomasz.

- Ale do tych tu nic nie dociera! Dzwonią, stają mi tu w drzwiach z Biblią dla dzieci i chcą mi tłumaczyć sens życia. Jestem muzykiem, nie idiotą! Nie życzę sobie, by mi

przeszkadzano, tak samo jak nie życzę sobie, by ktoś mnie nawracał za pomocą książek z obrazkami!

Tomasz obejrzał się na Melisę, jak sędzia oczekujący na zajęcie przez nią stanowiska. Ich spojrzenia skrzyżowały się i ona pierwsza spuściła oczy.

- Skoro pan sobie życzy - powiedziała cicho w kierunku chłopaka, lekceważąc mężczyznę, z którym przyszła - nie będziemy pana więcej niepokoić.

Odwróciła się na pięcie i nie czekając na nikogo, odeszła szybko ulicą, nie oglądając się na swego towarzysza, który podążył za nią, zdezorientowany.

- Gdyby ona chociaż przychodziła sama - westchnął chłopak, spoglądając za nią tęsknie - to może bym jeszcze pogadał z nią o tym końcu świata. Ale ona się, kurwa, wcale nie odzywa, tylko stary nawija i nawija.

Tomasz, również śledzący wzrokiem oddalającą się parę, wrócił do rzeczywistości.

- Naprawdę tak często przychodzą? - spytał.

- Mhm - potwierdził długowłosego muzyk. - Chcesz piwa?

Tego dnia nie pojechał od razu do domu. Podziękowawszy chłopakowi za zaproszenie, wrócił do samochodu, aby go zamknąć, po czym bez pośpiechu ruszył ulicą w kierunku, w którym oddaliła się Melissa. Nie był pewien, czy ją spotka, i było mu to dziwnie obojętne, jak poprzednio nie spieszył się do rozmowy, o której wiedział, że i tak kiedyś nastąpi i nie będzie przyjemna.

Stała na rogu kilkaset metrów dalej, dyskutowała o czymś z mężczyzną w garniturze, gestykulując w sposób dowodzący, że go o czymś przekonuje. Tomasz zwolnił jeszcze, nie spuszczać z niej wzroku, mimowolnie zostając świadkiem niemej sceny, na której koniec starszy mężczyzna skinął głową i odebrał od Melissy ciężką księgę, odszedł. Wtedy ona spokojnie odwróciła się do nadchodzącego Tomasza,

jakby go oczekiwała. Wiał lekki wiatr, który omiół go jej zapachem. Tomaszowi zaszumiało w głowie, fala starych i nowych myśli przetoczyła się przez niego, wśród nich spostrzeżenie o braku znajomych perfum, a wtedy zdziwił się, jak gdyby chodziło o rzecz najwyższej wagi: Melissa przestała się perfumować.

Stali naprzeciwko siebie, na rogu ulicy obcego miasteczka. Tomasz pomyślał przelotnie, że być może to miasteczko wcale nie jest obce dla niej, mniej nawet wrogie od niego, który zjawia się nieproszony. Jeśli właśnie tu uciekła... Przyglądał się jej łapczywie. Niewiele się zmieniła, na jej twarzy nie dostrzegł makijażu, tylko jasne włosy były jeszcze dłuższe i sięgały już talii.

Także ona oglądała go z ciekawością i niecierpliwie, a jej usta drżały, jakby zapomniawszy o nakazanej kontroli, chciały uśmiechnąć się czule. Wodziła po nim zwilgotniałymi oczyma i nawet mimowolnie uniosła dłoń, niepohamowanie zapragnawszy dotknąć jego brody, nowego elementu w twarzy zmienionej dodatkowo opalenizną i suchością skóry.

- Przyrzekłaś, że na mnie poczekaś - powiedział głosem, który zabrzmiał nieprzyjaźnie.

- Mówiłam, że nie wytrzymam tego czekania - zaprzeczyła cicho.

- Nie wytrzymałaś. - Nie...

- A jednak wróciłem.

- Za późno.

- Przecież jestem.

- Tak. Wiem.

- Melissa... - jęknął bezradnie. - To był tylko rok...  
Skończył się. Jestem tu. Wróc do mnie.

Milczała. Nie odrywała od niego wzroku i prawie nie mrugała powiekami, jednak z jej oczu popłynęły łzy. Mimo to była spokojna w sposób, którego on nie znał.

- Melissa... - powtórzył, jakby słowo to nagle zaczęło sprawiać mu ból.

- Tomaszku - powiedziała tak, jak ją kiedyś uczył, śmiesznie wymawiając spółgłoski.

Poczuł, że bryła lodu z jego serca spływa na chodnik. Popatrzył w tym kierunku, jednak zamiast mokrego śladu na bruku dostrzegł jej stopy w sandałach odsłaniających kształtne palce o paznokciach bez lakieru.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał. - Czy możesz zabrać mnie do siebie?

- Nie, w żadnym wypadku. - Pokręciła gwałtownie głową, przygotowana na podobne pytania.

Poczuł nawracającą złość.

- Gdzie mieszkasz? - powtórzył. - W jakiejś komunie? Wszystkie sekty mieszkają w komunach.

Spuściła głowę, lecz w jej odpowiedzi nie było irytacji:

- Mieszkam teraz z pewną rodziną. Na razie.

- Co na to twój ojciec? - zapytał ostro.

- Mówi, że zwariowałam - odrzekła po prostu.

- Coś takiego.

Na dłuższą chwilę zapanowała między nimi cisza, podczas której jedynie przyglądali się sobie. Tomasz czuł się bezradny, wzruszony jej widokiem, gdy stała blisko, taka jak dawniej, przemawiająca znajomym głosem. Radość mieszała się w nim z lękiem przed zrobieniem kroku w jej stronę, aby nie zniknęła na nowo albo nie wypowiedziała czegoś, co złamałoby nadzieję. On sam przygotował na tę okazję bardzo wiele słów, opracował sobie plan właściwy oraz plan rezerwowy, w obydwu programując się na cierpliwość i rozsądek. Na niewiele się to zdało, kiedy ogarnęła go jej obecność i w nagłej niechęci do wszelkich form kluczenia zapomniał wszystko, co zaplanował.

- Przyrzekliśmy sobie, że po moim powrocie zamieszkamy razem.

- Wszystko się zmieniło... - zaproponowała zaskoczona.

- Jeśli chcesz, możemy się pobrać - powiedział bez ogródek i zabrzmiało to jak wyzwanie.

Jej skrepowany uśmiech wystarczyłby za odpowiedź, jednak Tomasz nie rezygnował:

- Oświadczam ci się, słyszysz?

- Słyszę. - I co? Jeśli potrzebujesz czasu do namysłu...

- Nie potrzebuję, ale może ty...

- Ja? Przecież ci się oświadczyłem! Tysiące razy zastanawiałem się nad wszystkim! Szukałem cię wszędzie, wyobrażałem sobie wszystkie możliwe sytuacje, kombinowałem, co zrobię, gdy cię odnajdę...

Milczała, słuchając go w skupieniu. Pod jej spojrzeniem zaczął mówić wolniej i ciszej, ciągle uparty.

- Myślałem o tym, co zrobię, jeśli zastanę cię z kimś innym. Jako czyjąś żonę albo przyszłą matkę czyjegoś dziecka... To nie było łatwe. Bardzo bolało. I mimo to nigdy nie pogodziłem się z tym, że mógłbym z ciebie zrezygnować. Szukałem cię, by cię odzyskać, niezależnie od tego, dlaczego ode mnie uciekłaś. Chcę cię mieć z powrotem.

Melissa spuściła głowę i ciężkie, pełne napięcia milczenie zapadło między nimi. W końcu zapytała:

- Dlaczego nigdy przedtem nie miałam wrażenia, że jestem dla ciebie taka ważna?

Zachnął się gwałtownie.

- Nie mogłaś o tym nie wiedzieć!

- A jednak tak było.

- Z nikim oprócz ciebie nie planowałem sobie życia!

- Dlaczego nawet teraz mam wrażenie, że chcesz mnie po prostu mieć? Że nie interesuje cię wcale to, co czuję, to, co jest dla mnie ważne, nawet to, kim jestem?

- Przecież widzę, kim jesteś - rzucił przez zaciśnięte zęby.  
- Chociaż kiedy mi o tym powiedzieli, nie chciałem uwierzyć. Teraz wiem: dołączyłaś do sekty i chodzisz po domach, naprzykrzając się ludziom!

Nie pozwoliła się sprowokować. Nigdy nie uważał jej za porywczą, jednak w tej chwili dostrzegł w niej nieznaną, dziwny rodzaj pokory, który tymczasowo zdefiniował jako wyuczony, być może przy okazji zatrząskiwanych przed nosem kolejnych drzwi.

Pokora męczennika, zadrwił w myślach.

- Wiesz więc, co robię - powiedziała Melissa - choć niedokładnie. Zadałeś sobie trud, by się dowiedzieć, jednak nie zapytałeś mnie, dlaczego to robię. Nie zapytałeś o moje uczucia. Po prostu przyjechałeś, by zabrać mnie sobie z powrotem.

- Po to właśnie - potwierdził sucho.

- Nie traktujesz mnie poważnie. To znaczy, moich uczuć. Nie odpowiedział - , uznając odpowiedź za zbędną.

- Uważałeś, że zostawię wszystko, wrócę z tobą i z tobą zamieszkać?

- Mam taką nadzieję.

- Jakby nigdy nic, jakbyś wyjeżdżając, oddał mnie do schroniska jak psa na wakacje i zgłaszał się teraz, oczekując, że wszystko będzie jak dawniej?

- Głupie porównanie - skwitował.

- Jednak trafne. Twój pies nie chce opuścić schroniska. W wielkiej rozpaczy znalazł innych przyjaciół.

- Jakich? Jak ten stary facet w garniturku, z Biblią w obrazkach pod pachą? - wycodził.

- Także on - potwierdziła. - Proszę cię, nie oceniaj nikogo, kogo nie znasz.

W geście poddania podniósł do góry obydwie dłonie. napięte pragnienie dotyku stało się silniejsze niż złość

generowana słowami. Wyciągnął rękę, chcąc pogłaskać jej włosy, jednak nie ośmielił się na pieszczotę.

- W porządku. Nie zamierzam nikogo obrażać.

- To dobrze... - Uśmiechnęła się ledwo widocznie. - Melissa... Czy ty... To znaczy, czy możesz się ze mną spotkać? Czy moglibyśmy porozmawiać o tym wszystkim?

- Tak... Sądzę, że tak.

Zamknął oczy na kilka sekund i nie patrząc na nią, wydusił z siebie pytanie:

- Powiedz mi, proszę cię, czy... mam jeszcze szansę? Czy ty jeszcze cokolwiek do mnie czujesz?

Wyprostowała się, przygotowana na to pytanie.

- Nie jesteś mi obojętny - odpowiedziała zwyczajnie - jednak teraz wszystko ma dla mnie całkiem inny wymiar. Nie związę się z nikim wbrew temu, w co wierzę.

Odetchnął po jej pierwszych słowach, lekceważąc ostatnie. Tymczasowo uspokojony uznał, że skoro go nie odtrąca, sprawy toczą się pomyślnie.

- Jeśli zgodzisz się ze mną spotkać, będziesz mnie nawracać? - spytał, starając się mówić lekko.

- Jeśli będziesz chciał mnie słuchać, postaram się przedstawić ci mój punkt widzenia - odpowiedziała poważnie.

- Z użyciem Biblii czy bez?

- Na razie bez.

- To dobrze - potaknął z ulgą.

- Nie kpij ze mnie - ostrzegła go łagodnie. - Kiedyś ty próbowałeś mnie nawracać, nie pamiętasz? Słuchałam cię tyle razy. I to ty mówiłeś mi zawsze, że jest jeden Bóg. Powinieneś być zadowolony, że zaczęłam wierzyć. Teraz i ja mówię: jest jeden Bóg.

- Zaraz, zaraz - powiedziała Karina do Knuta - chcesz mi po - wiedzieć, że ona nie wytrzymała jednego roku i w ciągu



kilku miesięcy z zagorzałej ateistki została równie zagorzałą świadkinią Jehowy.

Rozchichotała się głośno, co upewniło Knuta co do jej znakomitego humoru. Nie znał przyczyn tego stanu, a żałował często że zbyt mało o niej wie.

- Świadkinia Jehowy, fajne słowo, co? Brzmi bardzo poważnie. A jak one o sobie mówią? - spytała zniechęta.

- Kto?

- Kobiety świadkowie Jehowy.

- Nie wiem, różnie - spłoszył się. Karina patrzyła na niego triumfalnie:

- A więc przychodzą i do ciebie? I jak się przedstawiają? Nie rozumiał jej ożywienia i pytań.

- Nigdy nie są pojedynczo, więc mówią o sobie „my” - powiedział. - U ciebie nigdy nie byli? Przecież przychodzą do każdego, zapytaj mamy, na pewno z nimi rozmawiała...

- Ja też, ale nie nazwałabym tego rozmową - przerwała mu. - Jeśli już komukolwiek otworzę drzwi, zwykle przez przypadek, wołam „nic nie kupuję” i zatrząskuję je, zanim tamten zdąży się odezwać.

Karina patrzyła na niego triumfalnie i jej oczy dziwnie błyszczały, aż Knut pomyślał przelotnie, że być może jest wstawiona. Jednak nie czuł od niej zapachu alkoholu, a o tym, że mogłaby próbować narkotyków, nie chciał nawet myśleć. Wołał więc nazwać wszystko „jej dobrym dniem”.

- Jak więc mówiłam, nie wierzę w to, że ktoś nawraca się na jakąś wiarę w ciągu kilku miesięcy - oświadczyła. - Cudów nie ma.

- Ona czuła się samotna. Albo może myślała, że Tomasz ma romans z jakąś pielęgniarką.

- W tej Gambii?

- W tej Gambii.

- A miał?

- On twierdził, że nie.

- Gdzie twierdził? - nie zrozumiała Karina. - Z nim też rozmawiałaś?

- Nie - odpowiedział. - Potem prowadzone było śledztwo.

\*

Tomasz też nie wierzył w gwałtowne metamorfozy.

- Nie mogłaś tak szybko zmienić się z ateistki w głęboko wierzącą misjonarkę - oświadczył po raz setny. - Nie wierzę w to.

- Nie jestem misjonarką - zaprzeczyła znowu - jedynie przyłączyłam się do tej grupy ludzi. Potrzebowałam kogoś, czułam się samotna. Być może to przypadek sprawił, że zaczęłam rozmawiać właśnie z nimi, jednak był to cudowny przypadek, skoro odmienił moje życie. Po raz pierwszy czuję, że nie jestem sama.

- A ja? - prawie krzyknął. - Jak możesz mówić mi coś takiego? Czy ze mną byłaś samotna?

Melissa z zakłopotaniem potarła koniec nosa, jakby jakiś złośliwy owad przeszkadzał jej w odpowiedzi.

- Kiedy byliśmy razem, nie czułam się samotna - odpowiedziała, szukając słów. - Byliśmy bardzo sobą zajęci. Fizycznie... Ale nie tylko, spędzaliśmy ze sobą dużo czasu i to też było intensywne, tak że nawet nie myślałam o przyszłości z tobą, właściwie o niczym innym jak o tobie nie myślałam w tamtym czasie.

Nie mógł się zdecydować, czy powinien się cieszyć.

- O wielu rzeczach rozmawialiśmy, ale i nasze rozmowy były jak seks... Były pożądaniem, uwodzeniem, podniecającą walką. Podobało mi się to, oczywiście. Czułam się cudownie, byłam... nie wiem, jak to nazwać, pobudzona... To były jakieś inne zakresy życia, związane ze zmysłami, nie z duszą czy umysłem.

Przerwała, na nowo zastanawiając się nad doborem słów i z ulgą przyjęła pojawienie się kelnerki. Podziękowała jej grzecznie, a Tomasz zamówił trzecią filiżankę kawy, choć druga stała przed nim niedopita i zimna, jeszcze jeden pretekst do pozostania w neutralnym miejscu, jedynym dozwolonym na spotkanie.

- Mów dalej - poprosił.

Po krótkiej chwili wahania podjęła temat i ponownie uderzyło go wyciszenie i spowolnienie jej sposobu mówienia. I tym razem nie odważył się zagadnąć jej o to.

- Kiedy wyjechałeś, wszystkiego tego nagle mi zabrakło. Poczułam gryzącą pustkę, nie miałam ciebie fizycznie, brakowało mi twoich ramion, dni i nocy, które spędzaliśmy razem. Całe ciało bolało mnie, jakby zabrano mi coś, do czego się bardzo przyzwyczyłam, aż stało się życiowo niezbędne, jak... pokarm, może narkotyk. Cierpiałam bardzo, ale to przecież wiesz. - Uniosła głowę, uśmiechając się przepraszająco, jakby nagle pomyślała, że go zanudza.

Jednak on chłonał każde słowo.

- Aby się ratować, próbowałam przypomnieć sobie, co właściwie łączyło nas poza związkiem ciał. Czym pasjonowaliśmy się oboje, co było dla nas ważne. Robiłam rachunki, głównie po to, by nie zwariować. Podliczałam: chodziliśmy do kina, jak wszyscy.

Jedząc popcorn, oglądaliśmy jakiś film, trzymaliśmy się za ręce, czasami całowałeś mnie albo w ciemności kładłeś mi rękę na kolanie. Gorąco mi się robiło, kiedy czasem dotykałeś językiem mojego nadgarstka, a wtedy czekałam tylko na powrót z kina do domu.

Spróbował dopatrzeć się w niej śladu tego dawnego czekania, jednak nie było go w jej oczach i na ustach. Łagodny uśmiech nie zdradzał skrepowania, jakby Melissa

wspominała wspólną przeszłość jako daleką, innych ludzi dotyczącą historię.

- Mieliśmy przyjaciół - ciągnęła - spotykaliśmy się z nimi w knajpie, piliśmy piwo i gadaliśmy. Nigdy o niczym ważnym. Nie zapamiętałam niczego, co wydało mi się ważne.

Faceci pożąдали cię, nawet ci sparowani, jedynie lojalność do mnie jako kumpla nie pozwalała im cię podrywać, pomyślał Tomasz, a dziewczyny nie przepadały za tobą, bo o tym wiedziały.

- Mówiliśmy też o studiach, nic ważnego, o naszych rodzinach, nic ważnego, o podróżach...

- Mieliśmy razem pojechać do Afryki - przypomniał jej, wtrącając się w połowie zdania.

- Pojechałeś beze mnie - uzupełniła ona bez żalu.

- Chciałem wrócić tam z tobą. To nic straconego.

Nie zareagowała, tylko zaczęła mówić odrobinę szybciej, zmieniając tempo w prawie niezauważalny sposób, który Tomasz odebrał jako próbę zakończenia rozmowy, i przestraszył się.

- Jedynym poważniejszym tematem, który poruszaliśmy, był Bóg - powiedziała głosem, który nagle zabrzmiał surowiej.

- I chociaż także on doskonale dawał się wykorzystywać...

- Temat, nie Bóg, jak rozumiem - upewnił się Tomasz. Spojrzała na niego z wyrzutem, jakby nietaktownie zażartował, i powiedziała z naganą:

- Tak, temat. Chciałam powiedzieć, że rozmawialiśmy o tym, jakbyśmy badali różnice między sobą, jak... jak dzieci bawiące się w doktora. To też... nas podniecało. Teraz moim jedynym usprawiedliwieniem jest moja niewiedza. Nie znałam Go jeszcze. Nie wiedziałam, z kim mam do czynienia.

Znowu nie spodobał mu się jej ton, który przeklinał, nazywając misjonarskim. Czuł eksplodującą w gardle złość, kiedy mówiła w ten sposób. Jeszcze wierzył, że nie jest

naprawdę sobą, prawdziwą Melissą, winę zrzucając na nieznanych ludzi, których gorąco nienawidził za to, że ją odmienili. A przecież oddałby wiele, aby znowu mówić z nią o Stwórcy! Jednak tak, jak kiedyś, dawniej - na brzegu łóżka, na poduszce, na kanapie, sprzecząc się z nią koniuszkami palców i bawiąc się jej włosami. Tymczasem wszystko to stało się niemożliwe, odkąd ona zaczęła myśleć inaczej. Mówiła „jest jeden Bóg”, kłamiąc, bo jej Bóg musiał być inny, skoro ją oddalił, zabronił dotyku, nie pozwolił nawet na pocałunek... Być może w zazdrości swojej całkowicie zakazał jej uczuć. Tomasz przestraszył się myślenia o wszystkich zakazach Boga Melissy.

- Zająłem się wtedy tym jedynym tematem, który mógłby nas połączyć, chciałem poznać to, co dla ciebie było ważne. Szukałem pocieszenia w miejscu, w którym ty żyłeś od dziecka. Zaczęłam chodzić do kościoła i kupiłam sobie Biblię. Nic szczególnego się nie działo, chociaż byłam pilna i próbowałam nauczyć się wszystkiego. Mój niepokój przerastał mnie Kiedy przyszli do mnie dwaj świadkowie Jehowy, pomyślałam, że nie mogę ich tak po prostu wyrzucić, skoro chcą mówić ze mną o tym, co właśnie usiłuję zgłębić. Rozmawialiśmy więc i sprawiło mi to radość, ponieważ byli jedynymi ludźmi, którzy gotowi byli bez ograniczeń poświęcić mi swój czas. Spotykaliśmy się, to znaczy oni przychodzili do mnie, a potem ja poszłam do nich.

Zacisnął pięści pod blatem kawiarnianego stolika.

- I nawrócili cię. Łatwo i przyjemnie, w rekordowym tempie.

- Nie! - zaprzeczyła zdziwiona. - Nie, oni mi tylko pomagali. To, co się ze mną stało, jest tylko po części ich zasługą, reszta wydarzyła się sama! Pan sam zmiłował się nade mną...

Zamknął oczy, by nie dostrzegła w nich wściekłości. Jej głos docierał do niego z daleka.

- To był zwyczajny cud, Tomaszku - powiedziała. Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, napominając się do zachowania spokoju.

- Obudziłam się po którejś długiej nocy pełnej dziwnych snów i było tak, jak przed wielkim, ważnym spotkaniem. Wstałam i otworzyłam okno, a kiedy owiało mnie powietrze, to się po prostu stało. Wszystko się nagle odmieniło i nic nie było już takie, jak dawniej. Spłynęła na mnie łaska. Zniknęły wszystkie pytania, wszelka niepewność, cały lęk. Zniknęły, rozwiały się. Poczułam obecność Pana, a wszystko inne stało się takie maleńkie...

Nie powinna była szukać jego spojrzenia, skoro on sam chciał ukryć przed nią złość i nienawiść. Jednak kiedy ich oczy się spotkały, Melissa nie patrzyła naprawdę na Tomasza. Obecna fizycznie, zapomniała o nim i czasie, w którym się znalazła, a słodycz rozlana na jej twarzy miała źródło w innym miejscu niż zadymiona kawiarnia, z której Tomasz, oszalały z zazdrości, gwałtownie zapragnął wyszarpać ją siłą.

Melissa spotkała się z nim jeszcze kilka razy, jednak sama nałożyła limit czasu dla nich obojga, jak się wyraziła, do podjęcia decyzji. Decyzja dotyczyła prostego w gruncie rzeczy wyboru.

- Nie jestem takim sprinterem jak ty, nie zmieniam religii w parę tygodni - mówił. - Skoro tobie to tak szybko idzie, a twierdzisz, że chodzi o jednego Boga, może przyjmiesz jednak moją religię i się pobierzemy? Obiecałem mojej matce wnuki.

Dotychczas nie wspomniał o chorobie matki.

Odpowiedziała, że forma religii jest wystarczająco ważna, by nie traktować jej lekko. Świadkowie Jehowy zaprowadzili ją na spotkanie z Panem, co uznała za znak. Swoim braciom winna jest wdzięczność. I lojalność.

- Nie, nie uważam wszystkiego, co robią, za doskonale - mówiła. - Z trudem przychodzi mi, na przykład, chodzenie po domach i tłumaczenie ludziom, by otworzyli oczy. Ludzie bywają tacy niewdzięczni, zajęci nieważnymi rzeczami... Niegrzeczni i wrodzy. A jednak ktoś musi to robić, należąc do społeczności, nie wolno wybierać samych przyjemnych rzeczy. Poza tym... Jeśli od czasu do czasu ktoś jednak otworzy uszy...

Tomasz znowu pomyślał o matce, która tymczasem wróciła do domu i czuła się dobrze. Trzy razy w tygodniu odwiedzała maleńką Chinę w śmiesznym przedpotopowym gabinecie terapeutycznym, pozwalała kłuć się igłami i piła zioła o smaku piołunu. Niezależnie od wszystkiego uśmiechała się, jakby przepelniała ją głęboka radość.

- Moglibyśmy wziąć ślub ekumeniczny - powiedział, ponieważ czasami rezygnacja odnosiła w nim zwycięstwo nad złością. - Byłby to wyraz wzajemnego szacunku dla naszych religii, bo skoro mamy tego samego Boga, nie istnieją przecież inne przeszkody...

Szukał rozwiązań awaryjnych, na których analizowaniu upływały mu noce. Na powrót spędzał je z Melissą - choć nieobecną. Znowu była jego obsesją, zdobywał ją na nowo, chociaż formy wyimaginowanej walki często przybierały nienawistne formy. Tak jak w realnym życiu jego strategię traciły skuteczność, a on czuł się karygodnie bezsilny.

Melissa nie mogła związać się z kimś spoza swojej wiary. I nie chciała. Tomasz zauważył z bólem, że rezygnacja z niego nie przychodziła jej aż tak znowu trudno. Była dumna z własnej konsekwencji, a on czuł się upokorzony. Czuł, że nawet zgadzając się na jej warunki, i tak nie zdobyłby pozycji najważniejszego człowieka w jej życiu, jego funkcja polegałaby jedynie na wkomponowaniu się w całość. Nie wiedział nawet dokładnie w jakim charakterze - męża czy

może duchowego brata, według zasad, które były mu obce, więc obawiał się podstępu.

Poza tym wcale nie chciał zostać świadkiem Jehowy.

- Nie zrobię tego matce i ojcu - wściekł się - ale przede wszystkim nie zrobię tego sobie. Nie! Jeśli mamy się kochać, zbudujmy to sami.

- Bez błogosławieństwa?

- Ależ tak! Tak, tak, do cholery! Z błogosławieństwem! Ale nie wymuszonym, nie mogę zmieniać religii, aby dostać cię z powrotem. To byłoby kłamstwo, a ja nie mogę aż tak kłamać!

Na końcu nowego osiedla stały niedokończone domy. W różnej fazie budowy. Przy jednych robotnicy uwijali się, układając dachówki lub montując okna, w innych panowała tymczasowa cisza, jakby domy odpoczywały sobie po zakończonych etapach wzrostu. Pogoda nie była ostatnio łaskawa, zwłaszcza dla dwóch najmniej zaawansowanych, których nie zdołano jeszcze przykryć dachem. Deszcz pozamieniał ich piwnice w sadzawki pełne wody, po której pływały zapomniane kawałki desek.

Melissa szła pod parasolem, nie zamknęła go nawet wtedy, kiedy Tomasz dołączył do niej na ulicy po zakończonej służbie, jak mąż, który przyszedł po żonę po pracy. Idąc obok, omijała kałuże, wykręciwszy się od bliskości wymówką o parasolu zbyt małym dla dwojga. Mimo deszczu było ciepło i mieszkańcy gotowych domów cieszyli się zapewne z pogody wspomagającej rozrost ich dziewiczych ogródków.

- Jest coś bardzo romantycznego w nowych osiedlach - zauważyła Melissa. - Wszystko sprawia świeże i optymistyczne wrażenie. Jednocześnie rosną małe dzieci i zasadzone drzewa, nowi ogrodnicy eksperymentują z roślinami, niektóre z nich pięknie rosną, inne trzeba wykopywać i zastępować nowymi... Młodych mężów bawi



jeszcze koszenie trawnika, robią to z pasją, tak jak dawniej myli pierwsze samochody, jednak wszystko tak szybko minie. Mężczyźni będą odbębniać koszenie, krzaczki zamienią się w żywopłoty i zasłonią ogrody od ulicy, dachy domów pokryje mech, a na sam koniec dorosłe dzieci wyprowadzą się od rodziców.

- Przecież nic się nie skończy - zaprotestował Tomasz cicho.

- Nie, może nawet zacznie się od nowa, ale już na jakichś innych nowych osiedlach - odpowiedziała. - Jednak też nie na długo. Domy starzeją się równie szybko jak ich mieszkańcy.

- Ale żyją dłużej. I nie wszystkie dzieci się wyprowadzają.

- Niektóre wracają - zgodziła się Melissa - jeśli odziedziczą dom po rodzicach, po których pozostają meble i jakiś portret na ścianie.

Tomasz zatrzymał się przed rozkopanym wejściem do domu, który zaczęto budować całkiem niedawno i nawet nie przykryto dachem, mogącym ochronić wnętrze przed lejącymi się z nieba strumieniami deszczu.

- Weszłabyś ze mną do środka? - zapytał prawie nieśmiało. - Mógłbym wyobrazić sobie, że to jest nasz dom... I że będzie gotowy za kilka tygodni czy miesięcy...

Spojrzała na niego z wahaniem, jednak uległa smutkowi w jego oczach. Jak tancerka z parasolką w dłoni weszła po śliskiej desce do domu, którego bronił szyld „Budowa - nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Do piwnicy prowadziły wylane już betonowe schody, jednak na dwa górne piętra można było dotrzeć jedynie po krętych stalowych konstrukcjach, stromych i niezbyt bezpiecznych, choć zaopatrzonych w solidną balustradę jako ochronę dla dźwigających materiały budowlane robotników. Tomasz zszedł do piwnicy, Melissa podążyła za nim. W

pomieszczeniu było mroczno, a wpadające z góry resztki światła sami zasłaniaли ciągle otwartymi parasolami.

- Zobacz - powiedział, nie odwracając się - tu będzie mieszkał ktoś przezorny i solidny, ktoś, kto buduje dom na pokolenia.

Wskazał jej dodatkowe obniżenie w piwnicznej posadzce, niewielkie pomieszczenie będące jakby podpiwniczeniem piwnicy.

- Myślisz, że to schron czy piwniczka na wino? - spytał.

- Piwniczka na wino.

- Ja myślę, że schron - powiedział. - Czasy są teraz takie niepewne.

Spojrzała na niego z ledwie dostrzegalnym śladem nadziei w niebieskich oczach.

- Myślisz chwilami o końcu świata? Nie zrozumiał.

- Dlaczego o końcu świata? Miałem na myśli wojnę albo zamach terrorystyczny, nie wiem, wszystko to, przed czym ludzie chowają się do schronów.

- Ale koniec świata jest bliski - powiedziała ostrożnie - mogłabym...

- Nie - przerwał ostro. - Nie.

- Dlaczego? - spytała bezradnie. - Dlaczego jesteś taki uparty? Opuścił głowę i w pełnym złości milczeniu zatrzasnął nieużyteczny parasol.

- Nie tak. Nie będę robił niczego pod przymusem.

- Dlaczego więc ty chcesz zmuszać mnie?

- Nieprawda!

Znowu krzyknął, pohamował się jednak natychmiast.

- To jest ze sobą sprzeczne, prawda? Ludzie nie powinni łączyć się ze sobą na ostatnie pięć minut przed końcem świata. Ludzie powinni wiązać się na długie, piękne życie.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Ludzie powinni wiązać się ze sobą na wieczność - powiedziała ze spokojem.

Jak moi rodzice, pomyślał automatycznie. Nie chcę, by moja matka myślała o wieczności. Chcę, by myślała o przyszłej Wigilii, o następnej przyszłej Wigilii i o wszystkich tych latach, które powinna przeżyć z ojcem i z nami. W swoim domu, w swoim czasie. Wieczność to coś, co powinno nastąpić później.

Nie oglądając się na nią, wszedł na górę. Był wściekły i przez pewien czas było mu obojętne, czy ona pójdzie jego śladem. Schody miały wąskie stopnie i Tomasz pomyślał, że gdyby ktoś chodził po nich dłużej, z pewnością dostałby zawrotów głowy.

Nie pomieszanie języków zrujnowało wieżę Babel - pomyślał cynicznie - ale kiepskie schody.

- Melissa - zawołał prawie z pokorą, wychylając się z góry - nie gniewaj się. Chodź tu, proszę cię.

Pojawiła się po dłuższej chwili. I ona zamknęła parasolkę i trzymała ją luźno, nie zważając na wodę ściekającą jej na stopy. Tomasz wyciągnął rękę i, nieoczekiwanie rozczulony, pogładził ją po policzku.

- Przecież możemy się porozumieć. Już wcześniej tyle nas dzieliło - pochodziliśmy z innych domów, to ja byłem religijny, ty nie, jednak w niczym nam to nie przeszkadzało. Mogliśmy razem budować, wystarczało nam, że się kochamy.

W odpowiedzi z żalem spojrzała mu w oczy. Milczała.

- Posłuchaj... - zaczął łagodnie. - Wyobraź sobie, że nic się nie wydarzyło. Nigdy nie wyjechałem do Afryki i przyszliśmy tu na spacer. Romantyczny spacer w deszczu. Do naszego, specjalnie dla nas budowanego domu.

- Jednak wyjechałeś do Afryki...

- Ciii - przerwał, biorąc ją za rękę. - Ciii...

Zaprowadził ją do jednego z pomieszczeń. Wszystkie wyglądały brudno w szarościach betonu i oszukanej bieli grubych pustaków. Wszędzie wały się jakieś śmieci i połamane narzędzia.

- To będzie najpiękniejszy dom na świecie. Wspaniały, jedyny w swoim rodzaju. Widzieliśmy już salon na parterze, wielkie, reprezentacyjne pomieszczenie, w którym nasi goście będą delektować się winem, przechowywanym w specjalnej piwnicy. Będą wina francuskie i chilijskie, nawet bułgarskie, a do nich serwować się będzie smakołyki z Niemiec, Holandii, Polski oraz wszystkich innych krajów, dla każdego gościa, bo każdy będzie w tym domu mile widziany.

Melissa uśmiechała się niepewnie.

- Jednak piętro, to, na którym się znajdujemy, pozostanie sferą całkowicie prywatną. Ten pokój będzie należał do najstarszego syna. Ten do córki. Syn będzie miał słowiańskie kości policzkowe, córka złote włosy matki. Jeśli przyjdą na świat inne dzieci, także i trzecie, największe pomieszczenie przerobi się na pokój dziecienny. Jeśli nie, pozostanie sypialnią rodziców.

Melissa przygryzła wargę.

- Tu będą się kochać. Do późnej starości, aż wielka namiętność przemieni się w największą czułość i będą zasypiali objęci, oboje siwiutcy. W niej nawet to niewiele zmieni, bo zawsze była złotobiała...

Odwrócił się do niej gwałtownie, kiedy bolesny skurcz ścisnął mu żołądek. Nie znalazł jednak w jej twarzy pozwolenia na więcej ponad ujęcie dłoni. Po wąskich schodach poprowadził ją za sobą na ostatnie piętro. U góry deszcz zalał ich oboje, lecz on, na nic nie zważając, uniósł twarz ku górze.

- Zastanawiam się - zaczął - czy właśnie tak nie powinno zostać. Może zrezygnujemy z dachu, jak sądzisz? Przecież nie

zawsze padają deszcze... Dzieci mają dach nad głową, salon jest zadaszony, ale tutaj? Bezkarne i w każdej chwili moglibyśmy patrzeć sobie w niebo... Moglibyśmy myśleć, że jesteśmy w drodze, budujemy dalej naszą własną wieżę do nieba, zbliżamy się do niego bliżej i bliżej...

Nie odpowiadała, wpatrując się w niego z napięciem, mokra i jeszcze smutniejsza.

- Nic nie mówisz... Dlaczego? - spytał.

- Kiedyś oddałabym życie za dom z tobą - odpowiedziała.

- Nic się nie zmieniło... - powiedział przez ściśnięte gardło. - Może tylko to, że kocham cię jeszcze bardziej. Nie mogę pozwolić ci odejść.

Melissa odgarnęła z mokrego czoła śliskie kosmyki zbyt długiej grzywki.

- Mogę wyjść za ciebie tylko wtedy... - Urwała, głęboko zaczerpnęła powietrza i dokończyła z determinacją: - ... Gdy zostaniesz jednym z nas.

Tomasz jeszcze raz uniósł twarz, wystawiając ją na strumienie deszczu.

- Czy to targ? - zapytał.

- Nie. Po prostu nie mogę inaczej.

- Pan Bóg nie lubi targów - ostrzegł.

- To nie jest targ! To jedyna możliwość.

- Słuchaj - powiedział głucho - nie chcę przystępować do nikogo. Chcę się z tobą ożenić, chcę, byśmy tak jak przedtem należeli do siebie, tylko ty i ja. Nikt obcy.

- Nie jestem wśród obcych.

- Nie mów o nich. Proszę. Nie chcę o tym słuchać.

Uniosła podbródek, zdecydowana nie widzieć złości, która zagnieździła się w nim na dobre.

- Znalazłam już swoją drogę, ale ty nie chcesz o tym słuchać. Należę do nowej rodziny, ale ciebie to nie obchodzi. Wierzę w Boga, ale ty nie chcesz o tym mówić.

- Ja też wierzę w Boga!
- Jednak nie rozumiesz jego słów!
- Co takiego?
- Popęlniasz tragiczną pomyłkę. Nie mogę dzielić jej z tobą. Istnieje tylko jedna prosta droga do Boga i jeśli chcesz, to ty możesz dołączyć do mnie!

Zacząła mówić, zdecydowana nie pozwolić sobie przerwać, czego on nie próbował, i strumień jej słów zlał mu się w jedno ze smagającym z nieba deszczem. To, co usiłowała przekazać, Tomasz odebrał jako mieszankę twierdzeń wymuszonych i obcych, sloganów irytujących jak podpisy do obrazkowej Biblii, wyśmiewanej przez mieszkającego nieopodal muzyka, z którym nie wypił piwa. Wbrew woli wysłuchał zasad obcego kodeksu zbawienia, cytatów z Pisma oraz fragmentów psalmów, przerażony zestawieniem ich w jedną całość.

- To fanatyzm - wykrztusił.

Skwitowała to lekceważącym potrząśnięciem głową, jakby jego zarzut był zbyt głupi.

- Nie żałujesz, że nie żyjesz w dawnych dobrych czasach palenia niewiernych? - zapytał ironicznie.

- Twoi palili - zauważyła. - Moi tylko nawracają.

- Tak dalece, że nawet zostałąś moja, bylebym się nawrócił?

- Tak!

- Chcę, byś mnie kochała!

- To jest miłość.

- Do kogo? Do Boga, do świata? Do twojej nowej rodziny?

- Też...

Złapał ją za ramiona i potrząsnął z całej siły.

- Masz kochać mnie, tylko mnie, pojedynczo! Bez niczyjej zgody, bez targów, bez warunków!

- Nie mogę. - Melissa zrobiła krok do tyłu, usiłując wyswobodzić się z uścisku.

- Chcę ciebie teraz! - krzyknął. - Teraz, bez pozwolenia twoich proroków! Kochaj się ze mną jak dawniej, pod niebem, niech patrzy na nas, jeśli jest jeden, może patrzeć tylko w jeden, swój własny, boski sposób! Żadne z nas nie wie dokładnie, co On sądzi na ten temat!

- Ja wiem! - Szarpnęła się. - I dlatego nie wolno mi tego robić!

Uderzył ją, aż się zatoczyła. Przez rozpaloną głowę przeleciało mu, że nigdy przedtem, aż do wyjazdu do Gambii, nie uderzył nikogo. W Gambii raz musiał bić się z kimś, kto mu zagrażał i był groźny dla innych, słabszych. Musiał bronić siebie i tamtych.

Teraz i ona była mu wrogiem. Nienawidził tej obcej osoby, która zabrała mu jego Melisę. Zabierała mu dzieci jego i Melissy, odbierała wnuki jego matce, wypędzała z budowanego domu i krzyczała, że jego Bóg jest zły. Że on sam jest zły.

Uderzył ją jeszcze raz, otwartą dłonią z całej siły w mokry policzek. Melissa zachwiała się i straciła równowagę. Widział, że się przewraca, lecz patrzył tylko na nią, wyabstrahowaną z tła, zadowolony z jej upadku. Jasna twarz, zalana deszczem, który nagle zmienił kolor na czerwony, zatańczyła dziwny taniec w powietrzu przecinanym strugami wody, a włosy pobiegły jej śladem. Były zlepione w grube pasma i przez ułamek sekundy wyglądały tak, jakby chciały odlecieć, jednak powróciły, zasłaniając jej oczy jak flaga wprawiona w ruch porywem wiatru. Melissa próbowała odzyskać równowagę, czemu Tomasz przyglądał się bez emocji, wciąż widząc tylko ją, bez tła, które tworzyła pustka. Dostrzegł to dopiero, gdy stopa Melissy, usiłującej oprzeć się na czymkolwiek, nie znalazła niczego. Czas zwolnił tempo na jego oczach, jakby

po to, by mógł wszystko zobaczyć dokładnie. Tomasz zastanawiał się później, czy był to czas dany mu na udzielenie pomocy, czy wręcz przeciwnie, po to, aby mógł zapamiętać każdy etap upadku Melissy. Kiedy w panice szukała oparcia drugą stopą. Kiedy jej plecy zawisły po stronie trzypiętrowej pustki. Kiedy próbowała rzucić się do przodu, by przeważyc ciało na bezpieczną stronę. Kiedy uniosła ramiona, machając nimi jak pływak lub śmiertelnie przerażony ptak. Kiedy w końcu wyciągnęła je do niego, sparaliżowanego i niezdolnego już do jakiegokolwiek ruchu...

Spadła prosto do piwnicy i na uskoku posadzki, w miejscu, gdzie piwnica zagłębiała się jeszcze niżej w schowek na wino albo schron, przełamała się na pół. Kiedy Tomasz zbiegł do niej, ślizgając się po mokrych metalowych schodach i raniąc sobie nogi, już nie żyła. Miała jednak otwarte oczy i nie patrzyła na niego, lecz w niebo, słabo widoczne i dalekie jak z najniższej kondygnacji wieży Babel.



Grób numer 1009

PAULINA WITT

Karina szła cmentarną aleją wpatrzona w mozaikę żwiru. Nie podnosząc głowy, upomniała Beksą, który napiął gwałtownie smycz, jak zawsze, gdy gotował się do skoku.

- Nie skacz, Beks, masz brudne łapy - powiedziała monotonicznie, bardziej ostrzegając przechodnia mającego paść ofiarą psa, niż licząc na to, że Beks usłucha.

Wtedy dostrzegła buty, których oszałamiający połysk sprawił, że przesunęła wzrokiem wyżej. Zobaczyła czarne spodnie z kantem, świetnie skrojone ze szlachetnego materiału, potem nałożoną na szary golf marynarkę, na samym końcu zaś twarz wyciętą żywcem z magazynu nieskazitelnych twarzy, perfekcyjnych nosów, kształtnych ust oraz aż przesadnie wymodelowanych fryzur, w tym wypadku z krótkich czarnych włosów. Oraz zielone oczy, pod których spojrzeniem Karinę zalała fala gorąca, głęboką purpurą okrywając twarz, i następująca po niej bezpośrednio wściekłość za brak panowania nad kolorem policzków. Wbiła wzrok w białe lilie, które trzymał w dłoni nieznajomy, bardzo malownicze w zestawieniu z czernią i szarością jego stroju.

- To miły piesek, ale rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby na mnie nie skakał - powiedział nieznajomy, uśmiechając się lekko do oszołomionej Kariny, którą wyminął niespiesznie i bez zatrzymywania.

Długie chwile wsłuchiwała się jak ogłupiała w chrzęst żwiru pod jego butami, zanim odważyła się obejrzeć ostrożnie, gotowa do gwałtownego zwrotu w tył na wypadek, gdyby on uczynił to samo. Jednak obawy okazały się płonne, gdyż mężczyzna oddalał się sprężystym krokiem.

W czasie, który potem nastąpił, Karina mimo starań nie potrafiła skupić się na jakiegokolwiek rozsądnej myśli. Błąkała się po cmentarzu, unikając kierunku obranego przez

nieznajomego, a mimo to po półgodzinie zobaczyła go raz jeszcze, kiedy schylony nad nieco staroświeckim nagrobkiem układał przyniesione lilie. Karina stała dość daleko i nie liczyła nawet, że zostanie dostrzeżona. Zapamiętała jednak grób z dużymi literami nazwiska.

- Spotkałam takiego adonisa dzisiaj - powiedziała do Knuta obojętnie, z obowiązkową porcją ironii. - Właśnie składał kwiaty na grobie mamusi, pani Witt. Ona pewnie martwi się w niebie, bo tacy ładni chłopcy to najczęściej pedały.

Knut uśmiechnął się, rozbawiony.

- Dwadzieścia cztery - mruknął.

- Co dwadzieścia cztery? - zapytała Karina, ukrywając złość pod przyjaznym uśmiechem.

- Jesteś dwudziestą czwartą kobietą, która zapytała o syna pani Witt - wyjaśnił uprzejmie Knut.

- Wcale o niego nie pytałam! - zaprotestowała, czerwieniąc się natychmiast.

- Pytałaś - powiedział spokojnie, jakby temat go nudził. Karina wbiła w niego zły wzrok.

- Nawet gdyby moja niewinna uwaga rzeczywiście była zapytaniem o syna pani Witt, nie powinno cię to aż tak dziwić. To, przyznasz, dość niezwykle zjawisko, kiedy na pełnym starych i nieciekawych ludzi cmentarzu nagle pojawia się chłoptaś jak z okładki. Nawet wśród twoich barwnych opowieści, gdzie dominują śmierci smutne, tragiczne i nieszczęśliwe, nie pojawił się jak dotąd nikt o zjawiskowej urodzie.

- Nie? - zdziwił się Knut, jakby nie dostrzegał kłującej ironii w jej głosie. - Przecież Melissa była zjawiskowo piękna. Wydaje mi się, że Lai również. Jeśli natomiast chodzi o mężczyzn, to Jon...

- Nie obchodzi mnie, kto był kiedyś piękny, kto nie! - Karina podniosła głos. - Ani trochę. Nie kpij więc ze mnie, proszę, jeśli raz zapytałam o przechodnia, jakiegoś żywego człowieka na cmentarzu!

- Ależ możesz pytać, o kogo chcesz...

- Wiem!

Umilkli. Nigdy przedtem nie pojawił się między nimi nieprzyjazny ton. Teraz każde z nich czuło się źle wobec niepopelnionej winy, bez głośnego jej wyrażenia i przeprosin. Wszystko zabrzmiało jak niechciana kłótnia bez powodu. Karina zatrzymała się na ścieżce po kilku minutach ciężących milczeniem i nagle okręciła się na pięcie.

- Wracam do domu - powiedziała krótko.

Knut bez słowa kiwnął głową.

- Cześć - powiedziała Karina cicho, nie patrząc na niego. - Cześć - odpowiedział Knut, choć nigdy przedtem tak nie odpowiadał. Zawsze mówił „do widzenia”.

Syn Pauliny Witt był skrepowany i szukał odpowiednich słów. Czuł zmęczenie czterogodzinną podróżą, nastąpiła zresztą w trudnym dla niego okresie, pełnym służbowych wyjazdów i spotkań. Już podczas jazdy martwił się, że nie zdążył odebrać ubrań z pralni przed poniedziałkiem, zajęty jak zawsze na początku tygodnia. Dobrze, że przynajmniej zdążyłem do fryzjera, pomyślał przelotnie, przyglądając swą i tak staranną fryzurę.

- Nie czuję się najlepiej z tym, co muszę ci powiedzieć, mamó - powiedział ostrożnie.

Czy rzeczywiście chciał ją ostrzec, używając gładkich słów wprowadzenia? Zapewne pomyślała, że usiłuje usprawiedliwić swą niezapowiedzianą wizytę, tymczasem on niezamierzenie wygadał się przed nią kolejny raz. Jakby sama nie wiedziała, że czuje się jak mały chłopiec, że jak zawsze przy niej ogarnia go uczucie podporządkowania i słabości,

wszystko, czego zawsze nie znosił. Opuścił głowę pod jej spokojnym wzrokiem, jeszcze bardziej onieśmielony. Tak niewiele się w niej zmieniło. Nawet zewnętrznie. Podobno przybyło jej zmarszczek, na pewno była siwa i zdecydowanie skróciła włosy, ale w jego oczach ciągle była taka sama, nawet jeśli zmniejszyła się odrobinę i przygarbiła. Jednak niezmiennie była sobą, z irytującym sposobem bycia kobiety, której nie sposób wyprowadzić z równowagi.

- Czy mogę ci w tym jakoś pomóc? - spytała.

- Chyba nie...

Trzymał w ręku drugą filiżankę herbaty - ostygła tymczasem, zapomniał o niej, chociaż pierwszą wypił łąpczywie, i szybko zjadł dwa ciastka z cukierni na rogu, do której wstąpił po drodze. Teraz kurczowo trzymał uszko filiżanki z cienkiej porcelany, pamiętał ją doskonale, pochodziła z serwisu w zielone kwiatki, ustawionym na środkowej półce w kredensie, tuż pod kryształowymi kieliszkami, do których długo nie mógł dosięgnąć.

- Słucham cię, synku.

Siedziała naprzeciwko w znajomym fotelu, zielonym w czerwone róże, wykończonym zieloną frędzlą, staroświeckim i cudownie wygodnym pod wytartym pluszowym obiciem, z wysokim ponad głowę, szerokim zagłówkiem i oparciami po bokach. Tak doskonale znajomym na tle starego kredensu, wraz z fotelem stanowiącym symbol rodzinnego domu. Syn Pauliny Witt raz jeszcze przyjrzał się dostojnemu meblowi, którego ciemny kolor rozjaśniały barwne witraże na drzwiczkach. Jeszcze raz utwierdził się w przekonaniu, że obcięcie toczonych nóg kredensu - wbrew obawom matki - wcale nie pozbawiło go urody. Amputacja była konieczna, gdyż bez niej mebel nie zmieściłby się w pokoju. Pomieszczenia w domu starców nie grzeszyły, niestety, wysokością.

- Dostałem list... - powiedział i natychmiast dodał przeproszająco: - Anonimowy.

- Ach tak.

Odważył się na nią spojrzeć i zrozumiał, że natychmiast pojęła przyczynę jego zakłopotania, niepewnego tonu, cały sens i cel jego misji. Mimo to jej pomarszczone dłonie o długich smukłych palcach nie zmieniły pozycji na kolanach: owszem, drżały leciutko, jednak nie było to wyrazem zdenerwowania, lecz objawem pochorobowym. Niezbyt zresztą groźnym, skoro, jak wiedział, ofiarą jej nieznacznego braku koordynacji ruchów nie padła dotąd ani jedna sztuka porcelany, żaden kryształ.

- Dlatego tak nagle przyjechałeś - stwierdziła Paulina Witt.

- Nie... I tak wybierałem się do ciebie zaraz na początku miesiąca.

- W pierwszą sobotę miesiąca. A propos, nigdy cię o to nie pytałam: czy twoje inne zajęcia także są tak regularne?

- Raczej staram się, by takie były, ale nie zawsze mi się udaje - odpowiedział.

- Ciągłe grasz w golfa? - zapytała z uśmiechem.

- Tak. Gram w golfa.

- Pływasz?

- Przed pracą w poniedziałki i czwartki.

- Nie wiedziałam, że tak wcześnie otwierają baseny. - Zaśmiała się, ubawiona.

Zawsze uważał, że jej śmiech jest śliczny. Również teraz potężna kula lodu roztopiła się w jego sercu.

- Właśnie w poniedziałki i czwartki, mamó. Dla takich idiotów jak ja.

- Och, synku - powiedziała ciepło - nie jesteś idiotą. I co najważniejsze, wcale się za takiego nie uważasz. To bardzo

ważne, dbać o swoje ciało. Gdyby twój ojciec to robił, może żyłby dłużej.

- Dłużej? Przecież żył siedemdziesiąt osiem lat.

- A czy w twoim wieku myśli się, że to długo? - zapytała z kokieteryjnym uśmiechem.

Aby zająć czymś ręce, dolał sobie herbaty z dzbanka.

- Mamo, w tym liście było napisane, że przyjmujesz wizyty prostytutki - wypalił na jednym oddechu.

- Prostitutki? - powtórzyła spokojnie.

- Nie znam męskiego odpowiednika na to słowo. Na mężczyznę, który zajmuje się prostytutką.

Nie odpowiedziała, czekając na ciąg dalszy.

- Podobno przyjmujesz go dwa razy w tygodniu, tu, w tym pokoju.

- W sypialni, synku. Tu czasami pijemy herbatę, jednak nie za każdym razem.

Synowi Pauliny Witt zabrakło słów. Gwałtownie wciągnął powietrze, jednak nie zdołał nic z siebie wykrztusić. Matka obserwowała go spokojnie; mógłby się założyć, że nieźle się bawi.

- A więc to prawda? - wydusił w końcu, bo na nic innego nie było go stać.

Poza tym miał jednak nadzieję, że otrzymany list był tylko stekiem bzdur.

- W poniedziałki i czwartki. To po prostu zbieg okoliczności: w te same dni, w które ty chodzisz na basen.

- To nie to samo, mamó - powiedział błagalnym tonem.

- W pewnym sensie tak. Oboje dbamy o swoje ciała - powiedziała bezlitośnie swymi bladymi wargami.

Paulina Witt zastanawiała się, kto mógł wysłać list do jej zamieszkałego czterysta kilometrów dalej jedyne go syna. Któraś z zawistnych współmieszkanek przybytku spokojnej starości? Religijny fanatyk? Kierowniczką? Sprzątaczką,

pielęgniarka, kucharka? Tyle ich było... Zresztą nie tylko żeńskie istoty mogły maczać w tym palce, w domu mieszkali też mężczyźni, samotni albo z żonami. Z rozbawieniem zauważyła, że niektórzy z nich patrzą na nią inaczej od czasu, gdy wiadomość o wizytach Darka rozniosła się po domu. W wielu spojrzeniach pojawiły się oprócz wspólnych mężczyznom i kobietom złości i potępienia zainteresowanie oraz ciekawość. Wyobrażała sobie, co o niej myśleli. Śmiała się z tego, co o niej mówili. Na koniec było dla niej jasne, że przyjmowanie Darka, prócz spodziewanego i zamierzonego efektu, przyniosło także inny, nowy: oto znowu znalazła się w centrum czyjejś uwagi. Ktoś się nią interesował.

- Mamo, to nie jest tylko twoja sprawa - powiedział jej syn prawie ze strachem.

- A czyja jeszcze? - zapytała poważnie.

Skulił się przed tonem głosu, którym, być może mimowolnie, zawsze odsuwała go na pewien dystans.

- Moja... dzieci. Twoich wnuków.

- Jest ich troje, jeśli dobrze pamiętam? Skrzywił się niechętnie.

- Nie ironizuj, proszę. Dobrze wiesz, ile mam dzieci. Widziałaś je w maju, cztery miesiące temu. Z wyjątkiem najstarszego, który właśnie zdawał maturę, więc nie mógł przyjechać.

- I co? Przyjęto go na studia? - spytała obojętnie Paulina.

- Tak, mam. Miał doskonałe wyniki.

- Cieszy mnie to.

W ciszy, która znowu zapadła, jedynie syn Pauliny Witt czuł skrepowanie. Mimo wielogodzinnych przygotowań nie potrafił teraz sklecić zdania. Siedząca naprzeciw matka sprawiała wrażenie znudzonej i pewnie odczułaby ulgę, gdyby już sobie poszedł. Co gorsza, nie okazywała śladu zażenowania czy wstydu z powodu sytuacji, którą on uznał za

niewyobrażalnie i kategorycznie wstrętą. Z powodu której jego żona zrobiła ma karczemną awanturę i całą jego rodzinę zmieszała z błotem.

- To dotyczy także Sylwii, mamó; jeżeli nawet jej nie lubisz, w tym mieście mieszkają jej rodzice.

- Jeszcze żyją, tak? - zapytała Paulina z ledwie dostrzegalną kpina. - Kiedy to ja ich widziałam... Zaraz, zaraz... na waszym ślubie?

- Nie, mamó - odpowiedział cierpliwie, przygotowany na ten rodzaj pytań - widziałas ich ostatnio na komunii Patryka.

- Rzeczywiście.

- Sylwia rozplakała się, czytając ten list. Powiedziała, że nie spojrzy w oczy sąsiadom.

- Nadal czyta twoje listy? - zapytała, uśmiechając się uprzejmie.

- Nie - skłamał, upokorzony. - List adresowany był do nas obojga.

- Och.

- Mamó! - powiedział, czując, że brakuje mu sił i cierpliwości, żałując, że w ogóle do niej przyjechał. - Pomyśl o nas! Co ja mam powiedzieć swoim synom, kiedy zapytają mnie o to? Jak na dojrzewających chłopaków może wpłynąć fakt, że ich babcia korzysta z usług prostytutki?

- Mów dalej - zachęciła Paulina, nie spuszczać z niego oczu.

- Ich siedemdziesięciodwuletnia babcia, do cholery! Ich babcia przyjmuje męskie prostytutki w domu starców!

- O! - zdziwiła się teatralnie. - W domu starców! Czy to aby nie ty nazywałeś ten przybytek Rezydencją Seniora?

- Ja, do cholery! - krzyknął. - Taka nazwa figurowała w papierach.

- Które podpisałam na twoje życzenie. Podobnie jak na twoje życzenie sprzedałam mój dom.



Przestraszył się jej zimnych oczu.

- Mamo... Przecież musieliśmy go sprzedać, po co miał stać pusty? Tu nigdy nie dostałbym takiej pracy, a ty sama...

- Tu masz odpowiedź, synku - przerwała mu Paulina Witt - dla siebie i twojej żony, Sylwii. Odkąd mieszkam tu, w domu starców czy w Rezydencji Seniora, jak kto chce, wolno mi robić, co mi się podoba. Nie mam wobec was żadnych zobowiązań i nic nie jestem wam winna. Otrzymaliście wszystko, co się wam należało, natomiast ja z tego, co mi zostaje, mam ochotę opłacać sobie prostytutki.

- Czy my nie obchodzimy cię wcale? - zapytał głupio.

- Ależ tak - odpowiedziała swoim dawnym, spokojnym głosem. - Dokładnie tyle samo, ile ja obchodzę was.

Syn Pauliny Witt nagle poczuł się bardzo stary, o wiele starszy od kredensu pamiętającego dziadka, i fotela, w którym przed radiem siadywała babcia. Matka miała rację. Żadne z nich, ani dziadek, ani babcia, ani nikt przed nimi, nie mieszkał w domu starców, jak wszyscy także oni oboje umarli we własnym domu, otoczeni rodziną, wśród przedmiotów, które kochali. Matka miała rację. Wstawienie kredensu i fotela do tego pokoju było profanacją. Jej pobyt w tej... rezydencji był czymś więcej niż profanacja. Ale czym były wobec tego wizyty męskiej prostytutki - tutaj? Pogarszały czy łagodziły sprawę? Wszystko wydało mu się bezlitośnie skomplikowane. Zmęczony, przeczesał palcami swoje krótko ostrzyżone siwe włosy.

Tylko jedna z pielęgniarek знаła prawdziwy charakter wizyt Darka i prócz Pauliny tylko ona lubiła go naprawdę. Nie miał na to wpływu fakt, że oboje pochodzili z tego samego kraju; zdaniem Pauliny pielęgniarka Ola jedyna zadała sobie trud poznania Darka, co z kolei wystarczyło, że poczuła do niego sympatię. Mówiły o nim często, z zadowoleniem, gdyż niełatwo jest o tematy do rozmów między pielęgniarką a

obowiązkową podopieczną. Być może dla Oli lubienie ludzi było prostsze niż dla innych, ponieważ prócz otwartości miała w sobie naturalną serdeczność, rodzaj daru, którego nie wypracowała na potrzeby swego trudnego zawodu, lecz zapewne się z nim urodziła. Wcześniej czy później zauważali to wszyscy pensjonariusze Rezydencji Seniora wraz z odwiedzającymi rodzinami, albowiem wchodząc do każdego z pokoi, Ola wносиła ze sobą spokój i ciepło, których część trwała jeszcze przez jakiś czas po jej wyjściu.

- Szkoda, że nie mogę wyswatać pani z Darkiem, Olu - mówiła Paulina Witt ze szczerym smutkiem w głosie. - Tyle dobrego moglibyście dać sobie nawzajem.

- Nawet gdybym była wolna, to gdzie by tam taki przystojniak na mnie poleciał, pani Paulino! - śmiała się Ola. - On może mieć kobiety na pęczki, a każda sto razy ładniejsza ode mnie.

- Po pierwsze, pani jest ładna. A po drugie, przecież nie o urodę chodzi. Darek jest najlepszym przykładem na to, jak pozory mylą. Z łóżka Pauliny Ola zgarnęła do torby z brudną bielizną duży ręcznik kąpielowy, którego barwny deseń ukrywał plamy od oliwki do ciała. Uśmiechnęła się szeroko.

- To nic złego być ładnym. Ależ ja bym chętnie zrzuciła sześć, osiem kilo i miała figurkę do minispódniczek! Wolałabym mieć niniejszy nos i ładniejsze oczy, ale i na to nie ma rady. A szkoda, bo ładniejszym ludziom jest łatwiej w życiu i w pracy. Panu Darkowi też.

Paulina roześmiała się głośno, jednak pielęgniarzka nie ustępowała:

- Przecież mam rację! Co on by tu robił, gdyby nie pracował w tej agencji? Nawet na budowie trudno znaleźć pracę na czarno, a zresztą jakoś nie wyobrażam sobie pana Darka noszącego cegły.

- Ależ on przyjechał tu po to, by nosić cegły na budowie...  
Przyrzekł narzeczonej, że zapracuje na mieszkanie.

Pielęgniarka Ola przysiadła na brzegu tapczanu, na chwilę zastygając bez ruchu. Szukając słów, powiedziała z zastanowieniem, które sprawiło, że jej wymowa jeszcze silniej brzmiała obcym akcentem:

- Wierzy pani w to, że uda mu się z tą narzeczoną, pani Paulino? Myśli pani, że on jeszcze jest tym samym człowiekiem, co kiedyś?

- Nie wiem z całą pewnością, jaki był na początku, to znaczy, jaki był, zanim tu przyjechał, ale trochę go znam teraz... - odpowiedziała Paulina. - Sądzę, że jest dobrym kandydatem na męża.

- A mój mąż mówi, że wilka ciągnie do lasu. Rozmawialiśmy kiedyś o prostytutkach, ale wie pani, o kobietach... Mój mąż nie wierzy, że z tym można tak naprawdę skończyć.

- Ma pani na myśli to, że on będzie ją zdradzał?

- Możliwe... Ale przede wszystkim ona będzie się bała, że to robi. I będzie cały czas myślała o tym, co już zrobił. Z kim i w ogóle.

- Tego akurat nie powinna się bać. Nie ma o kogo być zazdrosna, naprawdę - powiedziała z przekonaniem Paulina Witt. - Te kobiety, które go zamawiają... Na pewno nie ma wśród nich żadnej, w której mógłby się zakochać.

W odpowiedzi Ola westchnęła smutno.

- Naprawdę jest tak, że oni robią to bez miłości? Pani Paulino, no, jak to ma być możliwe!

- Możliwe, możliwe, Olu - odpowiedziała Paulina pogodnie. - Mówiąc słowami mojego zmarłego męża: „Chociaż miłość to seks, nie każdy seks jest miłością”. Zdradzał mnie z kim popadło. I co? Po tej czwartej nawet nie płakałam.

- Nie wierzę!

- Po pierwszej kochance mojego męża sama bym nie uwierzyła. A po trzeciej kupiłam sobie nowe futro.

Z niedowierzaniem na swej pełnej twarzy Ola zapytała: - I nie chciała go pani przegnać na cztery wiatry?

- Chciałam. Ale nie przegnałam.

Mimo szczerego uśmiechu rozjaśniającego twarz Pauliny Witt Ola nie odważyła się spytać o przyczyny jej przyzwalania niewiernemu mężowi na kolejne kochanki. Podniosła się z łóżka i wsunęła do kieszeni fartucha zwinięty aparat do mierzenia ciśnienia. Poklepała go znacząco i posłała Paulinie uśmiech, zadowolona z jej stanu zdrowia.

- No! - pochwaliła. - Byle tak dalej.

- Tak, tak, coraz lepiej ze mną - zakpiła łagodnie Paulina.

- Tylko czy to ma sens? Nie miałam zamiaru niczego przedłużać. Jedynie uprzyjemnić...

- I o to chodzi, pani Paulino! A co ma być...

Dwie kobiety uśmiechnęły się do siebie - siwowłosa Paulina Witt, drobniutka, w delikatnym drganiu, pozostawionym przez chorobę, która ten jeden raz dała się jeszcze uprosić i poszła na odroczony urlop, oraz jej pielęgniarka, fertyczna tleniona blondynka, regularnie przybierająca na wadze każdego roku od ukończonej trzydziestki.

Funkcje biologiczne Pauliny zamierały pomalutku, wysuszona skóra wydzielala coraz mniej wilgoci, nos śluzu, a oczy zbyt mało łez i trzeba było ratować je kroplami, tak jak układ pokarmowy należało pobudzać ziołowym naparem i pigułkami, zbyt często klejącymi się boleśnie do wysuszonego przełyku. Nawet krew nie zawsze miała ochotę na pokonywanie niewielkich przeciw odległości w ciele Pauliny, jakby czekała gnuśnie, aż ktoś zmusi ją do biegu.

Inaczej Ola, ciągle w ruchu, mimo sporej nadwagi szybka i prócz własnej, roznoszącej ją energii, mająca w sobie także dodatkową, gotową do rozdania innym, jak prezenty w worku Mikołaja. Zawsze odrobinę spocona i zarumieniona, z rozmazaną, niezbyt fortunnie dobraną szminką. U Oli jedynym suchym elementem były włosy, zniszczone częstymi ondulacjami i farbowaniem, jednak kiedy wymykały się z chybcikowego koka na czubku głowy i dotykały zawilgoconego czoła Oli, także one stawały się ładne.

- Olu - poprosiła Paulina - chciałabym wyjść na miasto. Muszę coś kupić, potrzebuję parę rzeczy, chcę wymienić ten sweter... Kiedy będzie mogła pani ze mną pójść?

- Sprawdzę w biurze i zaraz pani powiem - obiecała pielęgniarka. - Co, nie podobał się sweter synowi czy nie pasował?

- Wcale mu go nie dałam - odpowiedziała Paulina Witt. - Rozmyśliłam się.

Ola zatrzymała się w pół kroku.

- Wie pani co, pani Paulino? - powiedziała. - I bardzo dobrze. Jak taki głupi, to niech nie ma.

Spojrzały na siebie porozumiewawczo, z małym triumfem, którego prócz nich nikt by nie zrozumiał.

Idąc schodami na piętro, a potem korytarzem do apartamentu Pauliny Witt, Darek minął co najmniej pięć osób, w tym dwie z personelu. Wiedział już, że nie było to sprawą przypadku; dawniej, w pierwszych tygodniach, zdarzało mu się nie widzieć nikogo, z rzadka zatrzymywało się na nim czyjeś zdziwione spojrzenie, kiedy śpieszył na spotkanie w poniedziałek albo czwartek. Natomiast ostatnio za każdym razem natykał się na kogoś, a zamiast zdziwienia witała go niezdrowa ciekawość, nieumiejętnie ukrywana, przypudrowana jednak ironią, kpina lub jawną wrogością.

Postanowił opowiedzieć Paulinie o zaskakującej energii zmieniającego się często powitalnego komitetu.

- Pani Paulino? - powiedział cicho i ostrożnie uchylił drzwi, kiedy przez dłuższą chwilę nikt nie reagował na pukanie.

Odpowiedziała mu cisza, mimo to wszedł do środka, gdyż spojrzenia dwóch kobiet na korytarzu zbyt ciężko zawisły mu na plecach. Czekał zaledwie kilka minut na Paulinę Witt, która wróciła z łazienki. Przebrała się już w szlafrok, co robiła dość często, jak gdyby chciała oszczędzić jego czas.

- Dzień dobry, Darku. Jak zwykle jest pan punktualny.

Podeszła drobnym kroczkiem i podała mu rękę. Uściskawszy ją łagodnie, odwiesił płaszcz na wieszaku niewielkiego przedpokoju i wszedł do saloniku. Paulina podniosła ze stolika paczkę zapakowaną w elegancki papier z nadrukiem drogiego butiku.

- Mam dla pana prezent, Darku.

Kiedy w obronnym geście wysunął przed siebie obie dłonie, powiedziała szybko, nie czekając, aż on zdąży się odezwać:

- Proszę, niech pan nie protestuje. To wcale nie było dla pana. Kupiłam synowi, ale on znowu się roztył. Musi to mieć po moim zmarłym mężu, bo ja nigdy nie byłam gruba... Proszę, niech pan to ode mnie przyjmie.

Włożyła mu paczkę w ręce i roześmianymi oczyma obserwowała jego zakłopotanie. Zawsze zachowywał się w ten sposób; wiedziała, że będzie się bronił, protestował, ale na koniec przyjmie prezent, przy czym nie była pewna powodu jego skrupułów, wahając się między jego trzymającą się w bezpiecznych granicach zachłannością a niezaprzeczalnie wrodzonym taktem. Paulina chciała wierzyć, że nawet wykonując swój niekonwencjonalny zawód, Darek nie

zaprzyjaźnił się ostatecznie z myślą o otrzymywaniu od kobiet pieniędzy, kwiatów i prezentów.

Darek rozwinął z bibuły miękki sweter z kaszmirowej wełny. Był ciemnoczerwonego koloru i tak jak przypuszczała Paulina, doskonale kontrastował z kruczoczną czupryną. Sweter, który kupiła dla syna, był popielaty, dostosowany do jego stonowanej garderoby człowieka na stanowisku - i właśnie dlatego, wcale nie z powodu rozmiaru - wymieniła go na inny.

- Przymierzy go pan, panie Darku? - zapytała.

Zamiast odpowiedzi uśmiechnął się do niej i zdjął marynarkę. Pod nią nosił tylko T - shirt, którego w chłodniejsze dni nie zdejmował, idąc do sypialni, robił to dopiero później, po kilkunastu lub kilkudziesięciu minutach, kiedy czuł, że zbyt się poci.

Podeszła bliżej, gdy przyglądał się w lustrze i wygładziła wełniane ciepło na jego ramionach, kształtnych jak u pięknego posągu. Zmrużyła oczy jak matka, poprawiając na nim golf z nieoderwaną etykietką, a widząc, że i on się cieszy, uśmiechnęła się zadowolona do ciemnej czerwieni, jak dla niego stworzonej. Gdyby Darek był kobietą, nad czym pewnie poważnie zastanawiała się natura, powołując go do życia przed dwudziestoma pięcioma laty, pąsowymi sukniami rzuciłby świat na kolana. Żartująca z tego czasami Paulina Witt cofnęła się o kilka kroków, by napatrzeć się na niego swymi oczami dalekowidza, szczerze poprawiając dekolt szlafroka, który rozchylił się na kilka centymetrów.

- Dziękuję, pani Paulino - powiedział i pochylił się nad nią, niesięgającą mu ramienia, aby miękko ucałować jej wyschnięty policzek.

Nigdy nie zdarzyło się, by Paulina pocałowała Darka. Nieczęsto zdarzało się, by Darek całował Paulinę. Jednak kiedy jego usta muskały jej skórę, a mikroskopijny ślad

wilgoci przenosił się na nią z jego pełnych warg, kleksy różowawej radości wypływały na policzki Pauliny Witt. Namacalne nagle tętnienie krwi i przyjemna świadomość posiadania jej w żyłach i pod skórą były uczuciem oszałamiającym, przepływającym w musujące drżenie, przeciwstawne niekontrolowanym wibracjom rozregulowanego starego ciała. Niewinny pocałunek budził z letargu młode, nienaruszalne jądro tego ciała wraz z jego magicznym, wiecznym sercem. Dzięki niemu rozkwitały one życiem jak dusza zapomnianych skrzypiec, których struny trącił mistrz we wprawce introdukcji.

W bezsłownych wyobrażeniach Pauliny Darek często pojawiał się jako instrumentalista szykujący się do koncertu, którego partyturę znała na pamięć, wyniosły i piękny we fraku. Jednak myślała też o nim inaczej: jako o magiku żonglującym fotografiami dawno minionych wzruszeń pomieszanymi z zapowiedziami nowych, jakby ze spłowiałych zdjęć składał folder zapraszający w podróż kosmiczną. Lub całkiem inaczej, gdy jawił się jej jako mistrz kuchni, przynoszący ukochane menu z potrawami, które nie nudzą się nigdy i nawet gdy rozkosznie pełny żołądek wspomina ostatnią okruszynę deseru, myśl zawraca w kierunku pierwszego hors d'oeuvre.

Pocałunek Darka był dla Pauliny Witt czymś takim jak operowa uwertura, ukłon czarnoksiężnika i łagodny aperitif jednocześnie. Tak samo kochała w nim wysokie tony skrzypiec, błysk różdżki głaszczącej cylinder i słonawy smak oliwki żeglującej po wermucie.

Kładła się na łóżku, zerkając, czy widzi jej nieporadne ruchy. Miała problemy z podciąganiem kolan, z niechęcią myślała o nich, utyskując, że są nie tylko stare, ale też kompletnie na bakier z logiką: drobne, chude, a mimo to ciężkie jak u słonia. Darowałyby im już pomarszczoną skórę i



dokuczliwe strzyknięcia, wybaczyła wszystkie bóle, jednak nigdy tego ciężaru...

Darek na szczęście nie patrzył na nią, kiedy gramoliła się na łóżko i niezdarnie pozbywała szlafroka. W tym czasie zawsze zajmował się poprawianiem firanek w oknie sypialni znajdującej się na pierwszym piętrze i wychodzącej na park, bezpiecznej więc od ciekawskich spojrzeń, których, gdyby tylko zaistniała możliwość, spadłoby na nich tysiące. Włączał magnetofon, aby popłynęła z niego muzyka pełna spokoju, zawsze ta sama, dzieło wykonawców nieznanym Paulinie. Kiedyś myślała o tym, by poprosić o jedną z kaset na własność, jednak zrezygnowała, uznając słuchanie pod nieobecność Darka za naruszenie rytuału. Postanowiła nie zmieniać niczego, aby akompaniująca szumowi deszczu na kamieniach harfa, cichutko płaczące skrzypce i łagodnie wspinający się na górskie szczyty flet zdarzały się jej jedynie w przedpołudnia Darka i kojarzyły się z jego czułymi dłońmi.

Kiedy była gotowa, zbliżał się do łóżka i odkładał na krzesło jej niepotrzebny szlafrok. Zdejmował buty. Siadał obok i poprawiał mały ręcznik, osłaniający jej pośladki; leżącej na brzuchu Paulinie trudno było ułożyć go właściwie, więc poprawiał po niej, troskliwy i pełen szacunku. Odkręcał flakon z oliwką i wylewał ją sobie na dłonie. Patrzyła na to zachłannie, mając nienaturalnie skrecony kark, jednak był to ostatni moment niewygody, po nim następowało już tylko oddawanie się w jego dłonie. Zapadał spokój. I ciepło, i jasność tonów, łagodne migotanie i głębokie fale. Paulina odczuwała własną skórę i mięśnie ukryte pod nią, znowu płynęła w niej krew, nagle silniejsza, docierająca we wszystkie zapomniane miejsca. Tyle razy Paulina myślała o czasach, kiedy podobne uczucia nie były dla niej świętem, kiedy krew płynęła w niej zwyczajnie jak czas, a ciało funkcjonowało samo z siebie na wzór obrotów ciał niebieskich

bezszelestnie, tak że nie zwracała na nie uwagi. Trzeba mądrości, by nauczyć się czuć swoje ciało. Trzeba czasu, by docenić jego posiadanie, radość, spokojną rozkosz, tyle droższą, kiedy się wyczerpuje. Pod dłońmi Darka Paulina przypominała sobie smaki następujące po sobie jak kolejne fale: niewysłowioną wdzięczność za posiadanie ciała, wdzięczność dla ciała za jego istnienie, wybaczenie ciału starości, zapomnienie mu starości, odnalezienie w nim młodości i na koniec pewność perfekcyjnej młodości wiecznej.

Z ostateczną nagrodą w postaci wypłynięcia poza ciało i długiego, miękkiego lotu nad chmurami.

Opowiadała o tym Oli. Pielęgniarka słuchała zafascynowana, lecz bez zazdrości. Czasami pojawiało się w niej niedowierzenie, zawiść nigdy.

- Szkoda, że nie może przydarzyć się to wszystkim, pani Paulino! Ilu tabletek nie musiałabym rozdawać co rano...

Darek zaczynał od karku Pauliny. Zwykle jakiś nieposłuszny pukiel włosów wymykał się jej z klamry i wtedy on odgarniał go łagodnie, zapominając o rękach umazanych oliwką. Nigdy nie miała do niego o to żalu, po jego odejściu unosiła swe naraz lżejsze ramię, by odnaleźć tłuste pasmo włosów jak pamiątkę. Darek gładził ją całymi dłońmi, a ona na początku bawiła się jeszcze myślami, jeszcze zdolna do pojedynczych myśli o jego palcach na fragmentach swojej skóry. Jego ruchy były mozaiką, za którą próbowała nadażyć wyobraźnią, jak małe dziecko biegnące kilkanaście metrów za maratończykiem.

Jednak nie trwało to długo. Kiedy jego dłonie rozdzielały się, by podążać wzdłuż linii jej ramion, zamykała nieodwracalnie oczy, cierpliwa w oczekiwaniu następnego dotknięcia. Kiedy głaskane ramiona znikały we wnętrzu dłoni obejmujących je jak gałąź jabłoni, Paulina żegnała się z

wszystkimi myślami. Płatały się w niej, mieszały ze spowolnionym oddechem i tempem ruchów mężczyzny, jakby byli ze sobą spojeni i porozumiewali się bez słów: on gładził ją w rytm jej oddechu, a ona oddychała w tempie jego rąk. Jego ruchy stawały się coraz dłuższe, jak morskie fale na wieczorny przyptyw. Każda z nich kończyła się dalej, omiatając łokieć, raz uciskając go przelotnym, cienkim muśnięciem, raz silniej, aż znikał cały w koszyku pięciu palców. Fale docierały do spiętych z oczekiwania przedramion, aby za chwilę bez pośpiechu osiągnąć nadgarstki i dłonie. Leżące na prześcieradle dłonie były maleńkie i wiotkie. Obejmujące je palce przykrywały je w całości w rytmicznym ruchu napływania, pozostawiając ulotną nadzieję pozostania, połączenia i zamknięcia w sobie. Jednak te większe, męskie dłonie nie mamuły i nie kłamały, ich ruch, jak taneczny rytuał objęć i utuleń, był obietnicą i wsparciem. Wróć do ciebie, mówiła duża dłoń do małej, przezroczystej dłoni, w ostatniej sekwencji tańca w ostatnim, dłuższym o sekundę uścisku.

Później dłonie Darka przesuwają się na plecy i kark Pauliny, pomiędzy łopatki, w miejsce, z którego wypływały przed chwilą symetryczną linią ramion. Darek przenosił się z brzegu łóżka na jego środek, z ciałem Pauliny pod sobą, drobną tak i nieznaczną, że nie musiał zadawać sobie wielkiego trudu, by nie dotykać jej udami, nie skrzywdzić własnym ciężarem i nie urazić delikatnej skóry szorstkim dotknięciem dzinsów. Paulina była tak maleńka, że wystarczyło, by kucnął nad nią na piętach, a już cała jej objętość mieściła się w tunelu powstałym między nogami.

Po zaklinaniu pleców, długich wędrówkach wzdłuż kręgosłupa po pagórkowatościach kręgów i łagodnościach dzielących je dolin, przemierzanych wolno, jakby chodziło o odległości prawie nieskończone, po zawijaniu na bieguny

łopatek o kruchej harmonii dłonie Darka płasko zatrzymywały się w miejscu, w którym sylwetka kobiety zwięza się jak instrument. Jeszcze mniej ciała zostawało mu pod dłonią, zewnętrzne jego palce osuwały się po bokach w dół, obejmując talię, kciuki pozostawały wierne linii kręgosłupa. Wnętrze dłoni natrafiało na uniesienie pośladków.

Darek dotknął frotowego ręcznika.

- Pani Paulino? - zapytał ostrożnie.

Musiał odczekać kilka długich sekund, podczas których budziła się jak ze snu.

- Tak? - zapytała z daleka.

- Może dziś... - powiedział cichym, łagodnym głosem.

Zadrżała. - Nie...

- Nie ma sensu dłużej czekać. Po co?

- Nie, Darku. - Jej głos był pełen wstydu, lecz walczyła ze sobą w osłabieniu, bez powodzenia usiłując otworzyć powieki.

- Proszę mi zaufać - powiedział. - Będzie się pani podobało. Wiem, że może to już pani zrobić.

Upłynęło wiele minut i wiele taktów muzyki, która nasiliła się nieoczekiwanie w rytmie przyspieszonego serca. Przytłumione bębny z głośników zagrały unisono, przyłączając się do nienaturalnego zapytania.

- Darku, ale... - szepnęła cichutko.

- Wiem. Nie ma po co dłużej czekać.

Cisza, która rozlała się u wezłowia łóżka, wtulona między poduszkę i białe włosy kobiety, oznaczała zgodę. Wolnym ruchem Darek zdjął ręcznik i Paulina Witt po raz pierwszy była przed nim całkiem naga. Poczowała wielki wstyd i zacisnęła powieki. Oblał ją rumieniec, choć mniej krwisty i palący niż w czasach, gdy jako młoda dziewczyna rozszerzała stopniowo swój rejestr doświadczeń z mężczyznami. Jednak było podobnie: gdy uczyła się dawniej pocałunków, pieszczot i zaspokojeń, także obawiała się nowego. Każdy jej kolejny

krok w krainę przyjemności ciała poprzedzony był wstydem i niepokojem, jak skok do wody, która z początku zdaje się tak zimna, że zanurzenie prawie boli.

Tak było i z Darkiem, któremu wierzyła i zaufała. Tylko dzięki niemu i razem z nim powróciła na drogę, o której sądziła, że dawno jest dla niej zamknięta. Nazywała to prezentem życia.

- A wie pani, że „Darek” to znaczy prezent, pani Paulino? Właściwie poDAREK, ale to właściwie to samo... Trochę trudne do przetłumaczenia.

- Naprawdę, Olu? Czemu mi tego nigdy nie powiedział?

- Bo pewnie sam się nie zastanowił. A poza tym... Sama pani wie, pani Paulino, mężczyźni nie zwracają uwagi ani na znaki, ani na wróżby, na nic.

Ola była wtajemniczona w podarowany świat Pauliny Witt. Wspomagała go od początku, dostarczając ręczników, oliwki do ciała oraz wielu innych rekwizytów wspomagających ceremonię - na przykład ubrań.

Przez pierwsze tygodnie Darek masował Paulinę przez grubą tkaninę dresu składającego się z bluzy z długim rękawem i spodni. Pod bluzą była naga, bez biustonosza, z którego dawno zrezygnowała, bo ciężko się zapinał, ale też i bez noszonego na co dzień podkoszulka. Dość szybko pożałowała ciepła dłoni Darka, traconego na rozgrzanie przeszkody grubego ubrania, i zamieniła - za radą Oli - dres na T - shirt oraz cienkie piżamowe spodnie. Odtąd masował ją prawdziwiej, wsuwając dłonie pod materiał na plecach, jednak gdy po dłuższym czasie przyszła pora na pośladki, dotykał ich przez piżamę. Z czasem całkowicie zrezygnowała z ubrania, jednak leżąc na plecach szczelnie okrywała piersi ręcznikiem, podobnym do tego, który do samego niemal końca osłaniał jej pośladki. Darek nigdy nie dotykał piersi, wewnętrznej strony ud i podbrzusza - były to trzy ostatnie niepodbite terytoria,

pozostawione odłogiem i na mocy zawartego układu nietykalne.

\*

Rozczarowana Karina pokręciła głową.

- Więc on ją tylko masował? Phi, też mi rewelacja...

- Masował i przy okazji bardzo się zaprzyjaźnili - odpowiedział Knut. - Sama widziałaś, że do dziś przynosi jej kwiaty. Odwiedza ją regularnie, choć rzadziej niż w domu starców. Przychodził do niej do samego końca, zawsze w te same dni, kiedy była już bardzo chora i wcale jej nie masował.

- Bo mu już nie płaciła.

- Może. Jednak wtedy jej syn przyjeżdżał częściej, zmieniały się pielęgniarki. Ciągłe ktoś był w pokoju.

- Syn? Poznali się? - zapytała zaciekawiona.

- Tak, w domu starców. Jeszcze zanim zobaczyli się na pogrzebie. - I co?

- Syn wyrzucił go za drzwi. Zabronił przychodzić do matki. Karina wybuchnęła złośliwym śmiechem.

- To co, piękniś przychodził nielegalnie?

- Nie, ta pielęgniarka, Ola, postawiła się przed dyrekcją. Przypomniała, że pani Witt nigdy nie została ubezwłasnowolniona, jest w pełni sił umysłowych, a masażysta przychodzi na jej wyraźne życzenie. Musieli to uszanować.

- Cyrk na kółkach.

Spotkali się po raz pierwszy po tygodniu. Przez siedem dni Karina wędrowała z Beksem po parku, a Knut szukał jej wzrokiem po cmentarzu, wątpiąc już, czy kiedykolwiek ją zobaczy. W końcu przyszła i nie napomknęła słowem o zaistniałej sprzeczce. Zresztą Knut sam miał wątpliwości co do charakteru tego nieporozumienia. Nie lubił nowych sytuacji. Ucieszył się, że wróciła.

Kilka dni później przechodzili obok grobu Pauliny Witt i Karina sama poprosiła o historyjkę o jej synu.

- To nie był jej syn - odpowiedział. - To był jej masażysta.

\*

- Darku, czy na pewno pana nie zatrzymuję? - zapytała Paulina z niepokojem. - Nie musi pan pić ze mną herbaty, jeśli pan nie ma czasu.

- Mam dużo czasu, pani Paulino, całe przedpołudnie. Ja bardzo lubię pić z panią herbatę, przecież pani wie.

Była zadowolona, że Darek coraz lepiej posługuje się jej językiem. Chociaż gramatyka przysparzała mu wiele kłopotów, jego słownictwo pięknie rozszerzało się z dnia na dzień. Wiedziała, że czyta gazety, codziennie ogląda telewizję i trzy razy w tygodniu chodzi na kurs językowy. Kiedy pochwaliła go za to, uśmiechnął się z wdzięcznością i powiedział:

- Przyda mi się, kiedy wrócę do kraju. Założę firmę albo zacznę studiować. A może jedno i drugie?

- Przecież chce pan założyć rodzinę - przypomniała mu.

- Tak... Tylko że to się wszystko gmatwa, wie pani? Przerwał, a ona nie chciała go popędzać.

- Jeżdżę do niej mniej więcej raz na dwa miesiące. To w sumie często jak na daleką drogę i moją pracę. Dzwonię. Nie chcę zapraszać jej tutaj, bo nie mógłbym wychodzić do pracy. Mówiłem jej, że pracuję przy remontach mieszkań... Nie uwierzyłyby w to, widząc mnie na co dzień. Ktoś mógłby zadzwonić, przyjść. Jakaś kobieta...

- Przychodzą do pana kobiety?

- Zawodowo... - powiedział niechętnie. - Klientki. Nic mnie z nimi nie łączy, oczywiście.

- Myślałam, że tylko w tej agencji...

- Zasadniczo tylko w klubie, to prawda. Albo ja chodzę do klientek. Ale czasem one przychodzą do mnie, są takie, które sobie tego życzą.

Darek spojrział na Paulinę spod zmarszczonych brwi i roześmiał się nagle z własnych myśli, jak chłopiec, któremu przypomniał się nieprzyzwoity dowcip.

- Po prostu czasem pracuję na czarno.

Także i tym razem Paulina nie spieszyła się tematem. Poruszali go często, właściwie od pierwszych dni znajomości. Sytuacja między nimi była jasna: on był męską prostytutką, ona staruszką, której nic na świecie nie powinno już zadziwić. Zresztą, jak sama dawno wyjaśniła, także posiadała na tym polu pewne doświadczenia: jej zmarły mąż uwielbiał prostytutki.

- Gdyby pana dziewczyna się dowiedziała, zostawiłaby pana, Darku - stwierdziła Paulina Witt.

- Chyba tak - zgodził się, jednak nie było w tym wielkiego żalu. - Ona raczej nie leci na pieniądze.

- Naprawdę? - spytała Paulina. - Dlaczego więc zgodziła się, by pan tu przyjechał? Dlaczego puściła pana na tak długo?

Darek spuścił głowę i zaczął cierpliwie wyjaśniać:

- Pani nie wie, jak to jest. Tam nie było pracy, żadnych szans. Ona pracuje w sklepie i co weekend dojeżdża do miasta na kursy wieczorowe. Wydaje na nie tyle, ile zarabia, ale wierzy, że coś z tego będzie na przyszłość. Dla mnie wszystko wyglądało jeszcze gorzej. Miałem trzy albo cztery posady po skończeniu szkoły, jedna gorsza od drugiej. Firmy padały, z dnia na dzień nie było pieniędzy na wypłaty. Od biedy mogłem zarobić na sobie, ale żeby coś odłożyć...

- Mógł pan robić to samo, co tu.

- Nie... - zaprzeczył ze spokojem. - Zresztą nawet nie przyszło mi to do głowy. Tutaj też nie przyszłoby mi to do



głowy, gdybym przez dwa tygodnie nie koczował na dworcu. Opowiadałem pani przecież...

Skinęła głową. Zapamiętała bardzo dokładnie historię ze starą prostytutką z dworcowej poczekalni, pijaną i zaczepiającą Darka przed świtem. Paulina pomyślała wtedy, że mogła to być jedna z tych, z którymi kiedyś zdradzał ją szanowny małżonek, bo i wiek by się zgadzał, temperament zapewne też. „Miałam więc rację, znosząc to wszystko - pochwaliła się przed samą sobą. - Kto wie, co stałoby się ze mną, gdybym wtedy uniosła się ambicją, odeszła od niego. Bez zawodu, bez pieniędzy. Cierpliwość jest ważną rzeczą. Teraz on nie żyje, jego dziwki grzeją się na dworcach, natomiast ja mam ciepło, opiekę, wszystkie jego cenne rzeczy, nawet ukochane rodzinne pamiątki pozostały przy mnie. To ja wygrałam”.

- W tym klubie nie jest źle. Zarabiam sporo pieniędzy.

Tak właśnie powiedziała mu owa prostytutka: „Chłopczyku, taki jesteś ładny, na co jeszcze czekasz?”. I kupiła mu gazetę z ogłoszeniami, z których jedno podkreśliła. „Znam właściciela - powiedziała. - Powołaj się na mnie i na pewno nie pożałujesz”.

Darek podniósł głowę i uśmiechnął się do Pauliny.

- Jestem pani wdzięczny, że pije pani ze mną herbatę, pani Paulino. Wydaje mi się, że jest pani jedynym normalnym człowiekiem, którego tu znam. Ja sam zachowuję przy pani resztki normalności.

Znowu powtórzyła to, co ze wstydem wykrztusiła z siebie przy pierwszej pitej razem herbacie:

- Naprawdę tak pan uważa? Stara kobieta, która kupuje sobie dotyk młodego człowieka?

- To wcale nie musiał być Darek - opowiadała Paulina Oli.

W szpitalu, po wylewie, masowała ją kobieta. Pokażna, silna, na biało ubrana terapeutka. Z pewnością była specjalistką w swojej dziedzinie, znała się na anatomii i sposobach rozluźniania mięśni zakleszczonych w ludzkim ciele. Była miła, lecz zimna. Wykonywała swoją pracę jak należy, sumiennie wypełniając regulaminowe trzydzieści minut. Nawet czasami odzywała się do Pauliny, odpowiadała na pytania i nigdy nie była niegrzeczna, raczej małomówna. Swój zawód wykonywała, ponieważ był jej zawodem. Myślami była gdzie indziej.

Mimo to Paulina tęskniła do dotyku jej rąk. Do dotyku w ogóle, do jego ciepła, do dowodu na to, że ludzie są sobie wzajemnie potrzebni i mogą karmić się sobą wzajemnie, dzieląc się siłą, razem trzymać się w symbolicznym ognisku życia. Odkąd wypisano ją ze szpitala, prawie nikt jej już nie dotykał. Poza powitalnym i pożegnalnym uściskiem syna nie zdarzał się Paulinie żaden kontakt z ludzką ciepłą skórą, nawet rzadko widywane wnuki całowały ją w policzek ostrożnie, z odległości, jakby przebyta choroba przestawiła ją do szeregu ludzi, których lepiej obchodzić z daleka. „Oni boją się, że zrobią pani krzywdę, pani Witt” - twierdziła sąsiadka, opłacana za pomoc rekonwalescentce.

Przez kilka miesięcy, podczas których Paulina z pomocą sąsiadki jakoś egzystowała w domu, wszystko było mniej więcej w porządku. Przyjeżdżał syn, ukrywając zmęczenie podróżami i niezadowolenie z tego, że jest do nich zmuszony, odwiedzały ją jakieś znajome, niezbyt często, jednak cieszyła się z każdej wizyty. Grzała się poduszką elektryczną w chłodne ranki i długie wieczory, przypominając swej zgnuśniałej krwi o tym, jak bardzo potrzebuje ciepła. Przez trzy miesiące przychodziła do niej inna opiekunka, a do jej obowiązków należał także masaż Pauliny, zalecony mniej więcej dwa razy w tygodniu. Jednak pielęgniarka nie lubiła

masowania i nie umiała tego robić, koncentrowała się więc na innych czynnościach wystarczająco długo, by minął jej czas pracy. Paulina nigdy nie przypominała o tym bodaj słowem, czując ukrywaną niechęć tamtej do jej starego, suchego ciała. W chwilach, kiedy opiekunka jednak zabierała się do zeszywniałego karku lub bolącej łopatki Pauliny, jej dotyk miał w sobie bardzo mało ciepła i bolał.

Paulina zatelefonowała do szpitala, prosząc swą pierwszą terapeutkę o prywatne masaże, jednak tamta odmówiła, grzecznie tłumacząc się małymi dziećmi. Może kiedyś później, powiedziała, zadzwonię do pani... Później, pomyślała Paulina, czy dla mnie jest jeszcze jakieś później?

W bezpłatnej gazecie roznoszonej po domach czytała od deski do deski wszystkie ogłoszenia. W rubrykach dotyczących pracy jedni ludzie jej szukali, inni proponowali - najróżniejszą, lekką, świetnie płatną, dzienną, nocną i wieczorową. Ktoś chciał sprzątać czyjeś mieszkanie, ktoś inny pilnie poszukiwał sprzątaczkę. Czemu oni się nie spotkają? - dziwiła się Paulina Witt, niepojmująca istoty pośrednictwa, podobnie jak intensywności obiegu przedmiotów, które jedni sprzedawali, a poszukiwali drudzy. Wyobrażała sobie oczekujące na przejście z rąk do rąk metry kwadratowe oraz pasujące do nich meble. Liczyła tapczany, piętrowe łóżka dla dzieci i jeszcze nierozpakowane, całkiem nowe kuchenki mikrofalowe. Jak to możliwe, że wielka orgia popytu i podaży nie rozładowuje się w świecie automatycznie, jak rondo w ruchliwej dzielnicy?

Już wcześniej przestała śmiać się z ogłoszeń towarzyskich i matrymonialnych, teraz dziwiła się jedynie wielkiej liczbie ludzi dotkniętych samotnością i szukających kogoś drugiego. Jak sami pisali, z powodu długich wieczorów, samotnych świąt i kolacji - do łóżka i na długie spacer... Jak to jest możliwe, pytała samą siebie zatroskana Paulina, że wszyscy

chęcią tego samego - wierności i miłości po grób, to samo mają do ofiarowania - właśnie tę miłość, wierność i oddanie, wszystkim im chodzi o to samo, a nie mogą się spotkać? Dlaczego nie umówią się po prostu na jedno wielkie spotkanie po to, by odejść z niego parami? Jestem wierna, cierpliwa i łagodna - tak jak ty. Potrzebuję miłości i nigdy cię nie zdradzę - tak jak i ty. Będę o ciebie dbała - jak i ty obiecujesz, ogłaszając, że będziesz mnie kochał, dbał o mnie i będziesz mi wierny...

Także w ogłoszeniach opatrzonych nagłówkiem „Kontakty erotyczne” Paulina dostrzegała równowagę. Równie często pojawiał się w nich ktoś, kto poszukiwał tegiej kobiety, jak jakaś puszysta kobieta szukała partnera. Ktoś chciał znaleźć się w łóżku jakiejś pary, jakaś para w tym samym celu potrzebowała kobiety lub mężczyzny. Na dodatek wszyscy reklamujący braki zahamowań zgadzali się liczbowo - i tu popyt odpowiadał podaży. Wystarczyłoby, by spotkali się gdzieś pewnego razu i dobrali się według deklarowanych potrzeb. Zdaniem Pauliny powinno się zorganizować wielki, romantyczny bal dla wszystkich poszukujących partnera na życie. A tym, którzy pragną uciech ciała, urządzić wielkie, rozpasane bachanalia. Mąż Pauliny uczestniczył kiedyś w czymś takim. Wrócił w podartej bieliźnie i pijany opowiadał szczegóły.

Wiele wątpliwości Pauliny Witt budziła natomiast możliwość zaspokojenia podaży wszystkich agencji towarzyskich i erotycznych klubów, o których dowiadywała się z ogłoszeń. „Ekskluzywnych gniazdek dla ścisłego grona”, „Jaskiń rozkoszy” oraz „Enklaw bez tabu” było tak wiele, że Paulina wątpiła, by wystarczyło dla nich klientów. Tymczasem, jak wynikało z adresów, istniały w jej mieście ulice, na których kluby, agencje towarzyskie i zwyczajne burdele sąsiadowały jeden z drugim. Całe dzielnice

specjalizowały się w oferowaniu ludzkiego towaru w każdym wieku, płci i gatunku - i wszystkie gwarantowały spełnienie marzeń.

Na stronach zarezerwowanych dla komercyjnego seksu Paulina zatrzymała się pewnego dnia na ogłoszeniach reklamujących erotyczny masaż. Całe ciało, każdy jego centymetr - czytała. Poczuj dotyk, poczuj własne ciało, zamknij oczy, a ogarnie cię błogosławione ciepło. Przerazona użyciem słowa „błogosławione” Paulina wbiła wzrok w ogłoszenie opatrzone zdjęciem półnagiej kobiety i półnagiego mężczyzny, zgodnie ugniatających ciało kobiety o rozanielonych oczach. „Och - wymknęło się Paulinie, która złapała się w pułapkę. - Sama powiedziałam - rozanielone”.

- To wcale też nie musiał być ktoś tak piękny jak Darek - wyjaśniła Oli Paulina.

Zadzwoiła do agencji towarzyskiej reklamującej w gazecie pełną paletę usług. Zapytała o masaż, opuszczając słowo „erotyczny”. Była bardzo zdenerwowana, serce biło jej niebezpiecznie i nie spuszczała wzroku z zamkniętych drzwi swego pokoju, jakby akurat tego dnia ktoś mógł wtargnąć doń bez pukania. Udając swobodę, zgłosiła zainteresowanie i ktoś z drugiej strony kabla zaczął ustalać z nią reguły. Była to niedziwiąca się niczemu kobieta, cierpliwa jak żaden z urzędników opłacanych za załatwianie spraw, grzeczna. Paulina, przygotowana na trzaśnięcie słuchawką, rozprężyła się przy niej powoli.

- Jest mi obojętne, czy to będzie kobieta, czy mężczyzna - powiedziała na koniec ostrożnie. - W końcu nie chodzi mi właściwie o erotyzm...

Pracownica agencji, czy może burdelu, odpowiedziała taktownym milczeniem.

- Jeśli to dobrze rozumiem - dodała Paulina z wahaniem.

- Mam dla pani propozycję - powiedziała rozmówczyni. - Rozumiem, że nie chce pani przyjść do nas osobiście?

- Wolałabym nie.

- Oczywiście. Oprócz wszystkich usług na miejscu nasi ludzie odwiedzają także klientów w domach. I teraz zrobimy po prostu tak, że zostawimy wybór pani. Proszę podać mi swój numer telefonu, na który wieczorem zadzwonią dwie lub trzy osoby i wybierze sobie pani kogoś. Czy takie rozwiązanie pani odpowiada?

- Ale - spłoszyła się Paulina - raczej chodzi o to, czy ktoś będzie chciał przyjść do mnie. Ja mówiłam, że jestem starszą kobietą.

- Oczywiście! Jesteśmy dla wszystkich. Postaramy się zaproponować pani kogoś naprawdę miłego.

- I miałabym dać pani swój numer telefonu... Czy to ja nie mogłabym zadzwonić?

- Niestety nie... Proszę mi wybaczyć, ale na tym polega nasze pośrednictwo.

- I naprawdę ktoś do mnie zadzwoni?

- Z całą pewnością. To będzie dla nas przyjemność.

Na twarzy Pauliny zagościł uśmiech ulgi, gdy kończąca rozmowę pracownica agencji grzecznie zapytała.

- Czy zna pani nasze stawki?

Paulina Witt długo nie rozumiała, czemu Darek zechciał poświęcać swój cenny czas akurat dla niej. Później stało się dla niej jasne, że na początku ich kontaktów zapewne zbytnio się nad tym nie zastanawiał, potrzebując pieniędzy i chcąc zarobić dużo w możliwie krótkim czasie. Wymyśliła więc sobie, że masowanie było może lżejszą formą tej specyficznej pracy, skoro - jak sam mówił - zwykle zaspokajał bardziej skomplikowane wymagania. Domyślała się, że korzystające z usług jego i kolegów klientki rzadko były ładne, co Darek potwierdził, nazywając procedurę generowania rozkoszy u

obcych kobiet ciężką, daleką od przyjemności pracą. Powiedział też kiedyś, że w przeciwieństwie do Pauliny inne klientki nie przejawiają jakichś szczególnych zahamowań. Płacą i wymagają, nie krygując się przed nim, świadczącym usługi.

- Pani ma ładne ciało, pani Paulino - powiedział raz Darek. - Niepotrzebnie się pani krępuje.

- Jest pan tylko grzeczny, Darku - odpowiedziała, zaczerwieniona ze skrepowania.

„To w gruncie rzeczy upokarzające” - wyznała mu kiedyś, wypowiadając słowa, które dusiły ją od dawna, już od chwili, w której pomysł kupienia sobie ludzkiego dotyku narodził się w jej umyśle. Walczyło w niej całe poczucie nauczonej przyzwoitości oraz coś, co mylnie nazywała godnością. A jednak Paulina miała świadomość, że usycha powoli, kuli się w sobie jak mumia. Ostatnie tchnienie instynktu podsunęło jej ten szalony pomysł o zwyczajnych prawach natury jak ostatnią szansę przetrwania. To nie lekarstwa, zdrowe jedzenie, świeże powietrze oraz doskonała i doskonale obca fachowa opieka mogły utrzymać ją przy życiu. Paulina potrzebowała ciepła drugiego człowieka.

- Dlaczego upokarzające, pani Paulino? - zapytał Darek bez zdziwienia, lecz z ciekawością.

Zawsze ją tym wzruszał. Nie wiedziała dokładnie, czemu to przypisać - obcemu akcentowi, który sprawiał, że pytania brzmiały w jego ustach inaczej, jego dobremu wychowaniu czy może wysokiej profesjonalności w dziedzinie szeroko pojętych kontaktów międzyludzkich. Jednak zawsze odnosiła wrażenie, że pytając ją o coś, Darek rzeczywiście ciekawy jest odpowiedzi. Nie jakiejś tam, nie słów ułożonych w konstrukcję zakończoną kropką. Paulina, nie chcąc dowierzać sobie do końca, znajdowała u niego zainteresowanie dla siebie i swoich słów, ponieważ Darek słuchał jej prawdziwie, jak

nikt inny z ludzi, którzy z jakiejś przyczyny wdawali się z nią w czynność nazywaną rozmową.

- To kupowanie sobie dotyku... ciepła, jakby było produktem wytwarzanym przez elektrownię... To powinno działać się samo. Po co w końcu ludzie są razem...

- Aby nie byli samotni.

- Tak... Każdy to inaczej rozumie. Jeden rozmawia, drugi czuje obecność. A ja długo nie rozumiałam, jak bardzo uzależniona jestem od dotyku - wyznała niechętnie.

Działo się to w czasie, gdy Darek masował zaledwie kostki u jej stóp, a cała reszta jej ciała schowana była pod grubym materiałem. Dopiero się poznawali, chociaż ona, nie wiedząc niemal nic o nim samym, czuła już w jego dłoniach siłę ratującą życie.

\*

- Przychodził do niej przez wiele miesięcy. Nawet kiedyś widziałem ich razem tu, na cmentarzu. Pewnie przyszli odwiedzić kogoś z tych, którzy zmarli w domu starców - powiedział Knut.

- Jednego z tych wesołych staruszków, którzy ich szpiegowali? - zapytała Karina przekornie.

- Może... A może kogoś z przyjaciół? Albo przyszli po prostu na spacer, tak jak ty przychodzisz tu z Beksem.

Karina rozejrzała się wokół zakłopotana.

- Wiesz, to, że dom starców wybudowano tak blisko cmentarza, uważam za cholerny nietakt. Zastanawiam się, czy chodziło o to, by pensjonariusze mogli oswoić się z myślą o przyszłym miejscu pobytu, czy o to, aby w tamach oszczędności nie wozić ich po śmierci zbyt daleko.

Knut spojrział na nią zaniepokojony. Przecież lubiła cmentarze. I zawsze zgadzali się co do tego, że cmentarz to piękne miejsce na spacer dla wszystkich, młodych czy starych, a Karina śmiała się, że nawet Beks podziela tę opinię.



Mówiła też, że i bez psa prędzej czy później zaczęłaby tu przychodzić.

- To chyba był przypadek - powiedział.

- Urbanistyczny przypadek? Chyba żartujesz! - syknęła impulsywnie. - Ktoś sobie zgrabnie wymyślił taki miejski trójkąt bermudzki: dom starców...

- Rezydencję Seniora.

- Dom starców, kościół i cmentarz. To wredne - stwierdziła Karina z przekonaniem. - Taka „rezydencja” powinna znajdować się blisko centrum handlowego z wielką liczbą małych knajpek, w tym koniecznie cukierni i lodziarni, gabinetu odnowy biologicznej i kina, a z terenów zielonych blisko powinien być tylko wielki park z placami zabaw obleganymi przez dzieci. I powinna być w nich masa psów, gołębi i kaczek do karmienia.

- Nie należy karmić kaczek i gołębi - napomniał ją.

- Bzdura - zaoponowała. - Przecież to czysta przyjemność dla obu stron. Dziecko, które nigdy nie karmiło z babcią kaczuszek w parku, rośnie upośledzone.

Roześmiał się głośno. - Ty na pewno uwielbiałaś to jako mała dziewczynka. - Pewnie - skłamała z pewną siebie miną. - A jaka była twoja babcia?

- Super - skłamała po raz drugi.

Chociaż odpowiedziała zwyczajnym głosem, wyczuł w niej jakiś fałsz. Szli chwilę w milczeniu, mijając pojedynczych ludzi na głównej alei.

- Wiesz, że są miasta, w których nie wpuszcza się psów na cmentarze? - zagadnął.

- Domyślam się, że pełno jest głupio wymyślonych miejsc na tym świecie. Szczególnie w tym kraju - prychnęła.

- I co zabawniejsze, a wiem to z własnego doświadczenia, to nie ludzie, którzy tu przychodzą, tego żądali.

- A kto?

Knut pochylił się, by podnieść gałązkę psującą czystą płaszczyznę zwirowanej alei. Rozejrzał się w poszukiwaniu najbliższego kosza, jednak rozmyśliwszy się, podał gałąź Beksowi. Zachwycony pies ruszył dalej ze sterczącą gałązką w pysku, jakby niósł flagę narodowej reprezentacji piłki nożnej.

- Zarząd miejski, zarząd cmentarza, kościół... Nie chodzi zresztą o brudzenie...

- Pewnie - przerwała Karina niecierpliwie - skoro nawet ja sprzątam kupy Beksa? Co dopiero jakieś porządne wdowy, odwiedzające grób świętej pamięci małżonka. Wielki mi problem wrzucić psie gówno do worka!

- Masz rację, wszyscy wiedzą, że sprzątanie raczej dobrze funkcjonuje. Jednak wielu uważa, że wprowadzanie psów zakłóca spokój.

- Umarłym?

- No... też. I tym, którzy przychodzą się za nich pomodlić. Podobno jest to brak szacunku.

Karina wydeła pogardliwie wargi.

- Kiedy spotkam chociaż jednego księdza, który będzie miał w sobie cokolwiek ze świętego Franciszka, dam słowo, że znowu zacznę chodzić do kościoła.

Knut zaczekał chwilę przed zadaniem następnego pytania. Kiedy to zrobił, był ostrożny i niepewny, czy jej nie urazi.

- Nigdy nie chodzisz do kościoła?

- Nie. A ty? - rzuciła pytaniem w odpowiedzi, jakby odrzucała granat, i natychmiast zajęła się wyrywaniem gałązki z pyska swojego psa tak hałaśliwie, że Knut, nawet gdyby chciał, nie mógłby jej odpowiedzieć.

\*

Szli przez cmentarz pomalutku, kroczył za kroczeniem Pauliny, drobiącej cicho przy Darku, wyższym od niej o dwie głowy. Musiała unieść rękę, by ucześcić się jego muskularnego

ramienia, które i tak opuścił dla niej jak najniżej. Był bardzo cierpliwy i uśmiechnięty szedł jak ona wolniutko, wcale nie sprawiając wrażenia kogoś, kto się spieszy. Jak ona wdychał chłodną jeszcze wiosnę szeroko rozwartymi nozdrzami, z ochotą zapominając o kolejnych terminach dyktowanych specyficzną pracą, z założenia daleką od zajęć na wolnym powietrzu.

Paulina czuła jego dotyk całą połówą ciała, ręką schowaną między rękaw i bok jego grubej wełnianej kurtki. Oboje nosili rękawiczki, ona z przyzwyczajenia trzymała w wolnej ręce małą, niemodną torebkę.

- Po co wzięła pani torebkę, pani Paulino? Przecież nie musi pani nic nosić! - roześmiał się przyjaźnie, kiedy zakładała ją na ramię.

- Stary nawyk, Darku - odpowiedziała i dodała żartem: - Dama zawsze ma przy sobie chusteczkę, perfumy i krople na ból głowy.

- Poważnie? - Zamarł w udawanym zdziwieniu. - A telefon komórkowy i gaz obezwładniający?

- A co to jest? - zapytała kokieteryjnie Paulina, choć z artykułów w prasie świetnie знаła zawartość torebki współczesnej kobiety.

- Pani jest naprawdę damą - powiedział, nachylając się nad nią z ciepłym uśmiechem. - Prawdziwą, wspaniałą damą.

Pochylił się jeszcze głębiej i lekko ucałował jej małą dłoń w rękawicze.

- Na wymarcu - uzupełniła, by pokryć wzruszenie.

- Nie! - zaprotestował stanowczo, uwodzicielsko zaglądając jej w oczy. - Pani Paulino, świat pani potrzebuje.

Wiele krzewów i pojedyncze drzewa już kwitły. Wczesnym przedpołudniem cmentarz był prawie pusty; pojedynczy ludzie, z reguły niepracujący emeryci, porządkowali groby swoich zmarłych. Paulina przystanąła na

chwilę, przyglądając się młodej kobiecie przesadzającej z doniczek świeżo rozkwitłe prymulki w ziemię jednego z grobów. Zajęta pracą kobieta spoglądała co chwilę w kierunku ustawionego tuż obok dziecięcego wózka, w którym spało niemowlę. Do kół wózka przywiązany był smyczą mały pudel; leżał spokojnie, jakby pilnował tego snu. Tylko jego ogon poruszał się przyjaźnie, kiedy sadząca kwiaty odwracała się w jego stronę. Widać było, że pobawiłby się chętnie, jak ona z radością pogrzebał w ziemi, jednak nie próbował, ceniąc swą psią odpowiedzialność.

- Ten pies chyba nie należał do zmarłego ani do zmarłej - powiedziała Paulina. - Nie byłby taki wesoły.

- Miała pani psa, pani Paulino? - spytał Darek.

- Dawno temu... Bardzo dawno. Kiedy zdechł, mój mąż pochował go w ogrodzie. Zawsze nam go potem brakowało.

Darek jak zwykle prezentował się doskonale - urodziwy, świetnie ubrany i ostrzyżony - a jednak to mała postać starszej damy uwieszanej jego ramienia przydawała mu tego dnia wdzięku mężczyzny opiekuńczego i godnego zaufania. Wiosenne słońce przekornie igrało w jego czarnych włosach, kiedy pracująca na kolanach kobieta po raz kolejny obejrzała się w stronę dziecięcego wózka, dostrzegając przy tym przechodzącą parę. Na widok Darka zastygła, zawstydzona się rąk uwalanych ziemią i włosów, które opadły jej na czoło.

Darek uklonił się jej uprzejmie, a Paulina powiedziała „dzień dobry”, ogarnięta ciepłą, macierzyńską dumą.

- Nie wiem, czy to dobrze, że ludzie wprowadzają psy na cmentarze - rzekł Darek, kiedy szli dalej aleją.

- Oczywiście, że dobrze, Darku! Psy to życie, tak jak wszystkie inne zwierzęta i ptaki! Jak małe dzieci. Niech pan pomyśli, ilu z pochowanych tu ludzi miało jakiegoś psa albo kota? Na pewno chcą, by te zwierzęta też ich odwiedzały... Wie pan, każde dziecko pragnie mieć psa. Wielu rodziców się

nie godzi, obawiając się kłopotów, bo w tak zwanym dorosłym życiu tyle spraw ma się na głowie, nie ma czasu dla zwierząt, które oznaczają kłopoty, zwłaszcza w porze urlopów. Jednak kiedy człowiek się starzeje, znowu zaczyna marzyć o psie... Jak w dzieciństwie. A kto powinien odwiedzać zmarłego, jeśli nie jego prawdziwi przyjaciele?

- Ale psy mogą brudzić... - powiedział Darek bez przekonania.

- Niech brudzą... Gdyby to ode mnie zależało, chciałabym zostać pochowana w parku niedaleko placu zabaw albo w zoo, nawet przy bocznej alei. Wołałabym po stokroć niezaplanowane wizyty obcych, wesołych ludzi, psy wskakujące na mój grób, i dzieci, które może uśmiechnęłyby się do mojego zdjęcia. Wszystko to cieszyłoby mnie bardziej od porządkowania mojego grobu raz do roku na Święto Zmarłych.

Choć Paulina dzielnie walczyła z własnym głosem, jego żartobliwość uleciała gdzieś po drodze. Zaniepokojony Darek łagodnie przycisnął kruchą dłoń ukrytą pod jego ramieniem.

- Pani jest damą, pani Paulino, i nie wypada pani zamieszkać w zoo. Te wszystkie zapachy i krzyki małp! Słyszała pani kiedyś, jak one potrafią się kłócić? Nie miałyby pani spokoju.

- Ależ ja nie szukam spokoju...

- Poza tym - Darek zatrzymał się na ścieżce - mówiłem już, że będzie pani żyła sto lat. I jeśli nie zmieni pani zdania, na setne urodziny kupię pani małpę!

Kiedy odprowadził ją do domu starców i chciała zapłacić mu za czas, zamiast zwyczajowego masażu spędzony na spacerze, odmówił stanowczo.

- To był bardzo piękny spacer, pani Paulino, sprawił mi dużą przyjemność i polecam się na przyszłość. Następnym

razem możemy pójść do parku albo do zoo. Naprawdę szkoda, że czegoś takiego nie ma tu w pobliżu.

\*

Karina patrzyła w stronę cmentarnej bramy, jakby lada chwila miał pojawić się w niej zabójczo przystojny Darek nieznanego nazwiska, wysoki brunet, jako obcokrajowiec zapewne nielegalnie zatrudniony w jednym z miejskich burdeli.

- Cóż za romantyczna historia - powiedziała sucho, choć jej głos i tym razem zdradzał starannie ukrywane wzruszenie.

- Owszem - zgodził się Knut.

- Jednak cmentarz generalnie jest miejscem o dużym nasileniu romantycznych historii.

- Owszem - powtórzył Knut z pewnym zadowoleniem, jakby i on miał w tym swoją zasługę.

- Zawsze opowiadasz mi tylko romantyczne albo przynajmniej bardzo niezwykle historyjki o ludziach.

- No tak... - zawahał się - ale przecież tylko takie są interesujące.

- Czy ty aby ich nie zmyślasz? - spytała, odwracając się do niego gwałtownie.

Przechyliła głowę na ramię i wpatrywała się w niego z napięciem, którego, nawet jeśli było udane, Knut i tak nie potrafiłby odróżnić od prawdziwego. Karina zmrużyła oczy i wtedy dostrzegł grudki tuszu w kącikach jej oczu. Przyszło mu do głowy, że może płakała, co jednak nie było do niej podobne, więc zrzucił odpowiedzialność na wiatr, przez który i jemu często czerwieniły się oczy.

- Nie wymyślam żadnych historii, naturalnie, że nie - zapewnił solennie.

- Więc dlaczego nie opowiadasz mi o zwykłych matkach dzieci, ojczach sączących po pracy zasłużoną szklanekę piwa, o

wujkach i ciociach? Czemu nie pojawiają się u ciebie ludzie zwyczajni i banalni? Nie ma takich na twoim cmentarzu?

- Oczywiście, że są. Większość.

- Uważasz, że nie są dostatecznie ważni, by o nich opowiadać? - spytała bez zwykłej zadziorności.

Knut zastanowił się chwilę. Naturalnie starał się wybierać dla niej opowieści barwne i ciekawe. Oczywiście, że często koloryzował. Czasami nie wiedział sam, który z elementów historii jest prawdziwy, a który powstał w jego głowie podczas długich godzin spędzanych w szklanej budce lub na przechadzce alejkami cmentarza. Gdyby musiał się przyznać, niechętnie i w ostateczności, zapewne nie potrafiłby oddzielić zasłyszanych od poznanych żałobników opowieści od tego, co sam sobie dopowiedział. Nie potrafiłby określić, z jak wielu źródeł czerpał, z ilu niedopowiedzianych zdań składał swoje historie, ile obrazów domalował sobie z sylwetek mężczyzn i kobiet przechodzących przez cmentarną bramę i znikających gdzieś między grobami...

Wolno dobierając słowa, powiedział:

- Jedna wdowa zostawiła kiedyś książkę na ławeczce i odebrała ją dopiero po tygodniu... To była jakaś trudna rzecz, o umieraniu, o życiu. Przeglądałem ją i znalazłem takie zdanie: „Każdy człowiek jest osobnym wszechświatem”. Myślę, że naprawdę tak jest.

- No i? - zainteresowała się Karina.

- Jednak wydaje mi się, że każdy jest wszechświatem przede wszystkim dla siebie. Dla tych, którzy obserwują go z boku, nie zawsze musi być ciekawy.

- I uważasz to za cholernie niesprawiedliwe, co?

- Nie, chyba nie... - Uśmiechnął się do niej nieśmiało. - Wiesz, przecież mógłbym ci opowiadać po kolei o każdym z tych grobów, tylko jak długo chciałabyś tego słuchać?

- Sama nie wiem! - Roześmiała się głośno.

Cisza zapadła między nimi. Karina sprawiała wrażenie spokojnej i jej twarz mimo rozmazanego tuszu rozpogodziła się ostrożnie. Knut obserwował ją jak zawsze ukradkiem, zerkając na nią tylko w momentach, w których była czymś zajęta. Wiedział od dawna - choć nigdy niczego podobnego nie powiedziała - że nie lubi patrzenia w twarz, mierzenia się wzrokiem, wzajemnego badania się przyglądaniem. Mimo to Knut nigdy nie połączyłby tej cechy z powszechną opinią o nieszczerości ludzi niepatrzących w oczy. Dla niego unikająca każdego dłuższego spojrzenia Karina była chodzącą szczerością.

Zaczął rozglądać się wokół, chcąc trafić na ślad zwyczajnego człowieka, opatrzonego imieniem i nazwiskiem na grobie dokumentującym początek i koniec życia, które było proste i przeciętnie szczęśliwe, oparte na równych dawkach rzeczy dobrych i mniej dobrych. Zapragnął znaleźć dla Kariny kogoś, kto odszedł ze świata w sposób niewywołujący zamieszania.

- Mogę ci opowiedzieć o kimś, kto był całkiem zwyczajny - zaczął ostrożnie, choć nikt konkretny nie przyszedł mu jeszcze do głowy.

- Tak? - rzuciła, zapewne wcale go nie słuchając.

- Jeśli tylko chcesz, znam przecież prawie wszystkich tutaj. Zatrzymała się na ścieżce i jeszcze raz obejrzała na bramę.

- Późno się robi - powiedziała. - Chyba nie zdążysz. Ale powiedz, czy właściwie skończyłeś już opowieść o Paulinie Witt? Zmarszczył brwi.

- Mówiłem ci, w jaki sposób umarła. W tym domu starców. Nic prócz tego, co ci mówiłem, już się nie wydarzyło. Syn Pauliny chciał pozbyć się Darka, ale pielęgniarzka jakoś temu zaradziła.

- Jak?



- Nie wiem dokładnie. Ci ze szpitala podkreślali głównie to, że kiedy była zdenerwowana, mówiła z jeszcze gorszym akcentem niż zwykle, a jej zdania były strasznie niegramatyczne.

Karina spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Co to ma do rzeczy?

- To, że syn Pauliny był bardzo upokorzony tym, że usłuchali nie jego, lecz niegramatycznie mówiącej pielęgniarki.

- Ale o czym ona mówiła? - zniecierpliwiła się Karina.

- O różnych rzeczach. Że zna starych ludzi i wie, jak bardzo potrzebują przytulenia. Wie, dlaczego proszą o nacieranie maściami i rozmasowanie karku, który aż tak znowu nie boli... Ola prawie wykrzyczała im...

- ... niegramatycznie...

- ... niegramatycznie, że umierającym nie wystarcza przysłowiowe trzymanie za rękę. Wielu z nich umarło w jej ramionach albo z głową na jej kolanach. Czuwała przy takich, których już nikt nie odwiedzał.

Karina milczała przez chwilę. Złączyła dłonie i rozcierała je chwilę, jakby było jej zimno. W końcu powiedziała, ponownie uderzając w pogodny, półironiczny ton:

- A ten Darek przychodził do końca.

- Tak, z tego co wiem, do ostatniego dnia. - A teraz przychodzi na cmentarz.

- Tak.

- Nie wrócił do siebie, by ożenić się ze swoją narzeczoną?

- Na razie chyba nie.

- A więc nadal pracuje w burdelu.

\*

Nadszedł czas, w którym Paulina Witt przestała podnosić się z łóżka. Czuła się coraz gorzej, poszczególne organy jej zmęczonego ciała zaczęły buntować się przeciw pracy po

godzinach, jeden po drugim przypominając, że zrobiły już swoje i wołałyby odpocząć.

- Głupie serce - mówiła Paulina do Oli, a ta, choć przyzwyczajona do czarnego humoru niektórych pensjonariuszy, wzdrygała się z nieokreślonego strachu. - Ono myśli sobie, że odpocznie, jeśli nie będę nic robiła, myśli, że sobie pośpi. Mogłabym mówić mu i mówić, jemu, tym głupim nerkom, nie licząc już mięśni albo - broń Boże - mózgu, że nic nie zyskają na mojej bezczynności. Nie pośpią sobie, kiedy przestanę ich używać. Umrą, tak jak ja. Będągniły, będą jedzone przez robaki.

W głosie Pauliny pojawiały się sadystyczne nuty, jakby chciała mścić się za swe uwięzienie w niesprawnym ciele, jakby straszaniem i skomplikowaną negatywną motywacją mogła sprawić, że serce, nogi i ramiona otrząsną się z letargu i jeszcze poniosą ją daleko - na spacer po parku, przechadzkę po cmentarzu, na balkon albo choćby do sali telewizyjnej.

- Nie mówię już nic o głowie, Olu. Katastrofa. Zapominam tyle rzeczy i wstydzę się tego tak bardzo... Mylą mi się dni, czasami, kiedy budzę się z drzemki, potrzebuję wiele czasu, by przypomnieć sobie, czy jest dzień, czy noc.

Paulina często była senna w ciągu dnia, czasami zasypiała na krótko i budziła się niespokojna, z lękiem rozglądając się po pokoju. Ola przysięgała, że nikt w domu nie podaje środków nasennych bez zgody pensjonariusza, mimo to Paulina okazywała coraz większą podejrzliwość i obawiała się dziennego zasypiania. Mimo to z tygodnia na tydzień spała za dnia coraz dłużej.

- Głupia ta głowa. I ona zgnije, za karę. Co z tego, że czaszka przetrzyma dłużej? Może i ktoś ją wykopie, może będzie się na niej uczył anatomii albo recytował jej Szekspira, ale co z tego? Zgnije.

Ola, przesądna Ola, poprawiała z z troskaniem kołdrę i modliła się w duchu o to, by w drzwiach pokoju w końcu pojawił się Darek. Oraz by nie spotkał się w tych drzwiach z synem Pauliny, postarzałym ostatnio i jeszcze bardziej niesympatycznym.

- Te wszystkie głupie części mojego ciała, całe moje głupie stare ciało myśli, że jest takie okropnie ważne. Tak, tak, Olu. Epos ciała to bzdura, człowiek nie jest ciałem. I to ono zgnije, za karę, że nie chciało nadażyć za duchem. Że nie poszło ze mną na spacer, że od dawna nie jeździ na rowerze. Ja sama nie będę już o tym wiedzieć. Polecę, odpłynę. Będę wolna, nic nie będzie mnie bolało, nie będę nic czuła...

Aż w końcu przychodził Darek, jak wymodlony przez Olę i wyblągany przez Paulinę, zagadującą własne myśli w tym czekaniu na niego, perorującą i przemawiającą do rozumu swemu sercu, jakby posiadało jakiś oddzielny, własny rozum i zawstydzającą mięśnie, jakby mogły ją słyszeć i, zmotywowane, ruszyć jeszcze do tańca.

I za każdym razem było tak, że od chwili wejścia Darka do pokoju Pauliny to jej duch stawał się elementem drugoplanowym i prawie niepotrzebnym. Umysł, i tak płatający jej figle, lądował na drugim planie i to właśnie jemu Paulina najchętniej pozwoliłaby zgnieć. Natomiast wielką radość, wdzięczność i bolesną prośbę o trwanie kierowała wyłącznie do swojej skóry, do wszystkich drobnych kości i zanikających włókienek ciała, do tej całej jak lodowiec zmniejszającej się oazy przyjemności ostatecznych i wielkich. Ciało i dotyk były ważniejsze nad wszelkie zalety trzeźwego umysłu.

Jednak Paulina przegrywała nierówną walkę i kończył się jej czas. Ciało, dotychczas zatrzymywane dotykiem obcych dłoni, zamykało się przed nimi stopniowo, cofało się jak zwierzę do jamy na ostatni zimowy sen. Z dnia na dzień mniej

zdolne do ruchu pozostawało w pościeli, mimo prań i wietrzenia coraz mocniej przesiąkniętej oddechem starości i niemocy. Paulina nie odważała się już na nagość, kiedy coraz częściej wchodzili, choć pukając, różni ludzie do jej sypialni. Coś przynosili albo zabierali, a nagość nie pasowała do kobiety, która nawet nie mogła już samodzielnie przewrócić się na plecy.

Darek próbował masowania przez koszulę, jednak materiał, choć cieńszy po stokroć od dresów z początku ich znajomości, palił Paulinę jak zdradziecka szata czarownicy przywiązanej do stosu. Trwało to jakiś czas, ratowany dotykiem karku, pleców, ramion i ud. Jeszcze udawało się Paulinie ulatywać wysoko i zapominać o bólu. Dotyk ciągle jeszcze chronił ją od umierania, reanimując ciało zastrzykami ciepła.

Potem zdarzyło się raz, powtórzyło, zdarzyło się kilka razy z rzędu, że zapomniała o swej niemożności wstania z łóżka, nie zdażyła obudzić się ze snu, nie zdołała zawołać, nie sięgnęła na czas po ustawione nieopodal naczynie. Całą niespokojną, przeplataną snem i jawą noc przeplakała z upokorzenia, kiedy założono jej grubą papierowo - foliową uprząż na biodra. Zrozumiała, że to nieodwołalne, gorsze od leżenia w łóżku, z którego jeszcze ktoś mógł ją podnieść, przenieść gdzie indziej, posadzić, wytoczyć na kółkach do ogrodu. Jednak ta... pielucha była czymś ostatecznym, początkiem upokarzającego końca. Odtąd Paulina nigdy już nie pozwoliła Darkowi odchylić kołdry i dotknąć tułowia. A jako że znajdowały się tam jej wszystkie, jak sama mówiła, ważne organy, los Pauliny został przesądzony. Pozbawione ciepła, zaczęły umierać po kolei żołądek, nerki, płuca oraz, niechętnie i powoli, także jej nazywane głupim, ciągle walczące i dzielne serce.

W miejscach dotykanych przez Darka życie Pauliny jeszcze trwało, zatrzymane jak wysychająca rzeka, która opuściwszy główne łóżysko, nie poddaje się jednak, zamieniona w strumień chowa w zakamarkach rozlewiska ostatnie krople wody. Życie tkwiło jeszcze w głowie Pauliny, w jej miękkich siwych włosach, pulsowało łagodnie między czołem wygładzającym się pergaminowo i cienką drgającą szyją. Powieki zamykały się wciąż i otwierały na rozkaz, choć nie zawsze natychmiast, czasami opacznie, jednak pod kontrolą. Paulina mówiąca coraz mniej i coraz mniej wyraźnie, Paulina mieszająca czas i osoby wybierała jeszcze obrazy dla oczu. Patrzyła i dziękowała wzrokiem, prosiła i była wdzięczna, przeczyła, odmawiała, wyrażała zgodę. Kiedy dostrzegła pęk swych bezbronych siwych włosów w dłoni Darka, oczami zakazała mu głaskania. W upokorzeniu odtrąciła ostatni życiodajny dotyk i Darek usłuchał jej, tak jak zawsze spełniał jej życzenia. Po kilku dniach ona obumarała w patrzeniu i słuchaniu. Lekarz, pielęgniarki i przybyły nadprogramowo syn stwierdzili, że umarł jej mózg.

Jednak Darek nie uwierzył im i pozostał przy niej jako ostatni. Kiedy umierała prawdziwie, długo, przez wiele dni, jakby czuła jeszcze jego dotyk i nie chciała się z nim rozstać, masował jej bezwładne dłonie - kosteczka po kosteczce, centymetr po centymetrze skóry. Robił to powoli i z namaszczeniem, kiedy ona, krok za kroczkiem, jakby znowu razem szli cmentarną alejką, odchodziła od niego pomalutku. Na koniec zaczęła unosić się ku górze, coraz swobodniej i z narastającą ulgą, ulatując jak kiedyś w jego rękach ku niebu i wtulając się w chmury, by z radością przyjęły ją całą.

Grób numer 1649

KYLIA

- Masz do wyboru dwie, jak ty to nazywasz, historyjki - powiedział Knut, kiedy zapytała go o program na popołudnie.

- Jedną taką, jakiej chciałaś, czyli o całkiem zwyczajnym mężczyźnie, ojcu trójki dzieci, pracującym w porządnej firmie na półtora etatu. Miał kochającą żonę i grono przyjaciół.

- Jak zmarł? - spytała Karina. - Miał raka płuc.

- A druga historyjka? - O samobójczyni. - Jakiejś szczególnej?

- Nie, o zwyczajnej samobójczyni.

- Jak miała na imię?

- Kylia. Jej grób jest trochę z boku.

- Pod płotem? - zapytała Karina ciekawie.

- Nie. - Uśmiechnął się. - Nie jest aż tak źle. Na jej pogrzebie nie było wprawdzie katolickiego księdza, ale poza tym wszystko przebiegało prawie normalnie...

- Normalnie, jak na pogrzebie normalnej samobójczyni?

- Właśnie tak.

\*

Była zwykła środa, jak sama nazwa wskazuje, środkowy dzień tygodnia, gdzieś w środku miesiąca, w lecie, w środku roku. Wszystkie drzewa były już zielone, przyzwyczajone do pory roku i do zwykłego dla niej ciepła, dawno osypane z kolorów, w które ustroiły się wcześniej, na święto wychodzenia z zimy. Tworzyły teraz ciasne, jednokolorowe ściany wzdłuż dróg, spokojnie rosły i potężniały, nie zaskakując już nikogo.

Kylia prowadziła samochód ze średnią prędkością po autostradzie, która zdążyła już opróżnić się z porannego tłoku pojazdów ludzi spieszących do codziennej pracy. Było około dziewiątej, panowała przyjemna temperatura i nie zapowiadało się na więcej w ciągu dnia, który najwyraźniej

chciał pozostać dość szary. Chmury przykryły słońce niegroźną zasłoną jednolitego materiału, a Kylią była im za to wdzięczna, ponieważ samochód, którym jechała, nie miał klimatyzacji. Jej własny pojazd stał w warsztacie, a ten, którym poruszała się po autostradzie, należał do przyjaciółki. Pochodził z czasów, w których nikt nawet nie marzył o klimatyzacji w autach powszechnego użytku, natomiast o poduszce powietrznej wspomniano tylko w telewizyjnych programach motoryzacyjnych jako ciekawostce. Przyjaciółka Kylii, Eda, była jednak głęboko przywiązana do swego samochodu, kochała go za ekstrawagancką linię krążownika szos, za zmatowiałą, dekadencją czernią, za prawdziwe niklowane zderzaki, które rzadko polerowała, oraz za moc silnika, bez problemu - choć z wielkim hałasem - osiągającego ponad sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Samochód pasował do przyjaciółki, która sama była osobą ekstrawagancką, nie pasował jednak do Kylii, z pewnym zażenowaniem odbierającej zdziwione spojrzenia innych użytkowników drogi, na szczęście niezbyt licznych o tej porze dnia.

Nie nabrawszy jeszcze pełnego zaufania do pojazdu innego niż jej własny, Kylią nie opuszczała prawego pasa, nie spiesząc się jednak, zadowolona z dnia, w całości zarezerwowanego dla siebie. Nie musiała wracać do domu, by w porę przygotować obiad, nie musiała też spożywać go z synem po jego powrocie ze szkoły. Nie czekało na nią poobiednie zmywanie, popołudniowe podlewanie kwiatów, prasowanie, odkurzanie, przedkolacyjne nakrywanie do stołu, kolacja... Było to piękne uczucie i Kylią uśmiechnęła się do niego. Zwolniła jeszcze bardziej i dłonią poszukała pokrętła radia, starego jak samochód, z czasów, gdy programy łapało się, kręcąc gałką. Po wnętrzu samochodu rozlała się jakaś muzyka, trzeszcząc niegroźnie.

Syn Kylii pojechał na tygodniową wycieczkę szkolną, ostatnią w gronie swojej przygotowującej się do matury klasy, było to przed trzema dniami, w ciągu których raz do niej zadzwonił. Mąż bezpośrednio po pracy wybierał się na konferencję kończącą się kolacją, a to zwalniało Kylię z przygotowań w kuchni. Będzie mogła zjeść obojętnie co przed telewizorem. Mąż prawdopodobnie wieczorem zadzwoni. Poza tym... Żadnych obowiązków. Nawet drobnego sprzątania czy prania, wszystko zostało wykonane przed wyjściem z domu, po zwykłej pobudce przed siódmą i podaniu mężowi śniadania.

Niewiele kilometrów musiała przejechać tego dnia, około trzydziestu pięciu, może czterdziestu, w drodze do małego miasteczka, w którym ktoś sprzedawał piękną antyczną kanapę. Kylija widziała jej zdjęcia w Internecie - z przodu, z tyłu, z boku. Znała kształt, kolory i cenę, której żądano. Umówiona telefonicznie, jechała pod podany adres, by osobiście sprawdzić miękkość oparcia, dotyk aksamitu, upewnić się co do gładkości polerowanych nóżek. Oraz aby powąchać mebel, który miałby stać się jej meblem.

Kylija poprawiła okulary na nosie, dostrzegłszy na swoim pasie ustawiony w poprzek policyjny samochód z migającymi światłami. Zwolniła i niechętnie zmieniła pas na lewy. Chwilę później minęła typową scenkę na autostradzie: samochód z rozbitym przodem, histerycznie gestykulującą kobietę, uspokajaną przez jednego z policjantów oraz mężczyznę na zmianę pociągającego papierosa i rozmasowującego sobie wyraźnie bolące ramię. Mężczyzna tłumaczył coś drugiemu policjantowi, który zapisywał jego słowa w notesie. Wszyscy czekali na przyjazd samochodu potrzebnego do odholowania wraka, a może też na lekarza.

Po kilku kilometrach Kylija, znów bezpieczna na prawym, wolnym pasie, rozmyślała o tym, jak zmieniły się wypadki



samochodowe w ostatnich czasach. Przed trzydziestu laty jej najbardziej kochany kuzyn zginął w swoim pierwszym samochodzie rozbitym na przydrożnym drzewie, przy prędkości niewiele większej niż czterdzieści na godzinę. Nie zapiął pasów, było ślisko... Przedtem cała rodzina, zwłaszcza młodzi, tak bardzo zazdrościła mu tego samochodu.

Teraz rzadko kto ginie w wypadkach, myśli Kyli, bo samochody biorą wszystko na siebie.

- A ja nie mam dziś ani ABS - u, ani poduszki powietrznej, ani nawet, jak znam Edę, dobrych opon. To dopiero - mówi półgłosem, w nagłej chwili przestraszu.

Jej niepokój ustępuje, kiedy autostrada wygładza się bezpiecznie.

- Ciekawe, kto kupiłby moją kanapę, gdybym to ja miała wypadek? - pyta Kyli samą siebie.

Po kilku sekundach poprawia się:

- To wcale nie jest jeszcze moja kanapa. Nawet nie wiem, czy ją polubię. Albo czy podobałaby się Danielowi. Wprawdzie on zgadza się teraz na prawie wszystko, ale czy to jest szczerze? Powiedział, że mogę ją kupić, jeśli chcę.

Kyli ma przy sobie potrzebną sumę, poprzedniego dnia wyjęła z bankomatu gotówkę na wypadek, gdyby właściciel nie chciał przyjąć czeku. Przed samym wyjazdem próbowała przesunąć fotel z miejsca pod ścianą, gdzie wyobraziła sobie kanapę.

- Mogłam wczoraj wszystko przygotować... To nie jest jakaś bardzo ciężka kanapa. Kanapa... Raczej otomana albo kozetka. Szezlong, taki dłuższy fotel, chaise - longue. Skoro mieści się w bagażniku, nie może być ciężka...

Do bagażnika pożyczonego samochodu Kyli włożyła aż dwa grube koce mające uchronić wnętrze. Tylne siedzenia z wprawioną Edą złożyły łatwo.

- Tylko po co cały ten kłopot? Mamy tak dużo mebli. Za dużo. Te, które kupiliśmy jako potrzebne, i te, które mi się podobały. Szafki i stoliki odziedziczone... Tak długo żartowałam, że chcę odziedziczyć stół z krzesłami po teściach, że kiedy już mogłam zabrać je do domu, było mi głupio. Wcale nie umiałam się nimi cieszyć. Nie lubię ich do dziś. Zapewne Daniel ma rację, mówiąc, że kojarzę je z jego rodzicami i dlatego... Ale to nielogiczne, bo wtedy powinnam lubić te meble jako dowód na to, że teściowie rzeczywiście odeszli.

Wzdycha.

- Jeśli chodzi o mnie, teściowie mogliby żyć jeszcze sto lat albo dłużej. To nie ich wina, że Daniel jest taki. Kiedyś ludzie żyli inaczej. Nikt nie zastanawiał się nad formowaniem natury dziecka... Rzeźbieniem jego przyszłego życia....

KyLIA śmieje się głośno.

- Rzeźbieniem jego życia... Kto to powiedział? Nie wiem... Jego życia, a tym samym życia tych, z którymi żyć będzie. Nikt nie łamał sobie nad tym głowy. Chodziło raczej o zadowolenie doraźne, a i to głównie u rodziców.

Nagle zmęczenie sprawia, że KyLIA zdejmuje jedną rękę z kierownicy i opuszcza ją na kolana. Czuje się przez to niepewnie, zdaje się jej, że samochód, pomimo sporej masy, zbyt szybko tańczy na drodze.

- Daniel powinien wiedzieć, że dawno przestałam o cokolwiek oskarżać teściów. Skoro nawet jego o nic nie oskarżam... Co to w końcu ma za znaczenie.

Lekki kurcz w złożonej na kolanach ręce powoli mija, kiedy KyLIA na zmianę zgina i rozprostowuje palce. Zaciska je w pięść lub rozpina jak pająk pajęczyne.

- I skoro mój własny syn... I co mi dały wszystkie mądre książki? Specjalne przedszkole, lekcje angielskiego, fortepianu i gitary? Co to dało...

Marek, jednak, z wszystkich podsuwanych mu pomysłów polubił jedynie gitarę, a Kylią i tak nie mogła pozbyć się wrażenia, że również w tym zawarł swój niezrozumiały bunt.

Śmieszne po prostu.

Uznała, że wszystko znowu obróciło się przeciw niej - miał grać Mozarta, a szarpie struny, nie wydobywając z nich nic prócz hałasu. Fortepian okazał się niepotrzebny, angielski - całkiem kiepski, jak i inne przedmioty, w tym obowiązkowe na maturze.

- Powinam się tym martwić. Martwię się, oczywiście, ale jakoś za mało. Jestem bezduszna. Mój syn, moje jedyne dziecko... Moje dziecko ma kłopoty w szkole, o studiach nie ma co marzyć, nawet gdyby jakimś cudem zdał tę maturę. Dlaczego czuję pustkę, kiedy o tym myślę?

Kylią czuje niepohamowaną ochotę zdjęcia drugiej dłoni z kierownicy. Autostrada jest pusta.

- Powinam rozmawiać z nim więcej... Tak mówił terapeuta.

Gładzi się po policzku w zamyśleniu lewą ręką, w drugiej mimo wszystko ścisną kierownicę. Może nawet zbyt mocno, jeśli sądzić po pobieliałej miejscami skórze.

Natomiast skóra na twarzy wydaje się Kylii zbyt sucha. Sucha i obca.

- Do niczego te kremy... Taka masa pieniędzy. Idiotka ze mnie, że dałam się namówić. Eda może sobie na to pozwolić, jest od nikogo niezależna. Ale ja... Po co mi właściwie?

Na niewielkiej nierówności autostrady samochód podskakuje niegroźnie i Kylią, chociaż nie czuje strachu, na powrót kładzie drugą dłoń na kierownicy. Prostuje plecy i ramiona, jakby chciała utrzymać na dystans kierownicę.

- Terapeuta tylko na początku zachęcał mnie do rozmów z Markiem, bo już po kilku miesiącach stwierdził, że właśnie za dużo o wszystkim mówię... Tyle razy zastanawiałam się,

czego ten terapeuta dowiedział się z ust mojego syna. A przecież to my mieliśmy być kumplami, Marek i ja - najlepsi przyjaciele świata.

Czuła złość na syna, choć sama posłała go na terapię i kazała współpracować.

- Ale dlaczego nie współpracował ze mną?

Dziesiątki, setki razy słyszała od Marka, że nie chce jej słuchać. Że ma dość jej gadania. Oraz by nie mieszała go w to, co dzieje się między nią a jego ojcem.

- Daniel nie miał czasu dla nas obojga. I nie miał na nas ochoty. To jeszcze znosiłam, ale nie mogłam milczeć, widząc, że mój syn zaczął palić. Że wraca pijany... Nawet jeśli chodziło tylko o piwo lub dwa... O pięć piw. Miał piętnaście lat!

Nie wiedziała, co robić.

- Nie wiem do dziś, które z nas miało rację. Może powinnam była oszczędzić Markowi tych całych historii, może naprawdę był na to wszystko za młody. Na wiadomość o kochance ojca... Ale byłam przekonana, że przynajmniej się domyśla!

Kylii wydaje się, że horyzont ciemnieje, kiedy - według zwyczajowego porządku jej rozmyślań nad przeszłością - dociera do nieuniknionej myśli o podwójnej zdradzie.

- A potem spotkali się we trójkę. Na mieście, jedli razem lody. Wiem. Marek nigdy mi o tym nie powiedział, może chciał mnie oszczędzić. To skomplikowane... Wydaje mi się, że i on ją polubił. Już wtedy. Może także chciał się wyprowadzić. Ode mnie... Do nich. Kiedyś to zresztą powiedział, kiedy pokłóciliśmy się o te papierosy, o piwo. Że też się wyprowadzi, jak ojciec.

Płakała po tym o wiele dłużej niż z powodu Daniela, co jej samej wydawało się prawie niemożliwe, skoro przez Daniela płakała właściwie bez przerwy. Obrzydło to najpierw

Danielowi, potem Markowi. Zdecydowała więc, że nauczy się być wesoła i spokojna.

- Jak teraz. Ale dlaczego nauczyłam się tego tak późno?

Któregoś dnia łzy wyczerpały się i skończyły. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego przejścia ze stanu jednego w drugi, aż do pewnej nocy, kiedy Marek wrócił do domu tuż przed świtaniem, pijany i brudny od wymiocin. Położyła go do łóżka, zdjęła kurtkę i buty. Zgasła światło i dopiero wychodząc z jego pokoju, uświadomiła sobie, że nawet nie umyła mu twarzy, też pewnie zarzyganej... Jednak nie chciało się jej jakoś tego robić, Chciała tylko wrócić do łóżka i zasnąć.

- Nie chciało mi się wykonać półobrotu, spojrzeć na mojego siedemnastoletniego syna i umyć mu twarzy...

W łóżku Kyli zauważyła, że jej oczy są całkiem suche. Była to dla niej wielka nowość. Mijał prawie rok od chwili, odkąd ona i buntujący się Marek mieszkali sami. Żadne z nich nie akceptowało tego stanu, każde na inny sposób odmawiało przyjęcia go do wiadomości. Daniel mieszkał z tamtą kobietą.

- Wtedy jak olśnienie spadła na mnie świadomość, że bardzo się pomyliłam... Z tymi słowami o życiu i śmierci. Z tymi słowami, które powiedziałam mu na odchodne.

Tysiące razy żałowała tego, co przeszło jej przez gardło. Powiedziała: „Nie mogę bez ciebie żyć”.

- Jak to w ogóle brzmi? Kompletna bzdura.

Uznała to przede wszystkim za poniżające. Nie zmieniła opinii także teraz, po długim czasie i wielu zmianach, które tymczasem nastąpiły.

- Mówić to komuś, kto i tak gotowy do odejścia stoi w drzwiach! I to jeszcze komuś takiemu jak Daniel, który pierwszy raz w życiu zadał sobie nieprawdopodobny trud samodzielnego spakowania walizki.

Zapomniał zresztą tysiąca rzeczy, które później odbierał partiami, a ona uczepiła się myśli, że nie zabrał wszystkiego specjalnie, planując rychły powrót.

- A tamte słowa okazały się nieważne. Nieprawdziwe.

Nie umarła przecież. Żyła bez niego, wbrew przyrzeczeniu.

- Powinnam zresztą docenić komiczną stronę tej całej historii. Pst, Daniel nienawidzi słowa „historia” w odniesieniu do jego historii... Wolałby wszystko zapomnieć, a słowo „historia” nadaje wartość sprawie, potwierdza, że naprawdę się wydarzyła.

W tamtym czasie nie widziała nic komicznego w zaistniałej sytuacji, wręcz przeciwnie, traktowała ją śmiertelnie poważnie. Przestraszona Eda zaciągnęła ją do lekarza.

W samochodzie Kyli śmieje się na wspomnienie tamtych dni.

„Pani potrzebuje środków antydepresyjnych - powiedział lekarz - ponieważ biochemiczna równowaga pani mózgu została zachwiana. Tabletki nie poprawią pani sytuacji i na pewno jej nie zmienią, jednak sprawią, że zobaczy pani wszystko mniej źle”.

- Co za idiotyczne określenie. „Mniej źle”. Że też akurat ono musiało przejść do mojego słownika! - buntuje się Kyli kolejny raz.

Przedrzeźniała słowa lekarza, który być może tylko się przejęzyczył. Na początku tylko je powtarzała, doprawiając komizmem, jednak nie minęło wiele czasu, gdy zadomowiły się w jej języku.

- Mniej źle. To było w końcu niezłe określenie mojego sposobu życia.

Minęła kierunkowskaz na miejscowość z największym wzniesieniem w okolicy. Z punktem widokowym, przy

którym ludzie zatrzymywali się, by fotografować zakręt rzeki i jej malownicze rozlewisko.

- Nauczyłam się doskonale żyć. Z pomocą Edy i tych tabletek od doktora... Jakoś radziłam sobie z Markiem. I z całą tą grą w odzyskiwanie jego ojca. Eda nazwała to terapią zajęciową.

KyLIA podjęła nierówną walkę o nieobecnego mężczyznę przeciw innej, młodszej kobiecie. I chociaż wszyscy twierdzili, że jest bez szans i sama rozumiała to w nielicznych chwilach racjonalnej analizy, zajęciu temu poświęciła się bez reszty.

- Zajmowałam tym swój mózg i czas. Niesamowite. Punkt widokowy znajduje się na ostro nakreślonej skarpie.

- Kochana Eda. Czy ona wie, że ją kocham?

Szary asfalt przed samochodem rozbłyska na chwilę na dźwięk tego słowa. KyLIA dziwi się sobie i spogląda w górę. Powtarza: Kocham. Cieszy się tą myślą, muska ją jak piórkiem zapomnianą czułością.

- Przecież nie może być ze mną tak źle, skoro kogoś kocham?

Pytanie rozmywa się w przestrzeni zostawianej za samochodem. Autostrada i rozstawione wzdłuż drogi drzewa nadal lekceważą Kylię. Nawet słońce uparcie tkwi gdzieś poza mgłą chmur.

Dawno powinna była wyjąć mapę, bo wydało się jej, że przejechała zjazd do miasteczka, w którym czekała na nią kanapa. Jednak nie zatrzymuje samochodu.

- Dojadę do następnego parkingu i sprawdzę wszystko na mapie. Nie wiem nawet, jaką ostatnią miejscowość minęłam. Znam tylko ten zjazd do punktu widokowego. Pamiętam go, bo jechaliśmy tak kiedyś wszyscy razem, Marek był malutki i porzygał się na tych zakrętach. Właściwie zawsze wymiotował z byle powodu.

Kylia jedzie dalej. Mija jeden parking i drugi.

- To dziwne, że nie pamiętam tamtych dni, kiedy byłam sama... Nie pamiętam własnych uczuć. Może nie było już miejsca na uczucia w tej bardzo zajmującej grze? Za to wieczory były naprawdę okropne.

Nie wiedziała, co ze sobą robić. Kończył się jej plan zajęć na dzień i zostawała ze wszystkim sama. Kiedy wracał Marek, czuła zadowolenie, że jest w domu. Martwiła się nim jednak coraz mniej i mniej, choć nękały ją wyrzuty sumienia.

- Bardziej niż na własnym dziecku, kawałku mnie, zależało mi na tym beznadziejnym, niewdzięcznym facecie.

Któregoś takiego wieczora pomalowała przedpokój, choć wcale nie wymagał renowacji. Na zielony kolor, bo w sklepie taka właśnie farba stała na najniższej półce. Czekaając na Marka, malowała ściany przez cały wieczór i pół nocy, a ponieważ nie chciało się jej zakryć parkietu, dość szybko upstrzył się zielonymi plamkami. Kylia patrzyła na nie zadowolona z zajęcia na następny wieczór.

- Uświadomiłam sobie idiotyzm całego tego martwienia się i poczułam się bezsilna. I po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że po prostu mogę przestać żyć. Nigdy więcej nie czekać na Daniela albo siwieć przez Marka.

Z impetem stanęła jej przed oczami cała seria pojęć, z których zwolniłaby ją śmierć. Należało do nich starzenie się, wszystkie choroby i bóle, ale także diety, zakupy, chodzenie do pracy, gotowanie oraz każdy nudny small - talk z sąsiadką.

Nic nie musiałyby robić.

Jak orzeźwiająca woda zalało ją przeświadczenie o cudowności takiego rozwiązania.

- Nigdy w życiu, nigdy przedtem nie doznałam takiej ulgi. Spokoju, jakby nagle rozwiązały się wszystkie moje problemy.



Autostrada wydaje się nagle wroga Kylii, na pół świadomie liczącej mijające ją samochody. Nie było ich dużo, z lewej strony śmignął szybki mercedes, potem przejechał jakiś niewielki pojazd reklamujący materiały budowlane.

Kyilia cofa się myślami o kolejne kroki, jak zawsze wraca w to samo miejsce. Jakby płytę z operą Beethovena cofała do tej samej, ulubionej arii Fidelia, na nowo przypomina sobie czas, w którym Daniel odszedł.

Poszła więc z Edą do tego doktora. Jej słowa zabrzmiałyby zdecydowanie, gdyby nie zakłócił ich niekontrolowany strumień łez:

- Mój mąż mnie opuścił.

Powiedziała to tak, jakby to była całkiem prosta prawda, jakieś hasło albo określenie. Jakby nie zawalił się świat, jakby nie dokonała się jej pierwsza śmierć, jakby nie przestała oddychać. I doktor tak właśnie to odebrał - jako prostą, zwyczajną prawdę.

Kyilia przedrzeźnia doktora:

- „Wiem, że to pani nie pocieszy, jeśli powiem, że porzucenie zdarza się statystycznie dwóm kobietom na trzy”.

Doskonale naśladowała głos i sposób mówienia doktora.

Kiedyś zaśmiewały się z tego wieczorami u Edy, przy drugiej butelce wina jeszcze bardziej niż przy pierwszej. Teraz w rytm warkotu silnika Kyilia powtarza monotennie, jak senne dziecko wieczorny pacierz:

- „Wiem, że to pani nie pocieszy, jeśli powiem, że porzucenie zdarza się statystycznie dwóm kobietom na trzy. Wiem, że to pani nie pocieszy, jeśli powiem, że porzucenie...”.

Pocieszyło, nie, raczej otrzeźwiło.

- „Wiem, że to pani nie pocieszy...”.

Pocieszyło, bo już po czterech tygodniach, czyli prawie natychmiast, gdy tylko zaczęły działać lekarstwa, wyciągnęła

wnioski. Przeanalizowała sytuację i zdecydowała się na tę grę. Grę w „Nie poddam się”.

- I co? Dobrze grałam. Wrócił.

Daniel zachowywał się tak, jakby nie wiedział, czy Kylią przyjmie go do domu. Tak powiedział: „Nie mam prawa cię o to prosić”.

- A jak mogłam go nie przyjąć? - Kylią śmieje się nerwowo, wpatrzona w tył ciężarówki, którą dogoniła mimo wolnego tempa. - Jak miałam go nie przyjąć, skoro całym moim dotychczasowym sensem czasu było czekanie na niego i wymyślanie sposobów na przywrócenie go sobie i Markowi.

Kylią hamuje i jedzie za ciężarówką, całkowicie zasłaniając jej widok. Podejmuje równe tempo silniejszego samochodu, teraz już zupełnie zapominając o śledzeniu tablic informacyjnych.

- Wiem, że zrobiłam to z rozpędu. Ale wszystko miało ukryty sens. Jak wcześniej rozstanie. Miało! I przyniosło mi wiele dobrego. Na przykład Beethovena.

„Jakiej muzyki najchętniej słuchasz?” - zapytał podczas jednego z pierwszych odgrzewanych czułych wieczorów we dwoje. „Obojętnie jakiej - odpowiedziała z doskonałą dezynwolturą - byle to był Beethoven”.

- A zaczęłam kupować płyty tylko po to, by go sobą zadziwić. Jednak jak miała nie zakochać się w Beethovenie?

Tę miłość Kylią nazywała zawarciem małżeństwa z rozsądku z kimś nieznanym, jak za dawnych dobrych czasów przywiezionym w worku przez papcia dobrodzieja. Najpierw poślubionego dla świętego spokoju i pokochanego później do niepamięci, kiedy okazał się najlepszym z najlepszych: dobry, wierny, cudowny w łóżku... Najlepszy mąż na świecie.

Kylią śmieje się nagle. Smutno, lecz głośno, aż kołysze się cała w siedzeniu, akurat tyle, na ile pozwala jej prowadzenie

wozu po autostradzie. Jednak za plecami ciężarówki czuje się bezpiecznie.

- Takie głupie skojarzenia są dla mnie typowe. Mąż dobry. Mąż najlepszy. Herbaciana kawa. Zimne słońce i gorąca zima. Zawsze wszystko mi się myli.

Po powrocie do domu Daniel zapomniał o wszystkim o wiele wcześniej niż ona. Wylizał rany w ciągu krótkich sześciu miesięcy, podczas których zabrał ją na wakacje, kilkakrotnie zaprosił na kolację w restauracji, kupił czerwoną sukienkę i z ochotą dotrzymywał kroku jej podniesionemu nagle libido. Był zadowolony, chociaż później nawet nie zauważył, jak szybko wszystko wróciło na dawne miejsca. Wkrótce znowu kochali się jak dawniej, raz w tygodniu albo rzadziej, i tak zachowując niezłą jak na ich wiek średnią.

- Kiedy spał, obserwowałam go godzinami. Odstawiłam tabletki, bo przecież nie miałam już powodu ich brać. Wszystko było dobrze, udało mi się. On się o mnie starał, bo moje starania o niego powiodły się, więc... Ale dość szybko zaczęłam żałować, że nie mogę już malować przedpokoju zieloną farbą.

Nie spała, czasami prawie do świtu. Bawiła się ze sobą w różne gry, by zabić czas. Wyobrażała sobie chodzenie labiryntem lub wymyślała domy, w których mogłaby zamieszkać. Leżąc w mroku, wymyślała sobie jakąś długą, magiczną drogę z licznymi zakrętami.

Teraz przejechała kolejny parking, zauważywszy go zbyt późno. Na kilka sekund przypomina sobie o zamiarach na ten dzień.

- Autostrady są nudne. Nie ma na nich zakrętów, na dziesiątki kilometrów wiadomo, co będzie. Głupie.

KyLIA gwałtownym ruchem skręca kierownicę i zdecydowanie wjeżdża w oznaczony zjazd. Znajduje się tam, gdzie być chciała - przed rozjazdem w prawo i w lewo

zwykłej, dwukierunkowej drogi prowadzącej w obie strony do miejscowości o obco brzmiących nazwach. Z miłym drgnięciem w sercu skręca w lewo.

- Miałam kupić kanapę - przypomina sobie.

I nie muszę tego robić, myśli z ulgą, prawie wesoło. Przekręca gałkę w radiu i zaczyna śpiewać na cały głos w samochodzie jadącym drogą o tej porze jeszcze bardziej pustą niż pozostawiona za plecami autostrada:

- Nie muszę kupić kanapy, nie muszę kupić kanapy, nie muszę kupić żadnej, ani jednej, ani pierwszej, ani ostatniej kanapy. Kanapy nie potrzebuję, kanapy nie kupuję, kanapa jest mi na nic... Na nic, na nic. Po co mi kanapa, po co, po co mi kanapa, po co. Po co mi mebel, po co, po co, dam, dam, dam, dom, dom, dom, po co dom, po co dom, po co to, po co co, po co co...

Nagle przerywa śpiewanie:

- On chyba nawet nie wie, że już go potem nie kochałam... Jednak szybko powraca do motywu „po co to, po co to, to to to, po co to”.

Wzdłuż tej drogi także rosną liczne drzewa, jednak mniej równe od posadzonych przy autostradzie. Są krzaki i dużo chwastów. Z daleka widać wiatrak.

- Skoro sama nie wiedziałam? Bo i skąd? Bo i skąd, co co co, bo i skąd, po co to...

KyLIA upomina w końcu samą siebie i nakazuje ciszę, kiedy piosenka wydaje się jej zbyt idiotyczna. I natychmiast czuje smutek, całkiem nieodpowiedni do wesołego rytmu samby.

- Długo myślałam, że to zmęczenie po grze odzyskiwania go na nowo albo może smutek jako wynik odstawienia tabletek, bez których... tak, tak, mniej źle. Przecież miało nie być źle, miało być dobrze. Pamiętam to jako olśnienie, chociaż nagłe, jednak po długim przygotowaniu, jak

oczekiwanie na zaćmienie słońca. I w końcu musiałam to sobie powiedzieć.

Przecież ja już go nie kocham.

- To zabolalo. Bardzo. Prawie tak samo, jak wtedy, gdy odszedł, także po długich przygotowaniach i tysiącach znaków ostrzegawczych. Prawie, bo moja odporność na ból zwiększyła się wielokrotnie.

Na te słowa, często powtarzane, jej jedyna przyjaciółka, Eda, zawsze prychała z pogardą. „Nie istnieje coś takiego, jak odporność na ból” - twierdziła. Wszystko to suma elementów za każdym razem składanych na nowo.

- A najbardziej zabolalo mnie to, że po tylu staraniach takie nic. Po co się starałam, walczyłam, po co traciłam czas? Nie szukałam innych mężczyzn... Temu i tamtemu odmówiłam pójścia na spacer lub kolację? To było coś więcej niż tylko stracony czas, nie potrafię tego określić nawet dziś, wiem jedynie, gdzieś głęboko, że straciłam więcej, niż zainwestowałam. Oraz że to jest nieodwołalne.

Kylia mija trzy zakręty i zbliża się do czwartego, oznaczonego jako ostry. Cieszy ją to, skoncentrowaną na wymyśleniu obrazu czekającego na drodze.

- Tę głupią, straconą walkę uznałam za coś w rodzaju tamtego malowania przedpokoju: tak samo niepotrzebnie, bez efektu, bezsensownie. Miałam zielony przedpokój i nic dobrego z tego nie wynikło. Nie lubiłam go i bardzo, bardzo szkoda mi było straconych sił... W ich miejsce nigdy już nie pojawiły się nowe.

Cisza opanowuje mózg Kylii na wspomnienie pustki, automatyczna i dziwna, jakby na chwilę wyparowały z niej wszystkie myśli.

- Uświadomiłam sobie, że on przestał być częścią mojego życia, częścią mnie. Albo nawet to ja przestałam być częścią

jego, odpadłam od niego i stoję sobie zupełnie osobno. W tej samodzielności poczułam się bardzo samotna.

Wtedy po raz drugi przyszły myśli o śmierci jak o wybawieniu. Wyobrażenie ulgi i końca szamotania się z czymś, co właściwie końca nie ma.

- Jednak byłam mądra.

KyLIA na chwilę zatrzymuje się w rozmyślaniach. Rozczarowana drogą, za zakrętem nieukazującej nic szczególnego, poprawia się stanowczo:

- Jestem mądra. Cały czas jestem mądra. Jestem kobietą mądrą życiowo.

Po chwili dodaje jeszcze:

- Tego nabywa się z wiekiem.

Myśli o samobójstwie są złe. Samobójstwo jest złem ostatecznym. Nie tylko dla wierzących w Boga samobójstwo to niewybaczalny grzech.

- Istnieją grzechy niewybaczalne? Albo „śmiertelne”, jeśli właśnie śmierci dotyczą?

Samobójstwo jest wykroczeniem przeciwko porządkowi natury. Nawet spirytyści twierdzą, że ktoś sam pozbawiający się życia nie odnajdzie swej drogi do wieczności. Podobno samobójcy są do niej nieprzygotowani, dlatego, jako duchy zagubione, nadal tułają się po ziemi.

- Bzdura - mówi KyLIA. - Kto może lepiej przygotować się do śmierci od tego, który sam się do niej zabiera?

Trzeba się spakować. Nie w podróż na ten drugi świat, ale na odejście z obecnego. Powyrzucać kompromitujące listy i niekorzystne zdjęcia. Wyprać brudną bieliznę i posprzątać mieszkanie. Pospłacać rachunki, wyrównać krzywdy. To znaczy, jeśli to możliwe. Napisać pożegnalne listy i przeproszać w nich ludzi, o których w gruncie rzeczy myśli się „co im do tego?”. Sporządzić testament.

- Daniel wściekłby się zupełnie, gdybym swoją część rozpisala według własnego uznania. Bizuterię dałabym Edzie. Nie mam dużo, ale cieszyłabym się, widząc, że to ona ją nosi. Nie lubię siostry Daniela, nawet jeśli to moja wina, nie lubię jej. Wcale nie podoba mi się, że dostanie moją bizuterię. Może przynajmniej pierścionek i bransoletkę po mojej mamie schowają dla przyszłej synowej.

Gdyby nie monotony warkot silnika, cisza zalałaby cały samochód, tak jak ogarnia Kylię, aż puka w szybkę radia, szukając w nim przyczyny. Jednak staroświeckie urządzenie wcale nie przestało mruczeć, więc Kylika rozgląda się dalej, między siedzeniami samochodu poszukując ciszy, która nie ma postaci.

- Mam nadzieję, że ktoś przypomni sobie, że odziedziczyłam po mamie pierścionek i bransoletkę.

Jakiś ciężki samochód z przyczepą przewala się po drugiej stronie drogi. Kylika zauważyła go w ostatnim momencie, zajęta ciszą wciąż oblepiającą jej uszy. Przestraszona, instynktownie ustępuje miejsca na drodze i jedzie poboczem przez kilkaset metrów.

- A właściwie dlaczego nie mogę wyobrazić sobie mojej przyszłej synowej? Albo wnuków? Wszyscy mówią, że wnuki to wspaniała rzecz. Jedno malutkie dziecko, drugie malutkie dziecko... Pachnące, miękkie, ufnie. Niewinne. Zapowiadające się na wspaniały, wielki cud.

Czy Marek miał kiedykolwiek stałą dziewczynę? Nie wiedziała. Widywała czasem u niego jakieś stworzenia przypominające dziewczęta, jednak w towarzystwie, w którym Marek spędzał czas, wszyscy wyglądali dość podobnie. Nosili czarne skórzane kurtki, grube buty i mieli dziwaczne włosy, niby to nastroszone, ale chyba po prostu niemyte. Nikogo z otoczenia Marka Kylika nie potrafiłaby skojarzyć z ojcostwem i macierzyństwem. Z jakimkolwiek rodzajem rodzicielstwa. W

myślach dawno wykastrowała ich wszystkich, by nie kalać hipotetycznych dzieci dotykaniem dłoni śmierdzących tytoniem lub pocałunkiem wyciśniętym przez piercingowane usta.

Mleko z takich piersi?

- W brzuchu jest ciepło i bezpiecznie - mówi cicho Kylija. Jedzie drogą, podejrzanie długo prosto. I nudną, z drzewami wyhaftowanymi w szlaczek wzdłuż asfaltu. Za drzewami widać kilka wzniesień.

- Robią się coraz niższe. Jeśli będę jechać tak dalej, znowu wyjadę na równinę...

Mogłaby jechać dalej i dalej, ku równinie, po równinie. Mogłaby dojechać do jakiejś granicy, uzbrojona w dowód osobisty, w wolnej Europie równoważny z paszportem, w kartę kredytową, czeki i zapas gotówki na wszelki wypadek. Nie musiałaby się wcale zatrzymywać, skoro nie czuje ani głodu, ani pragnienia, ani potrzeby skorzystania z toalety.

- Akurat dzisiaj prawie nie krwawię. To doskonałe uczucie, jakby wszystko było w porządku. Gdy mnie zoperują, będzie już tak na co dzień.

To znaczy, gdy zoperują ją po raz drugi. „Po usunięciu cyst nieregularne krwawienia powinny ustąpić całkowicie - powiedział lekarz. - Przecież pani gospodarka hormonalna jest generalnie w porządku. Jednak, sama pani rozumie, jeśli krwawienia będą powracać, najlepiej będzie całkowicie usunąć macicę. Bo przecież...”.

- Bo przecież i tak nie będę już matką. Nie zdarzy mi się spóźnione dziecko postmenopauzowe. Byłam już matką. A gdybym została matką raz jeszcze i raz jeszcze, może miałabym córkę. Grałaby mi na fortepianie i nosiła czerwone sukienki... A tak?

Kylija wie na pewno: Daniel i tak niczego nie zauważy. Jeśli jednak zapyta, odpowie mu, że zoperowano jej hemoroidy albo żyłki na nogach.



- A jeśli będę na niego zła, powiem, że zrobiłam sobie lifting. Nie odważy się przyznać, że nie widzi efektów.

Bo po co komu macica?

- Po co, po co, po co... ka pa dam, ka pa dom, pam pam, każdy sam, pam pam pam, każdy sam...

Kyilia śpiewa, aż z braku tchu wilgotnieją jej oczy.

- Męczą mnie te melodie. Uwzięły się na mnie. Za co? Co ja komu zrobiłam?

Na poboczu drogi stoi kobieta. Nagle, nieoczekiwanie w miejscu, w którym spotykają się okolone drzewami drogi. W odcinku krajobrazu pustego, nieprzerwanego przystankiem autobusowym ani przydrożną restauracją. Kobieta jest stara, jednak w sposób dość nieokreślony, między sześćdziesiątym a setnym rokiem życia. Jest siwa i cała opatulona w szarość podobną do koloru jej włosów. Pomimo to Kyilia zauważa ją natychmiast, z dużej odległości, choć wtopiła się barwą w tło szarego asfaltu drogi. Zwolnwszy do prędkości wymaganej w pobliżu skrzyżowań, Kyilia zbliża się do nieznajomej, wpatrzona w nią i pełna strachu. Strach przeistacza się w panikę, kiedy stara kobieta o spokojnej twarzy i wyprostowanej sylwetce, nie spuszczać z niej oczu, pochyla głowę i zapala papierosa. Kyilia czuje ten wzrok na swojej twarzy, wie doskonale, że nie ma to sensu, że nie jest możliwe, by nieznajoma kobieta przyglądała się jej, jadącej samochodem, schowanej za szybą, jednocześnie zapalając tego wyciągniętego nie wiedzieć skąd papierosa. Papieros rozjarza się na szarym tle niepokojącej postaci ostro i niebezpiecznie jak fajerwerk, jednak kobieta nie odrywa oczu od Kylii, jakby doskonale ją znała. Samochód mija ją w końcu, w czasie nierealnie zwolnionym, jednak i tak zamkniętym w obrębie kilku, może kilkunastu sekund.

Sparaliżowana Kyilia zapamiętała jedynie puste, beznamiętne oczy, wpatrzone w nią, niewyrażające niczego

prócz pustki. Odruchowo przyciska pedał gazu i mocniejsze warknięcie silnika uświadamia jej groteskowo, że papieros tamtej kobiety właściwie nie miał prawa się zapalić. Kylija przypomina sobie, że bezruch i martwota istniały tylko w twarzy kobiety, szczególnie silnie zatrzymane w oczach, jednak całym jej ubraniem szarpał silny wiatr, wyginający drzewa i przyciskający do ziemi trawę.

- Nie zauważyłam takiego wiatru? - nie dowierza Kylija, jeszcze przestraszona, pomалу otrząsając się ze zdziwienia.

Z jej pamięci wygrzebuje się z wolna podobna scenka, z niewielką zamianą ról. Kiedy to było? Miesiące temu, czy może tygodnie... Kylija nie chciała jej pamiętać. Za wielki błąd uznała wtedy swą nagłą i niezaplanowaną spostrzegawczość i jeszcze teraz najchętniej dałaby sobie po łapach, jak dziecku, za udział w tamtej sytuacji, jakby to ręce, a nie oczy były w niej nieposłuszne.

To ona, Kylija, stała na brzegu ulicy, nie była to romantyczna niewiadoma szosa, lecz zwykła ulica w mieście, z przejściami dla pieszych i sygnalizacją świetlną. Przed pasami zatrzymał się samochód, po kilku sekundach rozpoznała go jako samochód Daniela, on sam siedział za kierownicą i nie widział jej wcale, jak zwykle obojętny wobec ulicy i przechodniów. Jednak nie był sam i prawdziwym zainteresowaniem obdarzał swoją towarzyszkę, do której w ciągu niewielkiego czasu brakującego do zmiany świateł wielokrotnie odwrócił głowę. Był uśmiechnięty i jego oczy promieniały ożywieniem.

Nie zauważył wcale Kyliji, była oddalona od niego o trzy, może cztery metry, długie jak Droga Mleczna. Kiedy odjechali, on i młoda kobieta, która może rzeczywiście była jego koleżanką z pracy, Kylija pozostała na chodniku. Nie przeszła na drugą stronę ulicy, przeczekwała apatycznie kilka

zmian świateł, po czym odwróciła się i odeszła w kierunku, z którego przyszła.

- To nie był szok, to nawet nie był ból. Zamiast zdziwienia pewien rodzaj pewności: to musiało się zdarzyć. Musiało przyjść znowu. Nie bolało, po prostu poczułam zmęczenie. Znużenie, brak sił, bez nich poczułam się bardzo stara i bardzo słaba, mięśnie wzdłuż kręgosłupa poluzowały mi się dziwnie, a nogi, zamiast wykonywać normalne kroki, podreptały mechanicznie do domu. I włosy spadły mi na oczy, ale nie chciało mi się podnieść ręki, by je odgarnąć.

Wróciła do domu jak stara kobieta, dopiero teraz rozumiejąc, że walka, w której kiedyś, jak się jej wydawało, odniosła zwycięstwo, nigdy nie skończyła się naprawdę. Pojawienie się innej kobiety nie miało przy tym znaczenia. Kyli nie miała nawet pewności, że chodzi o rywalkę, jednak ani nie chciało się jej sprawdzać faktów, ani rewidować sytuacji. Ani nawet przyrzeć się przeciwniczce. Ręcznik przeznaczony do rzucania na ring już spadł, a ona była nagle zbyt zmęczona, aby się po niego schylić.

I znowu, a nie był to raz drugi ani trzeci, ani czwarty, lecz kolejny z wielu, Kyli bezlitośnie jasno pomyślała o śmierci jako o wyłącznym źródle ulgi. O miejscu spokoju, czasie ciszy, drodze wyprowadzającej z najgłębszego żalu. Uśmiech, który sam pojawił się na jej twarzy, powitał tę myśl jako zbawczą.

Kyli dalej jedzie drogą. Jak pionki na szachownicy przedstawia postacie, mieszając przeszłość z obrazami przeżytymi przed chwilą. Ruch dotyczy pięciu figur: mężczyzny, który jest Danielem, Marka, dziecka, który jest prawie mężczyzną, kobiety, której Kyli nie zna, lecz czuje związane z nią niebezpieczeństwo, samej Kyli oraz starej kobiety przy drodze. Postaci zmieniają pozycje i konstelacje. Zmieniają się postacie męskie, zagrożenie towarzyszką

Daniela nasila się i słabnie, różnicują się kontury szarej nieznajomej z papierosem. Tylko ona sama, Kylija. Jest całkiem nieznaczną. Tylko nią miota wiatr wiejący drogą.

- Jak to było? - Kylija marszczy brwi i usiłuje się skoncentrować, napominając się tysiące razy do logicznej analizy, choć wie, że przepędziła już od siebie wszystkie logiczne myśli.

Domyśla się, że nie są daleko, wciąż czają się w tyle głowy i mogłaby je jeszcze przywołać, jednak nie chce. Myśli na dwa sposoby, myśli dwoma mózgami, jak dwugłowy wąż, z których każdy obawia się drugiego.

Stałam, oni jechali. Zostawili mnie, nie zauważyli. Zostałam, bo nie miałam już dokąd pójść.

- Jednak - Kylija uśmiecha się leciutko, jakby jednocześnie poskromiła myśli budzące obawę i poczuła ulgę, że nie okazały się aż tak złe - jednak skoro ja byłam teraz tą, która jedzie, a stara kobieta z papierosem trwała w miejscu, moja obecność i ruch po tej drodze są uzasadnione? Dokąd powinnam dziś dojechać?

Na sekundę przymyka oczy, by przywołać postać nieznajomej z drogi. Nieoczekiwanie widzi ją całkiem wyraźnie. Tamta przygląda się jej z zainteresowaniem.

- Gdybym miała odejść teraz, ilu trudów bym sobie zaoszczędziła... Zbieranie tabletek to kłopot. Skakanie z wysokości - trudne. Na widok ciała rozbitego na betonie nie powinno się narażać nikogo, zwłaszcza dzieci. Krew... A... cała procedura przedtem, to wahanie, czekanie? Nienawidzę i boję się czekania. Nie znam czekania, które dobrze się kończy. Gdybym miała odejść teraz, oszczędziłabym go sobie, podobnie jak wszystkiego innego. Całej tej... pracy. Pisania testamentu, niszczenia kompromitujących listów i brzydkich zdjęć. Kiedyś myślałam, że gdybym miała to zrobić, zostawiłabym po sobie tylko kilka najkorzystniejszych zdjęć,

aby Daniel wiedział, co stracił. Ale to było tak dawno... Teraz jest mi to obojętne. Nie muszę nic robić. Tylko zawrócić, wystarczy, że pojedę w stronę tamtej skarpy.

KyLIA dziwi się sprawności pojazdu, który zmienia kierunek i zawracając jakby bez jej udziału przejeżdża ciągłą linię. Wytarte opony krążownika szos piszczą niebezpiecznie, jednak trzymają się drogi, zdecydowane dojechać do celu.

Podniecenie ogarnia Kylię, a jej blade policzki czerwienieją nieznacznie.

- Czy stoi tam jeszcze ta kobieta?

Samochód przyspiesza. Gwałtownie, jakby obywatel się bez jej pomocy.

- Gdzie ona jest? Powinna tu gdzieś stać...

Starej, szarej kobiety nie ma na drodze i KyLIA czuje rozczarowanie.

- Eda mi tego nie daruje... To znaczy samochodu. Dobra, kochana Eda. Tyle rzeczy chciałabym ci powiedzieć. Rzeczy, których się wstydzę, rzeczy, które uznałabyś za głupie, rzeczy, których byś nie zrozumiała, i rzeczy, które nazwałabyś, jak to ty, głupio zagmatwanymi. Wyrzucałaś mi zagmatwanie, jakbyś sama nie plątała się ze swoimi kolejnymi mężczyznami. A mimo wszystko zawsze byłaś prawdziwą przyjaciółką. Kochana Eda. Przepraszam cię za ten samochód, jeśli coś mu się stanie.

Stanie się na pewno. Błogosławione szybkie samochody bez poduszki powietrznej.

KyLIA rozpina pasy i wygładza sukienkę na brzuchu i na kolanach.

- Poza tym zawsze się ze mnie śmiałaś i nazywałaś szczegółową. To twoje własne słowo, a słowotwórstwem potrafiłaś zadziwić nawet mojego zmanierowanego syna. A ja rzeczywiście taka byłam. Kupowałam tapety do koloru domu, meble do koloru tapet, pościel do koloru mebli, piżamy do

koloru pościeli, chusteczki do płakania pod kolor piżamy... I kpiłaś ze mnie, że nie umrę, dopóki nie dokończę wszystkich oczek mojego skomplikowanego łańcucha, I co? Chyba teraz się zdziwisz?

Duży chrząszcz rozbija się nagle na szerokiej szybie samochodu, z sykiem i szelestem pozostawiając po sobie jaskrawą plamę owadziej krwi, a Kylią gwałtownie uświadamia sobie, że nie tylko Edzie zabraknie okazji do zdziwienia, ale także Danielowi, Markowi, szwagrostwu, nawet kochance (a może niekochance?) Daniela. Nikogo nie zadziwi jej niezdyscyplinowane zachowanie, ponieważ właśnie jej pozorna i powszechnie znana pedanteria obmyje ją z podejrzeń. Nikt nie uwierzy, że ktoś taki jak ona mógłby odejść bez pożegnania. Wszystko uznają za wypadek! Zwyczajny, samochodowy wypadek w niewyjaśnionych okolicznościach. Będą jej żałować i zorganizują porządną, bogobojny pogrzeb, po którym pójdą na cichą stypę, Daniel wystąpi jako wdowiec, Marek jako półsierota, a wspomniana kochanka będzie dyskretną narzeczoną in spe.

Kylią ponownie śmieje się na wpół z ulgą, na wpół ze strachem.

- A wszystko dlatego, że nie sporządziłam testamentu, nie napisałam pożegnalnych listów, nie podarłam zdjęć i tak dalej...

Pożyczyłam od przyjaciółki jej ukochany samochód. Moja przewidywalność uratuje im wszystkim sumienia.

Do punktu widokowego, ostro zakończonej skarpy zabezpieczonej podniszczoną barierką, zostało już tylko kilkanaście kilometrów. Nie wiedzieć skąd rozpoczyna się w głowie Kylii regularny count down, hałaśliwy, jakby odprawiał go ktoś siedzący obok w samochodzie.

- Co za bzdura - karci się Kylią rozsądnie - jakie wyrzuty sumienia? Czy ktokolwiek każe mi to zrobić? Oni wszyscy nie mają z tym nic wspólnego. To ja sama...

Drogowskaz z nazwą punktu widokowego. Podana liczba kilometrów, nie ma ich wiele, Kylią usiłuje przeliczyć je na czas, na minuty, szczątki godzin, fragmenty i znaczenia życia. Jednak nie widzi już niczego dalej, jakby ktoś wykasował jej przyszłą świadomość i zasłonił obrazy możliwe do spełnienia. Krew uderza jej do głowy, czuje niepohamowaną euforię, intensywnie usadowiona w tym krótkim czasie, skondensowanym i twardym, wie, że jest zwolniona z przyszłości, że nie dotyczą jej żadne następne minuty i godziny. Jest przypisana nieodwołalnemu zakończeniu, wyraźnemu jak jaskrawa końcówka kasety wideo, która przerwie projekcję filmu na długo przed jego właściwym finałem.

- Tatusiu, mamó - szeptem mówi Kylią, przyciskając pedał gazu - będziecie tam? Przepraszam was, jeśli naprawdę robię źle... Tak szybko wszystko się dzieje.

Kilkaset metrów do barierki, kilka sekund do końca. Kylią dociska gaz w rytm uderzeń krwi w napiętych żyłach na skroniach, mimo pędu i wycia silnika rozluźnia mięśnie, jakby już wzbijała się do lotu. Kiedy dokładnie wie, że nie ma przed nią niczego prócz niegroźnej barierki na końcu ostatniego fragmentu prostej i gwałtownej drogi, ściąga z oczu okulary i przestaje widzieć cokolwiek.

\*

- Słuchaj - powiedziała Karina podejrzliwie - niby skąd wiadomo, że to było samobójstwo? Z tego co mówisz, nie wynika, że to nie był wypadek.

Knut przestąpił z nogi na nogę i spojrzał na nią poważnie zakłopotany, jakby złapała go na gorącym uczynku.

- Rzeczywiście, rodzina utrzymywała, że to był wypadek - przyznał niechętnie. - Nie było listów pożegnalnych, testamentu...

- Podartych kompromitujących listów i zniszczonych niekorzystnych zdjęć.

- Właśnie.

Knut, choć głęboko to ukrywał, miał minę kogoś schwytanego w pułapkę i Karinie skojarzył się z Beksem, który przez pierwsze tygodnie z pasją obgryzał meble, czego później bardzo się wstydził. Przed oczami stanęli jej obydwaj - kudłaty pies oraz starszy, tęgi człowiek z nieudawaną powagą na okrągłej twarzy. Obraz ten wydał jej się tak komiczny, że rozchichotała się głośno, co Knut uznał za brak szacunku, jeśli nie w stosunku do siebie, to do otoczenia, nad którym pieczę mu powierzono.

Patrząc na nią spod ściągniętych brwi, powiedział:

- Mimo to ona się zabiła. Wcale nie powinna była znajdować się tam, gdzie ją znaleziono. Było to miejsce oddalone o prawie trzysta kilometrów od miasteczka, w którym była wiążąco umówiona na konkretną godzinę. Ona jechała kupić kanapę, a nie zwiedzać jakieś punkty widokowe!

- Może zmieniła zdanie? - poddała Karina przekornie, tłumiąc resztki wesołości.

- Miała rozpięte pasy i jechała bardzo szybko.

- Straciła panowanie nad samochodem. Sam mówiłeś, że to nie był jej samochód. Mogła się w tym wszystkim pogubić.

Knut spojrzał na nią spod oka.

- Tak właśnie tłumaczył to sobie jej mąż - powiedział, jakby czynił jej tym wyrzut.

- Bo pewnie tak było.

- On już wtedy kogoś miał - oświadczył Knut, choć w jego słowach brakowało pewności. - Kolejny raz romansował z jakąś kobietą.



- Ojej - skrzywiła się Karina - to wie każda kucharka czytająca kobiece pisma. Tacy faceci mają skłonności do recydywy. Wiadomo.

- Właśnie. Ona straciła ochotę do życia. Ten mąż, nieudany syn...

Karina potrząsnęła głową i spojrzała mu prosto w oczy. Nagle wydała mu się dużo starsza, w jej oczach dostrzegł nieznane pokłady doświadczeń, które sprawiały, że mówiła do niego jak ktoś, kto wiele przeżył.

- I co z tego? Wszyscy mężowie zdradzają swoje żony. Większość dzieci zawodzi swoich rodziców i mimo to... Rozejrzyj się dookoła. Nie musisz nawet wychodzić na ulicę, popatrz tylko na tych ludzi, którzy przychodzą tutaj. Oni wszyscy żyją. Nikt nie zabija się tylko dlatego, że się na kimś zawiódł.

Zapadła cisza między nimi, w której Knut unikał wzroku Kariny, onieśmielony nagle, a ona stała bez ruchu, jak splukana ze zwykłej energii. Otrząsnęła się jednak szybko, chowając się za swój ulubiony, kpiarski ton.

- Obujałeś mnie po prostu - stwierdziła z szerokim uśmiechem.

- Nie... Nie.

- Dlaczego tak się upierasz? - zapytała bez złości, zaciekawiona. - Nie możesz się zgodzić na jedną całkiem zwyczajną nieboszczkę w tej twojej kolonii? Na jedną zwyczajną opowieść w twoim zbiorze opowiadań szczególnych?

Knut podrapał się po głowie. Był zniechęcony.

- Ta jej przyjaciółka, Eda - powiedział - przyszła na pogrzeb w kwiecistej sukni. Biało - czarnej wprawdzie, ale w kwiaty. Nic nie mówiła, nie złożyła kondolencji ani mężowi Kylii, ani jej synowi. W ogóle z nikim nie rozmawiała i nie płakała. Kiedy odbywały się mowy pogrzebowe, wiesz, o

nieoczekiwanych nieszczęściach, o wypadkach i tak dalej, ona miała zupełnie suche oczy i każdy, kto na nią spojrzał, rozumiał, że wie co innego.

- Bo ty na nią patrzyłeś.

- Tak... Patrzyłem. Była ładna, nawet nie tak, że miała ładną twarz, ale była jakby osobnym zjawiskiem, całkiem innym niż zwykli ludzie na pogrzebach. Myślę, że były naprawdę dobrymi przyjaciółkami, ona i Kylija.

Mówił coraz ciszej, jednak Karina słuchała go cierpliwie.

- Ona stała tam i miała na twarzy jednocześnie bunt i pogodzenie się, jakby była świadkiem mówienia nieprawdy, jednak wiedziała, że nie wolno jej zaprzeczać. Myślę, że była lojalną przyjaciółką.

- Pewnie była wściekła o swój samochód - podpowiedziała Karina złośliwie. - To by wyjaśniało, dlaczego nie płakała.

- Nie, na pewno nie - zaprzeczył Knut. - Ona jedna wiedziała. Zegar na cmentarnej wieży wybił siedemnastą i na jego dźwięk

Karina poderwała się gwałtownie. Gwizdnęła na Beksa i uśmiechnęła się do Knuta.

- Wiesz co? - oświadczyła. - To wszystko bujda. Bujasz albo się mylisz.

- Nie! - zaprotestował. - Ona się zabiła.

Karina oddalała się już od niego alejką, odwrócona tyłem machała jeszcze ręką na pożegnanie. Za nią niespiesznie podążał jej jak zwykle umorusany pies.

- Sam w to nie wierzysz! - zawołała jeszcze, nawet się nie odwracając. - To tylko jedna z twoich historyjek!

- Dlaczego to zrobił? - Karina powtórzyła pytanie oficera. Była blada i trzymała obie dłonie pod stołem, ściśnięte jedna w drugiej. Jej zdenerwowanie nie uszłoby uwagi nikogo, nie trzeba było oficera śledczego i cywilnego pracownika z wykształceniem psychologicznym, aby zauważyć, jak bardzo jest przerażona.

Mimo jej pozy aroganckiej, pewnej siebie nastolatki. Mimo ufarbowanych na czarno, nastroszonych i usztywnionych żelazem włosów, mimo kolczyka w lewym skrzydełku nosa. Czarnej skórzanej kurtki i grubych butów. Spoza tego wszystkiego wyglądała mała, przestraszona dziewczynka, zamknięta w ciasnym pomieszczeniu z niewielkim oknem. Strach wypełzał z jej oczu i wprowadzał w drżenie jej drobne ciało, którego kruchość skutecznie maskowały obszerne ubrania. Patrzyła podobnie jak jej niekształtny i brudny pies, który ułożył się na jej stopach i nie zmrużył oka przez cały czas toczącego się od wielu godzin przesłuchania.

- O to pytałem - powiedział cierpliwie cywilny pracownik policji. - Dlaczego on sam nie powiedział nam prawdy, skoro jest oskarżony o morderstwo?

- Myślę, że on chce mnie kryć - powiedziała Karina stanowczo, w sposób setki razy przestudiowany poprzedniego dnia, poprzedniego wieczora i poprzedniej nocy.

- Przed czym? - zapytał oficer.

- Na pewno boi się, że mogłabym mieć kłopoty. Uważa, że mam surowych rodziców. Powiedziałam mu, że to bogaci, zasadniczy ludzie. Bardzo religijni. Wymagają ode mnie wyjątkowego posłuszeństwa, bo takie są tradycje rodzinne.

- I uwierzył? - zapytał z powątpiewaniem cywil, ostentacyjnie lustrując strój Kariny.

- Tak. Jeśli chodzi panu o moje ubranie, to powiedziałam mu, że rodzice tolerują mój wygląd zewnętrzny tak długo, jak

spełniam ich inne oczekiwania. Więc udaję, że chodzę z kuzynką do kościoła, staram się, mam doskonałe wyniki w szkole, nie zadaję się z byle kim i tak dalej. Powiedziałam mu, że zaakceptowali mój sposób ubierania po ciężkiej chorobie, którą przeszłam.

- Powiedziałaś mu, o jaką chorobę chodziło? -  
Powiedziałam mu, że chciałam popełnić samobójstwo...

Wtedy psycholog wytłumaczył im, że nie wytrzymuję nacisku ze strony rodziny i otoczenia, więc trochę mi popuścili.

- W to też uwierzył?

- No tak. - Karina kiwnęła głową. - W każdym razie nie komentował, a wszystko pasowało jedno do drugiego.

Oficer zapalił papierosa, chociaż wiedział, że Karina zacznie kaszleć, jak przed półgodziną, gdy palili obaj - i on, i cywil. Chwilę milczał, po czym odezwał się do niej, nawet nie starając się wydmuchiwać dymu w przeciwną stronę.

- Przecież nie zawsze się tak ubierasz. W twoim miejscu pracy nikt cię takiej nie widział. Przychodzisz porządnie ubrana w dżinsy i T - shirt. I masz świeżo umyte włosy.

Karina nie bez trudu wytrzymała jego wzrok.

- Tego ode mnie oczekują.

- Nieprawda - zaprzeczył natychmiast oficer. - W domu starców personel przebiera się przed rozpoczęciem pracy, a to, jak przychodzi ubrany, nikogo nie interesuje.

- Taka fryzura wymaga wysiłku - odpowiedziała Karina, niezmiennie patrząc mu w oczy. - Za długo śpię, więc starcza mi czasu tylko na szybki prysznic. Już nie na wystylizowanie.

- Ale stylizujesz się na spacer z psem po cmentarzu? - spytał cywil, akcentując powtórzone po niej określenie.

- Tak.

- Te spotkania na cmentarzu były dla ciebie tak ważne?

- Właściwie tak - odparła z wystudiowaną zadziornością.
- Knut był moim przyjacielem.

Pracownik cywilny wymienił spojrzenia z oficerem.

- Dziwny rodzaj przyjaźni, skoro podawałaś się za kogoś innego, niż jesteś w rzeczywistości.

Karina wzruszyła ramionami.

- Dlaczego? - powtórzył cywil.
- Może chciałam udawać kogoś innego? Może właśnie to mi się podobało?

Oficer wypuścił ostatni dym z papierosa, znowu w jej stronę.

- Nie przyszłaś tu po to, aby nam zadawać pytania. To ty masz odpowiadać na nasze.

Aby zająć czymś ręce, Karina pogłaskała zdenerwowanego Beksa, ciasno przytulonego do jej nóg.

- Odpowiadam na pytania - powiedziała. - To nie ma nic do rzeczy, że trochę mu o sobie nakłamałam.

- Nie ma nic do rzeczy? - Nie.

- On nakłamał ci o sobie, wiesz o tym? - Nie...

- W jego papierach znajduje się oskarżenie jego byłej żony o znęcanie się, psychiczne i fizyczne. Głównie psychiczne. Wiedziałaś o tym?

- Nie - zaprzeczyła Karina, zaciekle zachowując spokój.

- Niczego mu wprawdzie nie udowodniono, ale tylko cudem nie stracił pracy. Kościelne władze cmentarza nie lubią takich historii.

Karina niespokojnie poruszyła się na krześle, kiedy nowy pomysł wydał jej się doskonałym wzbogaceniem przygotowanego scenariusza.

- Skoro miał problemy ze swoimi szefami, może chodziło nie tylko o krycie mnie? Może sam nie chciał się narażać i przemilczał tę historię z psem. Przecież nikt nigdy by tego nie odkrył...

- Robiono mu wtedy badania - kontynuował oficer, nie spuszczać z niej wzroku, jakby nie dosłyszał jej uwagi - i stwierdzono, że jego profil psychologiczny jest bardzo niekorzystny. Jest typem jak najbardziej zdolnym do przemocy.

- Nie wierzę w to - powiedziała Karina uparcie. - Nie wierzę i dlatego tu przyszedłam.

Kiedy zastanawiała się później nad nowym, nieznanym Knutem, musiała przyznać, że nie potrafiłaby przypisać mu żadnego kłamstwa. Wszystkie te rzeczy, które o nim myślała, były jej własnymi wnioskami, sama sobie wszystko wymyśliła. On niczego o sobie nie opowiadał, co najwyżej nigdy jej nie zaprzeczył. Karina usiłowała przypomnieć sobie, skąd wzięła obraz pedantycznej żony Knuta i zrozumiała, że wytworzyła go sama za pośrednictwem czystego munduru cmentarnego strażnika, wyprasowanej koszuli, termosu z kawą i porządnie zapakowanych kanapek. Nigdy nie pomyślała, że mógłby robić to sam. Nigdy też nie mówili o jego dzieciach, sama przypisywała mu statystycznych dwoje, wnioskując z jego wieku, obecnie już dorosłych. Nie opowiadał o nich, bo wołał opowiadać jej historyjki. Tak jak go prosiła, o ludziach z cmentarza, barwniejsze i ciekawsze niż prawdziwe życie.

Natomiast ona rzeczywiście kłamała o sobie. Świadomie, wyraźnie. I ona chciała pokazać rzeczy inaczej - ładniej i bardziej interesująco niż w życiu. Przeistaczała się w samolubną, bogatą jedynaczkę z domu z zasadami. Przed cmentarnym strażnikiem, przeciętnym człowiekiem i pedantycznym pracownikiem niższej klasy średniej, do której sama miała wkrótce dołączyć, bojąc się jej serdecznie, odgrywała aroganckiego wolnego ptaka. Takiego, któremu wszystko wolno, bo świat stoi przed nim otworem.

W dusznym pokoju przesłuchań Karina opuściła głowę. Była głodna i zmęczona. Dobrze znane poczucie zamknięcia ustąpiło miejsca kompletnej pustce. Znowu była samotna. Surowe ściany naokoło i dwaj obcy, nieprzyjaźni ludzie. Rozmawiali z nią po to, by ją obnażyć i zabrać tajemnicę. Wskazać jej miejsce, przypomnieć, kim jest naprawdę, oraz to, że nic tego faktu nie zmieni. Król jest nagi, powiedzieli, jakby sama tego nie wiedziała. Jednak nawet nie to było najgorsze - przychodząc tu, przyniosła z własnej woli całą prawdę o sobie, w prawdziwym życiu i tak niemożliwą do ukrycia. Jednak stało się coś o wiele poważniejszego, kiedy okazało się, że i Knut kłamał, tak jak ona kłamała. Nie mogło być więc między nimi przyjaźni, w imię której tu przysłała.

- Nie wierzę w to - powtórzyła przed oficerem i jego cywilnym współpracownikiem, zdecydowana doprowadzić wszystko do końca.

Tylko na cmentarzu czuła się szczęśliwa. Ponieważ Knut opowiadał jej bajki, czego nikt nigdy nie robił, nawet jej ojciec za życia, w jej wczesnym dzieciństwie zbyt zajęty pracą. Ponieważ Knut nie pozwolił zrobić jej krzywdy i jej bronił. Ponieważ miał dla niej dużo czasu i cierpliwości. Czekał na nią, cieszył się z jej obecności. Nie krytykował jej, a kiedy mówiła, miał w oczach zainteresowanie. Był najwdzięczniejszą publicznością, przed którą mogła pokazywać swoje wymarzone, idealne ja.

Rozpłakała się, nienawidząc się za słabość.

- On nie zabił nikogo! Nie mógłby zrobić czegoś takiego! Na pewno nie skrzywdziłby dziecka!

- Jego była żona twierdziła co innego - rzucił oficer.

- Musiała być głupią małpą! Knut to cierpliwy i szlachetny człowiek. Dobry!

- Skąd to wiesz? Przecież nic o nim nie wiedziałaś.

- Nie rozmawiałam z nim o jego życiu - oświadczyła. -  
Wiem natomiast, jak mówił o innych ludziach. Jak o nich  
myślał. Ile miał szacunku i czułości dla tych wszystkich  
zmarłych. Wiem, jak opiekował się nimi.

Cywil wbił w nią badawczy wzrok.

- Jednak po śmierci. Sama mówisz: po śmierci. Może tym  
chłopcem też chciał się zaopiekować, chowając go pod  
najpiękniejszym krzakiem jaśminu?

- On go tam nie pochował! - krzyknęła. - On pomógł mi  
pochować tam psa. Ryzykując utratę pracy, bo chciał mi  
pomóc.

Sama zaczęła wierzyć w swoją wersję, ponieważ była  
jej potrzebna jak środek do życia, niemożliwy do zastąpienia  
żadnym innym.

- Spiszcie to - zaczęła mówić szybko, jakby miała  
gorączkę. - Jestem świadkiem, będę zeznawać w sądzie pod  
przysięgą, doskonale wiecie, że jestem jego alibi i nie  
będziecie mogli mu nic zrobić.

Oficer westchnął ciężko i zrezygnowany opuścił głowę.  
Cywil splótł dłonie i głośno strzelił palcami jak pianista  
przygotowujący się do koncertu.

- A więc dobrze - powiedział oficer, wstając.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał w stronę  
siedzącej przy biurku sekretarki:

- Dwie kawy i kanapki, bo to jeszcze potrwa. I - zawahał  
się, odwrócił głowę w stronę Kariny - jedną colę. Ta mała też  
jest już zmęczona.

Na stole cicho warczał magnetofon.

- Co to był za pies?

- Mały york - odpowiedziała Karina. - Może trochę  
skundlony.

- Zginął na miejscu?



- Pobiegł za moim psem, prosto pod koła. Kierowca nawet się nie zatrzymał.

- Co zrobił jego właściciel?

- Nic, wyglądał na wściekłego.

- Nie zmartwił się, że ktoś zabił mu psa?

- Trochę. Głaskał go przez chwilę i powtarzał: „Biedny Gere”.

- A dlaczego był wściekły?

- Wyjeżdżał do Afryki, na kontrakt. Wyszedł na ostatni spacer z tym psem. Miał go oddać do schroniska.

- Jak możemy znaleźć tego człowieka?

- Nie wiem. - Karina wzrusza drżącymi ramionami. - Może w schronisku mają jego personalia. Może był z nimi umówiony. W każdym razie teraz jest w Afryce.

- Mówiłaś, że dał ci pieniądze, byś zajęła się ciałem psa?

- Tak, dwie stowy.

Oficer śledczy upija kawę z kubka, Karina, łapczywie, colę prosto z butelki.

- Mówisz, że chciałaś pochować tego psa na cmentarzu. Co to miało mieć za sens? - pyta cywil.

- Żaden sens. To zdarzyło się niedaleko cmentarza, bo właśnie szliśmy z Beksem na spacer. Tamten facet wcisnął mi trupa Gere w siatce i odjechał...

- Jaki miał samochód? - pyta szybko śledczy.

- Nie widziałam - kłamie Karina. - I co dalej? - pyta cywil.

- Weszłam na cmentarz, ale Knuta nie było w budce. Zdziwiłam się, bo zwykle na mnie czekał, ale poszłam dalej aleją. Kiedy go szukałam, natrafiłam na ten krzak jaśminu pod płotem. Wyglądał na świeżo przesadzony, bo ziemia była jeszcze zupełnie miękka. Zresztą obok stała łopata... Pomyślałam, że nikt nie zauważy, jeśli zakopię tam takiego małego psa.

- Mimo że wiedziałaś, że na cmentarzu nie wolno robić takich rzeczy?

- Tak - mówi Karina - ale nie chciało mi się szukać innego miejsca. Już zmierzchało, więc myślałam, że nikt mnie nie zobaczy.

- Mogłaś wrzucić worek do śmieci - stwierdza oficer.

- Nie... - protestuje Karina. - Każdemu należy się jakiś grób.

Obydwaj mężczyźni nieświadomie przenoszą wzrok na Beksa, który zasnął w końcu, z nosem wtulonym między dwa ciężkie buty Kariny.

- I na tym kopaniu przyłapał cię strażnik?

- Tak.

- Co zrobił?

- Najpierw był zły, potem mi pomógł. Wykopał głębszy dół, mimo że się spieszył.

- Do czego?

- Tego samego wieczora wyjeżdżał do sanatorium - mówi Karina, skupiona na wyuczonym scenariuszu.

- Jaki to był dzień? Karina pewnym głosem podaje datę i godzinę.

- Jak się rozstaliście? - pyta oficer, zdradzając słabą irytację.

- Poczekaliśmy razem z nim na taksówkę. Prosto po pracy jechał na dworzec.

- W mundurze?

- Przebrał się w budce. - Przy tobie?

- Prosił, bym się odwróciła i pilnowała, czy nikt nie idzie.

- Dlaczego nie pojechał przedtem do domu?

- Nie chciał brać wolnego.

Karina kłamie coraz szybciej, coraz bardziej automatycznie. Jest zadowolona ze swojego głosu i skupiona, jak przy grze w szachy. Widzi coraz większe szanse na

prawidłową rozgrywkę, zaczyna wierzyć, że uda się jej nie popełnić błędu.

- Byłaś z nim przez cały czas?

- Bez przerwy.

- Co zrobił z łopata?

- Zostawił przy krzaku. Nie należała do niego.

- A do kogo?

- Nie wiem... Chyba do ogrodników.

- Co miał ze sobą, gdy wyjeżdżał?

- Walizkę i torbę, tę, w której przynosił do pracy termos i kanapki.

- Jaki kolor miała walizka?

- Czarny - blefuje Karina - albo ciemnoantracytowy, jak jego wszystkie ubrania.

- Dokładniej.

- Nie wiem, bardzo ciemna. Aha, na kółkach - dodaje, przypominając sobie prospekt reklamowy sklepów Aldi, widziany na stole w budce w dniu, w którym Knut pochwalił się wyjazdem do sanatorium.

Powiedział wtedy, że musi sobie kupić dużo rzeczy, ponieważ od lat nigdzie nie wyjeżdżał.

Psycholog milczy. Oficer pochyla się nad stołem i gwałtownym ruchem wyłącza magnetofon.

- Znaleźliśmy tego psa. Był tam, gdzie mówiłaś. Po znalezieniu ciała martwego dziecka nikt już nie kopał głębiej, może to był błąd, a może dobrze, że się tak stało. W każdym razie dzień, w którym zakopano chłopca, można określić tylko z dokładnością do około tygodnia. Z dalszych badań wynika, że między zakopaniem psa a ukryciem dziecka upłynęło przynajmniej dziesięć dni. Tak mówi analiza gruntu. Jeśli jest tak, jak mówisz, wartownik nie może być brany pod uwagę w akcie oskarżenia. Rzeczywiście był w sanatorium.

Karina kiwa głową, ukrywając ulgę. Wszystko zgadza się mniej więcej z tym, czego dowiedziała się od adwokata Knuta.

- Jest tak, jak mówię. Powinniście szukać mordercy dzieciaka. Co chwila giną jakieś dzieci, a policja nie znajduje nikogo. Knut nikogo nie zabił.

- A jeśli zabił? Jeśli kryjesz mordercę?

- Nigdy nie kryłabym mordercy - oświadcza Karina, wbijając wzrok w kark Beksa przecięty szerokim pasem obroży.

Po kilku sekundach dodaje:

- Dokładnie wiem, że Knut nie skrzywdziłby muchy. Poza tym wszystko było tak, jak wam powiedziałam. Zeznam to w każdym sądzie, jeśli będzie potrzeba.

Spotkali się dopiero po miesiącu. Aż do tej pory Karina nie poszła na cmentarz, szerokim łukiem omijała także przylegającą do niego ulicę, wiedząc, że Beks z pewnością pociągnie ją w stronę bramy. W końcu jednak się zdecydowała. Gazety coraz rzadziej wspominały o uduszonym małym chłopcu, na którego ciało przypadkiem natknęli się ogrodnicy na cmentarzu. Dotychczas nie odnaleziono sprawcy, co nie było taką znowu nowością w kraju, gdzie najczęstszym koszmarem wszystkich rodziców była myśl o nazbyt częstych uprowadzeniach dzieci.

Matka chłopczyka nie wypłakiwała sobie oczu. Kiedy policja odnalazła ją w kilkunastoosobowej komunie, okazała się uzależnioną od narkotyków i lekko upośledzoną rodzicielką trojga dzieci, z których każde miało innego ojca. Podobno myślała, że mały jest u ojca, ale nie mogła przypomnieć sobie szczegółów.

- To straszna tragedia, prawda? - powiedziała Karina do Knuta, chcąc zagłuszyć pełną ciężkiego napięcia ciszę.

- Straszna - potwierdził Knut, idąc obok niej sztywnym krokiem główną aleją cmentarza.

Nadeszła już jesień, ale było ciepło, nawet nie spadło zbyt wiele liści, ponieważ dawno nie było wiatru. Cały cmentarz był oazą spokoju.

- Wiele myślałam o tym wszystkim - powiedziała Karina w rytm wolnych kroków - o tym małym chłopcu i o psie. Nie mogłam pozbyć się myśli, że jego odnalezienie było czystym przypadkiem. Ten krzak jaśminu został wtedy świeżo przesadzony i miał pozostać w tym miejscu przez wiele lat. Ten chłopiec też by tam został, gdyby komuś nie przyszło do głowy zmienić plany i po niedługim czasie ponownie przekopać kawałek cmentarza. Przedtem nie ruszono go przez całe lata.

Knut milczał i słuchał jej z uwagą. Czasami, kiedy był przekonany, że tego nie zauważa, przyglądał się jej ukradkiem. Wyglądała całkiem inaczej. Miała na sobie jasną kurtkę i porządne niebieskie spodnie. Nawet jej włosy pojaśniały i ściągnięte były w ciasną kitkę na karku. Kilka spinek przyglądało je wokół czoła, przez co sprawiała wrażenie jeszcze młodszej. Zdumiony Knut zauważył również to, że sierść Bekska jest starannie wyszczotkowana.

- Pomyślałam więc, że ten chłopiec chciał zostać odnaleziony. Jakby uważał za niesprawiedliwe leżeć wśród tych wszystkich innych, szczęśliwych grobów, w których ludzie zachowali swoje nazwiska i czekają na odwiedzin. Groby tutaj są... są jak wyrażenie zgody na odejście z życia, pogodzenie się na zmianę stanu, a jemu, temu chłopcu, nie dano szansy na nic takiego. Pochowano go jak...

- Psa?

- Nawet nie. Na twoim cmentarzu było miejsce i dla psów, i dla ptaków, i dla gołębi gdzieś pod krzakami. Doskonała koegzystencja... Zgodna. Tylko on jeden tak...

- Ale to był najpiękniejszy krzak jaśminu na całym cmentarzu. Tylko dlatego ogrodnicy przypomnieli sobie o nim i uznali, że szkoda, by marnował się pod płotem.

Karina zmarszczyła brwi.

- Mimo to należał mu się nagrobek. Prędzej czy później i przy nim wyrośnie jakiś krzak.

Znowu szli w milczeniu. Rozmowa nie kleiła się, nie było już miejsca na historyjki, zaczepki i żarty. Jedynie Beks radośnie zerkał to na Knuta, to na Karinę, jakby chciał im powiedzieć, że cieszy się ze spotkania.

- Mój адвокат powiedział mi, że wyjeżdżasz z miasta? - zapytał w końcu Knut nieśmiało.

- Tak, dostałam pracę - odpowiedziała cicho. - Przeprowadzam się do innego miasta.

- Co to za praca?

- W sanatorium geriatrycznym. Zdałam egzaminy, jestem już wykwalifikowaną pielęgniarką do opieki nad starszymi ludźmi.

Knut milczał.

- Mówiłam ci, że robię maturę - powiedziała niechętnie. - Mówiłam wiele rzeczy, z których niewiele było prawdą.

- Ale dlaczego? - odważył się zapytać. - Nie rozumiem tego.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, pierwszy raz od kilkudziesięciu minut, które spędzała w jego towarzystwie zapewne po raz ostatni.

- Tak wyszło - odpowiedziała. - Już na samym początku nie powiedziałam ci prawdy, potem ta nieprawda rozwijała się dalej... Podobało mi się, że nie wiesz tego, co wiedzieli wszyscy: rodzina, koleżanki z klasy, sąsiedzi. Dla ciebie jednego mogłam być kim innym, kimś, kim wolałabym być.

- Przecież ty to ty - powiedział niepewnie. - Nie możesz się zmienić tylko dlatego, że zmieniasz fryzurę. Teraz o wiele bardziej mi się podobasz. To znaczy, przepraszam cię, chciałem powiedzieć, że ładniej wyglądasz.

Uśmiechnęła się, zawstydzona.

- To nie sam wygląd... Raczej cała reszta. Moja rodzina... Teraz pewnie wiesz wszystko od swojego adwokata, o matce i w ogóle. Jak wyszła po raz drugi za mąż, jak szybko jej mąż mnie znienawidził, jak ona nigdy mnie nie broniła. Tratatata, tratatata... W każdym razie na koniec postanowili się mnie pozbyć. Obojętnie jak i gdzie.

Karina zrobiła dłuższą pauzę, bo jak setki razy tak i teraz łyzy zasznurowały jej gardło. Nienawidziła tego uczucia.

- Poszłam do szkoły zawodowej, bo dostawałam pieniądze za pracę. Matka i ten jej dokładali mi do wynajęcia mieszkania, woleli to niż moją obecność. Nie mieszkałam w

wielkim domu, o którym ci opowiadałam. Miałam kawalerkę z kuchenną niszą i meble znalezione na ulicy.

- Ale - powiedział Knut. przestraszony jej głosem, w którym wstyd mieszał się z buntem - to przecież nie ma żadnego znaczenia. Jesteś młoda, ładna, zaczynasz pracę, z pewnością ułożysz sobie życie...

- Jasne. - Pokiwała ironicznie głową jak dawna Karina. - Znajdę sobie męża albo dwóch. Jak moja matka.

Knut zaprotestował z tłumioną pasją:

- To też nie jest ważne. Ważne jest tylko to, że masz przed sobą przyszłość. Nie tak, jak oni wszyscy - ruchem ręki wskazał na groby dookoła. - Każdy z nich zamieniłby się z tobą i ty nie masz im czego zazdrościć. Ani rodzin, ani tego, że ktoś ich kochał, ani tych, których oni kochali. Ty masz wszelkie szanse na najlepsze...

- I najgorsze...

- Nie! Ty masz wybór! Zrobisz to, co uznasz za słuszne. Popatrzyła na niego smutna i zdziwiona.

- Każdy z nas teoretycznie może wybierać - powiedziała. - Tak.

- I ty zostaniesz tutaj?

- Ja zostanę tutaj.

Gazety nigdy nie podały żadnych informacji o podejrzanych o zbrodnię. Jednak były jakieś przecieki i Knutowi wydawało się, że wielu ludzi omija jego budkę z daleka. Kościelne władze cmentarza wprawdzie nie poczyniły żadnych kroków, jednak tydzień temu zapomniały także o tym, że minęło trzydziestolecie jego pracy. Knut nie powiedział Karinie o jubileuszu.

- Słuchaj... - odezwała się Karina niepewnie - nie gniewaj się, muszę cię o coś zapytać. Po prostu muszę.

- Spytaj - powiedział.



Stali na samym środku alei i znowu był jasno, w rozkwicie popołudnia wypełnionego słońcem, w cichym poszumie drzew. Jak tego dnia, w którym Karinę zaczepiło dwóch wyrostków i poznała Knuta.

- Tamtego dnia, przed twoim wyjazdem do sanatorium... -  
Tak?

- Kiedy spotkałam cię w alei, niosłeś łopatę. Powiedziałeś, że musiałeś poprawić ziemię po zakopaniu tego przejechanego psa. Po ponad tygodniu... To wszystko nie pasowało mi do ciebie - ani to, że zakopałeś czyjegoś psa...

- Jego właściciel prosił mnie o to - wtrącił łagodnie.

- Zakopałeś psa na cmentarzu... Nie pasowało mi to do ciebie. Od tego kopania miałeś brudne buty i brudne spodnie. To też nie pasowało mi do ciebie. Po raz pierwszy widziałam cię w brudnych spodniach i pomyślałam, że twoja żona będzie wściekła.

- Teraz wiesz, że nie mam żony.

- Teraz wiem.

Karina westchnęła głęboko. Przymknęła na chwilę oczy, jakby chciała zebrać albo odgonić myśli. Szerokim ruchem podała mu rękę.

- Musimy się pożegnać. Za kilka dni wyjeżdżam. Wiesz, pakowanie, formalności.

- Tak... Wrócisz tu kiedyś?

- Nie bardzo mam po co. Moja rodzina, mówiłam ci przecież...

- A przyjaciele? Gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Byłeś moim jedynym przyjacielem.

- Ale nie przyjedziesz mnie odwiedzić - powiedział po dłuższym milczeniu.

- Nie wiem - skłamała.

Teraz on opuścił głowę. Zakłopotany rozkopał żwir czubkiem błyszczącego buta, co sprawiło, że pył z alei osiadł mu na nogawce.

- Ja też muszę ci coś powiedzieć - odezwał się tak cicho, że ledwie go słyszała. - To, że poszłaś na policję, bardzo mi pomogło. Szybko mnie wypuścili, nie straciłem pracy... To wszystko ma dla mnie wielkie znaczenie. Nie jestem już najmłodszy i moje możliwości wyboru są o wiele mniejsze od twoich.

- Ale wybór mamy, sam mówiłeś. - Uśmiechnęła się prawie zadziornie.

- Tak, ale nie o to mi chodziło. Chcę ci powiedzieć, żebyś nie myślała o mnie... Nikogo nie zabiłem. Jestem tu po to, by nad nimi czuwać. Nie zrobiłem nikomu krzywdy.

Karina ścisnęła mu dłoń i cofnęła rękę. To był ich ostatni, pożegnalny uścisk.

- Wierzę ci - skłamała po raz ostatni. - Dlatego tam poszłam, że wierzę.